OLIWER TWIST

Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

PANA BOZ

(KAROLA DICKENS.)

TOM II.

Lipsk.

Nakładem i czcionkami Breitkopfa i Hærtla.

1845.

ROZDZIAŁ I.

O dalszych przygodach Oliwera.

— Żeby wam wilki gardło rozszarpały! — mruknął Sikes, zgrzytając zębami. — Chciałbym teraz być pomiędzy wami, to bym ja was natychmiast uciszył.

Kiedy Sikes to przekleństwo z taką srogością wyzionął, na jaką się tylko jego dusza sroga, okrutna, zdobyć mogła, Oliwera zranionego położył tymczasem na swym kolanie zgiętym, i zwrócił na chwilę głowę, aby się za swoimi prześladowcami obejrzeć.

Niepodobna było podczas tak wielkiéj mgły i ciemności nocnéj cośkolwiek w niejakiéj odległości rozeznać, ale głosy ludzi o pomoc wołających słyszeć się dawały, a szczekanie psów z całego sąsiedztwa, dźwiękiem dzwonu na gwałt bijącego obudzonych, z wszystkich stron się odzywało.

— Stój, ty przeklęty tchórzu, serce zajęcze! — wołał zbójca za uciekającym Tobijaszem Crackit, który, robiąc jak najlepszy użytek z długości swoich nóg, spory kawał go już wyprzedził; — stój!

Powtórzenie tego słowa: *stój!* skłoniło nareszcie pana Tobijasza do nagłego wstrzymania się, gdyż nie był jeszcze zupełnie pewnym, czyli się już wymknął po za obręb wystrzału pistoletowego, a o tém bardzo dobrze wiedział, iż Sikes żartować nie lubi, zwłaszcza w podobnym wypadku.

— Pomóż mi nieść tego chłopca! —zawołał Sikes, migając z wściekłością na swego towarzysza. — Wróć się, czy słyszysz?

Tobijasz udał że powraca, ośmielił się jednak zwolna idąc głosem cichem, zadyszanym, przerywanym, niechęć swoję objawić, jaką mu ta okoliczność sprawiła, że się wrócić musi.

— Prędzéj! — zawołał Sikes, kładąc chłopca w głębokim, suchym rowie u nóg swoich, i dobywając z kieszeni pistoletu. — Nie udawajże ze mną głupca!

Téj chwili wrzawa i zgiełk ludzi za nimi goniących się wzmógł, a Sikes, obejrzawszy się jeszcze raz po za siebie, spostrzegł wyraźnie kilka postaci, które się w niejakiéj odległości od nich przez płot spinały, aby się na to pole dostać, na którém się wraz z chłopcem znajdował, i kilka psów, już o kilka kroków naprzód ku niemu biegnących.

— Teraz już wszystko stracone, Billu! — zawołał Tobijasz; — zostaw chłopca na ziemi i zmykaj sam jak możesz najprędzéj!

Dawszy mu tę dobrą radę, pan Crackit się wolał raczéj na tę niepewność narazić, aby go przyjaciel wystrzałem z pistoletu ranił, albo może zabił, jak na tę pewność, ażeby go nieprzyjaciel schwytał. Obrócił się

tędy natychmiast, i zaczął co tchu zmykać, ile mu tylko sił starczyło.

Sikes zacisnął zęby, zgrzytnął niemi, rzucił okiem naokoło, pokrył śpiesznie ciało Oliwera tym samym płaszczykiem, którym go pierwéj owinięto, pobiegł szybko wzdłuż płotu, jakby przez to prześladowców swoich od tego miejsca chciał odwrócić, na którém Oliwer omdlały leżał, zatrzymał się na chwilę, aby odetchnąć koło płotu drugiego, który tamten w prostym kącie przecinał, rzucił pistolet wysoko w powietrze, przeskoczył przez płot za jednym susem i znikł w okamgnieniu w cieniach nocy.

— Natu, tu! tu! tu! Pinczer! Neptun! natu! — wołał głos drżący z tyłu za nim. — Pinczer! Neptun! .... tędy! tędy! natu!

Psy, które wspólnie ze swoimi panami nie bardzo wielką ochotę do tego rodzaju polowania mieć się zdawały, do którego ich obecnie użyto, usłuchały natychmiast tego wołania; a trzech mężczyzn, którzy się tymczasem w niejakiéj odległości na czystém polu pojawili, zatrzymało się naraz, aby się z sobą naradzić, co daléj począć wypada.

— Mojém zdaniem, czyli raczéj, moim *rozkazem* by było, — ozwał się najotylszy z tych trzech mężczyzn, — abyśmy się natychmiast do domu wrócili. —

— Ja wszystko z góry pochwalam, co tylko pan Giles uchwalić raczy.

Odpowiedział drugi, cokolwiek niższy i chudszy od tamtego, na twarzy bardzo wybladły i niewypowie-

dzianie grzeczny, jak zwykle wszyscy bojaźliwi ludzie w podobnych zdarzeniach.

— Ja się również, moi panowie, niegrzecznym okazać i wam sprzeciwiać nie myślę, — dodał trzeci; ten sam, który psów odwołał; — pan Giles najlepiéj musi wiedzieć, co czynić należy, albo nie.

— Zapewnie, zapewnie, — odpowiedział ów nizki mężczyzna, — a cokolwiekbądź pan Giles nam rozkaże, my nie mamy prawa jemu się sprzeciwiać. Nie, nie,... o ja znam bardzo dobrze moje położenie, Bogu dzięki, znam moje położenie.

Mówiąc prawdę, to człowiek ten mały *zdawał* się rzeczywiście znać bardzo dobrze swoje położenie, i o tém również bardzo dobrze wiedzieć, iż ono téj chwili nie najlepsze być musiało, gdyż mówiąc zęby mu dzwoniły.

— Jak widzę, to masz strach, Brittles, — rzekł Giles. —

— Nie, ja nie mam żadnego strachu, — odpowiedział Brittles.

— Nieprawda, ty masz strach, — zawołał Giles powtórnie.

— To nieprawda, panie Giles, — odparł Brittles.

— To kłamstwo, Brittles, — zawołał Giles.

Te cztery odpowiedzi sprzeczne wynikły z szyderskiego przycinku pana Giles, a ten był skutkiem najprościejszym jego nadzwyczajnego oburzenia o to, że całą odpowiedzialność za powrót do domu w tych okolicznościach pod postacią grzeczności na niego włożyć chciano.

Ostatni z tych trzech walecznych mężów spór cały w sposób bardzo filozoficzny zakończył.

— Ja wam zaraz powiem, moi panowie, jaka tego wszystkiego przyczyna, — rzekł do nich; — oto że wszyscy trzej strach djabelny mamy.

— Niech każdy za siebie tylko odpowiada. Rzekł na to Giles, lubo z nich wszystkich najbardziéj był blady.

— Ja téż nie inaczéj robię, — odpowiedział tamten. — Jest to rzeczą bardzo prostą, iż człowiek w takiém położeniu rzeczy strach ma. Ja przynajmniéj wyznaję otwarcie, że mam strach.

— A więc i ja mam strach, — przyznał Brittles; — tylko że to jakoś nie wypada człowiekowi coś podobnego tak wprost w oczy powiedzieć.

To wyznanie otwarte uspokoiło nieco pana Giles, który się w końcu także przyznał, że *i on* ma strach. W skutek tego wszyscy trzej się naraz zwrócili, i w zgodzie największéj co siły uciekać zaczęli, aż nakoniec pan Giles, który z wszystkich trzech najprędzéj się zadyszał, i do tego jeszcze widłami był obciążony, całéj wymowy swojéj użył, aby się zatrzymać, zamierzając się tak szybkiemu biegowi sprzeciwić.

— Jednak to jest rzecz dziwna, — dodał Giles potém, ułatwiwszy wszystko według swego upodobania, — do czego człowiek nie jest zdolny, jeżeli krew w nim raz zakipi. Ja bym zabójstwo gotów był popełnić, gdybym którego z tych łotrów był dopadł.

Ale że i tamci obaj towarzysze pana Giles te same myśli i zamiary mieli, a krew ich podobnie jak i jego,

teraz się zupełnie uspokoiła, zaczęli pomału rozważać przyczynę tak nagłéj zmiany ich usposobienia i chęci.

— Ja teraz wiem, jaka tego przyczyna była, — rzekł nakoniec Giles; — to płot był całą przyczyną.

— Jabym się wcale nie dziwił, gdyby to w istocie prawdą było.

Dodał Brittles, czepiając się téj myśli.

— Możecie się na to spuścić, — rzekł Giles, — że to płot nasze oburzenie tak zatamował. Czułem wyraźnie, jak mię moje opuszczało, gdym się na niego drapał.

Szczególnym przypadkiem i oba jego towarzysze tego samego nieprzyjemnego uczucia téjże samej chwili doznali, tak że to wkrótce jako rzecz niezaprzecznie dowiedziona stanęła, iż płot wszystkiemu był winien; zwłaszcza, iż żadna wątpliwość względem czasu nie zachodziła, w którym się ta nagła zmiana w nich po raz pierwszy objawiła, gdyż sobie wszyscy jasno i dokładnie przypominali, iż téj chwili właśnie, kiedy ta nagła zmiana ich uczucia zaszła, wszyscy trzéj razem i zbójców spostrzegli.

Tę rozmowę prowadziło trzech mężczyn, z których dwóch ten napad nocny najpierwéj dostrzegło, a trzeci był dróciarzem podrużującym, który sobie w officynach spokojnym snem ujęty spoczywał, lecz obudzony i wraz ze swymi dwoma psami do gonitwy za zbójcami wezwany został.

Giles działał w swojém podwójném urzędowaniu jako piwniczny i Zawiadowca domu w podeszłym już wieku będącéj właścicielki tego samotnego mieszkania, a

Brittes, sługa do wszystkiego, który od dziecięcia u niéj w usługach zostawał, uważany był zawsze jeszcze jako chłopiec wiele po sobie obiecujący, lubo mu już trzydziestka minęła.

Takiemi rozmowami wzajemnie sobie odwagi dodawali, lecz pomimo to wylęknieni, trwogą przejęci, bojaźliwie jeden do drugiego się tulili, i oglądając ciągle z przestrachem naokoło siebie, za najmniejszym szmerem gałęzi krzaków wiatrem poruszonych, ci trzej waleczni mężowie pędem aż do owego drzewa pobiegli, koło którego w ukryciu latarnię swoją poprzód zostawili, ażeby światło jéj złodziei nie ostrzegło, w którym kierunku strzelać mają.

Podniósłszy latarnię z ziemi większą część swego odwrotu do domu szybkim pędem odbyli, a kiedy ciemne ich postacie zupełnie już znikły, światło jéj długo jeszcze potém tańczyło i migotało w oddaleniu, niby wyziew jaki tego mglistego, ciemnego powietrza, śród którego tak szybko się poruszało.

Czém bardziéj poranek się zbliżał, mróz tém większy, tęższy się stawał, a mgła po ziemi się toczyła niby gęsta chmura dymu. Trawa, ziemia była mokra; na każdéj ścieżce, na każdéj choćby najmniejszéj nizince było pełno wody i błota, a oddech wilgotny niezdrowego wiatru ciągnął ociężale po niéj z ponurym, stłumionym wyciem.

Oliwer tylko jeden leżał bez ruchu, i na wszystko nieczuły w tym rowie, w którym go Sikes położył.

Nakoniec i poranek zaświtał; za pierwszém jego brzaskiem powietrze większéj jeszcze ostrości nabrało,

....zimno przenikliwsze się stało,....a na błękicie niebios zabłysło słabo konanie nocy raczéj, jak zejście dnia.

Wszystkie przedmiota, które dotąd śród nocnéj ciemności ponuro i okropnie wyglądały, stawały się teraz coraz bardziéj wydatniejsze, jaśniejsze, i przybrały w końcu swoje pierwotne, przyrodnie postacie. Deszcz gęsty padać zaczął i szeleściał w krzakach nagich, liścia jeszcze pozbawionych.

Oliwer jeden tylko tego nieczuł, iż na niego pada, gdyż przytomności pozbawiony, strętwiały, bez pomocy, leżał na swém łożu z gliny.

Nakoniec cichy jęk boleści przerwał ciszę dotąd panującą; ten jęk wydarł się piersi chłopczyny, który się właśnie ocknął. Lewa jego ręka, w szal na prędce obwinięta, wisiała bez władzy u jego boku, a szal cały krwią mocno był przesiąknięty.

Oliwer tak był osłabionym, iż z wielką biedą o tyle się zaledwie podnieść zdołał, aby sobie usiąść, a gdy nareszcie tego dokonał, obejrzał się wkoło, czyli gdzie kogoś niespostrzeże, aby pomocy jego wezwać, i jęczał z boleści. Drżąc na całém ciele z zimna, utraty krwi i osłabienia chciał się podnieść na nogi, ale dreszcz zimny wskróś go przejął, a on na nowo padł omdlały na ziemię.

Gdy po chwili z tego powtórnego omdlenia do siebie przyszedł, które już tą razą tak długo jak pierwsze nie trwało, Oliwer, pewnêm poczuciem ostrzeżony, iż umrzeć będzie musiał, jeżeli dłużéj na têm miejscu pozostanie, podniósł się na nogi, i wszelkich sił dobył, aby się daléj powlec.

Głowa mu ciężyła, w oczach się mu ćmiło, a on

się chwiał na wszystkie strony, niby człowiek pijany; pomimo to jednak dość silnie na nogach się trzymał, i wlókł powoli z głową ociężale na piersi pochyloną, lubo sam niewiedział dokąd.

Myśli różne, przerażające, tłumnie umysł jego teraz dręczyć zaczęły.

Raz się mu zdawało, iż pomiędzy Billem i Tobijaszem Crackit jeszcze idzie, toczącymi żywą sprzeczkę pomiędzy sobą, tak, że te słowa nawet, które do siebie mówili, o uszy mu się obijały; a jeźli czasem uwagę na siebie zwrócić był zmuszony, aby wszystkie siły swoje wytężyć i od upadku się uchronić, wtedy czuł wyraźnie, że i on z nimi rozmawia. Czasami się mu przeciwnie wydawało, iż sam-na-sam jest z Billem, który go ciągle ze sobą coraz daléj wlecze, jak to się dnia zeszłego działo, i że wyraźnie mocne uściśnienie jego pięści czuje, jeżeli przypadkiem ludzi po drodze napotkają.

Nagle skoczył i wstecz się cofnął, zdało się mu bowiem, że słyszy wystrzał pistoletu, a potém zgiełk i hałas ludzi, którym powietrze napełniali; światła w oczach mu zabłysły, zgiełk, wrzask niesłychany naokoło niego powstał, a ręka jakaś niewidoma z tych miejsc go unosiła.

Śród tych wszystkich marzeń i przywidzeń szybko po sobie następujących, Oliwer zachował pewne niejasne, przykre uczucie boleści, które go nieustannie dręczyło.

Tak się więc ciągle wlókł daléj, przemykając poniewolnie, bez przytomności, przez wrotka i dziury w płotach, jak mu w drogę wpadły, dopokąd na gościeniec

się nie dostał. Téj chwili deszcz tak wielki padać zaczął, iż się Oliwer ze swego obłędu zupełnie ocknął.

Spojrzał naokoło, i spostrzegł w niejakiéj odległości od siebie dom samotnie stojący, do którego pomimo swe osłabienie dostać się spodziewał. Pomyślał sobie iż mieszkańcy jego litość z nim mieć będą, jeżeli go w tym stanie zobaczą; a gdyby i ta nadzieja go omyliła, to sądził, iż daleko lepiéj umrzeć w pobliżu istot ludzkich, jak w polu samotném, pustém.

Zebrał zatém wszystkie siły swoje, które mu jeszcze pozostały, i potoczył się ku owemu domowi.

Lecz czém bardziéj do tego zabudowania się zbliżał, jakieś uczucie niejasne w nim się budzić zaczęło, że on już raz ono widział. Szczegółów sobie wprawdzie żadnych przypomnieć nie mógł, ale widok i kształt zewnętrzny tego domu niebył mu nieznany.

Ten mur ogrodowy! Wszak on po drugiéj stronie tego muru padł téj nocy na trawniku na kolana, i błagał owych dwóch ludzi, aby się nad nim litowali! Wszak to był rzeczywiście ten sam dom, któren téj nocy obrabować zamyślali!

Gdy Oliwer nareszcie to miejsce poznał, taki przestrach go opanował, że na chwilę o swojéj ranie i słabości zapomniał, i o ucieczce jedynie myślał.

Ucieczka! Wszak on zaledwie na nogach utrzymać się zdołał; a wreszcie, dokądże mógł uciekać, gdyby nawet całą dzielność i siłę swéj młodości był posiadał?

Oparł się tedy o drzwiczki od ogrodu;.. .nie były zamknięte i natychmiast się same otworzyły. Potoczył sie tedy przez trawnik, wpiął po schodach do drzwi

wchodowych, zapukał słabo do nich,....lecz téj chwili siły go opadły, przytomność go opuściła, a on upadł omdlały na ziemię, oparty o słupek od małego przysionku domu.

Zdarzyło się właśnie, iż panowie Giles, Brittles i dróciarz pod ten czas zgromadzeni byli w kuchni, zajęci pokrzepieniem swych sił po przestrachu i trudach téj nocy poniesionych.

Pan Giles nie miał wprawdzie nigdy zwyczaju niższych sług domu do wielkiéj poufałości z sobą przypuszczać, lecz owszem, z pewną dobrotliwością dumną nawet z nimi się obchodził, która ludziom wprawdzie niejako pochlebia, nigdy im jednak o wyższém stanowisku w świecie podobnego łaskawcy zapomnieć nie pozwala;....ale śmierć, pożar, rozbój, rabunek, wszystkich równymi sobie robi....

Pan Giles siedział sobie tedy w kuchni przy ogniu, szeroko rozparty; lewą rękę wsparł na stole, a prawą machał ciągle w powietrzu, aby poprzeć natychmiast najmniejszy szczegół nawet w opowiadaniu swojém, najmniejsze drobnostki obejmującém, o rabunku téj nocy zamierzonym i tak szczęśliwie odpartym, którego wszystkie służące, a szczególnie kucharka i służąca, z natężoną uwagą słuchały.

— Było to koło półdotrzeciéj z rania, — mówił Giles, — a może cokolwiek jeszcze daléj, kiedym się z pierwszego snu obudził, i przewróciwszy na łóżku, tak naprzykład oto, jąk teraz, — tutaj Giles dla większéj dokładności na krześle się obrócił, i końcem od obrusa pokrył, aby temu obrazowi większego podobień-

stwa nadać, — wtém zdaje mi się, że słyszę jakiś szelest.

Téj chwili kucharka nagle pobladła, i kazała drugiéj służącéj drzwi od kuchni lepiéj zamknąć, służąca kazała to panu Brittles uczynić, a ten kazał dróciarzowi, który jednak udał, że tego niesłyszy.

— .... Słyszę jakiś szelest, — mówił daléj Giles. — Z początku sobie myślę, że to zapewnie tylko jakie przywidzenie;....niezważam tedy na to, i układam się wygodnie, aby zasnąć, wtém szelest ten powtórnie i bardzo wyraźnie się odzywa.

— Jakiż to był szelest? — zapytała kucharka.

— Szelest taki, jakby kto coś wyłamywał, — odpowiedział Giles, potoczywszy okiem po wszystkich.

— Bardziéj, jakby ktoś pilnikiem po żelezie posuwał, — wtrącił Brittles.

— Było to wtedy dopiero, kiedyś *ty* już ten szelest słyszał, — odparł Giles; — lecz w ówczas było to raczéj coś jakby trzeszczenie, lub coś podobnego. Odrzucam tedy śpiesznie kołdrę, — ciągnął Giles, odwijając obrus na stole, — siadam na łóżku i słucham...

Kucharka i służąca wykrzyknęły nagle razem: Wielki Boże! i przysunęły się krzesłami do siebie.

— Teraz już ten szelest bardzo dokładnie słyszałem, — mówił daléj Giles. — Pomyślałem sobie tedy: Ktoś chce drzwi albo okno wysadzić; cóż tutaj robić? Trzeba będzie chyba tego biednego chłopca Brittles obudzić, aby go w łóżku niezamordowali;...gotowi mu, pomyślałem sobie, gardło od ucha do ucha poderznąć, a on nawet nie będzie wiedział kiedy!

Tutaj się oczy wszystkich na biednego Brittles

zwróciły, który na odwrót swoje z przerażeniem w mówiącego wlepił, i oniemiały, z gębą szeroko rozwartą, i obliczem, na którém zgroza i przestrach niewypowiedziany się malował, na niego spoglądał.

— Odrzucam tedy kołdrę, — ciągnął Giles, odrzucając obrus i spoglądając śmiało i odważnie na kucharkę i służącą, — wyłażę po cichutku z łóżka, ... wdziewam.....

— Panie Giles! kobiety.... — wtrącił dróciarz.

— Wdziewam *buty*, — dodał Giles zwracając się do niego, wymawiając to słowo *buty*, z wielkim naciskiem; — chwytam pistolet nabity, który codziennie wieczór zaraz z koszykiem z srebrem na górę wynoszą, i udaję się na palcach do tego pokoju, gdzie on sypia. ,,Brittles,'' mówię do niego, gdym go obudził, ,,tylko się nie przelęknij!''

— To prawda, — potwierdził Brittles z cicha.

— ,,Brittles,'' mówię do niego, ,,mnie się zdaje, żeśmy zgubieni,'' — mówił daléj Giles, — nie bój się jednak bardzo, nie bój!''

— Czy się bardzo przeląkł? — zapytała kucharka.

— Ani odrobinki, — odpowiedział Giles. — Tak był śmiałym, ... nieinaczéj, tak śmiałym prawie, jak ja sam.

— Gdyby to mnie było spotkało, tobym natychmiast była ze strachu umarła, ...z pewnością! — zauważyła służąca.

— Bo jesteś niewiastą! — odparł Brittles, cokolwiek więcéj odwagi nabierając.

— Brittles słusznie powiedział, — potwierdził Giles,

skinąwszy głową na znak pochwały; — od niewiasty niczego się więcéj spodziewać niemożna. My zaś, co jesteśmy mężczyznami, myśmy pochwycili natychmiast latarnię bez światła, którą Brittles zawsze ma przy sobie, i zeszli z nią po schodach na dół pośród téj ciemności,....jak się należało.

Pan Giles wstał z krzesła i postąpił parę kroków z zamrużonemi oczyma, aby ruchem odpowiednim opowiadanie swoje lepiéj objaśnić,....w tém nagle cały się wzdrygnął, i nie mniéj przerażony jak i towarzystwo całe, na krzesło swoje na powrót się rzucił.

Kucharka i służąca przeraźliwie wrzasnęły.

— To ktoś zapukał, — rzekł nakoniec Giles odzyskawszy zupełnie spokojność; — niechaj kto drzwi otworzy!

Nikt się nie ruszył.

— Niezawodnie że podobne pukanie do drzwi,.... o tak wczesnéj porze z rana, jest rzeczą niejako bardzo szczególną, — rzekł Giles, spoglądając na te twarze wybladłe, które go otaczały, sam bladością śmiertelną pokryty, — ale drzwi koniecznie otworzyć potrzeba. Czy kto słyszał?

Giles spoglądał na biednego Brittles, gdy to mówił; ale że ten młody człowiek zawsze był nadzwyczajnie skromnym, więc się też i za tego: *kto* uważać nie myślał, z czego następnie wnosił, iż to pytanie żadną miarą do niego ściągać się niemoże. Bądź co bądź, dość że nic na to nieodpowiedział.

Giles rzucił spojrzenie wyzywające na dróciarza, ale ten naraz zasnął.

O kobietach zaś ani myśleć było można.

— Jeżeli Brittles drzwi w przytomności świadków otworzyć woli, to mu za świadka posłużyć mogę, — rzekł nakoniec Giles, po chwili milczenia.

— I ja to samo!

Dodał dróciarz, obudziwszy się tak nagle, jak i zasnął.

Brittles się pod tymi warunkami poddał; a gdy się towarzystwo całe przy otworzeniu okienic tém odkryciem nieco uspokoiło, że już dzień od dawna zaświtał, udało się po schodach od kuchni do góry z psami na czele, a obiema kobietami, które się same w kuchni pozostać lękały, w odwodzie.

Stósownie do mądréj porady pana Giles całe towarzystwo jak najgłośniéj z sobą rozmawiało, aby dość wcześnie każdego ostrzedz, coby się w złych zamiarach do drzwi dobywał, iż liczba ich jest dość znaczna; a w skutek pomysłu nadzwyczaj mądrego i przebiegłego tego samego jegomości, uszczypnięto oba psy kilka razy w ogón, aby tém głośniéj i zajadléj wyły i szczekały.

Po użyciu tych wszystkich środków ostrożności, Giles, trzymając się mocno ręki dróciarza, chcąc niby temu zapobiedz, ażeby nieuciekł, jak się żartem wyraził, — dał rozkaz do otworzenia drzwi.

Brittles natychmiast usłuchał, a grono całe, spoglądając lękliwie jedno przez ramię drugiego, niespostrzegło nic straszliwego, jedynie tylko małego Oliwera Twista, omdlałego, wysilonego, który ciężko swe oczy ku nim podniósł, i w milczeniu o litość ich błagał.

— Chłopiec!

Zawołał Giles, odtrącając silnie w tył dróciarza.

— Cóż on tutaj chce,....co?.... Ha!....Brittles!.... patrzaj!....czy go niepoznajesz?

Zaledwie Brittles, który się za drzwiami był ukrył, gdy je otworzył, chłopca tego zobaczył, natychmiast głośno wrzasnął.

Lecz Giles, chwyciwszy chłopca za jedną rękę i nogę, — na szczęście nie za zranioną, — zawlókł go śpiesznie do sieni, i położył na ziemi.

— Oto jest! — wrzeszczał Giles w swojém zapale na całe gardło....po schodach do góry, — oto jest jeden ze złodziei, pani, oto jest!.... Ach panno! oto jest.... i to zraniony, panno!.... ja go zraniłem, panno!....a Brittles świecę mi trzymał, panno!

— W latarni, panno!

Dodał Brittles, przyłożywszy rękę bokiem do ust, aby wrzask jego tém głośniéj odbijał.

Obie służące pobiegły tymczasem po schodach do góry, aby pani swojéj donieść, że Giles rabusia schwytał, a dróciarz zajął się pod ten czas Oliwerem, i cucić go zaczął, aby im przypadkiem na złość nie zrobił, i pierwéj nie umarł, nim powieszonym zostanie.

Śród tego całego wrzasku, hałasu, ruchu, dał się słyszeć miluchny głos kobiecy, przed którym natychmiast wszystko ucichło.

— Giles!

Zawołał ten głosik po cichu z góry.

— Oto jestem, panno! — odpowiedział Giles. —

Niech się panna nie boi, nie bardzo jestem uszkodzony! On nam wielkiego oporu nie stawiał, panno!...było nas za nadto wielu na niego jednego, panno!

— Pst!— zawołała młoda panna; — przestraszysz mi ciotunię jeszcze bardziéj jak złodzieje. Czy ten biedny człowiek mocno zraniony?

— Bardzo niebezpiecznie, panno! —

Odpowiedział Giles z niewypowiedzianém zadowolnieniem.

— On tak wygląda, jakby się już na tamten świat chciał wynieść! — zawołał Brittles na tenże sam sposób, jak i poprzód. — A możeby panna była tak łaskawa i zeszła do niego na chwilkę, aby się mu przypatrzeć na przypadek, gdyby....

— Pst! Proszę was, nie róbcie takiego hałasu, moi kochani, — odpowiedziała młoda panna. — Poczekajcie chwilkę, tylko z ciotunią się rozmówię.

Dziewczyna oddaliła się natychmiast nóżką leciuchną, i powróciła niebawem z tym rozkazem, aby zranionego jak najtroskliwiéj do izby pana Giles na górę zaniesiono, a Brittles konia natychmiast okulbaczył, do Chertsey jak najspieszniéj się udał, i ztamtąd bez wszelkiéj zwłoki lekarza i Woźnego sądowego sprowadził.

— Czyż panna na niego pierwéj ani oczkiem rzucić nie chce? — spytał Giles z taką dumą i zarozumiałością, jakby Oliwer był jakiém rzadkiém zwierzęciem, ptakiem prześlicznym, którego z nadzwyczajną zręcznością ułowił. — Choćby raz przynajmniéj.

— Nie, nie, za nic w świecie, — odpowiedziała dziewczyna. — Biedny człowiek! obchódźcie się z nim

jak najlepiéj, Giles! proszę was, uczyńcie to dla mnie!

Stary sługa spojrzał na dziewczynę z taką dumą i podziwieniem w oku, gdy się oddalała, jakoby ona własném jego dziecięciem była. Nachyliwszy się potém do Oliwera, pomógł go po schodach do góry wynieść z pieczołowitością i troskliwością kobiety.

ROZDZIAŁ II.

Kreśli najprzód obraz mieszkańców tego domu, w którym się Oliwer teraz znajdował, i donosi co oni o nim myśleli.

W pokoiku ładnym, którego uporządkowanie jednak raczéj wygodność staroświecką, jak wytworność nowoczesną objawiało... siedziało dwie pań przy smacznie i obficie zastawioném śniadaniu. Pan Giles czarno i starannie ubrany, usługiwał im do stołu.

Giles zajął swoje stanowisko na połowie drogi pomiędzy kredensem i stolikiem, na śniadanie zastawionym, wyprostował się jak świeca, głowę do góry zadarł, przechyliwszy ją nieco na jedną stronę, nogę lewą naprzód wystawił, prawą rękę założył za kamizelkę, lewą z talerzem na dół całkiem opuścił, i spoglądał tak, jak zwykle człowiek, który o swoich nadzwyczajnie wielkich zasługach i zaletach zupełnie jest przekonany. —

Jedna z tych dwóch pań przy stole siedzących była już w podeszłym wieku; ale te wysokie, proste poręcze krzesła, na którém siedziała, sztywniéj wyglądać nie mogły, jak ona.

Czysto, schludnie, starannie ubrana, miała na sobie strój po większéj części jeszcze staroświecki, z takiemi jednak odmianami, panującemu smakowi tegoczesnemu odpowiadającemi, że te owéj staroświeckości wcale nie tłumiły, ale owszem jeszcze wydatniejszą ją czyniły.

W takim tedy stroju siedziała poważnie na swojém krześle, trzymając ręce złożone przed sobą na stole, a oczy, których ognia wiek bardzo mało przygasił, niezmiennie na swoję młodą towarzyszkę zwrócone.

Druga z kobiet o wiele młodsza, była właśnie w kwiecie najpiękniejszym wiosny swego życia; w tym wieku, w którymby jedynie aniołów mieć chciano, gdyby ich pan Bóg kiedy w postać ludzką chciał ubrać.

Zaledwie lat siedmnaście mieć mogła, a postać jéj była tak smukła i wytworna, tak miła i powabna, tak kształtna i piękna, że się zdawało, iż ziemia jéj żywiołem być nie może, ani téż rubaszni jéj mieszkańcy równemi z nią istotami. Ta bystrość umysłu nawet, ten rozsądek, który tlał w jéj młodych oczach i na piękném, wzniosłém czole się odbijał, niezdawał się być własnością tego młodego wieku, tego świata.

A jednak wyraz zmienny łagodności i wesołości, owe tysiączne promienie, które na obliczu jéj w tysiącznych barwach igrając, żadnego cieniu na niém nie zostawiały; a nadewszystko uśmiech, ... ten miły, powabny, błogi uśmiech na jéj usteczkach różowych,....

dowodził o uczuciach, usposobieniu najlepszém ludzkiéj przyrody i serca.

Przy stole zajętą była szczerze swojém lekkiém zatrudnieniem; a kiedy przypadkiem oczy na swą starszą towarzyszkę podniesła, która na nią z taką tkliwością spoglądała, powabnie włos sobie pogładziła, bez wymusu, gładko nad czołem zaczesany, i w jedno promieniste spojrzenie tyle przywiązania i tkliwości serca i wrodzonego uroku zmieścić umiała, żeby nawet aniołowie sami i duchy niebiańskie z uśmiechem na nią były spoglądały.

Staruszka się na to uśmiechnęła; ale serce jéj było ciężkie, przepełnione i wycisnęło jéj z oczu łzę, która się jednak długo w nich nie ostała.

— Brittles już od godziny pojechał do miasta, nieprawdaż? — ozwała się nakoniec staruszka po długiéj chwili milczenia.

— Już od godziny i dwunastu minut, pani!

Odpowiedział Giles, spoglądając na srebrny zegarek, który za czarną wstęgę z kieszonki dobył.

— On zawsze taki jest powolny, — zauważyła staruszka.

— Brittles był zawsze powolnym chłopcem, pani!

Odpowiedział sługa. A że Brittles już od trzydziestu lat przynajmniéj zawsze chłopcem był powolnym, nie było przeto wielkiego podobieństwa, aby się kiedyś skorszym mógł był zrobić.

— Jak się mi zdaje, to on się coraz bardziéj pogarsza, zamiast coby się miał polepszyć, — rzekła staruszka.

— Najgorsze w nim jest to, iż często z innymi

chłopcami w zabawy po drodze się zapuszcza, — dodała młodsza z uśmiechem.

Pan Giles chciał się także do uśmiechu pełnego uszanowania łaskawie poniżyć;...wtém gig u drzwiczek od ogrodu się zatrzymał, a z niego wysiadł otyły mężczyzna, który jak najśpieszniéj ku drzwiom się potoczył, i wpadłszy szybko do domu, tym samym niepojętym sposobem wbiegł do pokoju, i w swym pośpiechu omal stolika ze śniadaniem i pana Giles samego nie wywrócił.

— Jeszczem nigdy coś podobnego nie słyszał! — zawołał ów otyły jegomość. — Ach droga pani Maylie, ...na Boga! .....i to jeszcze śród nocnéj ciszy! .....nie, tego jeszcze *nigdy* nie słyszałem!

Otyły jegomość, witając obie panie temi słowy, uścisnął je za ręce, i przysunąwszy sobie krzesło, zaczął je pytać, jak się mają.

— Musiałyście się panie na śmierć przestraszyć,... prawdziwie na śmierć! — rzekł ten jegomość otyły.— Dla czegóżeście panie natychmiast do mnie nie posłały? Na Boga! mój służący byłby w okamgnieniu tutaj przybył; ja sam, i mój pomocnik bylibyśmy sobie to za największą przyjemność poczytali paniom usłużyć; każdy nawet,.... jestem tego pewien;.... droga pani!.... tak niespodziewanie,.... i to jeszcze śród nocy!

Lekarza widocznie ta okoliczność najbardziéj zadziwiała, że ten rabunek był niespodziewany, i śród nocy przedsięwzięty, jakby zwyczajem przyjętym u rozbójników było wyprawy swoje w dzień odbywać, i na kilka dni przedtém mieszkańców, których odwiedzinami

swojemi zaszczycić pragną, pocztą o przybyciu swojém uwiadamiać.

— A jakżeż z panną, panno Różo! — zapytał lekarz, zwróciwszy się do młodszéj obu pań, — ja....

— O, ja się także mocno przelękłam,... prawdziwie! — przerwała mu Róża; — ale na górze leży człowiek biedny, o którego odwiedzenie ciocia szczerze pana prosi.

— Jestem o tém mocno przekonany, — odpowiedział lekarz. — To twoja sprawka Giles, jak mi mówiono!

Giles, który drżącą ręką filiżanki ustawiał, zarumienił się nadzwyczajnie na to pytanie lekarza, i rzekł, iż on miał ten zaszczyt....

— Co? zaszczyt? — zawołał lekarz; — a,...niewiedziałem o tém; a może też i równym jest zaszczytem złodzieja w ciemnéj komorze postrzelić, jak i przeciwnika w pojedynku na dwanaście kroków zabić. Wyobraź sobie, że on w powietrze wystrzelił, a tyś pojedynek odbył, panie Giles.

Giles, który takie lekceważenie tego wypadku za niesprawiedliwe targnięcie się na jego chwałę zwycięzką uważał, odpowiedział z wszelkiém uszanowaniem przynależném, że on tego wprawdzie sam osądzić nie jest w stanie, o tém jednak wie, iż strona przeciwna wcale nieżartowała.

— Prawda, prawda! — zawołał lekarz. — Gdzież on leży? Zaprowadźże mię do niego. Powracając od chorego jeszcze raz wstąpię, moja droga pani Maylie. Czy to jest to małe okienko, przez które się wsunął,... co? Któżby to był mógł pomyśleć!

Tak przez całą drogę nieustannie rozprawiając, szedł za panem Giles po schodach do góry: a my tymczasem go opuścimy, aby czytelnika uwiadomić, że pan Losberne, chirurg z sąsiedztwa, znany powszechnie na dziesięć mil wokoło jako ,,pan doktor,“ utył raczéj z ciągłéj, niezmiennéj wesołości swojéj, jak dobrego życia, a przytém był tak dobrodusznym i uczciwym, lubo nadzwyczaj dziwacznym starym kawalerem, jakiego by drugiego w całym świecie trudno znaleść było.

Lekarz dłużéj u chorego bawił, jak on się sam tego spodziewał, lub panie domu przewidzieć mogły. Skrzyneczkę płaską, szeroką, z gigu mu podano, dzwonek bardzo często usługi swoje pełnił, a słudzy ustawicznie to na górę, to na dół biegali, z czego łatwo było można wnosić, iż coś ważnego na górze się dzieje.

Nakoniec powrócił, i w odpowiedzi na trwożliwe i ciekawe pytania obu pań, tajemniczo na nie spoglądał, i drzwi starannie za sobą zamknął.

— Jest to nadzwyczajne wydarzenie, pani Maylie! Ozwał się nakoniec lekarz, plecyma do drzwi obrócony, jakoby i na ten sposób chciał wzbronić, aby drzwi nieodemknięto.

— Spodziewam się przecież, iż żadnego niebezpieczeństwa niema? — spytała staruszka.

— Toby nie było nic tak nadzwyczajnego w podobnych okolicznościach, — odpowiedział lekarz, — lubo sądzę, iż żadnego niema. Czyście panie złodzieja widziały?

— Nie, — odpowiedziała staruszka.

— Ani też o nim nic niesłyszały?

— Nie.

— Proszę mi wybaczyć, pani, — wtrącił Giles; — ja chciałem właśnie o nim pani mówić, kiedy pan doktor Losberne nadjechał.

Rzecz się zaś następnie miała, iż Giles się z początku żadną miarą do tego wyznania skłonić nie odważył, że tylko chłopca małego postrzelił.

Męztwo i odwagę jego takimi pochwałami obsypywano, że mu niepodobna było téj roskoszy serca się wyrzec, i objaśnienia całego wydarzenia na kilka słodkich minut jeszcze nie odciągnąć, aby się tymczasem całym urokiem najwyższego szczytu krótkiéj chwały niewzruszonego męztwa dowoli upoić.

— Rózia chciała tego człowieka widzieć, — ozwała się nakoniec pani Maylie, — ale ja na to nie zezwoliłam. —

— Hm! — rzekł lekarz. — Jego powierzchowność nie jest tak bardzo straszna i odrażająca. Czybyś miała pani co przeciwko temu, gdybym ją prosił, w méj przytomności go odwiedzić?

— Jeżeli to jest rzeczą potrzebną, — odpowiedziała staruszka, — chętnie zezwalam.

— Więc ja sądzę, że jest potrzebną, — odrzekł lekarz. — Na każdy przypadek jestem o tém najbardziéj przekonanym, żebyś pani późniéj mocno żałowała, gdybyś go nie odwiedziła. On jest teraz zupełnie spokojny i ma się dość dobrze. Proszę, panno Różo! ..... pani pozwoli? Zaręczam na moję uczciwość, że się panie niczego obawiać nie macie.

Śród wielu jeszcze innych twierdzeń i najświętszych zapewnień, iż widok złoczyńcy mocno i przyjemnie je

zadziwi, pan doktor wziął pannę Różę pod rękę, drugą, wolną pani Maylie podał, i obie z największą grzecznością i uszanowaniem po schodach do góry poprowadził.

— A teraz, — szepnął lekarz z cicha, otworzywszy jak najostrożniéj drzwi od sypialnego pokoju, — proszę mi powiedzieć, co panie o nim sądzicie. Prawda że nie jest ogolony, jednakowo pomimo to nadzwyczaj straszliwie nie wygląda. Proszę się na chwilkę zatrzymać,..... ja najprzód popatrzę, czyli jest w tém położeniu, żeby takie odwiedziny mógł przyjąć.

Wyprzedziwszy tedy obie panie, wszedł do pokoju, i skinąwszy na nie, aby się za nim udały, zamknął natychmiast drzwi za niemi, zbliżył się do łóżka i odwinął zasłony.

Tutaj spostrzegły zamiast zatwardziałego, obrosłego, opalonego złoczyńcy, prawdziwe dziecko, wysileniem, boleściami znękane, w śnie głębokim leżące. Jego ramię zranione, owinięte, opatrzone, spoczywało na jego piersi, a głowę miał pochyloną na drugie ramie, które włosy jego długie, po poduszce spływające, całkiem prawie pokrywały.

Poczciwy lekarz trzymał w rękach odwiniętą zasłonę i spoglądał w milczeniu przez kilka chwil na ten obraz.

Gdy w ten sposób nad chorym swoim troskliwie czuwał, dziewczyna tymczasem cokolwiek się usunęła, na drugą stronę obeszła, na krześle przy łóżku usiadła, lekko włos Oliwerowi z twarzy odgarnęła i na niego się nachyliła, a łza gorąca wtedy z ócz jéj na jego czoło padła. —

Chłopczyna się ruszył i przez sen uśmiechnął, jakby ten dowód litości i miłosierdzia nad nim w duszy jego

jakiś sen przyjemny o przywiązaniu i miłości był obudził, których nigdy jeszcze dotąd nie zaznał; tak jak dźwięki słodkie muzyki, szmer mruczącego strumyka w miejscu samotném, cichém, zapach miły kwiatu, lub też samo wspomnienie znajomego wyrazu często ciemne wspomnienia wydarzeń budzi, którychcśmy w tém życiu nigdy nie widzieli, które niby cień złudny znikają i ciemne obrazy o życiu piękniejszém, szczęśliwszém, któreśmy dawno już utracili, a które żadna władza umysłu przywołać i jasno nam ukazać nie podoła, przypominać się zdają.

— Co to ma znaczyć? — zawołała staruszka; — niepodobna, ażeby ta mała chłopczyna wspólnikem zbrodniarzy już być miała!

— Występek, — rzekł z westchnieniem lekarz, zapuszczając zasłony, — wiele i różnych świątyń posiada; a któż z pewnością powiedzieć może, że i w ciele pięknym nie zamieszkał?

— Ależ w tak młodym wieku! — zawołała Róża.

— Droga panno! — odpowiedział na to lekarz, wstrząsnąwszy posępnie głową; — jak śmierć tak i zbrodnia nie jest starszego wieku jedynie udziałem. Bardzo często ludzie najmłodsi i najpiękniejsi są jéj wybranemi ofiarami.

— Ach panie! czyż temu w istocie zawierzyć możesz, aby ten chłopczyna tak młody, tak miły, miał być dobrowolnym spólnikiem najgorszego wyrzutu ludzkości? — zapytała Rózia z trwogą.

Lekarz wstrząsnął głową z takim wyrazem, jakoby chciał powiedzieć, że to do rzeczy niepodobnych nienależało; zrobił jednak tę uwagę, iż przerwać mogą

sen zbawienny chłopca, i zaprowadził je do przybocznego pokoju.

— Przypuśćmy nawet, że i on już jest zepsuty, — ciągnęła daléj Rózia, — proszę o tém pamiętać, jak jest młodym; proszę o tém pamiętać, że on nigdy może jeszcze przywiązania i miłości matki nie zaznał, że nigdy téj roskoszy może nieczuł, którą nam obraz miejsca rodzimego sprawia, i że plagi, głód, nieludzkie obejście go może do tego po długiéj walce zmusiło, by wejść w związki z tymi ludźmi, którzy go do popełnienia téj zbrodni popchnęli. Ach ciociu! najdroższa ciociu, zaklinam cię na miłość Boga, pomnij na to wszystko pierwéj, i rozważ ono dobrze, nim tego słabego chłopczynę do więzienia zawlec pozwolisz, które mu na każdy sposób wszelką sposobność do poprawy odbierze. Ach ciociu! jeżeli mię kochasz, jeżeli wiesz, że ja przy twojéj dobroci i łaskawości nigdy utraty rodziców boleśnie nie uczułam, ale tego uczucia jednak doznać i podobnie jak i ten chłopczyna, bez wszelkiéj opieki i pomocy w świecie błąkać się mogłam, ulituj się więc nad nim, nim pora pomyślna przeminie.

— Moje drogie życie! — odpowiedziała staruszka, przycisnąwszy płaczącą dziewczynę do piersi; — czyliż sądzisz, abym mu najmniejszy włosek z głowy zerwać pozwoliła?

— Ja wiem, że nie! — odparła Rózia z pośpiechem; — ty ciociu, niemasz na to serca!

— To prawda, — odpowiedziała staruszka, drżącym głosem; — moje życie już na schyłku, a ja Boga jedynie błagam, aby tyle miłorierdzia miał nademną,

ile ja drugim wyświadczyć jestem gotowa. Cóż mam uczynić, aby go wybawić, panie doktorze?

— Proszę mi pozwolić chwilkę nad tém pomyśleć, droga pani, — odpowiedział lekarz.

Pan Losberne powsadzał ręce do kieszeni, i kilka razy się przeszedł głęboko zamyślony po pokoju, zatrzymując się czasami, chwiejąc na palcach i marszcząc brwi i czoło okropnie.

Po wielu wykrzyknięciach: „już mam! już mam!“ potém znowu: „nie, niemam!“ za kilkakrotném ponowieniem chodu i marszczenia brwi i czoła, lekarz nakoniec się zatrzymał i następnie odezwał:

— Mnie się zdaje, że tego chłopca będę mógł uratować, jeżeli mi pani dasz pozwolenie i pełnomocnictwo nieograniczone zastraszenia cokolwiek poczciwego pana Giles, i tego młodego chłopaka Brittles. Jest to człowiek poczciwy, sługa wierny, przywiązany, wiem o tém;.... ale pani masz tysiące sposobów inną drogą to mu wynagrodzić, i przytém go jeszcze za to udarować, iż taki strzelec dobry z niego. Cóż, czy zgoda?

— Jeżeli żadnego innego środka niema do wybawienia tego dziecka, — odpowiedziała pani Maylie.

— Niema, pani, niema! — odpowiedział lekarz. — Daję na to moje słowo.

— A zatém ciocia panu wszelkie pełnomocnictwo daje, — rzekła Rózia, uśmiechając się śród łez; — proszę jednak, abyś się z tymi biednymi ludźmi surowiéj nie obszedł, jak tego potrzeba konieczna wymaga.

— Jak się mi zdaje, to pani sądzisz, — odparł lekarz, — że nikt w świecie tkliwego serca nieposiada, tylko ty sama. Jabym sobie tylko życzył dla dobra i

zbawienia całego wzrastającego pokolenia męzkiego, aby pierwszy młodzieniec, do wyboru zdolny, panią w takiém samém łaskawém i litościwém usposobieniu serca znalazł, jeżeli się o wzajemność do niego udać zamierzy;.... i życzyłbym sobie wtedy, abym mógł sam być tym młodzieńcem, nieomieszkałbym bowiem z tak pomyślnéj sposobności do pozyskania tak wielkiego szczęścia natychmiast korzystać.

— Z pana to samo takie wielkie dziecko, jak i biedny Brittles, — odpowiedziała Rózia, zapłoniwszy się aż po uszy.

— Nie wielka to zbrodnia! — odparł lekarz, śmiejąc się serdecznie. — Wracając jednak do tego chłopca, główny warunek naszéj ugody dopiero nastąpi. On się za godzinę lub dwie najdaléj obudzi, a lubo temu twardogłowemu sądowemu woźnemu na dole powiedziałem, że go nie można ruszać, ani z nim mówić, nie chcąc go na niebezpieczeństwo życia narazić, jestem tego przekonania, że my bezpiecznie z nim pomówić możemy. Teraz więc następny warunek kładę:....że go w przytomności pań obu badać będę, a jeżli z tego, co nam odpowie, będziemy wnosili, i ja na zaspokojenie sumienia będę w stanie z jego odpowiedzi wykazać, że on jest rzeczywiście na wskróś zepsutym złoczyńcą, co nawet więcéj jak podobném jest do prawdy,.... więc go zostawimy losowi, a ja na wszelki wypadek od wszelkiego obowiązku względem niego uwolnionym zostanę.

— Ach ciociu! nie, nie!... — zawołała Rózia.

— Ach ciociu! tak, tak!... — odparł lekarz. — Cóż, czy zgoda?

— On nie może być już zbrodniarzem zatwardziałym, — odpowiedziała Rózia, — to niepodobna!

— Tém lepiéj! — odparł lekarz, — a pani tém łatwiéj na mój warunek przystać możesz.

Nakoniec ugodę zawarto, a obie strony usiadły, i obudzenia się Oliwera cierpliwie oczekiwały.

Ta niecierpliwość obu pań na większe doświadczenie jednak wystawioną być miała, jak im pan Losberne zaręczył, i one się spodziewały; albowiem godzina za godziną mijała, a Oliwer spał ciągle głęboko.

Już się zmierzchło i wieczór zapadł, nim dobroduszny i poczciwy lekarz z tą wiadomością do nich przybył, że chłopczyna już tak dalece do siebie przyszedł, iż mówić może, a lubo jest bardzo chory i znaczną utratą krwi nadzwyczajnie osłabiony, z taką jednak szczerością im coś odkryć pragnie, że on woli raczéj na to zezwolić, i sposobność pomyślną do tego mu nastręczyć, jak przy tém obstawać, ażeby aż do jutra rana spokojnie leżał, coby pod innemi okolicznościami z pewnością był uczynił.

Rozmowa bardzo długo trwała, gdyż im Oliwer wszystkie przygody swego krótkiego jeszcze życia opowiedział, i często był zmuszony, dla braku sił i dotkliwych boleści, opowiadanie swoje na czas niejaki przerywać.

Był to rzeczywiście widok szczególny, uroczysty: ten chłopiec słaby, chorobą złożony, opowiadający w tym pokoju przyćmionym głosem cichym, wątłym, cały szereg długi nieszczęść i cierpień, które ludzie źli, nielitościwi, na niego sprowadzili.

O! gdybyśmy dręcząc i ciemiężąc naszych bliźnich,

choćby na chwilkę na te smutne świadectwa ludzkich błędów pamiętali, które niby gęste i czarne chmury powoli wprawdzie, ale pomimo to nieodzownie ku niebu się wznoszą, aby zemstę Boga na głowy nasze zwołać, — gdybyśmy na chwilkę przynajmniéj w myśli, wyobraźni, te głosy ponure zmarłych ludzi słyszeli, które, będąc skargą na nas, żadną władzą wytępione, żadną dumą stłumione być nie mogą, któżby się wtedy ważył krzywdę i niesłuszność pełnić, nędze, cierpienia, okrócieństwa na głowy bliźniego zlewać, jak się to codziennie na całym świecie dzieje.

Téj nocy ręka kobieca łoże Oliwerowi usłała, a powabność, wdzięk i cnota nad nim czuwała, i snu jego strzegła. Biedny chłopczyna czuł się spokojnym i szczęśliwym, a gdyby mu teraz umrzeć było wypadło, byłby umarł bez szemrania.

Zaledwie tę rozmowę ważną ukończono, a Oliwer snem zdjęty oczy mrużyć zaczął, lekarz, otarłszy sobie oczy, wyrzekając na nie, że już tak słabe, udał się natychmiast do pokojów na dole, aby zamysł swój uskutecznić.

Nieznalazłszy jednak pana Giles w przedpokoju, rzecz całą jeszcze lepiéj sobie rozważył, i w końcu do tego przekonania przyszedł, iż to się w kuchni jeszcze skuteczniéj da urzeczywistnić; udał się przeto niezwłocznie do kuchni.

Tutaj, w téj izbie niższéj parlamentu sług domowych siedziały zgromadzone wszystkie służące, pan Brittles, pan Giles, dróciarz, — którego ze względu na usługi téj nocy koło bezpieczeństwa domu położone,

uroczyście na pamiątkę tego dnia na ucztę zaproszono, — i sługa sądowy.

Ten Jegomość ostatni miał wielką laskę, wielką głowę, wielkie usta, wielki nos, wielkie uszy i wielkie półbuciki na nogach, i wyglądał tak, jakoby także odpowiednią ilość piwa w siebie był wlał, co się też i rzeczywiście stało.

Wydarzenia, które zeszłéj nocy zaszły, były przedmiotem bardzo żywéj rozmowy, a Giles wykładał właśnie obszernie i dobitnie swoję bystrość i przytomność niezrównaną umysłu, kiedy lekarz w kuchni się pojawił. Brittles zaś, trzymając kubek z piwem w ręku, wszystko z góry już zatwierdzał, nim przełożony jego ono jeszcze wyrzekł.

— Siedźcie spokojnie na miejscu, — rzekł lekarz, skinąwszy ręką.

— Dziękuję panu, — odpowiedział Giles. — Panie mi nakazały ludzi piwem poczęstować, a że niemiałem wielkiéj chęci do samotności w moim własnym pokoju i za towarzystwem pragnąłem, zeszedłem tedy na dół, aby wraz z nimi część moję wypić.

Brittles coś niezrozumiałego pod nosem bąknął, przez co jednak chciał wyrazić, iż całe towarzystwo wielką wdzięczność panu Giles winno, i jego łaskawą obecność za zaszczyt sobie poczytuje; a pan Giles z nadzwyczajną powagą na wszystkich spoglądał, chcąc ich niby zapewnić, iż tak długo tego zaszczytu używać mogą, dopokąd się skromnie i przyzwoicie sprawować będą.

— Jakżeż się chory ma wieczór? — zapytał Giles.

— Jako-tako! — odpowiedział lekarz. — Ale ja

się lękam, panie Giles, czyliś jakiego głupstwa niepopełnił.

— Spodziewam się przecież, — rzekł Giles, drżąc na całém ciele, — że pan niechcesz przez to powiedzieć, iż umrzeć musi? Jeżeliby to nastąpić miało, tobym nigdy więcéj w mojém życiu nie mógł być wesołym i szczęśliwym. Jabym żadnego dziecka zabić niechciał,....nawet,....nawet i....i naszego Brittles oto nie! ....za żadne bogactwa w świecie!

— Tutaj nie o to chodzi! — odparł lekarz tajemniczo; — panie Giles, odpowiedz mi szczerze, czy jesteś prawowiernym protestantem?

— Tak jest, panie; przynajmniéj tak mi się zdaje. Wyjąkał Giles przerażony, zbladły jak chusta.

— A czémże ty jesteś, chłopcze?

Zapytał lekarz biednego Brittles z kolei, zwróciwszy się nagle do niego.

— Boże, zmiłuj się nademną! — odpowiedział Brittles, wzdrygnąwszy się cały przelękniony. — Ja jestem tém samém, co i pan Giles!

— Powiedzcież mi więc obaj, — rzekł lekarz uroczyście, — tak jest, obaj:..czy jesteście gotowi szczerą przysięgę przed sądem złożyć, że ten chłopiec na górze jest tym samym chłopcem małym, którego téj nocy przez owe okienko małe do sieni wsunięto? Smiało! otwórzcież raz gębę i powiedźcie: jesteśmy gotowi!

Lekarz, który powszechnie w całéj okolicy jako człowiek serca najdobrotliwszego na ziemi był znany, zadał im to pytanie z takim wyrazem okropnego gniewu w głosie, że Giles i Brittles, którzy już znaczną

ilość piwa w siebie wlali, przerażeni, z osłupieniem na siebie spoglądali.

— Proszę dobrze na ich odpowiedź zważać.

Rzekł wtedy lekarz, skinąwszy palcem z wielką uroczystością na woźnego sądowego, chcąc niby przez to napomnienie całą bystrość umysłową tego człowieka obudzić.

— Na tém wiele późniéj zależeć będzie.

Sługa sądowy zebrał wszystkie swoje władze umysłowe, przybrał minę jak tylko mógł najmądrzejszą, i wziął do ręki swoję laskę urzędową, która dotąd nieczynnie w kącie spoczywała.

— Chodzi tu jedynie o ustalenie tego wypadku, czyli obaj chłopcy są jedną i tą samą osobą, lub nie, — rzekł lekarz.

— Tak jest!....Nieinaczéj!

Odpowiedział sługa sądowy z mocnym kaszlem, gdyż piwo swoje szybko skończył, i parę kropli mu do krztani wlecić musiało.

— Rozbójnicy napadają na dom w nocy, — ciągnął lekarz, — a kilku ludzi spostrzega niejasno chłopca śród ciemności, dymu, wrzawy i hałasu. Nazajutrz rano chłopczyna do tego samego domu przychodzi, a owi ludzie chwytają go natychmiast dla tego, że ma przypadkiem rękę obwiązaną, — przez co go nawet bardzo łatwo o śmierć przyprawić mogli, — i chcą potém przysięgnąć, że ten chłopiec jest chłopcem owych rozbojników. Teraz zachodzi pytanie, czyli wyznanie tych ludzi jest prawdziwe? a jeżeli nie, co ich za to czeka? jaką karę przez to na siebie ściągnąć mogą?

Sługa sądowy poważnie głową pokiwał i rzekł, iż

jeżli to nie jest prawem najsłuszniejszém, to on rzeczywiście nic wie, co jest prawo?

— Pytam się was raz jeszcze, — zagrzmiał lekarz; — czyli jesteście gotowi uroczystą przysięgą wyznanie wasze zatwierdzić, że to jest ten sam chłopczyna?

Brittles spojrzał trwożliwie na pana Giles, a Giles trwożliwie na pana Brittles; sługa sądowy założył rękę za ucho, aby odpowiedź lepiéj usłyszeć,......dróciarz i służące naprzód się pochylili, aby odpowiedź dosłyszeć,..... a lekarz śmiało na wszystkich spoglądał;..... w tém dał się słyszeć dzwonek u bramy od ogrodu, i téjże saméj chwili turkot powozu.

— To oni!

Zawołał Brittes z sercem o wiele ulżonym.

— Jacy oni?

Zawołał lekarz, zbladłszy nagle z kolei.

— Urzędnicy policyjni z Londynu, — odpowiedział Brittles, biorąc za świecę; — ja i pan Giles posłaliśmy tego rana jeszcze po nich.

— Co? — wrzasnął lekarz.

— Tak jest, panie! — odpowiedział Brittles; — posłałem uwiadomienie przez pocztyliona i dziwiłem się tylko, że już dawniéj nie przybyli.

— Czy tak?....czy tak?....a więc niechże was piorun trzaśnie z waszemi....powolnemi pocztami! — zawołał lekarz i odszedł.

ROZDZIAŁ III.

Zawiera położenie niebezpieczne.

— Kto tam jest?

Zawołał Brittes, uchylając drzwi cokolwiek tylko, i wyglądając przez nie, zasłoniwszy sobie poprzód ręką świecę.

— Otwórzcie drzwi! — zawołano z zewnątrz; — urzędnicy policyjni z Londynu, po których dziś rano posłano.

Brittles, tém zapewnieniem mocno ucieszony, otworzył natychmiast drzwi na oścież i spostrzegł przed sobą człowieka okazałego w tołubie, który wszedł do sieni nie rzekłszy ani słowa więcéj do niego, i buty sobie o słomiankę na ziemi obtarł z taką obojętnością, jakby do domu należał.

— Proszę cię, mój młody człowieku, każ wysłać kogo, aby konia od mego towarzysza odebrał, — ozwał się urzędnik. — Siedzi w Gigu. Czy niemacie tutaj wozowni, ażeby gig na krótki czas do niéj wstawić?

Brittles mu odpowiedział, że jest wozownia i wskazał przytém na przyległy budynek. Urzędnik wrócił się przeto natychmiast do drzwiczek ogrodowych, i pomógł swemu towarzyszowi gig do wozowni wstawić, a Brittles im przez ten cały czas z największém podziwieniem przyświecał.

Gdy to wszystko do porządku przyprowadzili, wrócili razem do domu, a wszedłszy do przedpokoju im wskazanego, zdjęli z siebie tołuby, kapelusze, i okazali się takimi, jak w istocie wyglądali.

Mężczyzna, który do drzwi pukał, był silny, barczysty, średniego wzrostu, lat pięćdziesiąt blizko mający, z włosem krótko przystrzyżonym, czarnym, połyskującym, faworytami do połowy twarzy zachodzącemi, twarzą okrągłą, i oczyma bystremi, przenikliwemi. Jego towarzysz zaś był rudy, kościsty, w butach palonych, wysokich, z obliczem zaniedbaném, zarosłém, nosem zadartém, pozorem nieprzyjemném.

— Powiedz twojemu panu, że Blather i Duff z Londynu przybyli, czy słyszysz? — rzekł nakoniec starszy z obu nowoprzybyłych, gładząc sobie włosy, i kładąc parę kajdan na stole. — A! dobry wieczór, panu! Czy nie mógłbym pierwéj słów kilka na osobności z panem pomówić!

Ta odezwa zwrócona była do pana Losberne, który właśnie wszedł do przedpokoju. Lekarz kazał natychmiast służącemu się oddalić, wprowadził obie panie, i zamknął drzwi za sobą.

— Oto jest pani tego domu, — rzekł Losberne, wskazując na pani Maylie.

Pan Blather się skłonił, a gdy go zaproszono, aby

usiąść raczył, kapelusz na ziemi położył i przysunąwszy sobie krzesło, wezwał swego towarzysza Duffa, aby to samo co i on uczynił.

Pan Duff, który się do wyższego towarzystwa przyzwyczajonym być nie zdawał, a przynajmniéj nie bardzo się czuł swobodnym, jeżeli mu się w nim znajdować wypadło, usiadł nakoniec po wielu najrozmaitszych wykrzywieniach członkami, wsadził laskę do gęby, i siedział nieśmiały, pomięszany.

— Pomówmyż więc teraz o tym nocnym rabunku, — ozwał się Blathers. — Jakżeż to się wszystko stało?

Losberne, któremu widocznie wiele na tém zależało, aby jak najwięcéj czasu pozyskać, opowiedział im wszystko z najdrobniejszymi szczegółami jak najszerzéj i najdłużéj, a panowie Blathers i Duff przysłuchiwali się mu przez ten czas z wielką uwagą, i tylko czasami z porozumieniem na siebie okiem rzucili.

— Niemożna jeszcze nic pewnego powiedzieć, — ozwał się nakoniec Blathers, — dopokąd miejscowości niezobaczę;....mnie się jednak zdaje,....lubo nic jeszcze stanowczo w téj mierze oświadczyć niemogę,....że tego napadu zieleniak żaden niepopełnił;.... cóż ty na to Duff, co?

— I ja jestem tego samego zdania, że nie! — odpowiedział Duff.

— Aby zaś te panie nas zrozumieć mogły, trzeba będzie to słowo zieleniak objaśnić. Chcieliście panowie zapewnie przez to powiedzieć, że tego napadu złodzieje zwyczajni ze wsi nie popełnili? — rzekł Losberne z uśmiechem.

— Nieinaczéj mój panie! — odpowiedział Blathers.

— Czy to już wszystko, co się tego napadu nocnego dotycze?

— Wszystko! — odrzekł lekarz.

— Cóż to jest z owym chłopcem, którego słudzy rano schwytać mieli? — spytał Blathers.

— Nic, — odpowiedział lekarz. — Jeden ze sług przestraszonych tego domu coś sobie w głowie ubrdał, że ten chłopiec miał mieć udział w tym nocnym rozboju; ....ale to jest czyste szaleństwo i nic więcéj!

— Toby jednak łatwo być mogło,.... — zauważył Duff nieśmiało.

— Jego uwaga bardzo sprawiedliwa, — potwierdził Blathers, kiwnąwszy głową na znak swéj zgodności z jego zdaniem, i zaczął się bawić kajdanami, jakby to w istocie pare kastaniet było. — Gdzie jest ten chłopiec? Cóż on sam o sobie powiada? Zkądże tutaj przybył? Przecież z nieba niespadł jak się spodziewam?

— Zapewnie że nie! — odpowiedział lekarz, rzuciwszy spojrzenie szybkie na obie panie przytomne. — Znam jego całe życie;...ale o tém późniéj pomówiemy. Zdaje się mi, iż najprzód zechcecie panowie z pewnością zwiedzić to miejsce, przez które się złodzieje do domu wkraść chcieli, nieprawda?

— Nieinaczéj! — odpowiedział Blathers. — Najlepiéj będzie jeżeli miejscowość i okoliczności wszystkie najprzód zbadamy, a potém dopiero do śledztwa ze sługami się zabierzemy. Jest to przynajmniej droga zwyczajna w podobnych wypadkach.

Przyniesiono zatém kilka świec, a panowie Blathers i Duff w towarzystwie miejscowego urzędnika sądowego z Chertsey, potém Brittles, Giles, słowem wszyscy

przytomni udali się natychmiast do owéj małéj komórki na samym końcu sieni, i wyjrzeli przez okienko; potém wyszli na podwórze, obeszli dom w około, i wejrzeli przez okienko do komórki, a potém wzięli świecę, aby nią okno i okienicę dokładnie obejrzeć, a potém latarnię, aby się nią śladom stóp na ziemi dokładnie przypatrzeć, a potém widły, aby nimi krzaki przetrząść.

Gdy to wszystko śród największéj uwagi wszystkich przytomnych uskuteczniono, wszyscy weszli na powrót do domu, a panowie Giles i Brittles musieli dać opis melodramatyczny swych wszystkich przygód zeszłéj nocy, co też przynajmniéj sześć razy uczynili, sprzeciwiając się pierwszego razu w jednéj tylko ważnéj rzeczy jeden drugiemu w wyznaniach swoich, a za szóstym przynajmniéj w dwunastu.

Gdy się nakoniec i to skończyło, Blathers i Duff wyszli z pokoju, i mieli z sobą długą naradą, w porównaniu z którą co do uroczystości i tajemniczości, narada największych nawet lekarzy względem najważniejszego nawet pytania w medycynie, jest czystém dziecińtwem, bzdurstwem.

Kiedy się to działo, lekarz się tymczasem w pokoju pobocznym największą niespokojnością miotany przechodził, a pani Maylie i Rózia z trwogą na niego spoglądały.

— Słowo daję, niech mię piorun trzaśnie, — rzekł nakoniec, zatrzymawszy się na chwilę, — jeżeli ja wiem co teraz począć?

— Mnie się zdaje, — ozwała się Rózia, — iż najlepiéj będzie bieg życia Oliwera szczerze i otwarcie tym ludziom opowiedzieć, a to go najpewniéj uniewinni.

— Ja zaś wątpię, moja droga panno! — odpowiedział lekarz, wstrząsnąwszy głową. — Ja nie myślę wcale, aby go to tak przed tymi, jako i przed wyższymi jeszcze sądowymi urzędnikami usprawiedliwić miało. Gdyż mówiąc szczerze: któż on jest?....oni na to powiedzą: zbieg,....włóczęga!....Jeżeli powieść jego według wszelkich względów i wątpliwości świata na rozwagę weźniemy i sądzić będziemy, to szczerze wyznać muszę, iż w oczach takich ludzi bardzo podejrzaną się wyda.

— Spodziewam się jednak, iż pan jéj przecież zawierzasz? — zarzuciła Rózia popędliwie.

— Co do mnie, to święcie wierzę, jakkolwiek jest bardzo dziwną, a ja starym szaleńcem, — odpowiedział lekarz; — ale ja jednakowo nie sądzę, aby dla ucha urzędnika policyjnego zdatną była.

— Dla czego nie? — spytała Rózia.

— Dla tego, mój ładny badaczu, — odpowiedział lekarz, — dla tego, że patrząc się na nią ich oczyma, jest w niéj wiele brzydkich kawałków! on tylko to dowieść może, co jest w niéj najbrzydszego, ale nie to, co w niéj jest pięknego, szlachetnego, a ci ludzie upatrują zawsze we wszystkiém głównie to co? i dla czego? i nic a nic nie przyjmują, co nie jest dowiedzione. Z jego własnego wyznania pokazuje się, iż przez czas niejaki ze złodziejami był w styczności;....jednego razu go nawet do urzędu policyjnego zawleczono, obciążonego tém oskarżeniem, że chustkę jakiemuś nieznajomemu Jegomości z kieszeni ukradł; a z domu tego Jegomości został przemocą uwiedziony i zawleczony w miejsce, którego nam opisać nie jest w stanie, i najmniejszego

nawet wyobrażenia o jego położeniu niema. Do Chertsey zaprowadzili go ludzie, którzy szczególniejsze przywiązanie do niego mieć się zdają, wbrew jego woli nawet, i wsuwają go przez małe okienko do domu, któren obrabować zamierzają, i właśnie wtedy, kiedy on mieszkańców pobudzić zamyśla, i jedyną rzecz uczynić, która by go w oczach wszystkich usprawiedliwić mogła, ten niezgrabny, nieokrzesany, niedorzeczny Giles wpada i strzela do niego, jakoby mu naumyślnie chciał przeszkodzić coś dla siebie dobrego uczynić. Czyliż tego wszystkiego panie nie pojmujecie?

— Pojmuję ja dobrze to wszystko, — odpowiedziała Rózia, uśmiechając się z popędliwości lekarza, — ale ja w tém jeszcze nic takiego niewidzę, coby tego biednego chłopczynę zbrodniarzem robić miało.

— O ja wiem, że nie, — odpowiedział lekarz; — wiem! wiem! Bogdaj oczy jasne twojéj płci panno Różo nieba błogosławiły! One zawsze tylko jedną stronę każdéj rzeczy widzą, czy to złą czy dobrą, a tą jest niezmiennie ta, która się im najsamprzód przedstawi.

Lekarz, objawiwszy tym sposebem wypadek swego długiego doświadczenia w życiu, wsadził ręce do kieszeni, i zaczął się po pokoju z daleko większą szybkością jak poprzód przechadzać.

— Czém bardziéj nad tém rozmyślam, — rzekł nakoniec, — tém się bardziéj przekonuję, żeby to się przyczyną nadzwyczajnych trudności i nieprzyjemności stać mogło, gdybyśmy tych ludzi z prawdziwym biegiem życia Oliwera obznajomić chcieli. Jestem pewien, że oni ani słowa nieuwierzą; a nakoniec, gdyby nawet nic złego dla chłopca z tego wynikło, już samo rozpo-

wszechnienie téjże, i wytknięcie tych wszystkich miejsc ciemnych i wątpliwych, które się w niéj znajdują, mogłoby przeszkodzić twemu dobrotliwemu zamiarowi, droga pani Maylie, wybawienia chłopca z téj nędzy.

— Cóż więc poczniemy? — zawołała Rózia w rozpaczy. — Wielki Boże! dla czego po tych ludzi posełali?

— To prawda, dla czego? — potwierdziła pani Maylie; — jabym ich za żadne pieniądze niebyła przywołać kazała.

— Ja o tém wszystkiém wiem bardzo dobrze, — odparł Losberne nakoniec, siadając z pewną rozpaczliwą spokojnością; — musimy jednak wszystko cierpliwie znieść i śmiało i odważnie zamysł rozpoczęty do skutku przywieść....oto rzecz cała. Cel jest dobry, a zatém i skutki usprawiedliwić musi. Chłopiec wpadł właśnie w gorączkę, niemożna z nim przeto wiele rozmawiać; to jest jedna pociecha. Musimy z téj okoliczności tyle korzystać, ile się da;..a jeźli, to co w sobie jest złe, teraz dla nas jest najlepsze, nie nasza w tém wina... Proszę bliżéj!

— To jest rzecz dowiedziona, mój panie, — rzekł Blathers, gdy w towarzystwie zacnego pana Duff wszedł do pokoju, zamknąwszy pierwéj drzwi za sobą nim przemówił, — że to niebyło złodziejstwo zmówione.

— A cóż to jest, złodziejstwo zmówione? — zapytał lekarz z niecierpliwością.

— Złodziejstwem lub rabunkiem zmówionym, nazywamy to, łaskawa pani, — rzekł Blathers, obróciwszy się do niéj, jakby się nad niewiadomością jéj lito-

wał, ale niewiadomością lekarza pogardzał, — jeżeli słudzy domowi ze złodziejami są w zmowie.

— Tutaj ich nikt o to nie posądza! — odparła pani Maylie.

— To prawda że nie, łaskawa pani, — odpowiedział Blathers, — ale oni pomimo to jednak w zmowie z nimi być mogli.

— Co by niebyło rzeczą niepodobną, — potwierdził Duff.

— To jest ręką złodziei z miasta zdziałane, według naszego zdania, — ciągnął Blathers, zdając sprawę ze swych poszukiwań, — gdyż wszystko po mistrzowsku ułożone.

— W istocie, bardzo ładnie, — potwierdził Duff pokornie.

— Do tego dwóch należało, — mówił daléj Blathers, — i chłopca małego mieli z sobą; o tém się natychmiast z wielkości okna przekonać można. Na teraz nic więcéj powiedzieć niemożemy. Życzylibyśmy sobie teraz tego chłopczynę widzieć, który się na górze znajduje.

— A możeby się ci panowie cokolwiek czego napili, pani Maylie?

Rzekł lekarz, a twarz jego się natychmiast wypogodziła, gdy mu ta myśl do głowy przyszła.

— Ach, to prawda! — zawołała Rózia śpiesznie. — Natychmiast wszystkiego przynieść każę.

— Dziękujemy, łaskawa panno! — odpowiedział Blathers, otarłszy usta rękawem; — podobne zatrudnienia są bardzo suche. Proszę sobie jednak dla nas wiele

zachodu nierobić;....co panna ma najbliżéj pod ręką, my wszystko przyjmiemy.

— Cóż sobie panowie życzycie?

Zapytał lekarz, idąc za młodą dziewczyną do szafy.

— Trochę wódeczki, drogi panie, jeżeli to państwu wszystko jedno, — odpowiedział Blathers. — Z Londynu aż dotąd spory kawał drogi, przy tym zimnie jeszcze, łaskawa pani, a ja to doświadczenie zrobiłem, iż wódka najlepiéj grzeje.

Pan Blathers zwrócił się do pani Maylie z tém zwierzeniem, która z największą uprzejmością ono przyjęła. Podczas kiedy się ten urzędnik z uwagą swoją do niéj obrócił, lekarz się tymczasem z pokoju wymknął.

— A!....

Zawołał Blathers, który kieliszka za spód nie uchwycił, lecz pomiędzy dwa palce swéj ręki lewéj go ujął, i równo z piersią przed sobą trzymał.

— Już ja w mojém życiu wiele podobnych wypadków widziałem, moje panie.

— Naprzykład ów napad nocny w Edmonton, czy sobie przypominasz, co? — wtrącił Duff, chcąc przyjść w pomoc pamięci swego towarzysza.

— To było właśnie coś podobnego, nieprawda? — odrzekł Blathers; — a sprawcą tego był Conkey Chickweed, jestem najświęciéj przekonany.

— Ty zawsze tylko jego masz na myśli! — odparł Duff. — Ja zaś utrzymuję że to była rodzina Pet, a Conkey ani na włos do tego nie należał.

— Ale gdzież tam, ja wiem o tém bardzo dobrze, — odpowiedział Blathers. — Czy sobie to zdarzenie przypominasz, kiedy Conkey sobie samemu skradł pie-

niądze? Jaki to był wszędzie hałas! większy jeszcze jak za jaką książką nową.

— Cóż to było?

Zapytała Rózia, która się jak najtroskliwiéj swych gości niepożądanych przy wesołości utrzymać starała.

— Było to złodziejstwo, łaskawa panno, jakiego z pewnością nikt więcéj nie wymyśli, — odpowiedział Blathers. — Ten Conkey Chickweed....

— Conkey z perkatym nosem zwany, łaskawa pani, — wtrącił Duff. —

— Wszak panie o tém zapewnie wiedzą, nieprawda? — zapytał Blathers. — Zawsze mi tylko niepotrzebnie przerywać musisz,..otóż ten Conkey Chickweed, łaskawa panno, trzymał dom gospodni przy drodze do Battlebridge, i miał przytém piwnicę, do któréj wiele młodych ludzi się schodziło na bitwy kogutów, boksowanie i tym podobne zabawy, a wyznać potrzeba, iż to wszystko doskonale i ładnie się odbywało, gdyż ja sam nieraz tam byłem. Wtedy jeszcze nienależał do ich towarzystwa; pewnéj nocy jednak skradziono mu trzystadwadzieścia siedm gwinej, zaszytych we worku płóciennym, ...i to śród nocy, z jego sypialni;......jakiś nieznajomy z czarnym plastrem na oku miał to złodziejstwo popełnić, który się najprzód z wieczora pod jego łóżkiem ukrył, a potém, zabrawszy pieniądze, przez okno niebardzo wysokie, bo tylko z pierwszego piątra, wyskoczył. On się wprawdzie dość żywo z tém zwinął, ale i Conkey niebył leniwy,....gdyż na ten hałas się obudził, z łóżka zerwał, z pistoletu nabitego za nim wystrzelił, i całe sąsiedztwo przez to pobudził. Ludzie wszyscy natychmiast za złodziejem krzyczeć zaczęli, a gdy się

zeszli, aby sobie miejsce obejrzeć, spostrzegli, że Conkey złodzieja ugodzić musiał, gdyż znaleźli ślady krwi, które się aż do jednego płotu dość odległego ciągnęły, przy którym dopiero zniknęły. Złodziéj tymczasem ze swoją zdobyczą umknął, a w skutek tego wypadku imie pana Chickweed zostało za pozwoleniem sądowém pomiędzy innemi bankructwami w dziennikach umieszczone. Robiono różne składki, loteryje i Bóg wie co jeszcze wszystko, aby tego biednego człowieka wspomódz, który nad tą stratą swoją okropnie ubolewając, w wielkim smutku się znajdował, przez kilka dni w największéj rozpaczy po ulicach biegał z głową najeżoną, oczyma błędnemi, tak że wielu bardzo sądziło, iż on albo oszaleje, albo też sobie w łeb wypali. Jednego dnia wpada nagle do policyjnego urzędu zadyszany, i żąda pomówić z przełożonym na osobności; po niejakim czasie nasz przełożony dzwoni, każe przywołać do siebie pana Jem Speyers — Jem był to urzędnik w służbie, — i nakazuje mu pójść z panem Chickweed do niego do domu i pomóc mu w schwytaniu tego człowieka, który go okradł.... „Ja go widziałem panie Spyers,“ rzekł Chickweed do niego, „przedwczoraj rano przeszedł koło mego domu.“ — „Dla czegóżeś z domu niewypadł i za kołnierz go niechwycił?“ zapytał Sypers. — „Takem na jego widok zgłupiał i przytomność stracił, żeby mię dziecko było na ziemię powaliło,“ — odpowiedział ten biedny człowiek, „ale ja jestem pewien, że go schwycimy, gdyż on téj nocy pomiędzy dziesiątą i jedenastą znowu przeszedł.“ Zaledwie Spyers to usłyszał, zabrał natychmiast z sobą parę sztuk potrzebnéj bielizny białéj i grzebień, na przypadek gdy-

by mu parę dni na złodzieja czekać wypadało, udał się do mieszkania pana Chickweed i usiadł sobie pod oknem po za małą czerwoną zasłoną, z kapeluszem na głowie, gotów zaraz z domu wyskoczyć, gdyby tego potrzeba wypadła. Już było raz późno w nocy, Spyers sobie wygodnie przy oknie siedział i spokojnie fajkę palił, wtém Chickweed nagle z pokoju wypada, wrzeszcząc na całe gardło; — ,,Oto jest! oto jest! Łapajcie złodzieja! zbójcę!" [Jem Spyers wypada także za nim, i widzi pana Chickweed biegnącego pędem ulicą z okropnym wrzaskiem. Spyers daléj za nimi,....niespuszcza go z oka, lud cały krzyczy także: ,,Łapajcie złodzieja," i goni z nimi tłumem...... Chickweed goni i goni krzycząc ciągle na całe gardło. Nakoniec zwracając się koło rogu ulicy, Spyers go traci z oczu na chwilkę,.... .spostrzega potém grono małe zgromadzonego ludu,....przypada do niego....i pyta: ,,Gdzież jest złodziéj?" — ,,Niech mię piorun trzaśnie," odpowiada Chickweed, ,,znowum go gdzieś zgubił!"

Było to rzeczą wprawdzie bardzo dziwną, ale że złodzieja nigdzie widać nie było, wrócili tedy napowrót do domu gospodniego, a nazajutrz rano Spyers zajął powtórnie swoje dawne miejsce pod oknem, i wyglądał przez nie z po za zasłony za człowiekiem wysokim, z plastrem czarnym na oku, aż go nakoniec samego oczy zbolały. Niepodobna jednak było, aby je ciągle mógł był mieć otwarte i ani na chwilkę je nie zmrużyć,.... lecz zaledwie to uczynił, Chickweed natychmiast wrzasnął: ,, Oto jest! oto jest!" Obaj do razu z gospody wypadli, a Chickweed ulicą jak strzała pogonił, krzycząc i wrzeszcząc ciągle, a kiedy drugie tyle ubiegli,

jak dnia wczorajszego, złodziej im tak samo jak wczoraj umknął. To się jeszcze kilka razy stało, tak, że w końcu sąsiedzi jego rzekli, iż Chickweeda z pewnością djabeł sam okraść musiał, który go potém zwodzi, a drudzy przeciwnie, że biedny Chikweed pomięszania zmysłów dostać musiał.

— A Jem Spyers cóż na to mówił?

Zapytał lekarz, który wkrótce po rozpoczęciu téj powieści do pokoju wrócił.

— Jem Spyers, — odpowiedział Blathers, — przez długi czas nic nie mówił, i baczne oko na wszystko dawał, nie pokazując tego po sobie. Dowód najlepszy, iż swoję rzecz bardzo dobrze rozumiał. Jednego rana jednak zbliżył się do kantora biednego Chickweeda, dobył swéj tabakierki z kieszeni i rzekł: „panie Chickweed! ja tego już mam, kto ci pieniądze z domu wykradł.“ — „Macie go już?“ zawołał Chickweed; „ach drogi, najdroższy panie Spyers, niech tylko na nim się pomścić mogę, a umrę szczęśliwy. Ach drogi panie Spyers, gdzie, gdzie jest ten złoczyńca?“ — „Wiecie co panie Chickweed?“ — rzekł wtedy Spyers, podając mu tabakę, „porzućcie te żarty! wyście to samo uczynili!“ A to było rzeczywiście prawdą; on zaś sobie za tę sztuczkę nie mało pieniędzy zebrał, i nikt by tego oszukaństwa nie był odkrył, gdyby nie był tak troskliwie pozoru chciał zachować;.... to jest rzecz cała! — Zakończył pan Blathers, wychyliwszy kieliszek i zabrząknąwszy w okowy.

— W istocie, wydarzenie bardzo zajmujące, — rzekł lekarz. — A teraz moi panowie, jeżeli się wam podoba, możecie iść na górę.

— Jeżeli się *panu* podoba,..... więc natychmiast idziemy.

Odparł Blathers, i wyszedł ze swoim towarzyszem tuż za panem Losberne, który obu urzędników policyjnych do izby, w którćj Oliwer chory leżał, zaprowadził.

Giles szedł z świecą przed nimi.

Oliwer się wprawdzie przespał cokolwiek, gorączka jednak bardzićj się wzmogła, a on słabszy wyglądał jak poprzód. Za pomocą lekarza usiadł wprawdzie na kilka chwil w łóżku, lecz na wszystko co się koło niego działo, i na te obce twarze, które się do niego zbliżyły, okiem błędném spoglądał, nie mogąc sobie nawet przypomnieć, gdzie się znajdował, i co się z nim działo.

—Oto jest ten chłopczyna, — ozwał się pan Losberne, głosem wprawdzie cichym, który jednak wewnętrzne wzburzenie jego zdradzał. — Oto jest ten chłopczyna, który się przypadkiem zranił, igrając i bawiąc nabitym pistotetem na otwartém polu, tuż za ogrodem tego domu; dzisiaj rano tutaj się przywlókł, aby o pomoc prosić, i natychmiast został schwytany, i męczony przez tego przebiegłego jegomości oto z świecą w ręku, który jego życie przez to na największe niebezpieczeństwo naraził, jak to każdego czasu urzędownie poświadczyć mogę.

Panowie Blathers i Duff spojrzeli na pana Giles, gdy go w ten sposób ich uwadze polecono, a ten piwniczny wylękniony z nadzwyczajném i zabawném przerażeniem i trwogą to na Oliwera, to na pana Losberne spoglądał.

— Spodziewam się, iż się tego przecież wyprzeć nie myślisz? —

Rzekł lekarz do niego, położywszy Oliwera zwolna na łóżku, którego dotąd podpierał.

— Ja to wszystko w najlepszéj myśli uczyniłem,— odpowiedział Giles. — Mnie się zdawało, że to jest ten sam chłopczyna, inaczéj bym się był do tego wcale nie mięszał. Ja nie jestem człowiekiem nieludzkim, panie! —

— Jaki chłopczyna, jaki? — zapytał urzędnik starszy.

— Ten sam chłopiec, którego złodzieje w nocy mieli,— odpowiedział Giles. — Oni mieli z pewnością chłopca ze sobą.

— Czy go i teraz jeszcze trzymasz za niego? — zapytał Blathers.

— Co pan mówi? —

Zapytał Giles i spojrzał z pomięszaniem na urzędnika. —

— Ja mówię, czy go jeszcze za tego samego chłopca trzymasz, którego złodzieje ze sobą mieli, ... głowo do pozłoty? — odpowiedział Blathters z niecierpliwością.

— Ja nie wiem, ... w istocie, ja nie wiem,— odparł Giles zmięszany; — ja nie myślę, ... ja bym nie mógł na to przysięgnąć.

— *Co* nie myślisz? — zapytał głosem grzmiącym Blathers.

— Ja nie myślę, ... ja nie wiem co myśleć, — odpowiedział biedny Giles. — Ja nie myślę żeby to był ten sam chłopczyna; .... ja wiem nawet z pewnością, że on nim nie jest. Panowie wiecie iż on nim być nie może.

— Czy ten człowiek się może nie upił? — zapytał Blathers lekarza.

— Jaki z ciebie wielki cymbał! —

Rzekł Duff, rzuciwszy na biednego Giles spojrzenie nadzwyczaj pogardliwe.

Pan Losberne zbadał tymczasem podczas téj krótkiéj rozmowy puls chorego; teraz się podniósł z krzesła, na którém dotąd przy łóżku siedział i oświadczył, jeźli panowie urzędnicy jeszcze jakie wątpliwości i podejrzenia względem chłopca mają, ażeby do przyległego pokoju się udali, i tam z drugim świadkiem Brittles się rozmówili, gdyż stan zdrowia chłopczyny dłuższej obecności ich tutaj nie dozwala.

Usłuchawszy natychmiast téj porady, panowie Blathers i Duff do przyległego pokoju się udali, biednego chłopca Brittles przed oblicze swoje zawołali, i badać go zaczęli, a ten wkrótce siebie i swego szanownego przełożonego w taką dziwną siatkę sprzeczności, niepodobieństw, niedorzeczności zaplątał, iż jego wyznania żadnego światła na całe wydarzenie nie rzuciły, ale owszem, tyle tylko dowodziły, że on sam się stał przedmiotem nadzwyczajnego złudzenia, wyjąwszy jednak tę okoliczność i wyznanie jedyne, żeby owego chłopca, którego złodzieje z sobą mieli, nie poznał, gdyby go nawet teraz natychmiast przed oczyma jego stawiono; że Oliwera dla tego jedynie za niego trzymał, iż mu Giles powiedział, że on nim jest, i że Giles sam przed parę godzinami w kuchni oświadczył, iż się lęka, czyli się z oskarżeniem chłopczyny za nadto nie pośpieszył.

Pomiędzy różnemi innemi przypuszczeniami i to pytanie w końcu wniesiono, czyli Giles rzeczywiście kogoś postrzelił? Przystąpiono tedy do rozwiązania téj ważnéj okoliczności, przyniesiono pistolet z którego

strzelał, wykręcono nabój z drugiéj lufy, i przekonano się, iż prócz prochu i papieru bibułowego do przybicia, żadnego innego zabójczego przedmiotu w nim nie było, ... odkrycie, które bardzo wielkie wrażenie na wszystkich zrobiło, prócz lekarza, który z niego kulę przed pół godziną wykręcił.

Na nikogo jednak tak wielkiego wrażenia nie zrobiło, jak na biednego Giles samego, którego przez kilka godzin ta trwoga niesłychanie przykra dręczyła, iż biednego chłopczynę małego na śmierć zranił, a czując przez to nadzwyczajne na sercu ulżenie, téj myśli z wielką radością się uchwycił.

Całe poszukiwanie nareszcie na tém się zakończyło, że obaj urzędnicy policyjni z Londynu, nie troszcząc się wiele o Oliwera, sądowego sługę z Chertsey na miejscu na noc zostawili, sami zaś do miasta na nocleg się udali, i nazajutrz rano na dalsze śledztwo przybyć przyrzekli.

Nazajutrz rano rozeszła się wieść po całéj okolicy, iż w Kingston dwóch ludzi mających chłopca małego z sobą, w więzieniu osadzono, schwytanych śród bardzo podejrzanych okoliczności; panowie Blathers i Duff udali się przeto natychmiast na cały dzień do Kingston.

Lecz gdy do śledztwa przystąpiono, i z wywodu się przekonano, że te podejrzane okoliczności na tém jedynie się ograniczały, iż ich pod styrtą siana śpiących znaleziono, — co, lubo wielką jest zbrodnią, jednak więzieniem kilkudniowém tylko się karze, i w oczach łaskawych angielskiego prawa i jego nadzwyczajnéj łagodności dla wszystkich poddanych tego kraju, w braku wszelkich innych dowodów żadnym stano-

wczym i przekonującym dowodem nie jest, że śpiący złodziejstwo z rozbojem połączone popełnili, i przez to na karę śmierci zawinili, — panowie Blathers i Duff jak przyjechali tak i odjechali, niebędąc ani na włos mędrszymi.

Słowem, po wielu badaniach, dociekaniach, a więcéj jeszcze niepotrzebnéj gadaniny urzędnika z sąsiedztwa z łatwością do tego namówiono, aby wraz z panem Losberne i panią Maylie za to rękojmię swoję złożył, iż Oliwer każdego czasu przed sądem się stawi, jeżeli obecność jego będzie potrzebna, a panowie Blathers i Duff, dostawszy kilkanaście gwinej nagrody za swoje starania, powrócili do Londynu ze zdaniem zupełnie sobie sprzeczném o téj całéj wyprawie; ostatni bowiem wziąwszy rzecz całą troskliwie na uwagę, bardzo się skłaniał do tego przypuszczenia, że ten rozbój zamierzony był sprawką rodziny Pet; pierwszy zaś przeciwnie całą zasługę téj sprawy sławnemu Conkey Chickweed przypisywał.

Oliwer tymczasem powoli do siebie przychodził, i przy troskliwéj pieczy pani Maylie, Rózi i poczciwego, dobrodusznego Losberne, dawne swoje zdrowie i czerstwość odzyskał.

Jeżeli zaś gorąca, z serca wdzięcznością przepełnionego pochodząca modlitwa do nieba dójść może, i wysłuchaną bywa, — a czémże by modlitwa była, gdyby to nienastąpiło? — więc i błogosławieństwo niebios, które ta sierota na nich zwołała, szczęście i błogość w ich sercu rozlać musiało.

ROZDZIAŁ IV.

O tém szczęśliwém życiu, jakie Oliwer pośród swych przyjaciół pędził.

Cierpienia Oliwera były liczne i niemałe.

Prócz złamania ręki, które już samo dla siebie jest boleśne i długo trwające, wilgoć i zimno, na które był wystawiony, sprowadziło na niego gorączkę, dręczącą i trawiącą go przez kilka tygodni, i opóźniającą jego zupełne wyzdrowienie.

Nakoniec jednak powoli się mu polepszać zaczęło, a on z czasem tyle sił nabrał, iż niekiedy, przy zdarzonéj sposobności, w kilku tkliwych wyrazach z łzami w oku mógł oświadczyć, jak głęboko dobroć obu miłych i dobrotliwych pań czuje, i jak szczerze sobie tego życzy, aby ta chwila jak najprędzéj nadeszła, w któréjby, będąc zupełnie zdrowym, wdzięczność swoję czynem jakim mógł okazać; czynem, choćby najmniej-

szym, byle tylko przez to miłość i wdzięczność w sercu jego tlejącą mógł okazać; byle tylko przez to mógł dowieść, iż litość ich i dobrotliwość nie jest daremnie wyrzucona, a ten biedny chłopczyna, którego z nędzy i od śmierci pewnéj wybawili, niczego tak gorąco nie pragnie, jak sposobności usłużenia im z całego serca swojego.

— Biedny chłopczyna! — rzekła Rózia pewnego dnia, kiedy Oliwer jeszcze mocno osłabiony, wdzięczność swoję za jéj troskliwośc i dobroć serca w słowa ubrać usiłował, które, lubo z serca pochodząc, słabo tylko przez jego usta wybladłe, drżące, przechodziły. — Bądź spokojnym;.... nie jedna ci się sposobność nastręczy usłużenia nam, jeżeli szczerą chęć będziesz miał do tego. Pojedziemy wkrótce na wieś, a ciocia sobie życzy, abyś nam towarzyszył. Spokój tego ustronia, powietrze czyste, i wszystkie owe piękności i rozkosze, które wiosna na ziemię zlewa, wpływ jak najzbawienniejszy na ciebie wywrą, tak że w krótkim czasie zupełnie do siebie przyjdziesz, a my cię wtedy na tysiączne sposoby użyć będziemy mogli, byleś tylko tyle sił nabrał, abyś mógł znieść wszelkie trudy.

— Trudy! — zawołał Oliwer; — ach, droga panno! jakżeżbym był szczęśliwym,...... ile bym dał za to, abym pani mógł w czém usłużyć,.. gdybym ci najmniejszą przyjemność mógł zrobić, polewając kwiaty, karmiąc i pielęgnując twe ptaszęta,.. lub też biegając przez cały dzień za twemi posełkami, bym ci czémkolwiek bądź najmniejszą przynajmniéj uciechę mógł sprawić?

— Ty za to nic dać nie będziesz potrzebował, — rzekła panna Maylie ze słodkim uśmiechem, — powie-

działam ci już bowiem, iż cię na tysiączne sposoby będziemy użyć mogli, a jeżeli tylko połowę tych trudów sobie zadać zechcesz, aby się nam przypodobać, o którycheś przed chwilą mówił, to mię mocno uszczęśliwisz.

— Uszczęśliwię, panno! — zawołał chłopczyna; — ach jakżeż panna jesteś łaskawą?

— Tak jest, uszczęśliwisz,.... i to bardziéj jeszcze jak sobie wyobrażasz i ja ci powiedzieć mogę, — odpowiedziała dziewczyna. — Już ta myśl sama, że moja zacna i dobra ciotunia kogoś z takiéj nędzy wybawiła, jaką nam ty opisałeś, byłaby rozkoszą niewypowiedzianą dla mnie. Lecz gdybym się jeszcze przytém tém przekonaniem cieszyć mogła, iż osoba, z którą się z taką dobrotliwością i litością obeszła, wdzięcznością szczerą, a zatém i serdecznėm przywiązaniem jéj się wywięzuje, byłoby to radością daleko większą dla mnie, jak sobie wyobrazić jesteś w stanie. Czyś mię pojął?

Dodała, spoglądając uważnie na Oliwera oblicze zamyślone.

— Ach panno! pojąłem bardzo dobrze, — pośpieszył Oliwer z odpowiedzą, — lecz i o tém téj chwili rozmyślałem, że teraz już niewdzięczny jestem.

— A to komu? — zapytała dziewczyna.

— Owemu dobrotliwemu staruszkowi, i jego poczciwéj staréj gospodyni, którzy z taką troskliwością i pieczołowitością koło mnie chodzili, — odpowiedział Oliwer; — ach, żeby oni wiedzieli, jak teraz jestem szczęśliwy, toby się z tego mocno cieszyli,......jestem przekonany!

— I ja jestem o tém przekonana, — potwierdziła Oliwera dobrodziejka; — a pan Losberne był tak dobrym i przed chwilą nam przyobiecał, że cię do nich zawiezie, jeżeli do siebie tak dalece przyjdziesz, iż ci podróż zaszkodzić nie będzie mogła.

— Ach, czy tylko prawda, droga panno! — zawołał Oliwer, a oblicze jego radością zajaśniało. — Ja niewiem, co z radości uczynię, jeżeli twarze ich miłe i przychylne znowu zobaczę!

Niezadługo Oliwer o tyle do zdrowia przyszedł, iż mu podobna podróż więcéj zaszkodzić nie mogła, a pewnego poranku pan Losberne usiadł z nim w małym powozie, należącym do pani Maylie, który się z nimi do Londynu puścił. Gdy się do Chertsej Bridge zbliżyli, Oliwer zbladł okropnie i na głos wykrzyknął.

— Cóż ci to jest, chłopcze? — zawołał lekarz popędliwie, jak za zwyczaj. — Czyś może co widział?... co słyszał?... co uczuł?....ha! co!

— Ach panie! — zawołał Oliwer, wskazując z powozu na dom. — Ten dom oto!

— No i cóż ten dom znaczy?.....Hola! stój! stój! ....zatrzymaj się tutaj! — wrzasnął lekarz. — Cóż ten dom znaczy, co?....mów, chłopcze,....mów!

— Złodzieje mię do tego domu zaprowadzili! — szepnął Oliwer.

— Tam do djabla! — zawołał lekarz. — Hola! prędzéj! otwórz drzwiczki!

Nim jednak woźnica ze swego kozła zejść i do drzwiczek dójść zdołał, on już z powozu wyskoczył, do spustoszałego domu dopadł i zaczął się do niego jak szalony dobijać.

— Hola! kto tam? — zapytał mały, brzydki, garbaty mężczyzna, otworzywszy drzwi tak nagle, iż lekarz omal do sieni nie wpadł jak długi, straciwszy równowagę przez swoje ostatnie i silne do nich uderzenie. — Czego chcecie?

— Czego chcemy? — zawołał lekarz, chwyciwszy go bez wszelkich zachodów, bez wszelkiego namysłu za kołnierz. — Czego chcemy?....Wiele chcemy, złodzieje! rabusie!

— A może jeszcze i zbójcy, jeżeli mię natychmiast niepuścisz, — odpowiedział garbus ozięble. — Czy mię rozumiesz?

— Rozumiem cię, rozumiem, — odparł lekarz i wstrząsnął nim silnie. — Mów zaraz, gdzie jest,.... niech go piorun trzaśnie, że sobie jego nazwiska łotrowskiego przypomnieć niemogę,.... gdzie jest.... Sikes.... aha! gdzie jest Sikes, ty złodzieju?

Ten niedołęga spojrzał na niego z niewypowiedzianém zadziwieniem i oburzeniem, i uwolniwszy się zręcznie z rąk lekarza, wyzionął okropne przekleństwo i uskoczył do swéj izby.

Nim jednak drzwi za sobą zamknąć zdołał, lekarz wpadł już za nim do izby niewyrzekłszy ani słowa. Za jednym rzutem oka całą izbę zbadał; lecz nic a nic, czy to żywego czy nieżywego, żaden sprzęt, nawet i położenie szafki nieodpowiadało wcale opisowi Oliwera.

— A teraz mów, — ozwał się do niego garbus śmiało, który go dotąd z oka niespuszczał, — co to ma znaczyć, żeś z takim gwałtem wpadł do mego domu? Czy mię chcesz obrabować, albo może zabić?....Mów, co to ma znaczyć?

— Czyś kiedy widział, aby ktoś chcąc kogo obrabować i zabić, w powozie i towarzystwie do niego zajeżdżał, ty śmieszny, stary wampirze! — zawołał drażliwy i popędliwy lekarz.

— Czegóż więc tutaj chcesz u mnie? — zapytał garbus z wrzaskiem. — Czy się raz z tąd wyniesiesz, mój panie, dopokądeś jeszcze cały, mówię ci?

— Ja się wtedy wyniosę, kiedy mi się będzie podobało, — odpowiedział Losberne, zaglądając do drugiéj izby, która podobnie jak i pierwsza, najmniejszego podobieństwa do opisania Oliwera niemiała. — Już ja cię jeszcze znajdę, mój przyjacielu!

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! — odparł kaleka z szyderskim uśmiechem. — Jeżeli mię kiedy potrzebować będziesz, to mię tutaj każdego czasu znajdziesz. Ja tu sam jeden w tym domu przez dwadzieścia pięć lat nie dla tego żyłem, aby ztąd przez ciebie być wypędzonym. Ty mi za to zapłacisz! poczekaj! ty mi za to zapłacisz!

To mówiąc ten mały, ułomny piekielnik zawył z wściekłości i skakał i tańczył koło niego, jak szalony ze złości.

— Głupio, bardzo głupio, — mruknął sobie lekarz pod nosem; — chłopiec musiał się pomylić. Oto masz! schowaj sobie do kieszeni i zamknij drzwi na powrót za sobą.

To rzekłszy rzucił złośliwemu garbusowi sztukę złota i powrócił do powozu.

Ów garbus mały szedł jednak ciągle za nim aż do drzwi od powozu, wrzeszcząc na całe gardło, i miotając przekleństwa najokropniejsze na niego przez całą

drogę. Lecz gdy się Losberne odwrócił, aby do woźnicy przemówić, on zajrzał do powozu i na Oliwera takie bystre, złośliwe, a przytém tak wściekłe i zawzięte spojrzenie rzucił, iż Oliwer przez kilka miesięcy ani we śnie, ani na jawie z myśli sobie onego wybić nie zdołał.

Ten mały niedołęga przez cały czas przekleństw najokropniejszych miotać nie przestawał, dopokąd woźnica na powrót na koźle nie usiadł,...... a gdy już odjechali, on jeszcze stał wołając za nimi, tupając nogą o ziemię i targając sobie włosy w uniesieniu zapalczywości i niewypowiedzianego gniewu.

— Osieł wielki ze mnie! — rzekł nakoniec lekarz, po chwili długiéj milczenia; — czyś o tém już wiedział, Oliwerze?

— Nie, panie!

— A więc nie zapominajże o tém na drugi raz.

— Osieł ze mnie, osieł, i to wielki osieł,...... — ozwał się lekarz powtórnie po kilkuchwilowém milczeniu. — Gdyby to nawet było miejsce prawdziwe było, a ludzie w niém ci sami, których nam znaleść wypadało, cóżbym ja sam jeden mógł był zrobić? I gdybym miał był nawet kogoś do pomocy, nie mogę pojąć, cobym był mógł uczynić i do skutku przywieść, chyba żebym się sam był zdradził, i światu całemu pokazał, na jaki sposób głupi rzecz całą poprowadziłem i wszelką możliwość dalszego śledztwa zniszczyłem! To by się mi słusznie było stało! Ja się zawsze w nieprzyjemność jaką muszę wplątać, działając według pierwszego popędu mego serca, a to mię jeszcze dotąd niepoprawiło.

Cała rzecz była ta, że ten poczciwy lekarz w istocie nigdy w swojém życiu inaczéj, jak według pierwszego popędu swego serca nie postępował, a to jednak nie bardzo małą zaletą dla tych pobudek było, które nim kierowały, iż nietylko w żadne znaczne nieprzyjemności się nie wplątał, lub też jaka przykrość większa dla niego nigdy z nich nie wynikła, ale owszem najszczersze poszanowanie i szacunek u wszystkich sobie przez to uzyskał, którzy go tylko znali.

Mówiąc prawdę to przez kilka chwil nieco był markotnym, że mu się za pierwszą zaraz wycieczką, za pierwszą zaraz sposobnością pomyślną, która mu się nastręczyła, dowodów uzyskać niepowiodło, któremi by prawdziwość powieści Oliwera mógł był poprzyć i potwierdzić. Ale to wszystko w krótce przeminęło, a widząc, iż Oliwera odpowiedzi na jego pytanie ciągle były szczere, otwarte, bez wszelkiego przymusu, pomięszania, tak że niepodobna było jak poprzód tak i teraz im nieufać, postanowił sobie przeto najmniejszéj wątpliwości w jego wyznania niemieć, i ślepo w nie wierzyć.

Ponieważ Oliwer znał nazwisko téj ulicy, przy któréj Brownlow mieszkał, nakazano woźnicy nieco śpiesznicj jechać, a gdy powóz w to miejsce Oliwerowi tak miłe i drogie dojechał, serce mu tak mocno bić zaczęło, że zaledwie mógł oddechać.

— Powiedźże nam teraz, mój synu, który to dom jest? — zapytał Losberne.

— Ten, ten! — odpowiedział Oliwer, wskazując przez okienko od powozu. — Ten dom biały oto. Tylko żywo! tylko żywo! błagam cię o to, panie;....

mnie coś tak na sercu, jakbym umrzeć musiał; tak mię całego dreszcz zimny przejmuje.

— No, no! uspokój się tylko, uspokój! — zawołał poczciwy lekarz, klepiąc go po ramieniu. — W krótce ich wszystkich ujrzysz, a oni się z tego mocno cieszyć będą, że cię tak zdrowego i dobrze wyglądającego zobaczą.

— O, ja się tego spodziewam! — zawołał Oliwer. — Oni tak dobrotliwemi dla mnie byli; bardzo, bardzo dobremi i łaskawemi.

Powóz się daléj toczył. Nakoniec stanął. Nie, to nie był ten sam dom, do którego zmierzali. Jeszcze o jedne drzwi daléj. Podjechali tedy o kilka kroków jeszcze i zatrzymali się potém. Oliwer wyglądał przez drzwiczki od powozu z łzami szczęścia i radośnego oczekiwania w oku.

Niestety! Dom biały zastali próżny, opuszczony, a nadedrzwiami było przybite uwiadomienie:

— *Do wynajęcia!*

— Zapukaj do domu podle! — zawołał Losberne, chwytając Oliwera za rękę. — Proszę mi powiedzieć, czyli niewiadomo, co się z panem Brownlow stało, który tutaj obok w tym białym domu mieszkał?

Sługa odpowiedział iż niewie, lecz się pójdzie zapytać. Niebawem wrócił i doniósł im, iż pan Brownlow wszystko wyprzedzał i przed sześciu tygodniami do Zachodnich Indyj wyjechał. Oliwer załamał ręce z boleści i rozpaczy i upadł bez sił na siedzenie w powozie.

— Czy gospodyni jego także z nim wyjechała? — zapytał Losberne po chwili milczenia i namysłu.

— Tak jest, panie, — odpowiedział sługa. — Sta-

ry pan Brownlow, jego gospodyni, i stary jego przyjaciel nawet, pan Grimwig, wszyscy się razem ztąd wynieśli i wyjechali.

— Wracajmy zatém do siebie, — zawołał Losberne na swego woźnicę, — i nie popasaj koni, dopokąd z tego przeklętego Londynu nie wyjedziemy.

— A do księgarza, drogi panie? — rzekł Oliwer. — Ja znam drogę do niego. Ach proszę, jedźmy, jedźmy do niego!

— Mój kochany synu, już eśmy tego dnia dosyć zawodu w nadziejach naszych doznali! — odpowiedział lekarz; — na dzisiaj będzie tego dosyć dla nas obu. Gdybyśmy do twego księgarza pojechali, tobyśmy się z pewnością dowiedzieli, że albo umarł, albo mu się dom spalił, albo też gdzie uciekł. Nie, nie, jedźmy raczéj prosto do siebie!

I stósownie do lekarza pierwszego, wewnętrznego popędu do domu powrócili.

Ten gorżki zawód wszelkich najsłodszych nadziei Oliwerowi pomimo to szczęście i błogość, jakiéj w położeniu swojém obecném używał, wiele cierpień i zgryzoty sprawiał, gdyż on przez długi czas podczas słabości swojéj tą myślą się pocieszał, co też pan Brownlow i pani Bedwin powiedzą, jeźli go zobaczą, i z jaką radością on im wtedy rozpowiadać będzie przez ile dni i nocy tak długich i przykrych on to jedynie miał na pamięci, że oni tyle dobrodziejstw mu świadczyli, i jak mocno i boleśnie on swoje rozłączenie przykre z nimi opłakiwał.

Równie i ta nadzieja, że się im będzie mógł nakoniec z wszystkiego wytłómaczyć i wyjaśnić, iż go

przemocą schwycono i do Żyda zawleczono, utrzymywała go i dodawała mu wiele sił pośród najsroższych cierpień i dolegliwości. Dla tego i ta myśl teraz, iż tak daleko na zawsze wyjechali, biorąc z sobą to wyobrażenie niezachwiane, iż on jest oszustem, złodziejem, ...wyobrażenie, którego im nikt aż do śmierci może z głowy nie będzie mógł wybić,.....większem prawie ciężarem dla jego serca była, jak ono sił jeszcze miało.

Ta okoliczność niespowodowała jednak żadnéj zmiany w dobrotliwości i uczuciach jego dobroczyńców względem niego. Za dwa tygodnie, kiedy wiosna w całym swoim uroku, w całém bogactwie przyrody się rozwinęła, i każde drzewko, każda roślinka świeże liście i bujne kwiecie puszczała, zaczęli robić wszelkie przygotowania do opuszczenia domu w Chertsey na kilka miesięcy.

Srebro wszystko, które tak wielką ponętą dla Żyda się stało i chciwość jego obudziło, posłali do banku, dom cały opiece poczciwego Giles i drugiego jeszcze sługi powierzyli, i wyjechali potém na wieś w dość znacznéj odległości od tego miejsca, zabrawszy Oliwera ze sobą.

Któż zdoła piórem skreślić tę roskosz i uniesienie zachwycające, tę spokojność błogą umysłu i serca, któréj ten biedny, wątły chłopczyna w tém powietrzu wonném, balsamiczném, pośród tych zielonych pagórków, bujnych lasów i borów na wsi doznawał.

Któż to może powiedzieć, jaki pokój i błogość dusze tych wtedy ogarnia, którzy smutkiem, cierpieniami dręczeni, w miejscach ludnych, pełnych wrzawy, hałasu, mieszkając, własną świeżość sercom zwiędniałem

otoczenia swojego udzielać są przyzwyczajeni, jeżeli się na wieś, na świeże, otwarte powietrze dostaną!

Ludzie, którzy w ludnych, hałaśnych ulicach całe swoje życie mieszkali, i nigdy żadnéj odmiany nie pragnęli;.... ludzie, u których przyzwyczajenie potrzebą niezbędną się stało, i z całém życiem ich zrosło, którzy każdą cegiełkę, każdy kamień prawie, znajdujący się na ich codziennéj drodze i stanowiący wązki zakres ich dziennych przechadzek, pokochali i do niego się przywiązali, — i ci ludzie nawet stęsknili w końcu za *jedném* przynajmniéj, choćby krótkiém spojrzeniem na lice przyrody, gdy im śmierć w oczy zajrzała;.. a jeżli od widowni swych trosk, cierpień i zabaw dawnych daleko uciekli, zdawało się im, iż nowego zupełnie życia nabierają, i wlekli się codziennie na miłe, zielone, kwieciste, słońcem opromienione miejsca, a na widok sam błękitu niebios, gór, równiny, dolin i lśniącéj wody takich uczuć błogich doznawali, że przeczucie szczęśliwości życia przyszłego w duszy ich zaświtało, i tutaj już zgon ich powolny osładzało; a gdy chwila ostatnia nadeszła, tak spokojnie kres swego życia zakończyli jak słońce, — którego zachodu przed parę godzinami jeszcze z okienka swojego z uśmiechem smętném i westchnieniem błogości na zwiędniałych ustach się przyglądali!

Myśli, uczucia, które widoki spokojne, sielskie w duszy naszéj pobudzają, nie należą do tego świata, ani też z jego troskami, dążeniami, żadnéj styczności nie mają.

Ich błogi wpływ uczy nas świeże splatać wieńce i stroić nimi groby tych, którycheśmy kochali, oczyszcza

umysł i serce nasze z ziemskości, i pobudza do zapomnienia dawnéj nienawiści, gniewu i złości; krom tego wszystkiego pobudza jeszcze w duszy człowieka, chociażby umysł jego był przytępiony i do myślenia wcale nieprzyzwyczajony, pewne lubo niejasne przypomnienie, iż się myśli i uczucia podobne dawniéj już kiedyś miało, przez co się w nas myśli uroczyste o przyszłości dalekiéj, nadziemskiéj rodzą, i dumę i pychę tego świata pognębiają i tłumią.

Okolica, do któréj się na mieszkanie udali, była bardzo miła, przyjemna i piękna; a Oliwer, którego życie dotąd pośród brudnego tłumu, śród wrzawy, zgiełku i hałasu spłynęło, nowe zupełnie życie rozpoczynać się zdawał.

Róża, jaśmin rósł pod oknami tego wiejskiego mieszkania, bluszcz się wił i piął po drzewach i ścianach do góry, a kwiaty ogrodowe powietrze wonią najprzyjemniejszą napełniały. W pobliżu znajdował się cmętarz mały, na którym niewidać było wcale owych wysokich, niekształtnych nagrobków; był jednak pełen nizkich, skromnych mogił, pokrytych świeżą darniną i mchem, pod któremi starzy ludzie z wioski wiecznym snem złożeni spali.

W to miejsce Oliwer nieraz kroki swoje kierował, i błąkając się po niém, o owym grobie lichym, w którym matka jego spoczywała, rozmyślał, potém sobie nieraz na mogile któréj usiadł i łzy boleśne niespostrzeżony wylewał; lecz gdy oczy swoje na ciemny błękit nieba podniósł, niepamiętał już więcéj o tém, iż ona w grobie leżała, i płakał nad nią ze smutkiem, lecz bez wszelkiéj boleści.

Był to czas bardzo piękny. Dnie były pogodne i ładne, a noc żadną obawą, żadną zgrozą lub trwogą serca jego nie przejmowała, gdyż się już więcéj lękać niepotrzebował, iż go do brudnego, haniebnego więzienia wtrącą, lub też w towarzystwie zbrodniarzy, ludzi zepsutych żyć zmuszą; same tylko szczęśliwe i przyjemne marzenia we śnie mu się pojawiały.

Codziennie rano chodził z odwiedzinami do staruszka z włosem srebrnym na głowie, który w pobliżu małego kościółka mieszkał, a ten go uczył lepiéj nieco czytać i pisać, i tak mile, tak przyjaźnie z nim rozmawiał, i tyle trudu, tyle pracy sobie z nim zadawał, że biedny chłopczyna sam niewiedział, co ma uczynić, aby się mu wdzięcznym okazać.

Potém się zwykle na przechadzkę z panią Maylie i Różą udawał, i przysłuchiwał ich rozmowom o różnych pięknych książkach, lub też przy nich usiadł w cieniu i tego pilnie słuchał, co Róża na głos czytała, a byłby się nigdy słuchać nieznudził, choćby Rózia tak długo była czytała, żeby już dla ciemności głosek więcéj niemożna było poznać. Potém dopiero do nauki się brał, aby się na dzień następny przysposobić i zadane ćwiczenia wyrobić, pracując pilnie w swoim pokoiku małym, na ogród wychodzącym, dopokąd wieczór nienadszedł, a obie opiekónki jego powtórnie na przechadzkę się niewybrały, i jego z sobą nie wzięły; wtedy to z największém upodobaniem temu się przysłuchiwał, co mówiły, i największéj rozkoszy doznawał, jeżeli im mógł uszczknąć i przynieść kwiateczek, którego pragnęły, lub też po coś pobiegnąć, czego w domu zapomniały.

Jeżeli się już zmierzchło, noc zapadła, a oni do domu z przechadzki powrócili, młoda dziewczyna usiadła zwykle do fortepianu, i zagrała jaką śpiewkę smętną, lub głosem miłym, dźwięcznym, jaką piosnkę starożytną zaśpiewała, których stara jéj ciotka z przyjemnością słuchała. O téj porze zwykle bez światła jeszcze w pokoju siedzieli, a Oliwer sobie wtedy siadał pod oknem, i słuchał tej miłéj muzyki, a łzy słodkiéj i tkliwéj radości po licach mu spływały.

Jeżeli zaś niedziela nadeszła, jakże ją teraz odmiennie tutaj przepędzał; tak jak jéj nigdy jeszcze w życiu swojém nieprzepędził, ... a przytém jak błogo! jak szczęśliwie! podobnie jak i wszystkie najpiękniejsze dnie swego życia!

Rano szedł sobie do małego kościółka, w którym u okien zielony liść szeleściał, ptaszki zewnątrz świegotały, śpiewały, a świeże, woniejące powietrze przez niskie drzwi się wciskało, i dom boży niby kadzidłem woniejącém napełniało.

Biedny lud tak się czysto, tak świeżo i schludnie ubierał, z taką czcią klęczał, tak szczerze i gorąco się modlił, że zgromadzenie jego w kościele raczéj przyjemnością, jak ciężącym obowiązkiem być się zdawało; a lubo głos i śpiew ich był nieco surowy, niewyrobiony, to wprawda, z serca jednak pochodził, a przeto i daleko przyjemniejszym był, — w uszach Oliwera przynajmniéj, — jak wszelki śpiew inny, który się mu kiedykolwiek po innych kościołach słyszeć zdarzyło.

Potém udawali się zwykle na przechadzkę i odwiedzali schludne czyste domki wieśniaków; wieczorem zaś Oliwer rozdział lub dwa z Biblii przeczytał, których

się poprzód przez cały tydzień wyuczył, i przy tém zatrudnieniu daleko więcéj czuł dumy i radości, jak sam ksiądz, który je ludowi wykładać musiał.

Rano Oliwer wcześnie wstawał, bo już o szóstéj godzinie, i przebiegał pola, niwy, zwiedzał wszystkie krzaki dalekie i opłotki za kwiatami polnemi, które potém w wielkiéj ilości do domu przynosił, z największą starannością we wiązanki je układał, i jak mógł najpiękniéj stół do śniadania nimi zdobił.

I świeżéj trawki także dla ptaszków Rózi przynosił, którą Oliwer, — wyuczywszy się chodowania ptaków poprzód starannie pod przewodnictwem doświadczonego w téj mierze pisarza wioski, — klatki ich jak najpiękniéj przystrajał i barwił.

Gdy już ptaszki na cały dzień nakarmił, znalazło się zwykle jakie posłannictwo dla niego bardzo miłe, z pomocą do jakiego biednego człowieka we wsi; lub też zatrudnienie jakie w ogrodzie, koło kwiatów, do czego się Oliwer, — który się ogrodownictwa pod okiem tego samego mistrza, będącego oraz i ogrodnikiem z urzędu, nauczył, — z wielkim brał zapałem i szczerą ochotą, i tak długo pracował, dopokąd panna Rózia w ogrodzie się nie pojawiła, tysiącznych pochwał za wszystko, cokolwiek uczynił mu niedała, i swoim serdecznym, miłym uśmiechem wszelkie trudy hojnie mu niewynagrodziła.

Tak trzy miesiące przeminęło; .... trzy miesiące, któreby ludzie najszczęśliwsi do chwil najprzyjemniejszych swego życia policzyć mogli, w życiu zas Oliwera, tylu nieszczęściami i dolegliwościami nękanego, szczęściem, roskoszą niebiańską nazwać się mogły.

Przy téj szlachetności najczystszéj, najszczerszéj, z jednéj strony, i przywiązaniu najgorętszém, najserdeczniejszém, najgłębszą wdzięcznością płonącém z drugiéj, dziwić się nie można, jeżeli po upływie tego krótkiego czasu Oliwer Twist zupełne zaufanie i przychylność staruszki i jéj siostrzenicy pozyskał, tak że nie tylko jako dziecko domu go uważano, ale i przywiązanie szczere tkliwego chłopczyny, miłością prawdziwą wywdzięczano.

ROZDZIAŁ V.

Szczęście Oliwera i jego przyjaciół cios niespodziewany zakłóca.

Wiosna wkrótce przeminęła i lato nadeszło; a jeźli wieś pierwéj była ładną, teraz całém bogactwem i pięknością niezrównaną przyrody jaśniała.

Owe wysokie drzewa, które w pierwszych czasach nagie, chorowite wyglądały, stały teraz w całym kwiecie swego zdrowia i bujnego życia, wyciągały swe konary zielone szeroko po nad ziemię spragnioną, i zmieniły nie jedno miejsce nagie, nieurodzajne, na miłe, cieniste, chłodne ustronie, z którego się wygodnie było można patrzeć na rozległą, piękną, promieniami słońca olśnioną okolicę, rozciągającą się naokoło. Była to właśnie pora wszelkiéj siły i dzielności życia, a wszystko rosło bujnie i kwitnąco.

Ten sam pokój błogi zewnątrz panujący, ta sama pogoda i wesołość, która okolicę całą cechowała, panowała także i pomiędzy mieszkańcami naszego letniego

domku. Oliwer już od dawna zdrowie i czerstwość swoję odzyskał, lecz zdrowie i czerstwość niesprowadziła najmniejszéj zmiany w jego uczuciach i przywiązaniu do obu jego opiekunek, — lubo to się bardzo często u bardzo wielu ludzi zdarza, — i ciągle był takim samym usłużnym, wdzięcznym, przychylnym chłopczyną jak i wtedy, kiedy choroba i cierpienia siły jego podkopały, a najmniejsza jego wygoda lub pomoc od troskliwości i pieczołowitości tych zależała, którzy go do siebie przyjęli.

Pewnego wieczora bardzo pięknego dłuższą nieco przechadzkę jak zwykle odbyli, gdyż w dzień był wielki upał, w nocy zaś księżyc jasno świecił, a wietrzyk chłodny, lekki powiewał, i całą przyrodę orzeźwił, pokrzepił.

I Rózia była tego dnia bardzo wesoła, tak że rozmową żywą, przyjemną zajęci, granice zwykłą swéj przechadzki codziennéj o wiele przekroczyli.

Pani Maylie była mocno znużona, tak że wszyscy nieco powolniéj jak zwykle do domu wracali. Rózia wtedy swój kapelusik słomiany z głowy zdjęła, i według zwyczaju do fortepianu zasiadła.

Kiedy tak w zapomnieniu przez kilka minut po klawiszach przebierała, zagrała śpiew powolny i uroczysty, lecz grając zdawało się, jakoby łkania płaczu słyszeć się dawały.

— Droga, kochana Róziu! — zawołała wtedy staruszka.

Rózia nic nieodpowiedziała, lecz nieco żywiéj grać zaczęła, jakoby ten głos z myśli boleśnych i przykrych ją był obudził.

— Róziu! życie moje! — zawołała pani Maylie, zrywając się nagle ze swego krzesła i nachylając się nad nią. — Cóż ci to jest? Lica twoje łzami zalane? Moja córko kochana cóż cię tak smuci?

— Nic, droga ciociu, nic! — odpowiedziała dziewczyna. — Niewiem sama, co mi jest takiego; niemogę tego sama opisać; ale jakiś smutek niepojęty dzisiaj mię ogarnął, a....

— Przecież nie jesteś słabą, co?.... — zawołała stroskana pani Maylie.

— Nie, nie, nie jestem słabą! — odpowiedziała Rózia, i mówiąc to cała się wstrzęsła, jakoby dreszcz zimny, śmiertelny, na wskróś ją był przejął; — a przynajmniéj mi teraz już cokolwiek lepiéj. Oliwer zamknij okno, proszę cię!

Oliwer pośpieszył natychmiast to wykonać, czego od niego zażądano, a młoda dziewczyna, dobywając wszelkich sił swoich, aby pierwotną wesołość na powrót odzyskać, usiłowała coś weselszego zagrać, ale ręce jéj opadły bezwładne na klawisze, a ona potém twarz swoję nimi zakryła, zawlekła się na sofę niedaleko stojącą i rzewnie się nakoniec rozpłakała, niemogąc dłużéj łez swoich wstrzymać i płaczu w sobie stłumić.

— Kochana córko moja! — rzekła ciotka, obejmując ją rękami, — jeszczem cię nigdy taką niewidziała!

— Niechciałam cię w niespokojność wprowadzać kochana ciociu, dopokąd mi sił starczało, — odpowiedziała Rózia, — walczyłam z sobą długo, ale dłużéj już rady sobie dać nie mogłam. Ja się boję, czyli nie jestem w istocie *chora*, kochana ciociu!

A ona w istocie chorą *była*; gdyż kiedy światła przyniesiono, Oliwer i pani Maylie spostrzegli, iż przez ten czas krótki od powrotu do domu, oblicze jéj nadzwyczajnie się zmieniło, i bladości śmiertelnéj nabrało. Wyraz w niém prawdzie na piękności nic niestracił, lecz mocno się zmienił, a na téj miłéj powabnéj twarzy jakaś trwoga osiadła, w jéj oczach jakiś obłęd zajaśniał, jakiego dotąd jeszcze nigdy w niéj niespostrzeżono.

Wkrótce rumieniec żywy, ognisty oblał jéj lica, a oko jéj modre, łagodne, ogniem dzikim zapłomieniło; niebawem jednak i to wszystko znikło, niby cień lotną chmurką utworzony, a ona bardziéj jeszcze jak poprzód pobladła.

Oliwer, który na staruszkę z trwogą i niespokojnością spoglądał, spostrzegł, że ją te nagłe zmiany i znaki mocno niepokoić zaczęły, co też rzeczywiście prawdą było; widząc jednak, iż ona wszelkiemi siłami tę niespokojność ukryć się stara, i on to samo uczynić postanowił.

Ciotka namówiła nakoniec Rózię, aby się do łóżka położyła, a dziewczyna ich pozorem złudzona, nieco wesołości napowrót nabrała, a nawet i nieco zdrowszą się wydawała; w końcu zaś o tyle się uspokoiła, iż z uśmiechem na ustach ich zaręczyła, że do jutra zupełnie o chorobie zapomni, i nazajutrz rano tak zdrowa się przebudzi jak ryba w wodzie.

— Spodziewam się, — rzekł Oliwer, gdy pani Maylie ze sypialni Róży powróciła, — że ta nagła słabość panny nie jest nic niebezpiecznego. Prawda że panna Róża nie bardzo zdrowo wygląda, ale....

Staruszka dała mu znak skinieniem ręki, ażeby nie

niemówił, i usiadłszy sama w ciemnym kąciku swéj izby, przez czas niejaki w myślach głębokich pogrążona była. Nakoniec się drżącym głosem ozwała:

— I ja się spodziewam, że nie, luby Oliwerze! Byłam jednak przez wiele lat bardzo z nią szczęśliwa,.... aż za nadto szczęśliwa może! a teraz chwila zapewnie nadeszła, że mię nieszczęście prześladować zacznie. Spodziewam się jednak, że to dobry obrót weźmie....

— Jakie nieszczęście pani? — zapytał Oliwer.

— Ten cios dotkliwy i ciężki, — rzekła staruszka głosem zaledwie zrozumiałym, — gdyby mi wypadło stracić tę drogą dziewczynę, która już tak długo mojém szczęściem, moją pociechą była.

— Ach! niechże pan Bóg broni! — zawołał Oliwer z zapałem.

— Amen, moje dziecko! — zakończyła staruszka załamawszy ręce.

— Niebezpieczeństwo nie musi być zapewnie tak wielkie jeszcze, — rzekł Oliwer; — wszakże przed dwoma godzinami dopiero tak zdrową była.

— Lecz teraz bardzo jest słaba, — odparła pani Maylie, — i jestem pewna, że się jéj w nocy jeszcze bardziéj pogorszy. Moja droga, kochana Rózia! cóżby ja teraz bez niéj poczęła?

Biedna staruszka téj myśli okropnéj znieść niemogła, i takiemu smutkowi nadzwyczajnemu się oddała, że Oliwer, o własném zmartwieniu i trwodze zapominając, przedstawienia jéj robić się ośmielił, i szczerze ją błagać zaczął, aby się dla samego dobra swéj siostrzenicy uspokoić raczyła i otuchy nabrała.

— Ach, proszę zważyć, łaskawa pani! — rzekł

Oliwer, a łzy mu w oczach stanęły, pomimo wszelki gwałt, który sobie zadawał. — Ach proszę zważyć, jak ona jest młodą i dobrą; ile pociechy i radości w koło siebie rozlewa. Ja jestem pewien,....nieinaczéj, .. bardzo pewien,....że ona dla pociechy twojéj, pani, co tak dobrą dla wszystkich jesteś, dla pociechy swojéj, i pociechy tych wszystkich, których tak szczęśliwymi robi, jeszcze nie umrze. Bóg tego dopuścić nie może, aby ona umrzeć miała.

— Cicho, cicho! — odpowiedziała pani Maylie, kładąc rękę na głowie Oliwera. — Ty po dziecęcemu jeszcze myślisz, biedny chłopcze; a to coś wyrzekł, jest grzechem, lubo by się łatwo usprawiedliwić dało. Tyś mi jednak przez to obowiązek mój przypomniał. Zapomniałam o tém na chwilę, mój Oliwerze; spodziewam się jednak, że mi wybaczone będzie, gdyż jestem już starą, i wiele już w życiu mojém chorych i umierających widziałam, abym niemiała znać i téj boleści, którą po sobie zostawiają. Tak jest, dość już w świecie widziałam, abym i o tém przekonaną być nie miała, że nie zawsze najmłodsi i najlepsi tym się zostają, którym życie ich jest miłe i drogie. To by nam jednak więcéj pociechy jak smutku sprawiać powinno, albowiem niebo jest sprawiedliwe, a wypadki podobne powinny by nas raczéj nauczyć, iż się jeszcze świat lepszy od tego znajduje, a przejście do niego jest bardzo prędkie i skore. Niechaj się jednak dzieje wola Boga! Ja ją wprawdzie bardzo kocham, ale Bóg jeden wie, co dla nas jest najlepszém.

Oliwera ten widok mocno zadziwił, że pani Maylie to mówiąc, skargi swoje i narzekania, lubo po wielkiéj

walce, jednak stłumiła, podczas swéj mowy się wyprostowała, i cokolwiek więcéj odwagi i spokojności nabrała.

Bardziéj się jednak jeszcze dziwił, gdy się późniéj przekonał, że ta stałość nieustawała, a pani Maylie ciągle, pośród największych trudów i czuwania w nocy, co się późniéj potrzebném stało, spokojność i rozwagę zachowała, i wszelkie obowiązki swoje nieugięta, a nawet z upodobaniem, według wszelkiego pozoru, pełniła.

Ale on był jeszcze młodym, i nie mógł wiedzieć, do czego duchy silne, dzielne, w tak smutnych i trudnych okolicznościach są zdolne. I jakżeż mógł wiedzieć, jeżeli to nawet tym samym, co ten przymiot posiadają, rzadko kiedy jest wiadomém?

Noc pełna trwogi i udręczenia nastąpiła, a gdy poranek zaświtał, przepowiednia pani Maylie aż zanadto się sprawdziła. Rózia leżała w pierwszym okresie bardzo niebezpieczniéj gorączki.

— Musimy czynnymi być, Oliwerze, i próżnemu smutkowi daremnie się nieoddawać, — rzekła pani Maylie, kładąc palec na ustach, i spoglądając bystro na niego, — trzeba ten list o ile możności jaj najprędzéj do pana Losberne wysłać. Najlepiéj będzie, jeżeli sie go do poblizkiego miasteczka, tylko o cztery mile ztąd odległego zaniesie, drogą o wiele krótszą, ścieżkami przez pola i łąki, i ztamtąd umyślnego posłańca prosto do Chertsey jak najśpieszniéj wyśle. Gospodarz z zajezdnego domu z chęcią to uczyni, a ja wiem, że ty się z nim jak najprędzéj zwiniesz.

Oliwer nic na to nieodpowiedział, lecz w swym zapale natychmiast się w drogę chciał puścić.

— Oto jest list drugi, — dodała pani Maylie, namyśliwszy się chwilkę, — lecz nie wiem, czyli go razem mam posłać, lub też poczekać, dopokąd się z Rózią na tę lub owę stronę nie rozstrzygnie. Niechciałabym go posłać, jeżeli się najgorszego obawiać nie potrzebuję. —

— Czy on ma także iść do Cherstsey?

Zapytał Oliwer, pragnący jak najśpieszniéj polecenie wykonać, i nadstawiający rękę drżącą po list.

— Nie!

Odpowiedziała staruszka, podając mu go poniewolnie. Oliwer rzucił na niego okiem, i spostrzegł, że był napisany do pana Harry Maylie, w domu pewnego lorda w okolicy; którego nazwiska jednak Oliwer przeczytać nie mógł. —

— Mamże go wziąść z sobą? — zapytał Oliwer, spoglądając niecierpliwie na nią.

— Ja myślę, że nie! — odpowiedziała pani Maylie, odbierając go napowrót. — Poczekam jeszcze do jutra rana.

To mówiąc, dała Oliwerowi swą sakiewkę, a on pobiegł natychmiast bez dalszéj zwłoki, jak tylko mógł najśpieszniéj.

Szybko biegł przez pola, niwy, łąki, które je bardzo często przedzielały, czasami pomiędzy zbożem wysokiém, z obu stron go otaczającém ukryty, czasami zaś zdążający polem czystém, otwartém, po którém żeńczarze i kosarze swą pracę walnie odbyli, i ani razu by na chwilkę się nie zatrzymał i nie spoczął, chyba czasami bardzo krótko, jeźli zanadto zmęczony odetchnąć musiał, dopokąd zgrzany, zadyszany, pyłem

okryty, do miasteczka się nie dobił, i na rynku nie stanął.

Tutaj się zatrzymał i za domem gospodnim w koło obejrzał.

Zobaczył białą ławkę, ... czerwony browar, żółty dom urzędowy, i w kącie jednym dom obszerny, na zielono pomalowany, a na nim godło: ,,Grzegórz,“ Do tego domu też natychmiast kroki swoje zwrócił.

Oliwer zagadnął najprzód pocztyliona, śpiącego sobie swobodnie w bramie, a ten, wysłuchawszy, czego żąda, odesłał go do stajennego, który go znów po wysłuchaniu powtórném tego, co tamtemu już powiedział, do gospodarza samego odesłał, człowieka wysokiego wzrostu, w niebieskiéj chustce na szyi, białym kapeluszu, sukiennych spodniach, i butach wywijanych, który stał oparty o pumpę na podwórzu, przekłuwając sobie zęby śrebrném od zębów piórkiem.

Pan gospodarz z wielkim i głębokim namysłem do swego stołu szynkarskiego się zbliżył, aby rachunek zrobić, nad czém długi czas strawił. Gdy tę pracę nakoniec ukończył, a Oliwer ją zapłacił, musiano dopiero konia dla sługi okulbaczyć, i jednego z pocztylionów przywołać, który się dopiero ubrać musiał, co go dziesięć minut przynajmniéj zatrzymało, a Oliwer stał tymczasem i przypatrywał się wszystkiemu z taką niecierpliwością i rozpaczą, żeby najchętniéj sam na konia był skoczył, i cwałem największym aż do poblizkiéj pocztowéj stacyi pogonił.

Nakoniec wszystko już było gotowe, a gdy karteczka z wielu prośbami i poleceniami jak największego pośpiechu i jak najprędszego oddania wręczoną została,

pocztylion siadł na konia, pogonił po nierównym bruku miasteczka, i zniknął im z oczu w kilka chwil, cwałując szybko gościńcem.

Było w tém bardzo wiele pocieszającego, wiedząc, iż po pomoc już posłano, i wiele czasu jeszcze nie stracono.

Oliwer opuścił karczmę z daleko lżejszém sercem, i chciał właśnie przez bramę wyjść na ulicę, gdy przypadkiem o człowieka wysokiego w płaszczu utknął, który téj chwili właśnie z izby karczemnéj wychodził.

— Ha! — zawołał nieznajomy, wlepiając w Oliwera swe oczy, odskoczywszy nagle od niego. — Co to jest, do tysiąc piekielnych piorunów?

— Przepraszam pana, bardzo przepraszam; — ozwał się Oliwer. — Spieszyło mi się bardzo do domu, i nie widziałem pana wychodzącego.

— Umarł! — zawołał nieznajomy do siebie samego, okiem zdziwionêm, szeroko wytrzeszczonêm, w Oliwera ciągle się wpatrując. — Ktoby to był pomyślał. Obyś się w popiół był zamienił! Aż z grobu wstać musiał, aby mi wejść w drogę.

— Bardzo mię to boli, panie, — wyjąkał Oliwer, zmięszany surowém, dzikiém spojrzeniem nieznajomego; — spodziewam się, żem pana nieuszkodził.

— Bodaj kości twoje zgniły! — mruknął nieznajomy, niewypowiedzianą złością miotany i zgrzytnął zębami. — Gdybym był miał na tyle odwagi owe słówko wymówić, byliby mię jednéj nocy od niego uwolnili. Przekleństwo na twoję głowę, a powietrze morowe na ciebie, ty wisielcze! Co ty tu robisz?

Nieznajomy zagroził mu przytém ściśnioną pięścią,

zgrzytnął zębami, i mówiąc to, przystąpił do Oliwera, jakby miał był w myśli pięścią w niego ugodzić, lecz nagle padł na ziemię, rzucając się i wijąc na niéj, a na usta jego pjana wystąpiła.

Oliwer spoglądał chwilkę z przerażeniem na okropne drganie tego szaleńca, gdyż go za takiego trzymał, — a potém wpadł napowrót do karczmy, aby o pomoc dla niego zawołać. Widząc zaś, że go troskliwie do izby karczemnéj zaniesiono, zwrócił się do domu, pobiegł jak tylko mógł najśpieszniéj, aby czas stracony niejako wynagrodzić, i rozmyślał ciągle z niemałém zadziwieniem, a nawet i bojaźnią o tém nadzwyczajném postępowaniu człowieka, którego co tylko opuścił.

Okoliczność ta jednak w pamięci jego długo nie pozostała, gdyż powróciwszy nakoniec do swego domu, wiele znalazł, co jego myśl wyłącznie zajmowało i wszelkie inne względy osobiste z myśli mu wybić było wstanie.

Choroba Róży Maylie nagle jeszcze bardziéj się pogorszyła, a nim północ nadeszła, zaczęła mówić od rzeczy. Lekarz podrzędny, miejscowy, który w téj okolicy miał swoję siedzibę, nie odstępował ich ani na chwilę, a zobaczywszy Rózię natychmiast oświadczył, wziąwszy panią Maylie na bok, że to gorączkowe obłąkanie bardzo wielkie niebezpieczeństwo zapowiada.

— W istocie, — rzekł, — będzie to cud prawdziwy niejako, jeżeli do siebie przyjdzie.

Ileż to razy Oliwer téj nocy z łóżka swego się zrywał, i tajemnie, z cicha aż do schodów podchodził, aby głos najmniejszy z pokoju choréj podsłuchać i uchwycić. Ileż to razy dreszcz zimny wskróś go przejmował i zi-

mnym potem zgrozy czoło i oblicze jego pokrył, jeżeli nagły odgłos stąpania po pokoju obawę w nim wzbudził, iż się tam coś tak okropnego stało, że nawet o tém pomyśleć straszno. Czémże był zapał i żarliwość tych wszystkich modłów, które kiedykolwiek do nieba już zasłał, w porównaniu z tymi, które się teraz za zdrowie i zbawienie téj lubéj istoty, nad brzegiem grobu już stojącéj, z głębokości rozpaczą i smutkiem uściśnionego serca do Boga wznosiły.

Ta męka, ta okropna, sroga męka, widzieć życie najulubieńszéj istoty naszéj w niebezpieczeństwie, ... ważącéj się pomiędzy życiem i śmiercią, i być na to skazanym, aby świadkiem być nieczynnym, żadnéj pomocy dać niemogącym; .... te myśli przykre, dopiekające, które umysł nasz nagabają, dręczą, serce nasze burzą i do gwałtownego bicia pobudzają, ... i tak okropne obrazy człowiekowi przed oczy stawiają, że mu aż oddech zapiera, ... — ta rozpacz, trwoga i dręczące dążenie, aby przecież *coś przynajmniéj uczynić*, i tem cierpieniom ulżyć, lub niebezpieczeństwo zmniejszyć, które zakląć, usunąć, nie jest w naszéj mocy;... — ta małoduszność i utrata wszelkiéj odwagi, którą w nas myśl o naszém niedołęztwie zupełném, niemożności dania pomocy wznieca, — to wszystko są męki, którem żadne inne wyrównać nie zdołają; a sąże jakie sposoby, lub téż uwagi, któreby je z potokiem czasu zmniejszyć lub poskromić zdołały.

Nakoniec świtać zaczęło, poranek nadszedł, lecz w tym domku wiejskim było spokojnie i cicho. Wszyscy na szepty jedynie z sobą rozmawiali, oblicza trwogą, niespokojnością przejęte co chwila u drzwi od ogro-

du się pojawiały, a kobiety i dzieci powracały do siebie łzami rzewnemi zalane.

Przez cały boży dzień i kilka godzin jeszcze potém, gdy już wieczór zapadł, Oliwer ciągle po ogródku się przechadzał, co chwila swe oczy ku oknu od pokoiku chorej podnosił, a dreszcz zimny go za każdą razą wskróś przejął, gdy to okno osłonięte zobaczył, jakoby śmierć swego czynu wewnątrz była dokonała.

Późno w nocy pan Losberne nakoniec przybył.

— Jest to bardzo przykro, — rzekł poczciwy lekarz, odwróciwszy twarz swoję gdy to mówił, — tak młoda, ... tak kochana i powszechnie lubiona! .... i tak mało, ... bardzo mało nadziei.

Nazajutrz rano słońce jasno i wspaniale świeciło,... tak jasno i wspaniale, jakoby żadnéj troski, żadnéj boleści nie oświecało.... Wszystko naokoło kwitło, rosło, zieleniało, woniło, pełną życia dzielnością tchnęło,.... zewsząd dawał się słyszeć odgłos wesołego śpiewu, ... a ta biedna, miła dziewczyna leżała na śmiertelném łożu, walcząc o życie swoje.

Oliwer wymknął się nieznacznie z domu, wśliznął na ów cmentarz mały, usiadł na mogile zielonéj, i cichemi lecz rzewnemi łzami się zalał.

Lecz świat był tak piękny, tak spokojny, ... okolica takim urokiem, takim wdziękiem w pełnym promieniu słońca jaśniała, tyle ponętnéj wesołości i lubości w śpiewie ptaszków leżało, tyle swobody w szybkim locie kruków, unoszących się w powietrzu po nad głową jego, tyle błogości, powabu, życia w całéj przyrodzie, że kiedy rozpaczający chłopczyna oczy swoje zapłaka-

ne podniosła i w koło siebie spojrzała, ta myśl w jego duszy mimowolnie powstała, iż to nie jest czas na zniszczenie śmierci,.... że Rózia zadną miarą umrzeć nie może, kiedy istoty niższego rzędu tak są czerstwe i wesołe,... że na zapełnienie grobów czas jest w zimie, kiedy mróz i powietrze nieprzyjemne ludzi udręcza, ale nie o téj porze, kiedy słońce tak pięknie, wspaniale świeci i ciepło, życie, na całą przyrodę rozlewa.

Wreszcie i to niezbite miał przekonanie, iż trumny są jedynie dla ludzi starych, ułomnych, zwiędłych, i ciała tak młodego, tak powabnego, swemi okropnemi cieniami nigdy nie otaczają.

Śród tych myśli smutnych, ponurych, odezwało się naraz uderzenie pogrzebowego dzwonu na wieży kościelnéj.. ... Po chwili znów drugie!...... Było to wezwanie na uroczystość pogrzebową. Gromada biednych ludzi w żałobie weszła przez bramę, przepasanych białemi wstęgami; były to bowiem zwłoki jakiéjś młodéj osoby, któréj na ostatni spoczynek w grobie towarzyszyli.

Z głową odkrytą stanęli u grobu, a matka, ... matka i nic więcéj,..... pomiędzy nimi gorżkie łzy wylewała. —

Ale słoneczko jasno świeciło, a ptaszki wesoło sobie śpiewały.

Oliwer powrócił do domu, pomnąc na tę dobroć serca i te dobrodziejstwa, które mu ta dziewczyna młoda tylekrotnie świadczyła, i najgorętsze życzenia śląc do nieba, żeby jak najprędzéj wyzdrowiała, i ten czas jeszcze powrócił, w którymby jéj co chwila mógł do-

wieść, iż ją nigdy kochać i wdzięcznym być nie przestanie.

On żadnéj przyczyny nie miał najmniejsze wyrzuty sobie robić względem zaniedbania lub braku troskliwości i przychylności dla niéj, gdyż on czas swój cały jéj usługom tylko poświęcał; jednak mu się tysiączne okoliczności teraz przypominały, w którychby nieco gorliwszym, nieco skorszym w dopełnieniu jéj poleceń mógł się był okazać;.... tak przynajmniéj teraz sądził, i szczerze tego pragnął, żeby to był mógł o sobie powiedzieć.

Powinnibyśmy zawsze troskliwie na to zważać, jak się z tymi obchodzimy, z którymi żyjemy, ponieważ śmierć każda w kółku małém przy życiu zostających takie gorżkie, dręczące myśli wznieca o tém, ileśmy uczynić opuścili, a jak małośmy dla nich uczynili,.... jak wieleśmy zapomnieli, a jak mało wynagrodzili, że te wspomnienia do najprzykrzejszych naszego życia należą.

Żaden wyrzut nie jest tak gorżki, żaden żal tak smutny, dręczący, jak ten, jeżeli czegoś naprawić nie możemy. Jeżeli sobie zatém mąk oszczędzić pragniemy, powinniśmy o wszystkiém zawczasu pamiętać.

Gdy Oliwer do domu powrócił, zastał panią Maylie siedzącą w małym przedpokoiku. Na widok jéj odwaga Oliwera opuściła i trwoga serce jego przejęła, gdyż staruszka dotąd jeszcze ani na chwilkę od łóżka swéj siostrzenicy nie odstąpiła, i z drżeniem nad tą odmianą pomyślał, która ją do tego skłonić mogła.

Od niéj się tedy dowiedział, iż dziewczyna w sen

głęboki wpadła, z którego albo zdrowa się obudzi, albo też dla tego jedynie, aby wszystkich pożegnać i umrzeć.

Godziny całe tutaj siedzieli w niespokojności i trwodze, bojąc się nawet słówko jedno do drugiego przemówić. Potrawy nietknięte odnoszono, a z okiem po którém widać było, że ich myśli czém inném są zajęte, spoglądali na słońce, które coraz niżéj opadało i nakoniec ziemię i niebo tym blaskiem różowym pokryło, który jest przepowiednią i zwiastunem jego zachodu. —

Ucho ich bystre uchwyciło wkrótce odgłos zbliżających się kroków, i oboje poniewolnie ku drzwiom się rzucili, gdy pana Losberne wchodzącego spostrzegli.

— Jakżeż z Rózią? — zapytała skwapliwie staruszka. — Proszę mi to od razu powiedzieć! Wszystko łatwiéj zniesę, jak zwłokę i niepewność. O powiedz mi, powiedz, na miłość Boga cię zaklinam!

— Niech się pani cokolwiek uspokoi, — ozwał się lekarz, odprowadziwszy ją do krzesła, na którém usiadła. — Chciéj się pani uspokoić, droga pani Maylie.

— Puść mnie, puść, na miłość Boga! puść! — jęknęła pani Maylie. — Moje drogie dziecko! Już umarła! Umiera!

— Nie! — zawołał lekarz z zapałem. — Ten Ojciec w niebie łaskawy i dobrotliwy ulitował się nad nią, a ona długo jeszcze na pociechę naszą żyć będzie.

Staruszka padła na kolana, i chciała złożyć swe drżące ręce; ale ta siła, która ją tak długo wspierała, opuściła ją za pierwszém dziękczynieniem, a ona w tył upadła w te ręce przyjacielskie, które ku niéj wyciągnięto, aby ją uchwycić.

ROZDZIAŁ VI.

Pewne szczegóły o pewnym młodzieńcu, który się teraz po raz pierwszy na widowni pojawia, i o pewnym wypadku, który się Oliwerowi wydarzył.

Było to jednak za wiele szczęścia prawie dla nich.

Oliwer stanął jak wryty, otumaniony, na tę wiadomość niespodziewaną; osłupiały, nie mógł ani płakać, ani mówić, ani téż na miejscu ustać. Zaledwie że tyle przytomności jeszcze zachował, iż to rozumiał, co się stało, i nie przyszedł pierwéj do siebie, dopokąd się na świeżém powietrzu w chłodzie wieczornym przez czas niejaki nie przeszedł, strumień łez obfity z ócz się mu nie puścił i sercu jego nie ulżył; wtedy dopiero pojął dokładnie całą pocieszającą zmianę w chorobie Rózi, i uczuł, iż wielki ciężar mu przez to z serca zdjęto.

Noc już zapadła, kiedy powracał do domu z téj wycieczki wieczornéj, obładowany mnóstwem kwiatów,

troskliwie nazbieranych, i na ubranie pokoju choréj przeznaczonych. Kiedy tak drogą pośpieszał, dosłyszał za sobą turkot powozu, z niezwykłą szybkością ku niemu się zbliżającego.

Gdy się obejrzał, spostrzegł, że to był powóz pocztowy, który szybko pędził; a że konie cwałem biegły, a droga w tém miejscu była bardzo wązka, musiał się na chwilkę do drzwiczek po drodze przytulić, dopokąd go ten powóz nieminął.

Kiedy mimo niego przegonił, Oliwer rzuciwszy weń szybkie spojrzenie, dostrzegł jakiegoś mężczyznę w białéj szlafmycy na głowie, którego oblicze mu się znane być dawało, lubo tak szybko przejechali, że mu niepodobna było tak prędko sobie go przypomnieć.

Lecz za chwilkę owa szlafmyca przez drzwiczki od powozu się wysunęła, a głos stentora na woźnicę wrzasnął, aby się zatrzymał, co też i ten natychmiast uczynił, skoro mu się tylko konie wstrzymać udało; a wtedy owa szlafmyca na nowo się pojawiła, i tenże sam głos Oliwera po imieniu zawołał.

— Hola! hola! — wołał głos; — panie Oliwer, cóż słychać?...... panna Róża?......jakżeż z nią, O-li-we-rze?

— Czy to wy, Giles?

Zawołał chłopczyna, biegnąc ku niemu do pocztowego wozu.

Giles jeszcze raz szlafmycę swoję z powozu wysunął, znak, że coś chciał powiedzieć, lecz go jakiś młodzieniec, który w drugim kącie powozu siedział, nagle w tył usunął, i skwapliwie Oliwera zapytał, co słychać nowego?

— Powiedz krótko, — zawołał ten młodzieniec, — czy lepiéj lub gorzéj?

— Lepiéj, lepiéj, o wiele lepiéj! — odpowiedział Oliwer żywo.

— Dzięki Bogu! — zawołał młodzieniec. — Czy tylko pewnie?

— Pewnie, pewnie panie! — odpowiedział Oliwer. — Ta zmiana nastąpiła dopiero przed parę godzinami, a pan Losberne powiedział, iż wszelkie niebezpieczeństwo już minęło.

Nieznajomy ani słówka na to nieodpowiedział, lecz drzwiczki od powozu szybko otworzył, wyskoczył, i chwyciwszy Oliwera za rękę, cokolwiek na stronę go odprowadził.

— Czyś nam szczerą prawdę powiedział? ..... czyś się niedał może jakim pozorem lub błędném doniesieniem ułudzić! — pytał go nieznajomy młodzieniec drżącym głosem. - - Błagam cię, niewprowadzaj mię w rozpacz, wzbudzając we mnie nadzieje, któreby się potém niespełniły.

— Za cały świat bym tego uczynić niechciał, panie, — odpowiedział Oliwer. — Pan mi możesz jednak zaufać. Słyszałem dokładnie, jak pan Losberne sam powiedział: ona jeszcze długo żyć będzie na pociechę naszą. Są to jego własne słowa.

Oczy Oliwerowi łzami zabiegły na wspomnienie téj chwili, która był początkiem tak wielkiego szczęścia, a nieznajomy młodzieniec twarz swoję odwrócił i przez kilka chwil stał w milczeniu.

Oliwerowi się zdawało, iż łkania płaczu słyszy, ale się lękał przerwać jego myśli jaką uwagą, — gdyż so-

bie jego uczucia dobrze wytłómaczyć umiał, — i stał od niego odwrócony, udając, iż kwiatami swoimi jest zajęty.

Giles, ze swoją białą szlafmycą na głowie, siedział przez ten cały czas na stopniu od powozu, łokciami na kolanach wsparty, i ocierał sobie oczy chustką od nosa niebieską, perkalową, w białe kropeczki.

Że zaś ten poczciwiec wzruszenia nieudawał, dowodem tego były najlepszym czerwone oczy, któremi na nieznajomego młodzieńca spoglądał, gdy tenże do powozu powrócił i do niego przemówił.

— Mnie się zdaje, że lepiéj będzie, jeżeli sam jeden w powozie do mojéj matki pojedziesz, Giles, — rzekł. — Jabym wolał iść zwolna, piechotą, aby trochę czasu zyskać, nim się z nią zobaczę. Możesz jéj powiedzieć, że i ja przyjechałem.

— Proszę mi wybaczyć, panie Henryku! — odparł Giles, osuszając chustką swoją do reszty z łez twarz zapłakaną; — ale ja myślę, czyby to nie lepiéj jeszcze było pocztyliona samego z tém doniesieniem posłać, a jabym panu mocno był wdzięcznym za to. Jabym się niechciał tak, w tym stanie, przed sługami w domu pokazać, jabym u nich wszelką powagę przez to na zawsze utracił.

— Dobrze i tak! — odpowiedział Henryk z lekkim uśmiechem; — możesz uczynić jak ci się podoba. Każ mu pojechać z naszymi tłómokami, jeżeli chcesz, a ty możesz iść z nami. Pierwéj jednak zdejm tę twoję szlafmycę, i wdziej coś przyzwoitszego na głowę, inaczéj nas za szalcńców mieć będą.

Giles, przypomniawszy sobie dopiero to niezwykłe

ubranie głowy, zerwał ono z niéj i schował natychmiast do kieszeni, a z powozu wyciągnął kapelusz i wsadził go na głowę. Poczém pocztylion sam daléj odjechał, a Giles, Henryk Maylie i Oliwer zwolna za nim się udali.

Po drodze Oliwer z ciekawością i przychylnością na nowo przybyłego co chwila spoglądał. Jak się zdawało, mógł mieć dopiero lat dwadzieścia pięć, był średniego wzrostu, oblicza ładnego, powabnego, układu otwartego i nadzwyczajnie zajmującego.

Jednak, nieważając na różnicę, która w ich wieku zachodziła, tyle podobieństwa w nim było do staréj pani Maylie, żeby to Oliwer bez wielkiéj trudności był poznał, gdyby ten młody człowiek sam o niéj, jako matce swojéj był nawet nie wspomniał.

Pani Maylie oczekiwała z utęsknieniem przybycia swego syna u drzwi domu, a powitanie obojga bez wielkiego i rzewnego wzruszenia z obu stron się nie odbyło.

— Ach matko! — szepnął ten młody człowiek; — dla czegóżeś pierwéj do mnie nie napisała?

— Chciałam pisać, — odpowiedziała staruszka; — namyśliwszy się jednak inaczéj, zatrzymałam jeszcze list u siebie, chcąc pierwéj stanowczy wyrok pana Losberne usłyszeć.

— Dla czegóż jednak kochana matko! — zarzucił młodzieniec, — dla czego dopuszczać możliwość tego, co się omal nie stało? Gdyby Rózia była....nie, ja nawet tego słowa wymówić jeszcze bez zgrozy niemogę, ...gdyby choroba jéj była inny obrót wzięła, jakżeż byś sobie saméj ten postępek była wybaczyć mogła?

lub jakżeż bym ja mógł był kiedy na powrót być szczęśliwym?

— Gdyby się *to* było stało, mój Henryku, — odparła pani Maylie, — to się obawiam, żeby twoje szczęście rzeczywiście było zniszczone było, a czybyś wtedy o parę dni prędzéj lub późniéj był przyjechał, toby na twoje serce bardzo mały wpływ było miało.

— Któżby się temu mógł dziwić, jeżeliby to w istocie prawdą było, kochana matko? — odpowiedział młodzieniec; — ale dla czegóż ci mam mówić, *jeżeliby,* ....ono jest ...jest....jest już w istocie prawdą,....a ty o tém wiesz dobrze, kochana matko,..... ty musisz nawet o tém wiedzieć....

— Ja tylko o tém dobrze wiem, że ona na miłość najgorętszą i najczystszą zasługuje, do jakiéj tylko serce mężczyzny jest zdolne, — rzekła pani Maylie. — Ja wiem że poświęcenie i przywiązanie tkliwe jéj serca nie zwyczajnéj wzajemności, ale głębokiéj, wiecznéj wymaga. Gdybym tego przekonania niemiała, i o tém również nie wiedziała, że przy najmniejszéj zmianie w przywiązaniu tego, którejby jéj życie chciał poświęcić, serce by jéj pękło, obowiązek, którym na siebie nałożyła, nie byłby dla mnie tak trudnym do wypełnienia, anibym też tyle z sobą walczyć niepotrzebowała, aby nieodstąpić od téj drogi, którą sobie wyznaczyłam, i od tego, com za powinność moję uznała.

— To jest wyrok surowy, kochana matko! — odpowiedział Henryk. — Czyliż możesz przypuścić, abym tak wielkiém jeszcze był dzieckiem, i serca mego własnego nieznał, lub też uczuciami swojemi się łudził?

— Kochany synu! — odparła pani Maylie, kła-

dąc rękę na jego ramieniu, — ja tylko wiem o tém, iż młodość nie jedno piękne i szlachetne uczucie posiada, które do końca nie wytrwa; i że pomiędzy temi bardzo wiele takich się znajduje, które natychmiast ulatują, skoro tylko swego zaspokojenia dostąpią. Szczególnie zaś, — ciągnęła staruszka, wlepiając oczy w oblicze swego syna, — jeżeli młodzieniec namiętny, zapalony, dumny żonę posiada, na któréj imieniu najmniejsza plamka spoczywa, a tę plamkę, lubo nie jest wcale jéj winą, ludzie serca zimnego i brudnego za zbrodnię jéj poczytać, przy zdarzonéj sposobności nie tylko jéj saméj, ale i dzieciom przykry wyrzut z niéj zrobić, i w stosunku prostym do jéj powodzenia w świecie, za powód do szyderstwa i najgrawania się dotkliwego użyć by mogli;....wtedy bowiem mógłby ów młody człowiek, niechaj serce najszlachetniejsze nawet posiada,....tego związku żałować, który w młodości swojéj zawarł, a *ona* téj boleści okropnéj doznać, żeby poznała, iż on tego żałuje.

— Matko! — odparł młodzieniec niecierpliwie, — gdyby to ów młody człowiek uczynił, okazałby przez to, iż jest człowiekiem samolubnym, gburem nieokrzesanym, niegodnym tego nazwiska męża, równie jak i téj kobiety, którą opisałaś.

— *Teraz* jeszcze tak myślisz, Henryku, — zarzuciła staruszka.

— I zawsze tak myśleć będę, — odpowiedział młodzieniec. — Udręczenie serca i ta trwoga okropna, któréj w tych dniach ostatnich doznałem, wydziera mi szczerze wyznanie miłości, która, jak ci saméj wiadomo, kochana matko, nie od kilku dni dopiero powstała,

lub też przez lekkomyślność w sercu mojém się zagnieździła. Do Rózi, tego anioła dobroci, powabu, serce moje tak mocno przylgnęło, jak tylko serce mężczyzny do kobiety przylgnąć może. Bez niéj niema dla mnie żadnéj myśli, żadnéj nadziei, żadnego widoku, żadnego nawet życia na tym świecie; a jéżeli mi w tych uczuciach najmniejszy opór stawisz, wydrzesz mi całą moją spokojność, całe szczęście moje i zniszczysz życie moje na wieki! Matko! sądź lepiéj o tém i o mnie, i niezapoznawaj tego uczucia gorącego, namiętnego, które ci się tak błahe być wydaje.

— Ach Henryku, — odpowiedziała pani Maylie, — właśnie *dla tego*, że serca i uczucia gorące tak wysoko cenię, chciałabym im zranienia oszczędzić. Ale dość tego na teraz, więcéj nawet jak dosyć o tych rzeczach.

— Zostawże więc Rózi zupełne rozstrzygnięcie, — dodał Henryk. — Spodziewam się, kochana matko, iż twego zdania wygórowanego tak daleko nieposuniesz, abyś mi jakie przeszkody stawiać miała?

— Nie, tego nieuczynię! — odpowiedziała pani Maylie; — życzyłabym sobie jednak, abyś rozważył....

— Jużem wtedy wszystko dobrze *rozważył!* — odparł Henryk z niecierpliwością, — gdym do tego wieku doszedł, żem w ogóle do rozwagi się stał zdolny. Lecz uczucia moje zawsze te same pozostały, niezmienne, niezachwiane. Dla czegóż więc mam znosić męczarnie niepotrzebnéj zwłoki, jeżeli ta żadnéj zmiany zdziałać nie potrafi, i żadnéj korzyści przynieść nie zdoła? Nie! nim ten dóm raz jeszcze opuszczę, Rózia mię koniecznie wysłuchać musi.

— Dobrze, niechaj cię wysłucha! — rzekła na to pani Maylie.

— Z téj odpowiedzi twojéj, kochana matko, wnosić by mi wypadało, że mię ona bardzo zimno przyjmie? — ozwał się młodzieniec z pewną trwogą.

— Nie, wcale nie zimno! — odparła staruszka, — jestem pewna, że nie!

— Jakżeż więc inaczéj? — nalegał młodzieniec; — spodziewam się przecież, iż żadnych innych stosunków niezawiązała?

— Nie, nie! — odpowiedziała matka. — O ile ja poznać mogłam, to miłość twoja z jéj sercem zrosła! — Jedno ci jeszcze przypomnieć chciałam, mój synu, — prowadziła daléj staruszka, przerywając synowi, gdy się do odpowiedzi zabierał; — to jest: abyś pierwéj, najdroższy synu! cały bieg życia Rózi sobie przypomniał, i nad tém dobrze się zastanowił, jaki wpływ wiadomość o jéj wątpliwym rodzie na jéj postanowienie wywrzeć może,......nim całą twoję przyszłość na szali postawisz,...... i w sercu swojém nadzieje najwyższe wzbudzisz;......zwłaszcza jeżeli uwagę na to zwrócimy, z jakiém przywiązaniem, jakiém poświęceniem niewypowiedzianém nam jest oddana, do jakich uczuć wzniosłych i szlachetnych serce jéj we wszystkiém, w rzeczach najdrobniejszych nawet jest zdolne, co już od dawna najcelniejszém znamionem i cechą jéj było.

— Cóż pod tém rozumiesz, kochana matko?

— To już sam odgadnąć musisz, kochany synu, — odpowiedziała pani Maylie, — ja zaś muszę do Rózi powracać. Niech cię Bóg pobłogosławi.

— Czy się będę jeszcze raz z tobą widział tego wieczora, kochana matko? — spytał młodzieniec żywo.

— Może, — odpowiedziała staruszka, — jeżli od Rózi odejść będę mogła.

— Czy jéj powiesz, że ja tu jestem? — spytał Henryk.

— Nieinaczéj, — odpowiedziała pani Maylie.

— I o tém, jak byłem o nią stroskany, strwożony? ile dla niéj wycierpiałem? i jak tęsknie za tém, ... aby ją jak najprędzéj zobaczyć?.. czyż i o tém jéj powiesz, droga, kochana matko?

— Powiem jej, powiem to wszystko!

Odpowiedziała staruszka, i uściskawszy syna serdecznie, wybiegła śpiesznie z pokoju.

Podczas téj rozmowy Henryka z matką, pan Losberne i Oliwer zostawali tymczasem na przeciwnéj stronie domu, rozmawiając z sobą.

Gdy Henryk do nich się zbliżył, lekarz mu rękę podał, i obaj się nawzajem szczerze powitali. Młodzieniec niecierpliwością pożerany i trwogą dręczony, tysiączne pytania względem stanu zdrowia mu zadawał, a lekarz mu w odpowiedzi cały stan obecny choroby wyjaśnił, co wszelkie nadzieje jego, które przy opowiadaniu Oliwera powziął, zupełnie potwierdziło, i serce jego szczęściem niewysłowioném przepełniło.

I Giles przysłuchiwał się temu wszystkiemu z wielką ciekawością, udając jednak, że wyłożeniem rzeczy z tłomoka troskliwie jest zajęty.

— Czyś nie zastrzelił znowu coś szczególnego, Giles? — zapytał go lekarz, skończywszy swoje opowiadanie.

— Nic szczególnego, panie!
Odpowiedział Giles, spłoniwszy się aż po uszy.
— Czyś żadnego złodzieja więcéj nie schwytał, albo też jakiego chłopczynę za takiego nieudał? — pytał daléj lekarz złośliwie.
— Nic, wcale nic! — odpowiedział Giles z nadzwyczajną powagą.
— To mi bardzo przykro, — rzekł lekarz, — gdyż jak wiem, to wielką zręczność w tém posiadasz. Jakżeż się ma Brittles?
— Ten chłopiec sie ma bardzo dobrze, panie, — odpowiedział Giles z zwykłą swoją powagą łaskawcy, — i zasełał swe najniższe ukłony.
— Bardzo dobrze! — odpowiedział lekarz; — a widząc cię tutaj, panie Giles, właśnie sobie przypominam, żem na dzień przedtém, nim mię tutaj tak nagle przywołano, stósownie do życzenia twéj dobrotliwéj pani, mały sprawunek dla ciebie uskutecznił. Zbliżże się do mnie tutaj na chwilę!

Pan Giles udał się z lekarzem w kącik wskazany z wielką powagą i niejakiém zadziwieniem, gdzie go Losberne krótką i tajemną rozmową zaszczycił; po ukończeniu tejże Giles się kilkakrotnie nizinteńko skłonił, i odszedł z dumą niezwykłą w postawie, spojrzeniu i chodzie.

O przedmiocie téj rozmowy potajemnéj ani słówka w pokoju nie wspomniano, lecz w kuchni za to o wszystkiém natychmiast się dowiedziano, gdyż pan Giles prosto do niéj się udał, kazał sobie zastawić kubek spory piwa, i zapowiedział z pewną wspaniałością i tajemniczością wyniosłą, która pomyślnego wrażenia na

słuchaczach zrobić nieomieszkała, że się pani jego podobało, ze względu na jego tak piękne zachowanie się i odwagę podczas owéj nocy, któréj złodziejstwo popełnić zamyślano, w kasie oszczędności w Chertsey dwadzieściapięć funtów szterlingów złożyć, które dla niego są przeznaczone.

Służące, słysząc tę wiadomość, oczy szeroko wytrzeszczyły, ręce z zadziwienia załamały, i oświadczyły, że pan Giles teraz zapewnie bardzo spysznieje; lecz pan Giles, poprawiwszy sobie lepiéj kryzę od pułkoszolka, na to odpowiedział: iż wcale nie!....i gdyby tylko kiedykolwiek spostrzeżono, iż przeciwko swoim podwładnym dumnie występuje, aby go natychmiast o tém ostrzeżono, a on się bardzo wdzięcznym téj osobie okaże, która to uczyni.''

Poczém wiele jeszcze podobnych uwag uczynił, chcąc przez to dowieść, iż wcale dumnym nie jest, które z największém upodobaniem i przychylnością przyjęto, a które rzeczywiście tak były dobitne, dowcipne, i uderzające, jak uwagi ludzi wielkich zwykle bywają.

I na górze resztę wieczora dość wesoło przepędzono; lekarz był albowiem w bardzo wesołém usposobieniu, a Henryk Maylie, pomimo znużenie swoje tak szybką podróżą i ciągłe zamyślenie, nie mógł się jednak oprzeć żartobliwości tego poczciwego człowieka, która się tysiącznemi dowcipami, licznemi wspomieniami z jego praktyki, i mnóstwem zabawnych żartów objawiała, które Oliwer za rzeczy najśmieszniejsze uważał, jakie się mu kiedykolwiek w życiu słyszeć zdarzyło, i w skutek tego z nadzwyczajném zadowoleniem poczciwego lekarza na całe gardło się z nich śmiał, który się sam

również tak serdecznie śmiał, że i Henryk Maylie, przez sam przykład zaraźliwy serdecznie się śmiać musiał.

Tak więc wesoło wieczór cały pospołu przepędzili, jak dalece śród podobnych okoliczności wesołemi być mogli, i już późno w nocy było, kiedy się rozłączyli, aby się z sercem ulżoném i wdzięcznością dla Boga przepełnioném na spoczynek udać, którego wszyscy po tylu troskach i trwodze, która ich przez te kilka ostatnich dni nękała, niezbędnie potrzebowali.

Oliwer wstał nazajutrz daleko weselszy, i z daleko większą nadzieją i przyjemnością do swych zatrudnień zwyczajnych się udał, jak kiedykolwiek w ostatnim czasie. Klatki z ptakami w oknach pozawieszano, aby na powrót na dawném miejscu śpiewały, a kwiatów polnych najpiękniejszych, najmiléj pachniących nazbierano, aby się Rózia ich widokiem, ich wonią cieszyć i poić mogła.

Jakby ruszczką czarodziejską usunięta, znikła ta ponura powłoka, która przez wiele dni w oczach smutkiem i trwogą dręczonego chłopca każdy przedmiot, choćby nawet był najpiękniejszy, pokrywała.

Zdawało się mu, że krople rosy [daleko jaśniéj, świetniéj błyszczą na swych liściach zielonych, iż powietrze z nimi igrając, daleko miléj szeleści, i niebo same nawet daleko błękitniéj, daleko piękniéj i jaśniéj wygląda.

Taki wpływ wywiera nasze własne usposobienie umysłu i uczucia nasze na pogląd zewnętrznego świata. Ludzie, którzy na świat i swych braci spoglądają, i mówią, iż wszędzie ciemno i ponuro, słusznie twierdzą; lecz te ciemne, ponure barwy są skutkiem i odbiciem

ich własnych oczu chorobliwych i serc żółcią przepełnionych. Barwy rzeczywiste, prawdziwe, są jasne i czyste, lecz aby je dostrzedz, trzeba na to oka i serca zdrowego, jasnego.

Na szczególniejszą uwagę ta okoliczność zasługuje, którą także i Oliwer uczynić nieomieszkał, iż swoich wycieczek porannych samotnie więcéj nieodprawiał.

Skoro tylko bowiem Henryk Maylie pierwszego zaraz poranku Oliwera nimi obładowanego zobaczył, takie namiętne zamiłowanie do polnych kwiatów go pochwyciło, a on tyle troskliwości w zbieraniu i tyle dowcipu, uczucia piękna w urządzaniu wiązanek z nich rozwijał, iż w krótce Oliwera daleko prześcignął.

Lubo zaś Oliwer w téj mierze niższym był od niego, daleko lepiéj natomiast znał owe miejsca, na których się najpiękniejsze znajdowały, a oni obaj co rano okolicę całą za nimi przebiegali, i najpiękniejsze z kwitnących do domu z sobą przynosili.

Teraz już i okna od pokoju Rózi otwierano, gdyż ona za miłym, ciepłym wietrzykiem lata stęskniła, i lubiała się pokrzepić jego świeżością wonną; kwiaty zaś układano w wodę, i stawiano na oknie, na małéj do tego przyrządzonéj wystawie, a co rano świeżą wiązankę z szczególną troskliwością dla niéj uwito, i w oknie postawiono.

Oliwer jednak bardzo dobrze to spostrzegł, iż kwiatów zwiędłych nigdy nie wyrzucano, lubo naczynie, w którym stały, co rano było próżne, i co rano świeżą wiązanką przyozdobione; równie i to baczności jego nie uszło, iż lekarz podczas swych rannych przechadzek po ogrodzie za każdą razą okiem w tę stronę

rzucił, i zawsze przytém z wielkim wyrazem głową kiwnął.

Śród tych uwag dzień za dniem szybko mijał, a Rózia coraz bardziéj i prędzéj do zdrowia przychodziła.

Oliwerowi jednak pod ten czas nie bardzo się dłużyło, lubo dziewczyna z pokoju jeszcze nie wychodziła, a przechadzki ich wieczorowe ustały, chyba czasami z panią Maylie, która na czas krótki kiedy niekiedy w pole wychodziła.

Oliwer się przykładał tymczasem z podwójną pilnością do nauki u owego siwego staruszka, i tak wytrwale pracował, że się sam nad swemi podstępami dziwił. Tą pracą właśnie pewnego razu był zajęty, kiedy go nagle wydarzenie najmniéj spodziewane przeraziło i trwogą nabawiło.

Pokoik, w którym zwykle siadywał, jeżeli pisaniem i nauką był zajęty, znajdował się na dole, w tyle domu, i miał okna na ogród. Pokoik ten wyglądał na małą ogrodową altankę, z żaluzyjami u okień, jaśminem, powojem, które go swą miłą wonią napełniały. Okno wychodziło na ogród, a drzwi małe prowadziły na małą niwę; po za tém były same łąki i lasy. Z téj strony niebyło żadnéj innéj budowli, widok cały był przeto bardzo obszerny.

Pewnego pięknego wieczora, kiedy już pierwsze cienie zmroku zapadać zaczęły, Oliwer sobie siedział przy tém okienku, zajęty czytaniem pilném książki. Przez czas niejaki bardzo pilnie się uczył; ale że w dzień był wielki upał, a on tego dnia wiele mając do czynienia, mocno się ubiegał, nie jest to przeto żadnym nad-

zwyczajnym wykrętem autora, jakby się nie jednemu może zdawało, jeżeli powie, że go powoli rozmarzyło, i on wkrótce usnął.

Jest rodzaj snu, który nas czasami opanuje, i lubo ciało w więzy swoje ujmie, umysłu jednak zdolności uchwycenia tego, co się koło nas dzieje, wcale niepozbawia, ale owszem, swobodnie mu bujać pozwala.

Jeżeli znużenie, któremu się oprzeć niemożemy, upadek sił wszelkich, zupełna bezwładność i niezdolność czuwania nad własnemi myślami lub poruszeniami snem nazywać się może, więc i ów stan jest nim w istocie; zachowujemy jednak przytém świadomość tego wszystkiego, co się w koło nas dzieje, a w sennych marzeniach naszych nawet stósują się słowa, które w istocie w pobliżu nas wyrzeczono, głosy téj chwili rzeczywiście się odzywające, z taką zadziwiającą i szczególną trafnością do owych marzeń naszych, iż rzeczywistość i wyobraźnia w końcu tak dziwnie z sobą się zlewa, że to jest potém niepodobieństwem zupełném z sobą je rozłączyć.

To nie jest jeszcze zjawiskiem najdziwniejszém w podobnym stanie.

Jest to rzeczą pewną, dowiedzioną, że lubo zmysły nasze słyszenia i widzenia na czas niejaki zasypiają, już *sama milcząca przytomność* jakiegokolwiek zewnętrznego przedmiotu, który się wcale w pobliżu nas nieznajdował, kiedyśmy oczy nasze zamknęli, o którego obecności czuwając najmniejszéj świadomościśmy niemieli, jednak wpływ wielki i stanowczy nawet na nasz umysł spiący, i owe obrazy senne, które się przed okiem naszéj duszy przemykają, wywiera.

Oliwer o tém bardzo dobrze pamiętał, iż był w swojém własném małém pokoiku, że książki jego przed nim na stole leżały, i lekki, ciepły wietrzyk zielonym liściem roślin zewnątrz poruszał, szeleściał, — a jednak snem ujęty spoczywał.

Nagle ten obraz cały się zmienia; powietrze staje się ciężkie, parne, duszące, a on ze zgrozą i przestrachem spostrzega, iż się na powrót w izbie Żyda znajduje. Oto siedział ten starzec okropny, haniebny, jak zwykle w swoim kącie, wskazując palcem na niego, i szepcąc coś do jakiegoś nieznajomego, który z twarzą odwróconą koło niego siedział.

— Cicho mój drogi, cicho! — zdawało mu się, iż Żyda mówiącego słyszy, — to on, z pewnością to on! Chodźmy, chodźmy z tąd!

— Tak jest, on! — zdawało się mu, iż ten drugi odpowiada; — czyliż sądzisz, żebym się mógł pomylić? Gdyby sto sysięcy djabłów w ciała zupełnie do niego podobne, się ubrało, a on pomiędzy nich się zaplątał, toby mię jakieś wewnętrzne poczucie natychmiast ostrzegło, gdzie stoi, i gdzie go szukać. Gdybyście go na pięćdziesiąt stóp głębokości w ziemi zakopali, i mnie przez jego grób poprowadzili, to go natychmiast wskażę, chociażby żaden znak, ślad najmniejszy go niezdradził.

Ten człowiek to z taką złością i nienawiścią okropną mówić się zdawał, iż się Oliwer z przestrachu samego nagle obudził i na nogi zerwał.

Wielki Boże! cóż to się takiego stało, że wszystka krew do serca się mu ciśnie, głos mu zapiera, i wszelkiego ruchu go pozbawia!.... Tam, ... tam .... pod oknem,.... tuż przed nim,....i to tak blizko, ...żeby się

go był mógł dotknąć, nim od niego odskoczył, ... stał do izby spoglądając, spotkawszy się z wejrzeniem jego, ...Żyd, a przy nim, blada z wściekłości, lub bojaźni, lub też z jednego i drugiego, dała się widzieć twarz złośliwa, przeraźliwa, tego samego człowieka, który go pewnego razu w bramie domu gospodniego nadybał.

Była to jedynie chwilka, mgnienie oka, połysk przed jego oczyma, i już ich niebyło!

Lecz oni go poznali, i on ich także, a spojrzenie ich tak się w jego pamięć wbiło, jakby ono w kamieniu było wykute i od kolebki ciągle przed jego oczyma stało. Przez chwilę stał jakby piorunem rażony, potém zaś wyskoczył przez okno na ogród, i zaczął głośno o pomoc wołać.

ROZDZIAŁ VII.

Zawiera niezadawalniający wypadek Oliwera przygody i rozmowę wielkiéj wagi między Henrykiem Maylie i Rózią.

Gdy mieszkańcy domu na ten głośny krzyk Oliwera z domu śpiesznie wypadli, i na ów trawnik przybiegli, na którym się znajdował, spostrzegli go okropnie bladego, drżącego na całém ciele, wskazującego na łąki po za domem, i tąk przęstraszonego, że zaledwie wybełkotać zdołał: Żyd! Żyd!

Giles niemógł się natychmiast dorozumieć, co to wołanie ma znaczyć, lecz Henryk Maylie, którego pojęcie było nieco żywsze, a który cały bieg życia Oliwera od swéj matki słyszał, zrozumiał ono natychmiast.

— Którędyż uciekli?

Zapytał, chwytając za gruby kostur, stojący w kącie.

— Tędy! tędy! — odpowiedział Oliwer, wskazując na okolicę, w którą się owi dwaj ludzie udali. — Dopiero com ich z oczu stracił.

— Muszą być jeszcze zatém w rowie! — zawołał Henryk. — Chłopcy za mną! a trzymajcie się mnie tak blisko, jak tylko możecie!

To wyrzekłszy, przeskoczył przez opłotek, i pobiegł daléj z taką szybkością, iż dla reszty bardzo trudno było blizko niego się trzymać.

Giles biegł za nimi tak prędko jak tylko mógł, i Oliwer także, a w kilka chwil późniéj Losberne, który właśnie ze swojéj przechadzki powracał, i o téj gonitwie szczególnéj usłyszał, przetoczył się także przez płot, padł na ziemię, zerwał się z niéj z daleko większą zwinnością, jak sam myślał, pogonił za nimi tą samą drogą z szybkością niepospolitą, i wołał przytém na całe gardło, aby się tylko jak najprędzéj dowiedzieć, co się takiego stało.

Wszyscy biegli i biegli coraz daléj, i niezatrzymali się ani na chwilkę aby odetchnąć, dopoką ich dowódźca do rogu pola przez Oliwera wskazanego niedobiegł, i rów i płot przypierający troskliwie i starannie oglądać i śledzić niezaczął; przez co reszta goniących na tyle czasu zyskała aby do niego dobiedz, a Oliwer, aby całą rzecz lekarzowi wyjaśnić, i tę przyczynę mu udzielić, która tak zaciekłéj gonitwy powodem była.

Wszelkie poszukiwania były nadaremne. Nigdzie ani śladu świeżego stóp ludzkich niebyło można ustrzedz. Stali właśnie na szczycie małego wzgórza, z którego widok był obszerny na całą okolicę, o kilka mil (angielskich) przynajmniéj w każdym kierunku na pola czyste i łąki. Na lewo leżała wioska w dolinie, lecz niepodobieństwem było, aby się do niéj byli dostać mogli, jeżeli w tym kierunku uciekali, który Oliwer późniéj

wskazał; musieli bowiem w takim razie przebyć pole otwarte dość znacznéj objętości, a tego w tak krótkim czasie żadną miarą uskutecznić niemogli.

Z drugiéj strony otaczał las gęsty tę łąkę; lecz oni dla tychże samych przyczyn i do tego schronienia żadnym sposobem dostać się nie zdołali.

— To ci się chyba przyśnić musiało, Oliwerze! — rzekł do niego Henryk Maylie, biorąc go na bok.

— Ach nie! nie! dobry panie! — odpowiedział Oliwer, wzdrygnąwszy cię cały na samo wspomnienie odrażającego oblicza starego Żyda; — ja go za nadto jasno widziałem, aby to mógł być li tylko sen złudny. Widziałem ich obu tak wyraźnie przed sobą, jak pana teraz widzę.

— Któż to był ten drugi? — zapytali razem Henryk i pan Losberne.

— Tenże sam człowiek, o którym już raz panu powiedziałem, że mię w karczmie w mieście nadybał, i tak okropnie na mnie się wściekał, — odpowiedział Oliwer. — Myśmy oba bystro na siebie spojrzeli, a jabym mógł przysiądz, że to on.

— I tą drogą uciekli? — pytał daléj Henryk; — jestżeś tego pewnym?

— Tak pewnym jak tego, żem ich obu przy oknie przed sobą widział, — odpowiedział Oliwer, wskazując gdy to mówił na płot, który ogród domu od łąk odgradzał. — Wyższy z nich obu przeskoczył w tém miejscu oto, a Żyd pobiegł o kilka kroków daléj na prawo, i przez tę dziurę oto w płocie się przecisnął.

Henryk i Losberne spoglądali obaj uważnie, bystro, na Oliwera oblicze, gdy im to opowiadał, spojrzeli

potém na siebie wzajem, i zdawali się być zadowolnieni tą pewnością i stanowczością, z jaką to mówił. Lecz w żadnym kierunku nie było ani widzieć śladu, ani też słyszeć odgłosu stąpań uciekających ludzi.

Długa, wysoka trawa pokrywała ziemię, lecz nigdzie nie było widać śladu podeptania, wyjąwszy ślady stóp ich własnych, tam, gdzie sami przechodzili. Brzegi i ściany rowu były z mokréj gliny, lecz nigdzie nie było widać ani śladu męzkiego buta, lub też najmniejszego znaku, któryby o tém świadczył, że noga ludzka tędy od wielu dni chodziła.

— To rzecz szczególna! — zawołał Henryk.

— W istocie, iż szczególna, — odpowiedział doktor. — Blathers i Duff sami by nawet nie wiedzieli, co o tém myśleć mają.

Pomimo widoczną bezskuteczność poszukiwań swoich jednak w nich nie przestawali, dopokąd zmrok wieczorny wszelkie śledztwo dalsze niepodobném nie uczynił; lecz i wtedy jeszcze bardzo im przykro było, że ono zaniechać musieli.

Giles, odebrawszy rysopis najdokładniejszy, jaki tylko o wyglądzie i powierzchowności tych obu nieznajomych Oliwer mógł dać, został wysłany do różnych domów zajezdnych i karczem w poblizkich wioskach, aby się o nich wywiedzieć, zwłaszcza, żeby sobie każdy Żyda z łatwością był przypomniał, gdyby gdziekolwiekbądź był wstąpił, aby się pokrzepić lub wypocząć, — lecz do domu powrócił, nie przynosząc ze sobą żadnéj wiadomości, któraby tę tajemnicę wyjaśnić lub rozsypać była mogła.

Na drugi dzień ponowiono z równą troskliwością

wszystkie śledztwa i poszukiwania, lecz skutku pomyślniejszego przez to nie osięgnięto.

Nazajutrz rano Henryk Maylie i Oliwer do poblizkiego miasteczka pojechali w téj nadziei, iż o jednym lub o drugim z tych nieznajomych coś usłyszą, lecz i ten trud był nadaremny; a za kilka dni cały ten wypadek z pamięci wychodzić zaczął, jak się i wiele innych wypadków zapomina, jeżeli zadziwienie i ciekawość coraz to świeżéj ponęty nie ma.

Rózia tymczasem szybko do zdrowia przychodziła. Już sypialnię swoję opuściła, a nawet i z domu kilka razy wyszła, i łącząc się na nowo ściśléj z całym domym, radością i wesołością serca wszystkich napełniała. —

Lubo jednak ta szczęśliwa zmiana wpływ widoczny na to kółko małe wywarła, a głosy weselsze i uśmiech radośny, szczery, nieraz się w tym wiejskim domku słyszeć dawał, były czasy, że na niektórych osobach przymus niezwykły, ... nawet i na saméj Rózi, ... tak był widoczny, iż i samemu Oliwerowi w oczy wpaść musiał.

Pani Maylie i jéj syn zamykali się często na czas dłuższy w swym pokoju, a Rózia się nieraz z świeżym śladem łez na twarzy, oczyma czerwonymi, pojawiała. —

Gdy pan Losberne dzień i godzinę swego odjazdu do Chertsey nakoniec naznaczył, znaki te coraz bardziéj się wzmagały, i coś się widocznie działo, co spokojność młodéj dziewczyny kłóciło i cierpienia innéj osoby pomnażało.

Nakoniec pewnego poranku, gdy się Rózia sama

jedna w pokoiku znajdowała, Henryk Maylie do niéj się zbliżył, i z pewną nieśmiałością o rozmowę w cztery oczy na kilka chwil ją prosił.

— Kilka, ... kilka słów wystarczy całą rzecz ci wyjaśnić, droga Róziu! — rzekł młodzieniec, przysuwając sobie krzesło; — to, co ci mam powiedzieć, to ci już nieraz saméj przez myśl przejść musiało. Nadzieje i życzenia sercu memu najmilsze, najdroższe, nie mogą i tobie być nie znane, luboś ich jeszcze z ust moich ani razu dotąd nie usłyszała!

Bladość nadzwyczajna pokryła oblicze Rózi téj chwili, gdy Henryka wchodzącego spostrzegła, lubo ta nagła zmiana także i skutkiem osłabienia po ostatniéj chorobie być mogła. Skłoniła się tylko i nachyliła głowę na kwiaty, które tuż koło niéj stały, oczekując w milczeniu tego, co jéj mówić zacznie.

— Powinienem .... był .... na tém poprzestać, — ozwał się Henryk.

— Nieinaczéj, ... powinieneś był to uczynić, — odpowiedziała Rózia. — Wybacz mi, że ci to powiadam, ale jabym sobie była życzyła, abyś to był uczynił.

— Trwoga, męki serca najokropniejsze tutaj mię sprowadziły, — mówił daléj młodzieniec; — trwoga, iż mi wypadnie utracić istotę najmilszą, będącą celem wszystkich moich życzeń, nadziei i dążeń. Jużeś blizka śmierci była, ... ważyłaś się pomiędzy tym a tamtym światem. My zaś wiemy, że jeźli istoty młode, dobre i piękne choroba niebezpieczna złoży, duch ich czysty ku swojéj rodzinnéj krainie błogiego spokoju się zwraca, a ztąd pochodzi, że ludzie najlepsi i najładniejsi

w swym kwiecie najczęściéj się z tym światem rozstają. —

Oczy téj powabnéj dziewczyny łzami zabiegły, gdy te słowa z ust Henryka usłyszała, a jedna z nich padła na kwiatek, nad którémi nachylona stała, i zabłysła niby dyjament w jego kielichu, a nadając mu większego jeszcze wdzięku, zdawało się, iż ten kwiat serca młodego, czystego, do pokrewieństwa z najprzyjemniejszą w świecie rzeczą prawo sobie rości.

— Anioł, — ciągnął daléj młodzieniec z uniesieniem namiętném, — istota tak piękna, tak niewinna, niepokalana, jak sami aniołowie w niebie, ważyła się między życiem a śmiercią. O! kiedy ów świat daleki, do którego należy, jéj oku w mgle przeczucia się okazał, któżby wtedy był mógł pomyśleć, że ona troskom i cierpieniom tego tutaj powróconą zostanie! Ach Różo! wiedzieć, że nam masz spełznąć, niby cień mdły, płochliwy, ... który jakieś światełko z nieba na ziemię naszą rzuca; .... niemieć żadnéj nadziei, iż dla tych zachowaną być możesz, którzy tutaj życie swoje pędzą, i nieznać żadnego powodu, dla czego byś tutaj ociągać się miała; ..... wiedzieć i czuć, że owa wzniosła kraina, do któréj już tyle istót wysokich zdolności i wielkich zalet w swém dzieciństwie lub kwiecie młodości z téj ziemi uciekło, twojém właściwém jest mieszkaniem, ... a *jednak* się modlić, abyś tym wróconą została, którzy cię tyle kochają, ... są to myśli, zamysły, które serce człowieka nie tak łatwo przenieść jest wstanie. Te myśli dzień i noc mię dręczyły, a z niemi taki strumień nieprzerwany trosk, żalu i trwogi się cisnął wraz z tą samolubą obawą, iż łatwo umrzeć

możesz i nie wiedzieć, jak gorąco, szalenie się kochałem, że mię omal rozumu nie pozbawił, zmysły nie pomięszał. Wtém zaczynasz przychodzić do siebie,.... dzień w dzień,..... co godzina,.... co chwilka prawie kropla mała zdrowia ci wraca, i łącząc się z słabym, bezsilnym strumieniem życia, leniwie po ciele twojém krążącém, w strumień bystry, silny onego wzbija. Śledziłem dokładnie cały twój przechód od śmierci do życia oczyma, które namiętność i miłość głęboka rosiła. Niemów mi tego zatém, żebyś sobie życzyła, abym o téj miłości był zapomniał, albowiem ona to serce moje na wszelkie uczucia miłe i piękne tkliwą uczyniła.

— Tego nie miałam wcale na myśli, — odparła Rózia płacząc; — ja sobie tylko życzyłam, abyś na tém był poprzestał, i z duszą całą do owych zatrudnień i szlachetnych dążeń się zwrócił, które ciebie są godne.

— Nie ma zatrudnienia mnie godniejszego,...... godniejszego całéj przyrody jaka istnie,.... jak to dążenie do pozyskania serca takiego jak twoje, — odpowiedział młodzieniec, biorąc ją za rękę. — Róziu!..... najdroższa, najmilsza Róziu! lata..... lata całe cię kochałem,..... lata całe spodziewałem się utorować sobie drogę do sławy, z dumą potém do domu wrócić, do nóg ci paść i oswiadczyć, że jéj dla tego jedynie szukałem, aby ją z tobą podzielić, myśląc w marzeniach moich, iż chwili pomyślnéj będę ci mógł przypomnieć wszystkie dowody ciche mego do ciebie przywiązania, i zażartować z ciebie, gdyby rumieniec na twoje lice wywabiły, a potém o rękę cię prosić na dopełnienie niby pewnéj ugody, którąśmy oboje od dawna już, od dziecieństwa jeszcze w milczeniu z sobą zawarli. Ta pora jednak

jeszcze nie nadeszła, ... lecz teraz oto składam u nóg twoich bez sławy, bez urzeczywistnienia moich marzeń młodzieńczych, serce moje, które już od tylu lat dla ciebie jedynie biło, i wszystkie moje nadzieje teraz na szali tych słów kładę, któremi to oświadczenie moje przyjąć zechcesz.

— Twoje postępowanie ze mną było zawsze piękne i szlachetne, — odpowiedziała Róża, tłumiąc w sobie to mocne wzruszenie, które mowa jego w niéj wzbudziła. — Jeżeli więc sądzisz, że nieczułą lub niewdzięczną nie jestem, więc posłuchaj mojéj odpowiedzi.

— Mamże dopiero starań dołożyć, aby na twoję rękę zasłużyć, najdroższa Róziu?

— Tak jest, — odpowiedziała Rózia, — masz starania dołożyć, aby o mnie zapomnieć! ..... nie jako o swojéj dawnéj i przywiązanéj towarzyszce lat młodocianych, toby mię bowiem mocno bolało, ... lecz jako o przedmiocie swéj miłości. Spojrzyj na świat i pomnij na to, ile tam serc istnie, których pozyskanie dla ciebie zaszczytem jeszcze większym być może. Zwierz mi się, jeżeli chcesz, z jaką inną miłością, a znajdziesz we mnie najszczerszą, najotwartszą i najprzychylniejszą przyjaciółkę.

Po tém oświadczeniu nastąpiła chwila milczenia, podczas któréj Rózia twarz sobie jedną ręką zakryła, nie tamując wcale łez swoich obficie płynących.

Henryk zatrzymał drugą.

— A powody twoje do tego Róziu? — rzekł nakonice do niéj cichym głosem, — jakież są powody tego postanowienia, czy mogę o nie zapytać?

— Masz prawo do tego, abym ci je wyjawiła, — odpowiedziała Rózia. — Ty mi i tak nic powiedzieć nie możesz, coby moje postanowienie zmienić zdołało. Jest to obowiązek, którego także dopełnić muszę. Winnam to sobie i drugim.

— Sobie?

— Tak jest, sobie Henryku! Winnam to sobie, ażebym ja, dziewczyna biedna, opuszczona sierota, z plamą na mojém imieniu, nie dała światu żadnego powodu do tego podejrzenia, iż z samolubstwa, nikczemności twoją pierwszą miłość wyłudziłam, i niby ciężar na tobie zawisłam, odciągający cię od wszystkich twoich nadziei i zamiarów. Winnam to tobie i twoim, aby cię uprzedzić i żadną miarą na to nie zezwolić, żebyś tak wielką przeszkodę do wyniesienia się w świecie ze zbytniego zapału i szlachetności serca sobie samemu miał stawiać.

— Jeżeli zaś skłonności twoje zgodne są z uczuciem obowiązku.... — ozwał się Henryk.

— Nie, nie są!.... — odpowiedziała Rózia, mocno zapłoniona.

— Więc na twoję wzajemność w miłości liczyć mogę?..... — ciągnął Henryk. — Na to jedno pytanie mi jeszcze tylko odpowiedz, najdroższa Róziu! to jedno i ostatnie, osłódź przez to zbytnią gorycz tego okrutnego zawodu najmilszych moich nadziei!

— Gdybym to uczynić mogła, niewyrządzając temu, którego kocham, wielkiéj przez to krzywdy, tobym zezwoliła.... — odpowiedziała Rózia. — Byłabym....

— To oświadczenie inaczéj przyjęła, nieprawdaż? — wtrącił Henryk z pośpiechem. — Ach Róziu! po-

wiedz mi prawdę i tego jednego przedemną nie ukrywaj!

— Tak jest! — rzekła Rózia. — Lecz dosyć tego, — dodała, usuwając mu swoję rękę, — dla czegóż mamy przedłużać tę przykrą rozmowę? tak przykrą dla mnie, a jednak tyle szczęścia i przyjemności w sobie mającą! gdyż to *jest* wielkiém szczęściem dla mnie wiedzieć, żem raz przynajmniéj w twém sercu i poważaniu to wysokie miejsce zajmowała, które mi teraz naznaczasz, a każde zwycięztwo nowe, każda chwała, którą się w zawodzie twoim pokryjesz, świeżemi siłami, świeżą stałością i dzielnością mię ożywi. Bywaj zdrów Henryku! zdrów na zawsze! gdyż tak, jak dzisiaj naprzeciwko siebie stoimy, tak już nigdy nie staniemy. Obyśmy jednak długo jeszcze, swobodnie i szczęśliwie wszystkie inne stosunki zachować mogli, wyjąwszy te, w które nas ta rozmowa ze sobą wprowadziła; oby wszelkie błogosławieństwo, które serce szczere, przywiązane modłami swemi u tego na niebie, który jest samą prawdą i dobrocią dla ciebie wyżebrać jest w stanie, wszędzie i we wszystkiém ci towarzyszyło i uszczęśliwić mogło.

— Jedno jeszcze słowo, najdroższa Róziu! — rzekł Henryk. — Powiedz mi powody twoje własnemi słowami! Niech je z ust twoich usłyszę!

— Widoki, które masz przed sobą, — odpowiedziała Rózia stale, — są świetne, wspaniałe. Wszelkie zaszczyty, wszelkie dostojeństwa, które mężczyzna młody przez zdolności wzniosłe, związki pokrewieństwa i przyjaźni wielowładne w swém życiu publiczném osiągnąć zdoła, mogą się stać twoim udziałem, są tobie

dostępne. Lecz ci krewni są dumni, a ja nie chcę wstąpić pomiędzy tych, i wmięszać się do ich grona, którzy ze wzgardą na tę matkę patrzą, co mnie życie dała, ani też niełaski, odrazy ich ściągnąć na syna téj, która z taką dobrocią i łaskawością miejsce téj matki mnie zastąpiła! Słowem, — dodała dziewczyna, odwracając się od niego, czuła bowiem, że ją stałość opuszcza; — słowem, na mojém imieniu cięży plama, za którą świat i niewinnego karze. Niechcę ja tego przekleństwa i wyrzutu dziedzictwem jakiéj innéj istoty uczynić, i wolę go sama znieść i przecierpieć, przeboleć.

— Jeszcze jedno,.... jedno słóweczko, najdroższa Róziu! jedno tylko jeszcze! — zawołał Henryk, padając przed nią na kolano. — A gdybym też nie był szczęśliwym, to jest mniéj szczęśliwym,.... w tém zrozumieniu, w jakiém świat wielki to słowo: *szczęście* bierze,.... gdyby życie spokojne, ciche, nieznane udziałem moim było,.... gdybym był istotą biedną, opuszczoną, samotną, słabowitą,.... powiedz mi, czybyś się i wtedy była odemnie odwróciła? lub też prawo moje do bogactw i dostojeństw to wahanie się, ten opór w sercu twojém wywołało?

— Nie zmuszaj mię do odpowiedzi,.... nie nalegaj na mnie, — odpowiedziała Rózia; — tego pytania w tym przypadku niema i nigdy nie będzie. Jest to niegrzecznie z twéj strony odpowiedzi na to koniecznie teraz odemnie wymagać.

— Jeżeli odpowiedź twoja będzie taka, jakiéj się nawet spodziewać ośmielam, — odparł Henryk, — więc promień szczęścia na samotną, pustą drogę mego życia rzuci, i ciemną ścieżkę, którą mam iść, oświeci.

Nie jest to rzeczą tak małą, błahą, kilku słowami szczeremi, otwartemi, tyle użyczyć człowiekowi nad życie kochającemu. Ach Róziu! zaklinam cię na imie mojéj ognistéj i wiecznéj miłości, ... na imie tego wszystkiego, com dla ciebie zniósł i ścierpiał, i teraz powtórnie ucierpieć będę musiał, ... odpowiedz mi na to jedno jeszcze pytanie!

— Dobrze więc, odpowiem ci! .... gdyby los twój był nieco odmienniejszy, — odpowiedziała Rózia, — gdybyś trochę niżéj, a nie tak wysoko nademną był stał; gdybym w ustroniu cichém, spokojném pomocą raczéj i pocieszycielką, a nie wstydem, hańbą, przeszkodą na wielkim świecie być mogła, ... toby mię nic nie było zmuszało do zadania sercu memu tych cierpień, boleści.... Nic mi teraz nie przeszkadza prowadzić życie błogie, szczęśliwe, ... lecz wtedy Henryku byłabym daleko szczęśliwsze jeszcze była wieść mogła.

Wspomnienia dawnych nadziei, któremi się serce jéj dziewicze od dzieciństwa jeszcze pieściło, przebiegły téj chwili tłumnie przez myśl Rózi, gdy mu to wyznanie uczyniła; ..... lecz one łzy z ócz jéj wycisnęły, jak zwykle wszystkie nadzieje dawne, jeżeli zniszczone, niespełnione ze świata w serce powracają, ... a te łzy jéj wiele ulżyły.

— Nie mogłam się uchronić od téj słabości, lecz ona postanowienie moje jeszcze bardziéj umacnia, — rzekła Rózia, wyciągając rękę. — Teraz cię muszę już opuścić.

— Błagam cię tylko o jedno przyrzeczenie, — rzekł Henryk. — Raz jeszcze, ... raz tylko jedyny, ... za

rok, a może i pierwéj jeszcze pozwól mi z sobą pomówić o tém samém, co było przedmiotem téj ostatniéj rozmowy naszéj.

— Lecz nie sądź, abyś i wtedy mógł zmienić to moje postanowienie, — odpowiedziała Rózia z uśmiechem smętnym. — Twoja praca byłaby daremna.

— Nie! — odparł Henryk; — aby usłyszeć powtórzenie tego, coś mi teraz wyrzekła, jeżeli taka będzie wola twoja;.... powtórzenie ostatnie. Ja złożę u nóg twoich moje stanowisko, lub mąjątek, jaki wówczas posiadać będę, a jeżeli jeszcze i wtedy postanowienia twego niezmiennie trzymać się będziesz, jeżeli go nic zachwiać nie zdoła, to ja go sam najmniejszém słówkiem, najmniejszą czynnością zmienić się nie będę starał.

— A więc przyrzekam, — odpowiedziała Rózia; — będzie to jedno udręczenie więcéj, lecz przez ten czas może sił na tyle uzbieram, aby ono łatwiéj znieść na sercu. —

Raz mu jeszcze rękę podała; lecz ten młodzieniec do piersi swoich ją przycisnął, a wycisnąwszy pocałowanie ogniste na jéj pięknem czole, wypadł śpiesznie z izby. —

ROZDZIAŁ VIII.

Bardzo krótki, i może się nawet wielkiéj wagi w tém miejscu być nie zdaje, wypada go jednak przeczytać, gdyż jest wynikłością z przeszłego, i kluczem do innego, który nastąpi, gdy czas na niego przyjdzie.

— A zatém stałe masz przedsięwzięcie być dzisiaj rano moim towarzyszem podróży, ... co? —

Zapytał lekarz Henryka Maylie, gdy się wraz nim i Oliwerem u stołu przy śniadaniu zeszedł.

— O ile sobie przypominam, toś przed dwoma godzinami tego postanowienia jeszcze nie miał!

— Niepamiętam dobrze, czyliśmy w tych dniach kiedy o tém rozmawiali, — odpowiedział Henryk, rumieniąc się nieznacznie bez widocznéj przyczyny.

— Ale ja dobrze o tém pamiętałem! — odpowiedział Losberne, — lubo wyznać muszę, że taka nagła zmiana człowieka niemało zadziwić musi. Bo proszę, wczoraj rano wbiłeś sobie do głowy, aby koniecznie

tutaj pozostać, i jako syn posłuszny i kochający matce do kąpiel morskich towarzyszyć, przed południem oświadczyłeś mi, iż mi ten zaszczyt zrobisz i mię podrodze do Londynu, aż do mego domu odprowadzisz; przed wieczorem powiedziałeś mi znowu z nadzwyczajną tajemniczością i nalegałeś na mnie, aby ztąd odjechać, nim jeszcze panie się pobudzą i wstaną, a skutkiem tego wszystkiego jest, że ten biedny Oliwer przy śniadaniu jak przykuty teraz siedzieć musi, zamiast coby się po łąkach i polach za kwiatami miał uwijać, i botaniczne spostrzeżenia wszelkiego rodzaju robić! To rzecz okropna, nieprawda Oliwerze?

— Byłoby mi bardzo przykro było, gdybyście panowie oba byli odjechali, a ja pod ówczas nie był w domu! — odpowiedział Oliwer.

— Przebiegły chłopiec z ciebie, — rzekł na to lekarz, — jak się powrócisz, to mnie przecież odwiedzisz.... Mówiąc jednak szczerze, panie Henryku, czy może nie jaka wiadomość od naszych dostojnych panów twoje postanowienie tak nagle i prędko zmieniła?

— Owi dostojni panowie, — odpowiedział Henryk, — pod którym to wyrazem, jak się mi zdaje, mego nadzwyczaj dumnego wuja rozumiesz, nieutrzymywali żadnych związków ze mną przez ten cały czas, jak tutaj zostaję, i niespodziewam się wcale, aby o téj porze coś takiego zajść miało, coby obecność moję u niego pożądaną czyniło.

— Szczególny z ciebie młodzieniec panie Henryku, — odparł Losberne. — Zapewnie cię chcą podczas teraźniejszych wyborów téj zimy jeszcze w parlamencie umieścić, a ta zmiana nagła w twych zdaniach i

chęciach nie jest złą przepowiednią dla twego politycznego zawodu. To ma zawsze coś dobrego w sobie; dobra szkoła i przyzwyczajnie zawsze nam się bardzo przydać może, czy to starając się o jaką posadę, lub też przy szklance lub gonitwach!

Maylie rzucił na lekarza takie spojrzenie, jakoby kilka uwag po téj krótkiéj rozmowie chciał powiedzieć, któreby pana Losberne niemało były zadziwiły, lecz w końcu się opamiętał, poprzestał na tém słówku: „zobaczemy! zobaczemy!" i nic więcéj w téj mierze nie wspomniał.

Niebawem i powóz pocztowy przed drzwi zajechał, Giles wszedł do pokoju po rzeczy i tłómoki, a lekarz poczciwy za nim wyszedł, aby zobaczyć, czyli wszystko dobrze pakują.

— Oliwerze! — rzekł wtedy Henryk po cichu, — teraz z tobą słówko mam pomówić.

Oliwer zbliżył się natychmiast do okna, przy którém Henryk stał i na niego skinął, i dziwił się mocno nad niespokojnością i smutkiem, który się w jego obliczu i całéj postaci przebijał.

— Umiesz teraz bardzo ładnie pisać, — rzekł Henryk kładąc rękę na jego ramieniu.

— Jako tako, panie! — odpowiedział Oliwer.

— Być może iż tak prędko do domu niepowrócę; ....chciałbym zatém, ażebyś do mnie pisywał,....co dwa tygodnie,....naprzykład co drugi poniedziałek,....z napisem do Londynu,...poste restante na głównéj poczcie! ....cóż, czy to uczynisz? — zapytał Henryk.

— Chętnie, bardzo chętnie, panie!....będzie to wielkim zaszczytem dla mnie!

Odpowiedział Oliwer, uradowany mocno tém poleceniem.

— Jabym chciał zawsze wiedzieć, jak ...jak się moja matka i panna Maylie miewają, — rzekł ten młodzieniec, — możesz nawet arkusz cały zapełnić twojém opowiadaniem o waszych wycieczkach, o tém co z sobą mówić będziecie, i jak się ona....to jest one, ty mię przecież rozumiesz, będą miały?

— O, rozumiem, rozumiem bardzo dobrze, — odpowiedział Oliwer.

— Jabym sobie jednak życzył, abyś im o tém nic nie wspomniał, — dodał Henryk, niekładąc wielkiéj wagi na te słowa; — moja matka mogłaby się przez to stać niespokojną, i częściéj mi chcieć pisać, a toby jéj mogło zaszkodzić. Niech to będzie tajemnicą pomiędzy nami dwoma, i pamiętaj, abyś mi o wszystkiém dokładnie, obszernie doniósł; spuszczam się w tém na ciebie.

Oliwer, który sobie to za zaszczyt poczytywał, i ta ważność, jaką mu ten stosunek nadawał, mocno mu pochlebiała, przyobiecał szczerze jak najtroskliwiéj tajemnicę zachować, i w doniesieniach swoich być jak najdokładniejszym, a Henryk Maylie pożegnał się z nim z najgorętszém zapewnieniem swego przywiązania i opieki dla niego.

Lekarz siedział już w powozie, Giles, — który się miał pozostać, — trzymał drzwiczki otworzone w ręku i czekał,.... a służące stały w ogrodzie i wyglądały przez płot. Henryk raz jeszcze szybkie spojrzenie na okno na piątrze rzucił, i wsiadł do powozu.

— Ruszaj naprzód! — zawołał na woźnicę; —

żywo, śpiesznie, cwałem, co konie starczą! lot ptaka jedynie dzisiaj mi wyrównać może.

— Holla! holla! — zawołał lekarz na pocztyliona, spuściwszy okno od powozu z pośpiechem, i szarpnąwszy pocztyliona z tyłu, — dla mnie wystarczy, chociaż lotem ptaka niepogonisz. Słyszałeś?

Powóz brzęcząc, turkocząc, pędem drogą pogonił, aż odległość ten hałas przygłuszyła, a jego szybkość oko tylko poznać i uchwycić zdołało; otoczony tumanem pyłu, to niknąc, to się znów pojawiając według tego jak zakręty drogi i przedmiota na zawadzie stojące, widok jego tamowały lub dozwalały. Dopiero gdy i chmury pyłu go otaczającéj więcéj widać niebyło, ci co za nim patrzeli, nakonicc się rozeszli.

Jedna tylko osoba długo jeszcze oczy miała w to miejsce wlepione, na którém powóz znikł zupełnie, już kiedy tenże o kilka mil nawet od niego oddalonym być musiał;....po za białą zasłoną tego okna bowiem, na które ostatnie spojrzenie żegnającego się Henryka padło, siedziała Rózia!

— Zdaje się być wesołym i szczęśliwym! — rzekła nakoniec. — Był czas, żem się lękała, iż to inaczéj wypaść może.... Zawiodłam się! To mnie bardzo, bardzo cieszy.

Łzy są tak dobrze znakiem radości jak i smutku; lecz te, które z ócz Róży padały, kiedy zamyślona przy oknie siedziała, spoglądając ciągle w jedną i tą samą stronę, zdawały się być raczéj znakiem smutku jak radości.

ROZDZIAŁ IX.

W którym czytelnik, jeżeli sobie ostatni rozdział pierwszego tomu przypomnieć zechce, wielką zmianę, nie bardzo niezwyczajną w małżeństwie, spostrzeże.

Pan Bumble siedział sobie w izbie domu roboczego, z oczyma smutnie wlepionemi w posępne okno kratowe, przez które żaden wesoły promień słońca do izby przez cały dzień niewpadał, lubo to była pora letnia, chyba czasami kilka bladych, zimnych promieni słońca, odbijających się o lśniącą powierzchnię jakiego naprzeciwko znajdującego się przedmiotu.

U stropu wisiała papierowa łapka na muchy, na którą, w niemiłych, posępnych myślach pogrążony, czasami oczy swoje zwrócił; a jeźli się mnóstwo tego brzydkiego owadu w niéj ułowiło, pan Bumble zwykle głęboko, smutno westchnął, a cień jeszcze większego, przykrzejszego smutku przytém po jego twarzy przebiegł. Pan Bumble głęboko rozmyślał, a to łatwo być może, iż owe muchy w łapce jakieś przykre, boleśne

wydarzenie w jego życiu przeszłém na pamięć mu przywodziły.

Lecz nie samo tylko wejrzenie pana Bumble zdolne było do obudzenia w piersi widza uczucia litości i łagodnego smutku. Niezbywało i na innych jeszcze znakach, znakach dotyczących się jego własnéj osoby, które zapowiadały, iż wielka zmiana nastąpiła w jego położeniu i stanie.

Gdzież się podziała owa suknia jego wyszywana i kapelusz trójgraniasty?

Nosił on wprawdzie zawsze jeszcze krótkie spodnie, a ciemne bawełniane pończochy pokrywały jego silne nogi i łytki, lecz to nie były już *te* spodnie. Suknia jego miała szerokie poły, i z tego względu wiele podobieństwa do *téj* sukni, lecz o Boże! jaka wielka różnica! Zamiast owego potężnego trójgraniastego kapelusza, nosił teraz mniejszy, skromny, okrągły. Pan Bumble już niebył więcéj Woźnym Gminowym!

Są w świecie pewne godności, stopnie, posady, które niezawiśle od korzyści materyjalnych szczególnéj wartości od odzieży z nimi połączonéj nabierają. Bumble, kapelusza swego trójgraniastego pozbawiony prostém człowiekiem jedynie pozostał.

Bumble ożenił się był z panią Corney i został gospodarzem roboczego domu. Inny Woźny po nim władzę oddziedziczył, a z nią i kapelusz trójgraniasty, złotem wyszywaną odzież, i laskę urzędową.

— A jutro będzie właśnie dwa miesiące, jak się to wszystko stało! — zawołał Bumble z westchnieniem. — Mnie się ten czas już wiekiem wydaje.

Bumble mógł także pod tém rozumieć, iż cały wiek

roskoszy w tym krótkim czasie ośmiu tygodni użył; lecz westchnienie jego,....w tém westchnieniu całe znaczenie leżało.

— Zaprzedałem się, — rzekł Bumble, snując ciągle to samo pasmo myśli, — zaprzedałem się za sześć łyżeczek od kawy, parę szczypczyków od cukru, i garnuszek do śmietany, prócz kilku starych gratów i dwudziestu funtów gotówką. O jakże tanio.... bardzo tanio mię kupiono!

— Tanio! — wrzasnął mu głos koło ucha. — Tyś był za cenę najmniejszą jeszcze drogi; a Bóg widzi, żem aż za nadto drogo za ciebie zapłaciła!

Bumble się obrócił, a jego oczy padły wprost na zajmujące oblicze jego drogiéj połowicy, która, niepojmując dokładnie tych kilku słów, które usłyszała, i nierozumiejąc zupełnie jego skargi, z powyższą odpowiedzią na los szczęścia się odezwała.

— Pani Bumble! — zawołał Bumble, z surowością smętną.

— No i cóż takiego? — odpowiedziała jego połowica.

— Bądź tak dobra, i spojrzyj mi w oczy!

Rzekł Bumble zatapiając w niéj swój wzrok.

— Jeżeli takie spojrzenie jak to wytrzyma, — pomyślał sobie Bumble w duszy, — to wszystko w świecie wytrzyma. Jest to spojrzenie, którego żaden z ubogich nie zniósł; a jeźli ono na nią żadnego wpływu mieć nie będzie, więc potęga moja zaginęła.

Czyli cokolwiek większe wytrzeszczenie oczu jest dostateczne, aby ubogich przerazić, którzy źle żywieni, wątli, wielkich sił nieposiadają, lub też pani Corney

przeciwko wszelkiemu wejrzeniu, choćby nawet orlemu, była ubezpieczoną, tego powiedzieć trudno. Główną rzeczą było to, że spojrzenie pana Bumble żadnego wpływu na tę niewiastę niewywarło, a ona owszem, z wielką pogardą na niego okiem rzuciła, a nawet i z niego szydersko się roześmiała, który to śmiech widocznie z serca jéj pochodził.

Pan Bumble, słysząc ten głos niespodziewany, spojrzał na nią najprzód z niedowierzeniem, a potém z nadzwyczajném zadumieniem. Potém wpadł na powrót w swój dawny stan otrętwiałości i zamyślenia], z którego się nieocknął, dopokąd powtórnie głosu miłego swéj połowicy nie usłyszał.

— Czyż przez cały dzień będziesz tutaj na tém krześle siedział i chrapał? — zapytała pani Bumble.

— Ja sobie tutaj będę siedział tak długo, jak mi się tylko żywnie będzie podobało, moja pani! — odpowiedział Bumble, — a lubom jeszcze dotąd *nie* chrapał, to sobie odtąd będę chrapał, ziewał, kichał, śmiał, lub krzyczał według mego upodobania; gdyż mam prawo do tego.

— Prawo! — zawołała szydersko pani Bumble, z niewypowiedzianą wzgardą.

— Tak jest, prawo! rzekłem, moja pani! — odpowiedział Bumble. — Mąż ma prawo rozkazywać.

— A jakież prawo kobiety mają, na miłość wielkiego Boga? — wrzasnęła wdowa po nieboszczyku śp. panu Corney.

— Prawo być posłuszną! — zagrzmiał Bumble. — Gdyby twój pierwszy i nieszczęśliwy mąż nieboszczyk był zawsze o tém pamiętał, i tobie często przypominał,

byłby z pewnością dotąd jeszcze przy życiu. O, jabym sobie szczerze życzył, aby on był jeszcze żył, ten biedny człowiek.

Pani Bumble w mgnieniu oka pojęła, że teraz chwila wielka i stanowcza nadeszła, a walka ostateczna o władzę domową i panowanie koniecznie być stoczoną, i na jednę lub drugą stronę stale i nieodzownie na zawsze przechylić się musi, rzuciła się natychmiast z przeraźliwym wrzaskiem na krzesło, skoro tylko ową przymówkę do nieboszczyka swego pierwszego męża usłyszała, a skarżąc się żałośnie, iż pan Bumble jest człowiekiem twardego serca, nielitościwym, zwierzęciem drapieżnym, łzy gorżkie strumieniem wylewać zaczęła.

Lecz łzy właśnie były tym środkiem jedynym, na który dusza jego czuła nie była; serce pana Bumble było stalowe, a zatém i wilgoci nieprzepuszczało.

Podobnie jak kastorowe kapelusze, które prać można, a one w deszczu ładniejszemi i trwalszemi się stają, tak i nerwy jego strumienie łez tylko wzmacniały, i dzielności im nadawały, zwłaszcza, że je jako znak słabości, a zatém i ciche uznanie jego władzy uważał, co go nadzwyczajnie cieszyło i zachwycało.

Spojrzał tedy na swoją godną małżonkę z niewypowiedzianą radością, i dodając jéj odwagi błagał zarazem, aby sobie szczęśliwie płakała tak długo, jak tylko będzie mogła, ponieważ lekarze podobnemu ćwiczeniu wielki i pomyślny wpływ na zdrowie przypisują.

— To piersi od duszności uwalnia, twarz płucze, oczy wzmacnia, i gniewliwe wzburzenie łagodzi, — rzekł Bumble, — a zatém płacz sobie, płacz szczęśliwa.

Uczyniwszy tę uwagę żartobliwą, pan Bumble swój kapelusz zdjął z goździa, i zasadziwszy go czupurnie i zuchwale na bakier, zwyczajnie jako mąż, który na sposób dobitny wyższość swoję okazał, powagę ustalił, władzę sobie wywalczył, wsadził ręce do kieszeni i potoczył się zwolna ku drzwiom z nadzwyczajną powagą i niewypowiedzianém zadowolnieniem wewnętrzném, w całéj jego postawie się objawiającém.

Pani Bumble zrobiła to doświadczenie z płaczem dla tego jedynie, mówiąc prawdę, że ten sposób najlekszym, a jednak zwykle bardzo skutecznym się jéj wydawał; teraz jednak mocno sobie przedsięwzięła użyć dotkliwszego, o czém się pan Bumble na wielkie zadziwienie swoje niebawem przekonał.

Pierwszym znakiem tego nowego doświadczenia godnéj połowicy jego, dowodzącym o bujności jéj pomysłów, był dźwięk głuchy, stłumiony, po którym natychmiast spadnięcie kapelusza z jego głowy, i potoczenie się aż na drugi koniec pokoju nastąpiło.

Ten krok wstępny odkrył zupełnie jego głowę, a Jejmość w podobnych rzeczach doświadczona i wyćwiczona, chwyciła go jedną ręką za gardło, a drugą niezliczoną ilość ciosów w głowę i w plecy mu wymierzyła....z siłą i zręcznością niepospolitą. Gdy ją to nakoniec znudziło, zmieniła cokolwiek swoje postępowanie, obrabiając mu twarz paznokciami, szarpiąc i targając go za włosy; a gdy nakoniec uważała, że mu już taką karę wymierzyła, na jaką zbrodnia jego zasługiwała, potrąciła go na krzesło, które jej właśnie w tym celu bardzo zręcznie pod ręką stało, i poleciła mu coś o swoich prawach wspomnieć, jeżeli do tego ma ochotę.

— Wstań trutniu! — rzekła pani Bumble nakazująco, — i wynieś się, abym cię na oczy niewidziała, jeżeli niechcesz, abym się jeszcze gorzéj z tobą nie obeszła.

Bumble wstał z krzesła z miną bardzo posępną, żałośną, dziwiąc się nad tém nadzwyczajnie, jakby się jeszcze gorzéj z nim obejść mogła, i chwytając za kapelusz, ku drzwiom się zwrócił....

— Czy pójdziesz ty raz? — wrzasnęła pani Bumble.

— Zaraz moja droga, zaraz! — odpowiedział Bumble, i kroku swego nieco przyśpieszył. — Ja niechciałem wcale....ja niemiałem w myśli....ja....ja....idę zaraz, moja droga,....zaraz....ty jesteś tak prędka, że ....w istocie....

Téj chwili pani Bumble żywo parę kroków ku niemu postąpiła, aby kobierzec, który się podczas ich utarczki cokolwiek zmiął i pokręcił, wygładzić, wyprostować i w dawny porządek przyprowadzić,..... a Bumble natychmiast jak strzała za drzwi wybiegł, nierzekłszy ani słówka więcej, i niedokończywszy wcale swéj myśli, zostawiając panią Corney w pełném posiadaniu placu bitwy.

Bumble z nienacka napadnięty i na łeb zbitym został.

Posiadał on skłonność niepowściągnioną do przechwalstwa i nadzwyczajne upodobanie w udręczeniu drugich, i był przytém,....o czém nawet nadmieniać nie potrzeba,....niesłychanym tchórzem....

Niechcemy jednak przez to żadnéj plamy na jego osobę rzucać, gdyż wiele urzędowych osób bywa, które

powszechnego poszanowania, a nawet i czci wysokiéj używają, lubo téjże saméj słabości podlegają. Jeżeli tę uwagę uczyniłem, działo się to owszem jedynie dla usprawiedliwienia go, i przekonania czytelnika, iż on wszelkie własności posiadał, jakie na urzędnika potrzebne były.

Lecz miarka jego poniżenia nie była jeszcze pełna. Przeszedłszy się po całym domu roboczym, i przyszedłszy po raz pierwszy na tę myśl, że prawa i rozporządzenia dla ubogich wydane, rzeczywiście są za nadto surowe i gnębiące i że mężowie, którzy swoje żony opuszczają, zostawiając je na łasce Gminy i domu roboczego, nie tylko na żadną karę, ale według wszelkiéj sprawiedliwości, jako osoby dobrze zasłużone, które wiele cierpień znieść musiały, na nagrodę nawet zasługują, ...zbliżył się w końcu do jednéj izby, w któréj kobiety z roboczego domu zwykle praniem bielizny dla ubogich zajęte bywały, a w któréj właśnie znaczny hałas głośno rozprawiających słychać było.

— Hm! — mruknął Bumble pod nosem i zebrał całą swoję powagę. — Te kobiety przynajmniéj prawo w poszanowaniu mieć powinni. Hola! cicho!.... co ma znaczyć ten hałas, wy stare czarownice?

Bumble to mówiąc, otworzył drzwi, i wszedł do praczkarni z gniewem i dumą, która się natychmiast na największą pokorę zamieniła, gdy oczy jego zacną małżonkę niespodziewanie dostrzegły.

— Droga żono! — rzekł Bumble do niéj; — niewiedziałem o tém wcale, że tutaj jesteś.

— Niewiedziałeś o tém, że tutaj jestem, — powtórzyła pani Bumble; — cóż *ty* tutaj robisz?

— Ja sądziłem, że te kobiety za nadto wiele i głośno rozprawiają, aby robotę swoję dobrze i dokładnie uskutecznić mogły, moja kochana.

Odpowiedział Bumble, spoglądając z pod oka na kilka kobiet starych w praczkarni, które koło balii stały i tą pokorą i uległością żonie gospodarza zawiadującego domem roboczym nadzwyczajnie uradowane się być zdawały.

— Tobie się zdawało, że za wiele rozprawiają?— odparła pani Bumble; — a tobie co do tego?

— Ja tylko chciałem, moja droga...... — ośmielił się Bumble pokornie zarzucić.

— Co tobie do tego, pytam cię? — powtórzyła pani Bumble głosem donośniejszym.

— To prawda, ty jesteś tutaj panią, moja droga, — odrzekł Bumble nieśmiało, — ale ja myślałem, że ciebie tutaj właśnie niema.

— Posłuchajże mię teraz, panie Bumble, — odparła jego luba małżonka, — my tu ciebie wcale niepotrzebujemy, i radzę ci, abyś się raz odzwyczaił nos twój do rzeczy wścibać, które do ciebie wcale nienależą; wszyscy ludzie z całego domu tylko się z ciebie śmieją i szydzą, jak tylko oczy od nich odwrócisz; co chwila na głupca się wystawiasz. Idź precz! ruszaj!

Bumble, którego palce świerzbić zaczęły, widząc, że te stare czarownice głowy postykały, i pomiędzy sobą szeptać i złośliwie uśmiechać się zaczęły, wahał się na chwilę.

Lecz pani Bumble, któréj już cierpliwości brakło, chwyciła za wielki garnek zagotowanych mydlin, i

wskazujac mu drzwi, zagroziła oraz, iż w tych mydlinach go całego skąpie, jeżeli co tchu nie umknie.

Cóż biedny Bumble miał począć?

Obrócił się natychmiast i wyszedł, a gdy się drzwi za nim zamknęły, kobiety po kryjomu dotąd się uśmiechające, głośnym i ogromnym śmiechem parsknęły.

Tego mu jeszcze na dobitek brakowało! W oczach ich został shańbiony;... nawet u mieszkańców nędznych domu roboczego powagę i poszanowanie utracił! Upadł z całéj wysokości i świetności Woźnego Gminy, na stopień najniższy poniżenia i upokorzenia, bo aż na służalca swéj żony!

— I to wszystko w dwóch miesiącach! — zawołał Bumble, w myślach smutnych pogrążony. — Przed dwoma miesiącami,....tak jest, przed dwoma miesiącami dopiero byłem nietylko panem własnym, ale i panem każdego, jak daleko granice domu roboczego Gminy się rozciągają;....a teraz!....

Tego było za wiele!

Bumble wymierzył silny policzek chłopcu w nagrodę za to, że mu drzwi otworzył, — gdyż w swém zamyśleniu bramę minął, — i wyszedł w roztargnieniu na ulicę.

Przeszedł się przez kilka ulic tam i nazad, a ten ruch uspokoił cokolwiek jego wzburzenie; lecz ta zmiana uczuć wielkie pragnienie mu sprawiła.

Idąc bardzo wiele szynkowni po drodze napotykał, wszystkie mu były jednak za bliskie, za ludne; nakoniec doszedł do jednéj na uboczy, nieco ukrytéj, a gdy przez nizkie okno do niéj okiem rzucił, niespostrzegł nikogo, prócz jednego tylko samotnego gościa.

Téj chwili deszcz mocny padać zaczął, a to go nakoniec skłoniło do uskutecznienia swego zamiaru. Bumble wszedł do szynkowni, kazał sobie dać pić, gdy mimo kantoru przechodził, i wszedł do téj izby szynkownéj, do któréj przez okno był zajrzał.

Nieznajomy, którego w niéj zastał, był to mężczyzna dość wysokiego wzrostu, na twarzy smagławy, opalony, i miał na sobie płaszcz szeroki. Widać było po nim, że jest obcym, a znużenie w całéj jego postawie, równie jak i pył z gościeńca na jego całéj odzieży, jasnym był dowodem, iż z daleka przybywa.

Z pod oka spojrzał na Bumbla, gdy ten wszedł do izby, i zaledwie głową skinąć raczył dziękując za powitanie.

Pan Bumble posiadał za dwóch zewnętrznéj powagi w swéj postawie, zwłaszcza jeżeli się obawiał, ażeby ktoś w zanadto wielką poufałość z nim wejść nie chciał; w milczeniu przeto pił swoję wódkę z wodą, i wziął się do czytania dzienników z nadzwyczajną powagą i okazałością.

Zdarzyło się jednak, — jak to się bardzo często zdarza, jeżeli człowiek w podobnych okolicznościach w towarzystwie się znajduje, — że Bumble kiedy niekiedy wielkiéj ponęty doznawał, i żadną miarą przezwyciężyć się nie mógł, aby na nieznajomego ukradkiem oczyma nie rzucić; jeźli zaś kiedy téj pokusie uległ, oczy natychmiast zmięszane na dół spuszczał, gdyż zwykle spostrzegł, że i nieznajomy téjże saméj chwili na niego z niemniejszą ciekawością spogląda.

To pomięszanie pana Bumble pomnażał jeszcze bardziéj szczególny wyraz w oku nieznajomego, które

skrzyło, przeszywało, i tak wielkie podejrzenie, nieufność objawiało, jak mu się jeszcze nigdy widzieć nie zdarzyło, a to jeszcze odrazę tego oka tak pomnażało i groźną czyniło, że mu niepodobna było znieść jego spojrzenia.

Gdy tymsposobem kilkakrotnie oczy ich się spotkały, nieznajomy przerwał nakoniec milczenie i rzekł głosem grubym, rubasznym.

— Czyś może za mną spoglądał, gdyś przez okno tutaj zazierał.

— Tego wcale niepamiętam, chyba żebyś był panem..

Tutaj Bumble mowę uciął, będąc mocno ciekawym nazwiska nieznajomego się dowiedzieć, i sądząc, że on miejsce próżne w poprzedniéj mowie jego w swéj niecierpliwości zapełni.

— Teraz poznaję, że nie, — odpowiedział nieznajomy, a wyraz spokojności i szyderstwa zaigrał koło ust jego, — inaczéj byłbyś musiał wiedzieć, jak się nazywam. Lecz ty mnie nieznasz, a jabym ci szczerze radził, o mnie się wcale niedopytywać.

— Niechciałem cię obrazić, mój młody człowieku! — rzekł na to Bumble wspaniale.

— I nieobraziłeś mię wcale, — odpowiedział nieznajomy.

Milczenie powtórne nastąpiło po téj krótkiéj rozmowie, które nieznajomy w końcu na nowo przerwał.

— Jeżeli się niemylę, tom cię już raz kiedyś widział, mój panie, — ozwał się. — Wtedy byłeś cokolwiek odmienniéj ubrany, a ja cię tylko przez ulicę przechodzącego widziałem; teraz cię jednak poznaję. Mnie się zdaje, żeś tutaj był Woźnym, nieprawdaż?

— Tak jest, — odpowiedział Bumble z wielkiém zadziwieniem; — Woźnym Gminy!

— Prawda, prawda! — potwierdził nieznajomy, kiwnąwszy głową. — Ja cię też w tej godności widziałem. Czémże teraz jesteś?

— Gospodarzem domu roboczego! — odpowiedział Bumble zwolna i poważnie, jakoby chciał przez to wszelką bliższą poufałość uciąć, gdyby nieznajomy do tego zmierzał. — Gospodarzem domu roboczego, mój młody człowieku!

— Nie wątpię jednak, żeś i teraz te same oczy na własną korzyść zachował, jakieś miał i poprzód, co? — rzekł śmiało nieznajomy, spoglądając mu prosto w oczy, gdy je Bumble z zadziwienia na to zapytanie ku niemu podniósł. — Mów ze mną otwarcie, bez wszelkiéj obawy. Jak sam widzisz, to cię znam bardzo dobrze.

— Mnie się zdaje, że w tém nic złego niema, jeżeli człowiek żonaty, — odpowiedział Bumble, osłaniając oczy z góry ręką, i mierząc nieznajomego widocznie zdziwiony, pomięszany, od stóp do głów, — jeżeli człowiek żonaty niepogardza sztuką złota, którą uczciwie sobie zarobić może, tak jak i nieżonaty. Urzędnicy Gminy nie są tak hojnie płatni, ażeby nie mieli przyjąć małego zarobku, jeżeli się im zręczna i uczciwa sposobność do tego nadarzy.

Nieznajomy się uśmiechnął i kiwnął głową powtórnie, jakby przez to chciał powiedzieć, iż to znalazł, czego szukał, i w panu Bumble się nie pomylił. Zadzwonił tedy.

— Jeszcze jedną szklankę! — rzekł, podając szklankę próżną pana Bumble gospodarzowi szynkowni.

— Ale tylko mocnego i gorącego. Mnie się zdaje, że taki lubisz, mój panie?

— Niebardzo mocny, niebardzo mocny.

Odpowiedział Bumble, odkrząknąwszy lekko.

— Rozumiesz, co to ma znaczyć, panie gospodarzu! — odpowiedział nieznajomy śmiało.

Gospodarz się uśmiechnął, znikł, i powrócił niebawem z dymiącą szklanką, z której łyk pierwszy zaraz łzy w oczy panu Bumble napędził.

— A terazże mię posłuchaj! — ozwał się nieznajomy, zamknąwszy drzwi i okna. — Ja tu dzisiaj w tym celu jedynie przybyłem, aby się z tobą widzieć i pomówić; a przez przypadek szczególny, jaki szatan bardzo często swym oblubieńcom nastręcza, wchodzisz do téj izby właśnie wtedy, kiedy ja siedząc tutaj o tobie rozmyślam i mózg sobie suszę. Trzeba mi pewnéj wiadomości od ciebie, nieżądam jéj jednak za *nic*. Oto schowaj *to* na początek.

To wyrzekłszy, przesunął po stole kilka gwinej do swego towarzysza jak najostrożniéj, jakby się obawiał, aby dźwięku tego kruszcu w pobocznej izbie nieusłyszano. A gdy pan Bumble, obejrzawszy starannie dukaty, i przekonawszy sie dokładnie, iż to złoto szczere, prawdziwe, z wielką radością serca do kieszonki w swéj kamizelce białéj je schował, nieznajomy ciągnął daléj:

— Przenieś się myślą w przeszłość,... poczekaj,... dwanaście lat,....przeszłéj zimy....

— To czas bardzo długi, — zarzucił Bumble. — No dobrze,....już jestem.

— Widownią dom roboczy!

— Dobrze!

— Pora nocna!

— Dobrze!

— A miejscem działania licha jama, w której nędzne wszetecznice na schyłku życia i zdrowia dzieci rodzą, które gmina na koszta swoje żywić musi, i hańbę swoję potém w grobie kryją! Przekleństwo na nie!

— Słowem, dom położnic, jak się mi zdaje? Rzekł Bumble, niemogąc tak prędko pojąć górnolotnego opisu nieznajomego.

— Tak jest, — odpowiedział nieznajomy. — W tym domu urodził się chłopczyna.

— Wiele chłopców tam się już urodziło, — zauważył Bumble, wstrząsając głową.

— Niech tych djabłów małych zaraza morowa wygubi! — zawołał z niecierpliwością i gniewem nieznajomy. — Ja mówię o bladym psie małym, którego późniéj w naukę do Przedsiębiorcy pogrzebów w tém mieście oddano, ... (byłbym sobie życzył, aby tam swoją własną trumnę był zrobił, i swe kości w niéj złożył,....) a który potém uciekł i do Londynu się udał, jak się domyślano.

— A!....mowa jak widzę o młodym Oliwerze,.... Oliwerze Twist? — zapytał Bumble. — Przypominam sobie, przypominam. Był to krnąbrny, uparty, zawzięty wisus mały....

— Ja o nim nic więcéj słyszeć nie chcę,....jużem dość słyszał o nim, — odparł nieznajomy, przecinając panu Bumble wyliczenie bardzo długiego szeregu wszelkich wad i niecnót biednego Oliwera, do którego się Woźny zabierał. — Ja chcę słyszeć o kobiecie, staréj

czarownicy, która matkę jego w słabości pielęgnowała. Gdzie ona jest?

— Gdzie ona jest? — zawołał Bumble, którego wódka z wodą nieco żartobliwym uczyniła; — gdzie ona jest?....toby bardzo trudno było powiedzieć. Tam niema położnic, ani akuszerek gdzie ona jest; dla tego sądzę, że teraz jest bez wszelkiego zatrudnienia.

— Co pod tém rozumiesz? — zapytał go nieznajomy surowo.

— Że przeszłéj zimy umarła! — odpowiedział Bumble spokojnie.

Nieznajomy wlepił w niego wzrok swój przenikliwy, gdy mu Bumble to powiedział, a lubo swych oczu przez długi czas jeszcze potém z niego niespuścił, spojrzenie ich jednak coraz bardziéj gasło, błędném się stawało, tak że Bumble łatwo się mógł dorozumieć, iż myśli głębokie całkiem go zajmują.

Przez długi czas niemożna było poznać, czyli go ta wiadomość ucieszyła, lub mu też zawód, nieprzyjemność sprawiła; w końcu jednak swobodniéj oddechać zaczął, a podnosząc oczy, rzekł, iż to nic nieznaczy i wstał, jakby się chciał był oddalić.

Pan Bumble jednak był także człowiekiem znacznie przebiegłym, którego oku bacznemu to wcale nieuszło, iż się właśnie sposobność pomyślna nastręcza, do pozbawienia się bardzo korzystnego tajemnicy swéj zacnéj połowicy. On sobie przypomniał bardzo dobrze owę noc, któréj stara Sally umarła, albowiem wydarzenia owego dnia były za nadto pamiętne dla niego i to bardzo słusznie, gdyż to owego wieczora serce i rękę swoję pani Corney u nóg złożył.

Lubo zacna jego małżonka nigdy mu tego niewyjawiła, co się owéj nocy stało, i o czém się dowiedziała, usłyszał on jednak tyle, iż z tego łatwo się mógł domyśleć, że ta cała tajemnica styczność mieć musi z wydarzeniem, które wtedy zaszło, kiedy stara Sally matkę Oliwera pielęgnowała.

Przywodząc sobie śpiesznie na pamięć te wszystkie okoliczności, z wielką tajemniczością nieznajomego o tém uwiadomił, że nim ta czarownica stara umarła, przywołała do siebie pewną kobietę, z którą długą rozmowę miała, i jéj według wszelkiego podobieństwa zapewnie coś powierzyć musiała, coby niejakie światło na przedmiot jego poszukiwań łatwo rzucić mogło.

— Gdzież i jak się z tą kobietą widzieć mogę? Zawołał nieznajomy przez zapomnienie, i dowiódł przez to pytanie, iż ta wiadomość pana Bumble trwogę napowrót w nim obudziła.

— Tylko przezemnie! — odpowiedział Bumble.

— Kiedy? — zapytał nieznajomy z pośpiechem.

— Jutro! — odpowiedział Bumble.

— O dziewiątéj wieczorem!

Rzekł na to nieznajomy, wyjmując z kieszeni świstek papieru, na którym miejsce nieznane „nad wodą“ jako mieszkanie swoje ręką drżącą skreślił, dowodzącą o jego znaczném wewnętrzném wzburzeniu.

— O dziewiątéj wieczorem przyprowadź ją do mnie. Niepotrzebuję ci nadmieniać, abyś wszystko w największéj tajemnicy zachował, gdyż tutaj o własną twoję korzyść chodzi.

To mówiąc postąpił ku drzwiom, zapłacił wszystko co wypili, a zrobiwszy w końcu tę krótką uwagę, iż

drogi ich odmienne były, odszedł, bez wszelkiego pożegnania, chyba że uroczyste powtórzenie godziny naznaczonéj na schadzkę, i napomnienie, aby się nazajutrz wieczorem pewnie stawili, za pożegnanie uważać chcemy.

Urzędnik Gminowy rzuciwszy okiem na podaną sobie kartę, spostrzegł iż na niéj żadnego nazwiska niema. Nieznajomy niemusiał jeszcze być daleko, pogonił tedy za nim.

— Kto to jest? — zawołał nieznajomy, zwróciwszy się do niego z pośpiechem, gdy go Bumble dopadł i za rękę chwycił; — śledzić za mną!

— Chciałem się tylko o jedno zapytać, — odpowiedział mu na to Bumble, wskazując palcem na ów świstek papieru. — O kogóż się mam pytać?

— O pana *Monks!*

Odpowiedział nieznajomy i odbiegł śpiesznie od niego.

ROZDZIAŁ X.

Zawiera wiadomość o tém, co podczas nocnéj rozmowy między panem Bumble, jego żoną i panem Monks zaszło.

Był to ciemny, parny, burzą grożący wieczór letni, a chmury przez cały dzień się kupiące, w jedną, czarną, niebo całe pokrywającą chmurę się zbiły, z któréj już deszcz rzadkiemi, wielkiemi kroplami padać zaczął, i blizki wybuch burzy gwałtownéj zapowiadał,...kiedy pan i pani Bumble, wymknąwszy się ostróżnie z bocznéj, małéj uliczki miasta, ku małéj gromadzie domów spustoszałych i porozrzucanych kroki swe zwrócili, odległych od miasta o półtoréj mili (angielskiéj) blisko, i na nizinie mokréj nad brzegami Tamizy zbudowanych.

Oboje mieli na sobie stare, wytarte płaszcze, które dwóm celom zapewnie posłużyć miały, ochronienia ich od deszczu i zapobieżenia temu może, aby nikt uwagi na nich nie zwracał, i w przypadku za świadka przeciwko nim wystąpić nie mógł.

Bumble niósł w ręku latarnię, w której żadnego światła jednak nie było, i szedł o kilka kroków przodem, jakby przez to chciał drogę pierwéj swojéj połowicy śród tego błota utorować, które drogę pokrywało, tak żeby ona potém bezpiecznie w jego stopy iść mogła.

Oboje szli w milczeniu; kiedy niekiedy Bumble się zatrzymywał i głowę swoję zwracał, jakoby się chciał upewnić, iż żona za nim idzie, a przekonawszy się, że jest tuż za nim, pośpieszał daléj, i zdążał krokiem nieco szybszym ku miejscu swego przeznaczenia.

To miejsce niemożna było żadną miarą podejrzaném nazwać, gdyż ono już oddawna w okolicy całéj jako zbiorowisko łotrów i złoczyńców najgorszych wszelkiego rodzaju znane było, którzy, pod różnym pozorem życia z pracy rąk swoich, z rabunku i zbrodni żyli.

Było to zbiorowisko chat najlichszych, zbudowanych na prędce jedne z cegieł niepalonych, inne zaś ze starego, spruchniałego, stoczonego drzewa okrętowego, nagromadzonych bez wszelkiego ładu i porządku, i leżących po największéj części w oddaleniu kilku kroków tylko od brzegów rzeki.

Czółna dziurawe, popruchniałe, na błoto zaciągnione, i przymocowane do małego muru, stanowiącego brzeg rzeki w tém miejscu, linwy, wiosła tu i ówdzie porozrzucane, mogły na pierwszy rzut oka ten domysł w zwiedzającym wzbudzić, że mieszkańcy tych budynków nędznych rybołostwem, lub czémś podobném się zatrudniają; lecz przypatrzywszy się dokładniéj tym przedmiotom porozrzucanym, nietrudno było poznać stan ich zaniedbany, niezdolny do najmniejszego użytku, tak że każdy przechodzień mógł się łatwo domyślć, iż

one tu leżały raczéj dla zachowania pewnego pozoru, jak w tém celu, aby je kiedyś rzeczywiście do czegoś użyć miano.

W samym środku téj gromady chat i lepianek lichych, tuż nad brzegiem rzeki, nad którą piątra wyższe prawie wisiały, stał obszerny budynek, który z pewnością niegdyś za wyrobnię jakąś służyć musiał, i będąc swego czasu w pełnéj czynności, mieszkańcom okolicznych budynków sposób do życia zapewnie starczał.

Ten budynek jednak już od dawna stał opuszczony i spustoszały, a szczury, robactwo i wilgoć nadpsuła już znacznie te pale, na których stał zbudowany, tak że znaczna część jego już w wodę runęła, a reszta chwiejąc się i wisząc nad ciemnym strumieniem, sposobności pomyślnéj jedynie oczekiwała, aby się z towarzyszem swoim dawnym połączyć i los jego podzielać.

Przed temi zwaliskami tedy godna parka nasza się zatrzymała, gdy pierwszy huk grzmotu się dał słyszeć w powietrzu, a deszcz nawalnie padać zaczął.

— Miejsce oznaczone musi się gdzieś w téj oto okolicy znajdować.

Ozwał się Bumble, spoglądając na świstek papieru, który w ręku trzymał.

— Holla! kto tam? — zawołał głos z góry.

Bumble idąc za głosem podniósł głowę do góry i spostrzegł człowieka, przez okno na drugiém piątrze aż po pas wychylonego.

— Zatrzymajcie się na chwilkę, — dodał ów głos, — natychmiast do was zejdę.

To rzekłszy znikł z okna, a okno się za nim zamknęło.

— Czy to jest nasz nieznajomy? — zapytała pana Bumble godna i luba połowica.

Bumble skinął głową na znak potwierdzenia.

— A więc pamiętaj na to, co ci powiem, — rzekła do niego niewiasta; — miej się jak najbardziéj na baczności, abyś jak najmniéj mówił, inaczéj nas natychmiast zdradzisz.

Bumble, który przez chwilę na ten budynek z niemałą trwogą i niespokojnością spoglądał, chciał właśnie myśli swoje i uczucia w słowa ubrać i kilka uwag i wątpliwości swoich objawić, czyli by nie było lepiéj téj chwili jeszcze od wszystkiego się usunąć i na widocznie grożące niebezpieczeństwo nienarażać, gdy mu Monks ten zamiar zniweczył, pojawiając się nagle w małych drzwiczkach, przed któremi właśnie stali, i wprowadzając ich natychmiast do domu.

— Żywo, żywo! — zawołał z niecierpliwością, tupnąwszy nogą o ziemię. — Nie zatrzymujcie mię tutaj długo!

Kobieta, która się w początku na chwilę wahała, nieczekała więcéj powtórnego zaproszenia, i weszła śmiało do sieni, a luby jej mężulko, który się cokolwiek wstydził lub też obawiał w tyle za nią pozostać, poszedł za nimi z wielką jednak niespokojnością i trwogą, utraciwszy zupełnie wyraz owéj znakomitéj powagi i godności urzędowéj, która zwykle główną i znamionującą cechą jego była.

— Kiego djabła staliście tak długo na dworze i mokli na deszczu!

Zapytał Monks, obróciwszy się nagle do pana Bumble, gdy drzwi na powrót zamknął.

— My.... my.... myśmy się tylko cokolwiek ochłodzić chcieli, — wyjąkał Bumble spoglądając bojaźliwie naokoło.

— Ochłodzić! — odparł Monks. — Ten deszcz wszystek, który już dotąd spadł z nieba od początku świata i aż do końca jego padać jeszcze będzie, niezdoła zagasić tego ognia piekielnego, gorejącego niekiedy w piersiach człowieka. Nie wystawiajcie sobie wcale, żebyście się tak łatwo byli ochłodzić mogli.

Temi bardzo przyjemnemi słowy Monks ich u siebie powitał, natychmiast do pani Bumble się zwrócił, i wzrok swój z taką przenikliwością w nią wlepił, że ta kobieta, którą nic tak łatwo w pomięszanie wprawić niemogło, a nawet orli wzrok zacnego jéj małżonka na nią żadnego wrażenia nie wywarł, przed tém spojrzeniem oczy odwrócić musiała i one skromnie na dół spuściła.

— Czy to jest ta kobieta, o któréj mi mówiłeś? — zapytał Monks.

— Tak jest, ona! — odpowiedział Bumble, nietracąc z pamięci polecenia swéj lubéj połowicy.

— Jak się mi zdaje, to myślicie może, iż kobiety tajemnicy nigdy utrzymać nie umieją?

Ozwała się pani Bumble i śmiało w oczy panu Monks, podejrzliwie ją badającemu, spojrzała.

— Ja wiem o tém, że one o *jedném* zawsze zamilczeć umieją, dopokąd się nie wyda, — odparł Monks ze wzgardą.

— A to jedno jest? — zapytała pani Bumble z tąże samą śmiałością.

— Utrata dobréj sławy i imienia, — odpowiedział

Monks; — dla tego się wcale nielękam, aby która kobieta z tajemnicą się wygadała, jeżeli ją ta tajemnica na galary lub deportacyją zaprowadzić może. Czy mię rozumiesz, moja pani?

— Nie! — odpowiedziała niewiasta, cokolwiek na twarzy zmieniona.

— Zapewnie, że nie! — odparł na to Monks z szyderskim przycinkiem; — wszak niepodobna, abyś mię zrozumieć miała.

Na pół z gniewem, a na pół z szyderstwem najgrawającém na obu małżonków okiem rzucił, i nakazawszy im potém, aby się za nim udali, przeprowadził ich przez pokój znacznéj obszerności, lubo nadzwyczajnie nizki, i chciał właśnie na pierwszy stopień schodów, czyli raczéj bystréj drabiny nogą stąpić, prowadzącéj na wyższe piątro tego spustoszałego domu, kiedy nagły połysk piorunu przez ten otwór się wcisnął, a grzmot okropny po nim następujący, domem całym wstrząsł, zachwiał, i bawiących w nim przeraził.

— Czy słyszycie? — zawołał wtedy dziko, w tył odskakując; — czy słyszycie, jak tam wszystko wre, kipi i huczy, jakby przez tysiące jaskiń się przebijało, po których się się czarci sami lękliwie kryją. Przekleństwo na ten huk, którego nienawidzę, znieść niemogę!

Przez kilka chwil stał w milczeniu, odsłonił twarz, którą rękoma sobie był zakrył, a pan Bumble z niewypowiedzianém przerażeniem swojém spostrzegł, iż blady jak śmierć wyglądał, a twarz jego okropnie zmieniona i pokurczona była.

— Jest to słabość, która mię często napada, —

rzekł Monks, opamiętawszy się i spostrzegłszy ich niespokojność, — a grzmot szczególnie najprędzéj te napady na mnie sprowadza. Lecz teraz wszystko już minęło, niezważajcie na to więcéj!

To rzekłszy wskazał im drogę po drabinie, wpiął się po niéj pierwszy, wprowadził ich do izby dość obszernéj, pozamykał śpiesznie wszystkie okiennice, opuścił na dół latarnię, która na sznurze przez kółeczko przewleczonym u belki od powały wisiała, i stary stół dębowy, i trzy stołki do niego przysunięte słabo i ciemno oświecała.

— A teraz, — ozwał się Monks, kiedy wszystko troje przy owym stoliku usiedli, — czém prędzéj sprawę całą zakończemy, tém lepiéj dla nas wszystkich. Czy ta kobieta wie, o co rzecz chodzi?

To pytanie zadane było panu Bumble; lecz godna jego połowica przecięła mu wszelką odpowiedź, pośpieszając z tém oswiadczeniem, iż o wszystkiém wie dokładnie.

— Czy mi prawdę powiedział, żeś pewnéj nocy była u staréj czarownicy, która umierała, i z pewnemi rzeczami przed tobą się zwierzyła....?

— Które się matki wiadomego chłopca dotyczyły? — odpowiedziała niewiasta, przerywając mu mowę; — tak jest, panie!

— Wypadłoby nam najprzód wiedzieć, — ciągnął daléj Monks, — co było treścią tego zwierzenia?

— O tém potém, — odpowiedziała kobieta z największą spokojnością; — najprzód musimy wiedzieć, jaką nagrodę za udzielenie i wykrycie téj tajemnicy dostaniemy?

— Któż to u djabła powiedzieć może, niewiedząc treści? — odparł Monks.

— Nikt z pewnością tak dobrze, jak wy sami, jestem o tém przekonana.

Odpowiedziała pani Bumble, któréj na odwadze i przebiegłości wcale nie brakowało, jak to mąż jéj każdéj chwili z doświadczenia mógł potwierdzić.

— Hm! — mruknął Monks z namysłem, rzuciwszy na nią badawcze spojrzenie; — czy mogę przez to co pozyskać, co wart jest złota?

— Może!....może! — odpowiedziała pani Bumble spokojnie.

— Coś, co po sobie zostawiła, — zapytał Monks z pośpiechem, — coś, co przy niéj zaleziono,....co jéj odebrano,....co na sobie nosiła,....

— Lepiéj by było, gdybyście sami jaką cenę podali! — przerwała mu pani Bumble. — Już em dosyć słyszała, abym o tém mogła być przekonaną, że jesteście właśnie tym człowiekiem, z którym o tych rzeczach śmiało pomówić można.

Bumble, którego zacna jego małżonka do tajemnicy nieprzypuściła, tak że nic więcéj o niéj niewiedział, jak to co pierwotnie owego pamiętnego jeszcze wieczora sam odgadnąć był w stanie, przysłuchiwał się téj rozmowie z nastawionemi uszyma i wytrzeszczonemi oczyma, które to na swoję żonę, to na Monksa z niewypowiedzianém zadziwieniem i ciekawością po kolei zwracał; ta ciekawość bardziéj jeszcze się wzmogła, gdy posłyszał Monksa, pytającego zacnéj jego połowicy, ile za wydanie téj tajemnicy żąda?

— Jakąż wartość ona ma dla was? — zapytała kobieta z niezachwianą obojętnością.

— Jak się pokaże; może nic, a może i dwadzieścia funtów! — odpowiedział Monks; — powiedzże mi raz, ile chcesz?

— Dodajcie jeszcze pięć funtów do téj summy, którąście wymienili; dajcie mi razem dwadzieściapięć funtów w złocie, — rzekła niewiasta, — a wtedy wam wszystko powiem, co wiem,.. lecz pierwéj ani słówka!

— Dwadzieścia pięć funtów! — zawołał Monks, odskakując od niéj.

— Mówię tak głośno i wyraźnie, jak tylko mogę, — odpowiedziała pani Bumble; — nie są to tak wielkie pieniądze.

— Nie wielkie pieniądze za głupią tajemnicę, która nawet i słowa dobrego niebędzie warta, gdy się jéj dowiem! — zawołał Monks w niecierpliwości; — tajemnica, która już od lat dwunastu zagrzebana leży!

— Takie rzeczy długo się trzymają, i nakształt dobrego wina, z czasem podwójnéj wartości nabierają, — odpowiedziała kobieta, zachowując ciągle swoję oziębłość i spokojność, którą od samego początku przybrała. — Co zaś tego dotycze, że już od dwunastu lat pogrzebana leży, to bywają ludzie, którzy od dwunastu tysięcy czyli od dwunastu milijonów lat w grobie spoczywają, a jednak w końcu rzeczy i tajemnice szczególne wydają, o których nie tylko my, ale nikt w całym świecie ani słówka dotąd niewiedział.

— A jeżli za nic będę może musiał zapłacić? — zapytał Monks, niejako się wahając.

— To mi będziecie mogli łatwo pieniądze napowrót

odebrać, — odpowiedziała niewiasta. — Ja jestem tylko kobietą, sama, bez opieki w tym budynku samotnym, odległym.

— Nie sama, moja droga, nie sama, i nie bez opieki, — odparł pan Bumble głosem drżącym od strachu; — wszakże ja jestem przy tobie moja droga. A wreszcie, — dodał Bumble, a zęby mu dzwoniły, gdy to mówił, — pan Monks za nadto jest człowiekiem szlachetnym i wspaniałomyślnym, aby się miał targnąć na zdrowie i życie Urzędników Gminy. Pan Monks wie, że ja nie jestem już zbytecznie młodym, i że łatwiejszy jestem do zwalczenia, jakby się z pozoru sądząc wydawało, ale on téż i o tém słyszeć musiał, ... o ja wiem z pewnością, że pan Monks słyszał, moja droga, ...że ja jestem urzędnikiem odważnym, i nadzwyczajnie silnym, o tak nadzwyczajnie silnym, jeżeli raz w zapał i ogień wpadnę. Ja tylko w zapał wpaść muszę, oto rzecz cała.

Gdy to Bumble wyrzekł, ostatnich sił swoich dobył, aby z odwagą i śmiałością za latarnię chwycić, i przez przestrach w całém jego obliczu się malujący, jasno dowiódł, że on w istocie zapału i ognia potrzebował, i to nie mało, nimby się do jakiego nieprzyjacielskiego kroku dał skłonić, wyjąwszy chyba przeciwko ubogim, lub téż innéj osobie albo osobom bezbronnym i pognębionym.

— Głupiec z ciebie, — odpowiedziała godna połowica jego, — wolałbyś milczeć, i pysk stulić.

— Trzeba mu go było pierwéj zaszyć nim tutaj przyszedł, jeżeli cokolwiek ciszéj mówić nie umie, — rzekł Monks ze gniewem; — czy to twój mąż, co?

— On mój mąż! — odpowiedziała śmiejąc się z cicha niewiasta, omijając właściwe pytanie.

— Ja sobie to zaraz myślałem, skoroście tylko weszli, — odpowiedział Monks, spostrzegając gniewliwe spojrzenie, które zacna połowica na małżonka swego rzuciła, gdy mówić przestał. — Tém lepiéj! tém lepiéj! Niemam tyle wstrętu do ułatwienia spraw moich z dwojgiem ludzi, jeżeli widzę, że jedna wola tylko nimi kieruje. Co mówię to mówię jak najszczerzéj,.... bez żartu,.... oto patrzcie!

To mówiąc, wsunął rękę do kieszeni, wyjął z niéj woreczek jedwabny, wyliczył dwadzieścia pięć gwinej na stole, i posunął je kobiecie.

— Oto, — rzekł, — schowajcie to sobie,.... i wyruszcie z tém, co wiecie, skoro tylko ten przeklęty grzmot przeminie, którego nad głowami czuję.

Grzmot, który téj chwili się odezwał, zdawał się być w istocie o wiele bliższy, wprost nad ich głowami, a gdy ten przeminął i wszelka dalsza obawa znikła, Monks, podniósł głowę ze stołu, i nachylił się naprzód ku pani Bumble, aby dobrze słyszeć co mówić będzie.

Głowy wszystkich trzech osób bardzo blizko się stykały, gdyż obaj mężczyzni, ciekawi co usłyszą, w swéj gorliwości przez wązki stolik pomiędzy sobą się przechylili, a kobieta się do nich także przysunęła, aby szept jéj cichy to samo łatwiéj zrozumieć można było.

Ciemne światło wiszącéj nad nimi latarni padało wprost na ich twarze, pomnażało jeszcze bardziéj bladość i trwogę na nich wyrytą, a przy téj ciemności,

która ich w koło otaczała, wyglądali jak strachy, duchy nocne, z sobą się umawiające.

— Kiedy ta kobieta, stara Sally się zowiąca, umierała, — kobieta mowę rozpoczęła, — byłyśmy obie same jedne.

— Czy z pewnością nikogo więcéj nie było? — zapytał Monks, tym samym cichym szeptem, — może jaki bękart chory, albo głuptaś w drugiém łóżku?.... nikt a nikt, coby mógł słyszeć i według wszelkiego podobieństwa zrozumieć, co się mówiło?

— Ani żywéj duszy! — odpowiedziała kobieta; — byliśmy sami, a ja byłam sama przy jéj łóżku, gdy konała.

— Dobrze! — odpowiedział Monks, spoglądając na nią uważnie, — mów daléj.

— Ona mówiła o młodéj dziewczynie, — ciągnęła niewiasta, — która przed kilkunastu laty chłopca na świat wydała; nie w téj saméj izbie, ale w témże samém łóżku, na którém konając leżała.

— Czy tak? — zawołał Monks z drżącemi usty, i spojrzał przez ramię po za siebie. — Piekło! Jak to wszystko w świecie w końcu na wierzch wyjdzie.

— Był to ten sam chłopczyna, o którymeście przeszłéj nocy wspominali; — dodała niewiasta, skinąwszy niedbale na męża, — ta dozorczyni matkę jego okradła.

— Za życia? — zapytał Monks.

— Nie, po śmierci, — odpowiedziała kobieta, dreszczem zimnym przejęta. — Okradła trupa, gdy ciało owéj dziewczyny trupem się stało, a to, co wte-

dy skradła, było to samo, co ją konająca dla syna przechować prosiła.

— Czy to sprzedała? — zawołał żywo Monks z trwogą i ciekawością, — mów, mów, czy sprzedała? .... gdzie?.... kiedy?.... komu? .... jak dawno?

— Gdy mi z wielką trudnością to opowiedziała, co uczyniła, oskarżając się o zbrodnię, wywróciła się na łóżko i skonała.

— I nic więcéj nie powiedziała? — wrzasnął Monks głosem, który się tém wścieklejszym być zdawał, że go wszelkiemi siłami pohamować się starał. — To kłamstwo! Tego tak drogo płacić nie mogę! .... Ja ci się niedam tak łatwo złudzić.... Ona coś więcéj powiedzieć musiała.... Ja was oboje zabiję, jeźli się nie dowiem, co więcéj powiedziała.

— Ani słówka najmniejszego więcéj nie powiedziała, — odparła kobieta, groźbą i wściekłością tego szczególnego człowieka bynajmniéj nie zastraszona, (czego o panu Bumble powiedzieć nie można); — lecz ręką jedną kurczowo ściągniętą za suknię mię chwyciła, a gdym się nakoniec przekonała, że dusza z niéj rzeczywiście uszła, i przemocą suknię moję z jéj ręki wydrzeć chciała, spostrzegłam, że w niéj coś trzyma, a to coś jest brudnym świstkiem papieru....

— W którym było .... — wtrącił Monks, naprzód się pochylając.

— W którym nic nie było, — odpowiedziała kobieta spokojnie; — była to kartka z banku zastawowego.

— Na co? — zapytał Monks.

— O tém potém, gdy czas na to przyjdzie, — od-

powiedziała z zimną krwią kobieta. — Mnie się zdaje, że ona ten klejnot długi czas u siebie przechować musiała w nadziei, iż go lepiéj będzie spieniężyć mogła, a potém go zastawiła, i pieniądze na to odkładać lub téż kraść musiała, aby w banku zastawnym co rok należne nasto (procent) zapłacić, i przez to wszelkiemu wykryciu zapobiedz; w przypadku zaś, gdyby podobne niebezpieczeństwo jéj groziło, chciała z pewnością wszystko wykupić i zniszczyć. Lecz to dotąd jeszcze nie nastąpiło; a ona, jak wam już powiedziałam, umarła z tym zbrukanym, zmiętym świstkiem papieru w ręce stulonéj. Czas wykupienia za dwa dni się kończył;.... ja zaś spodziewając się, iż czas taki nakoniec nadejdzie, w którym korzyść z tego będę mieć mogła, wykupiłam ten zastaw.

— Gdzie on jest teraz? — zapytał Monks żywo.

— Oto jest!

Odpowiedziała kobieta. I jakby nieskończenie rada była, iż od tego ciężaru uwolnioną zostanie, rzuciła śpiesznie na stół mały woreczek skórzany,, zaledwie tak wielki, żeby się malutki zegareczek kobiecy do niego był mógł zmieścić, a Monks go natychmiast chciwie pochwycił i drżącemi rękoma do otworzenia go się zabrał.

W tym woreczku znajdowała się mała, złota klóteczka, w któréj dwa pukle włosu jasnego, i obrączka szczerozłota zachowana była.

— Na stronie wewnętrznéj pierścionka wyryte jest imie: ,,Agnes,“ — mówiła daléj pani Bumble; — daléj jest miejsce próżne na inne imie, poczém następuje dzień i miesiąc, a myśmy potém się przekonali,

że to jest dzień rokiem wcześniejszy od tego, w którym Oliwer się urodził.

— I to już wszystko?

Zapytał Monks, zbadawszy ściśle i dokładnie to wszystko, co ten mały woroczek zawierał.

— Wszystko! — odpowiedziała niewiasta.

Bumble głęboko westchnął, jakoby z tego bardzo był rad, że się ta cała sprawa już zakończyła, a Monks ani słówka nie rzekł o odebraniu napowrót tych dwudziestu pięciu funtów szterlingów, i teraz dopiero na tyle odwagi i śmiałości nabrał, aby sobie pot zimny z czoła otrzeć, który po twarzy i nosie gęstemi kroplami spływał podczas całéj poprzedniéj rozmowy.

— Ja o tém wszystkiem nic więcéj nie wiem, prócz tego jedynie, co się domyśleć mogę, — ozwała się kobieta po chwili milczenia do Monksa, — i nie życzę sobie nawet wiele wiedzieć, gdyż to daleko bezpieczniéj. Czy mogę wam jednak parę pytań zadać?

— Możesz, — odpowiedział Monks, z niejakiém zadziwieniem; — lecz czyli ja odpowiem lub nie, to inne pytanie.

— Co teraz trzy pytania robi, — zauważył Bumble, chcąc niby coś dowcipnego i żartobliwego oraz powiedzieć.

— Czy to jest to samo, coście odemnie dostać chcieli? — zapytała pani Bumble.

— Tak jest, — odpowiedział Monks, — a teraz drugie pytanie?

— Cóż zamierzacie z tém uczynić? Czy to niemoże być kiedy przeciwko mnie użyte? — spytała powtórnie niewiasta.

— Nie, nigdy! — odpowiedział Monks; — ani też przeciwko mnie. Patrzajcie! lecz się ani na krok daléj nie ruszcie, jeżeli wam życie miłe.

To mówiąc, stół nagle na bok usunął, a pociągnąwszy za kółko żelazne koło ściany, otworzył natychmiast drzwi w podłodze tuż koło nóg pana Bumble, który się przerażony z największym pośpiechem w tył usunął.

— Spojrzyjcie na dół! — rzekł Monks, biorąc latarnię i przyświecając nią na dół. — Nie lękajcie się niczego! .... Gdybym waszéj śmierci pragnął, mógłbym was bardzo łatwo na tamten świat wysłać tak nieznacznie, żebyście tego byli nawet nie spostrzegli, gdyście przy stole siedzieli; ale to nie jest mojém życzeniem.

Tém zapewnieniem ośmielona pani Bumble, odwagi nabrała i do téj otchłani się zbliżyła, a nawet i Bumble sam, nadzwyczajną ciekawością zdjęty, to samo uczynił i ku nim się zbliżył.

Woda brudna, spieniona, ulewą przed kilku chwilami wzmocniona, szybkim strumieniem pędziła, a szum i huk fal kipiących, o pale obmulone i brzegi z łoskotem uderzających, zagłuszał wszelkie inne głosy, któreby się słyszeć zdawały.

Na tém miejscu stał niegdyś młyn wodny, a strumień spieniony, wyjący, dymiący, uderzający o pale i zabytki dawnéj maszyneryi, zdawał się tylko nowéj szybkości nabierać, gdy się mu od tych zawad uwolnić udało, które mimowolnie bieg jego szybki wstrzymywały.

— Gdyby trupa tutaj na dół rzucono, gdzieżby się do jutra rana dostał? —

Zapytał Monks, chwiejąc latarnią na wszystkie strony nad tą czarną otchłanią.

— Przynajmniéj o dwadzieścia mil do jutra rana, i to w kawałki poszarpany.

Odpowiedział Bumble, na samo wspomnienie dreszczem i zgrozą przejęty.

Monks dobył owego woreczka z zanadrza, gdzie go natychmiast ukrył, i przywiązawszy mocno do ołowianéj kuli, która mu właśnie pod rękę wpadła, leżąc koło niego na podłodze, rzucił go na dół w wodę. Słychać było wyraźnie jak woda plusnęła, i z taką pewnością wszystko pokryła, jak ziemia ciało zmarłego w grobie.

Wszystko troje z wybladłemi twarzami po sobie spojrzeli, i swobodniéj nieco odetchnęli.

— Tak! — rzekł Monks, zamykając napowrót drzwi w podłodze, które ciężko zapadły.— Jeżeli morze w istocie trupy wyrzuca, ... jak ludzie w książkach bają i piszą, ... to złoto i śrebro z pewnością zatrzyma. Nie mamy z sobą nic więcéj do pomówienia; możemy zatém przerwać i zakończyć naszą przyjemną rozmowę.

— To prawda! to prawda! — potwierdził Bumble z największym pośpiechem.

— Spodziewam się, że na wieki język będziesz trzymał za zębami, i ani słówka o tém nigdy nie piśniesz, coś tu widział i słyszał? — przemówił Monks do niego z groźném wejrzeniem. — O twoję żonę się nie lękam, aby się z czém wygadać miała.

— Możesz mi w téj mierze zaufać młody człowieku! — odpowiedział Bumble, zbliżając się powoli do

drabiny i kłaniając ciągle jak najuniżeniéj.—Chodzi tu nietylko o ciebie, mój młody człowieku, ale i o mojéj żony i moję skórę, jak ci samemu dobrze wiadomo, szanowny panie Monks.

— Bardzo mnie to cieszy, że z twych ust podobną uwagę słyszę, — odpowiedział Monks. — Zapal sobie świecę do latarni, i uchodźcie ztąd jak najśpieszniéj dla własnego bezpieczeństwa.

Było to wielkiém szczęściem dla pana Bumble, że ta rozmowa téj chwili się zakończyła, inaczéj byłby wpadł niezawodnie na dół do izby na głowę, gdyby się tylko raz jeszcze cofając w tył, był ukłonił, albowiem o pół stopy tylko od tego otworu może był oddalonym, którym na dół zejść wypadało.

Monks spuścił latarnię, i zdjął ją z haka, a Bumble sobie u niéj światło do swojéj zapalił, do ręki ją wziął i po drabinie najpierwszy w milczeniu na dół schodzić zaczął, nic dokładając najmniejszego starania do przeciągnienia rozmowy; tuż za nim droga jego małżonka się spuściła.

Monks zeszedł za nimi, i zatrzymawszy się na chwilę na drabinie, na wszystkie strony ucho pilnie nadstawiał, aby się przekonać, iż prócz szumu bieżącéj wody i pluskania deszczu padającego, żadnego innego szmeru lub głosu nie słychać.

Pocichutku przeszli przez izbę dolną, i to z największą ostrożnością, gdyż cień najmniejszy Monksa przestrachem i zgrozą przejmował; a Bumble trzymając latarnię swoją ciągle o kilka stóp po nad ziemią, szedł nietylko z niewypowiedzianą ostrożnością, ale i z zadziwiającą lekkością na człowieka jego postawy, i śle-

dził naokoło, czyli gdzie drzwi tajnych, w przepaści wiodących niema.

Drzwi, przez które weszli, Monks im pocichutku otworzył, i pożegnawszy ich skinieniem głowy, małżeństwo na dwór wypuścił, które, opuściwszy swego tajemniczego przyjaciela, natychmiast w ciemnościach mgły i nocy zaginęło.

Zaledwie Bumble wraz z swoją godną połowicą z oczu zniknął, Monks, który znaczną miał odrazę do wszelkiéj samotności w takiém ciemném ustroniu, zawołał na małego chłopca, który gdzieś w domu ukrytym być musiał, nakazał mu iść przodem z latarnią, i powrócił za nim do izby, którą przed chwilą w towarzystwie byłego Woźnego i jego małżonki opuścił.

ROZDZIAŁ XI.

Wprowadza starą znajomość na widownię, i pokazuje, w jakiéj ścisłéj przyjaźni Żyd i Monks razem żyli.

Było to może na pare godzin wcześniéj z wieczora dnia następującego po owém wydarzeniu, które pomiędzy temi trzema zacnemi i godnemi osobami, o których w ostatnim rożdziale wzmianka była, zaszło, kiedy pan William Sikes z ciężkiego snu się obudził, i ponuro zamruczał, co pytaniem być miało, która godzina?

Izba, w któréj obecnie leżał i to pytanie zadał, nie była ta sama, w któréj przed swoją wyprawą do Chertsey mieszkał, lubo zawsze w téjże saméj części miasta, a nawet i w niewielkiéj odległości od jego dawniejszego mieszkania leżała.

Nie można tego powiedzieć, aby to mieszkanie jego obecne tak przyjemny i wygodny pozór było miało, jak dawniejsze; małe, wązkie, brudne, jak najgorzéj uporządkowane, posiadało tylko jedno okienko w dachu, które na brudną, ciasną ulicę wychodziło.

Nie zbywało téż na wielu innych znakach i skazówkach, że ten poczciwiec ostatkami gonił, i w bardzo lichém, nędzném położeniu się znajdował, gdyż brak wszelki żywności, niedostatek największy, niewygoda, w połączeniu z brakiem wszelkich sprzętów domowych, szczupłym zapasem odzieży i bielizny o największém ubóstwie świadczył, a bladość, wątłość i wynędznienie samego Billa wszelkie oznaki by było potwierdziło, gdyby tego kiedykolwiek była potrzeba wypadła.

Rozbójnik leżał na lichém łożu w swoim białym tołubie, i był właśnie zajęty okazaniem oku widza twarzy, na którćj długa słabość piętno swe bladości śmiertelnćj, żółtćj, wybiła, którćj wrażenie przerażające biała szlafmyca na głowie, i wielki, czarny, tygodniowy zarost brody jeszcze bardzićj pomnażał.

Pies leżał tuż koło jego łóżka, to na pana swego z wejrzeniem chytrém, ciekawém spoglądając, to znów strzyżąc uszyma i warcząc głucho, jeżeli kiedy hałas większy na ulicy, lub téż w niższćj części domu uwagę jego na siebie zwrócił.

Przy oknie, zajęta z pilnością naprawianiem białćj kamizelki, stanowiącćj część zwykłego ubrania zbójcy, siedziała niewiasta, z niedostatku, nędzy i ciągłego czuwania w nocy tak wybladła i zmieniona, żeby bardzo trudno było teraz poznać, iż to jest ta sama Nancy, która niegdyś w tćj powieści przychodziła, gdyby nie głos jćj, z jakim na pytanie Billa odpowiedziała.

— Niedawno siódma wybiła, — odpowiedziała dziewczyna. — Jakżesz się masz dzisiaj wieczór Billu? —

— Słaby jak woda, — odrzekł Sikes z przekleń-

stwem swojém zwyczajném na jéj oczy i członki. — Słyszysz! chodź tutaj, podaj mi rękę, i pomóż mi wstać z tego przeklętego łóżka,....dalej! żywo!

Słabość nie musiała wiele temperament Billa ułagodzić, i przyjemniejszém go zrobić, gdyż przeraźliwe przekleństwa na jéj niezręczność miotał, a nawet i kilka razy ją uderzył, gdy go na krzesło prowadziła.

— Czy znowu beczeć zaczynasz? — zawołał Sikes; — słyszysz! przestańże raz się mazgaić! Jeżeli nic lepszego nie umiesz, to sobie lepiéj odemnie ruszaj! czyś słyszała?

— Słyszę! słyszę! — odpowiedziała dziewczyna, odwracając twarz od niego, rozśmiawszy się z przymusem. — Cóż ci znowu do głowy takiego wlazło, Billu?

— No i cóż, czyś się już raz namyślała? — bąknął Sikes, spostrzegłszy łzę, która się po jéj licu potoczyła. — To daleko lepiéj będzie dla ciebie.

— Mam nadzieję, że się tego wieczora ze mną źle obchodzić niemożesz, Billu, nieprawda?

Odparła dziewczyna, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Nie? — wrzasnął Sikes, — dla czegóż nie?

— Tyle nocy, — rzekła na to dziewczyna z pewną czułością kobiecą, która lekki zacień miękkości i tkliwości głosowi jéj nadała, — tyle nocy z największą cierpliwością koło ciebie chodziłam, pielęgnowałem cię z taką troskliwością i pieczołowitością, jakbyś był dzieckiem mojém, a to jest pierwszy wieczór, w którym od tak dawnego czasu jesteś nieco zdrowszym; a ja wiem żebyś się ze mną był tak surowo nieobszedł, jak przed chwilą, gdybyś o tém był pamiętał, nieprawdaż Billu,

nieprawda? O powiedz mi, powiedz! żebyś tego był nieuczynił!

— No dobrze, dobrze! Powiem, żebym był nieuczynił! — odpowiedział Sikes. — Niech ją piorun trzaśnie! ta dziewczyna znowu się mazgai!

— To nic! to nic! — odparła Nancy, rzucając się na krzesło. — Niezważaj wcale na mnie, a to wkrótce minie!

— Co ma minąć, co? — zapytał Sikes głosem grzmiącym, wrzaskliwym. — Jakież znowu głupstwa masz na myśli? Wstań i ruszaj sobie, i nieprzychodź do mnie, dopokąd ci twoje szaleństwa z głowy niewywietrzeją!

Rozkaz ten i ton, z jakim wyrzeczony został, byłby z pewnością każdego innego czasu skutek zamierzony za sobą pociągnął, i ją do oddalenia się natychmiast skłonił; lecz Nancy była w istocie bardzo słaba, znużona, wysilona,....zwiesiła przeto głowę na poręcz krzesła i zemdlała, nim jeszcze Sikes zwyczajną ilość swych przekleństw wyzionąć zdołał, któremi w podobnych okolicznościach groźbę swoje zwykł był popierać.

Sikes, nie wiedząc dobrze, co ma począć w tym nadzwyczajnym wypadku, gdyż napady histeryczne dziewczyny były zwykle bardzo gwałtowne, tak że nigdy bez pomocy się obejść i drgań jéj kurczowych uśmierzyć niemożna było, wyzionął najprzód kilka bluźnierstw, a widząc, że to wcale nic nie skutkuje, zaczął o pomoc wołać.

— Cóż to się tutaj dzieje? — zapytał naraz Żyd, zaglądając do izby.

— Chodź i pomóż mi tę dziewczynę ratować, —

zawołał Sikes z niecierpliwością na niego; — a nie stój daremnie, nierozprawiaj i nie szczerz zębów do mnie!

Fagin wykrzyknął z zadziwienia i przybiegł dziewczynę ratować, a pan Jan Dawkins, czyli inaczéj: Smyk przebiegły zwany, który swemu szanownemu staremu przyjacielowi towarzyszył, wbiegł także do izby, położył na ziemi śpiesznie zawiniątko, którém był obładowany, a wyrwawszy butelkę z rąk Karolka Dawkins, przybywającego w ślad za nimi, odkorkował ją w oka mgnieniu zębami, i wlał choréj kilka kropli tego płynu, który w sobie zawierała, w usta, pociągnąwszy poprzód sam z niéj kilka łyków, aby wszelkiéj pomyłce zapobiedz.

— Nadmij jéj trochę świeżego powietrza mieszkiem, Karolku, — rzekł Jan Dawkins, — a wy Fagin otwórzcie jéj ściśnione pięści, pan Bill zas niechaj suknię na niéj rozpuści.

Te wszystkie usiłowania razem połączone, użyte z nadzwyczajną gorliwością, osobliwie ten środek, który panu Karolkowi Bates do wykonania poleconym został, znajdującemu w tém dotąd nieznaném i nigdy jeszcze może niezastósowaném użyciu takiego narzędzia nadzwyczajną zabawę, nieomieszkały wkrótce skutek pożądany na chorą wywrzeć.

Dziewczyna odzyskała pomału zmysły, i potoczywszy się na krzesło koło łóżka stojące, ukryła twarz w pościeli, zostawiając przyjemność powitania nowoprzybyłych Billowi, który z niewypowiedzianém zadziwieniem na to ich niespodziewane przybycie spoglądał.

— Jakiż zły wiatr was tutaj przywiał? — zapytał Fagina.

— Nie zły wiatr, nie, mój drogi, nie! — odpowiedział Żyd, — gdyż zły wiatr nikomu nic dobrego nie przywieje, a ja przyniosłem z sobą coś dobrego, z czego się mocno cieszyć będziesz jak wszystko zobaczysz. Smyku, mój drogi! rozwiń zawiniątko, i daj Billowi te kilka drobnostek, za któreśmy dzisiaj rano wszystkie nasze pieniądze wydali.

Stósownie do polecenia Fagina, Smyk zawiniątko natychmiast rozwiązał, które dość znaczną objętość miało, rozłożył ono na stole, i zaczął z niego te rzeczy, które w nim były, jedną po drugiéj wyjmować, i Karolkowi je podawać, który je potém z różnemi pochwałami na ich dobroć i wytworność na stole roskładał.

— Patrzajcie no Billu! taka piękna pieczeń! — zawołał ten młodzieniec zacny, rozkładając na stole najprzód pieczeń, potém pasztet znaczny; — i tak smaczny, wyborny pasztecik, z takich drobnych źwierzątek i z takiemi cienkiemi, miękkiemi koszteczkami,....że się same w gębie rozpływają, niepotrzeba ich nawet gryść, tylko pomyślcie Bill! pólfunta dwudziesto groszowéj herbaty, a tak mocnéj, że tylko łyżeczkę jedną do wrzącéj wody wrzucić potrzeba, a będziecie mieli kwartę najpyszniejszéj herbaty i czajnik cały zielono wam nabiegnie; półtora funta najlepszego cukru, jaki tylko kiedykolwiek ręce Murzynów wyrobiły;....a potém dwa bochenki chleba,.... funt najlepszego i najświęższego masła!....kawał wielki sera z Gloster!....a nadewszystko,....skarb z tego wszystkiego największy,....

coś tak przecudnego, jakeście jeszcze nigdy niewidzieli, ...no i cóż mowicie na to?

Wyrzekłszy tę pochwałę ostatnią, pan Bates wyjął z jednéj swoich obszernych, niezmierzonych kieszeni pełną butelkę wina, troskliwie okorkowaną, a pan Dawkins nalał tymczasem z téj flaszki, którą poprzód Karolkowi był wydarł, pełną szklaneczkę najlepszego rumu, którą chory bez najmniejszego wahania lub namysłu na jeden łyk wychylił.

— A! — zawołał Żyd, zacierając ręce z wielką radością; — to ci wyjdzie na zdrowie Billu; to ci wyjdzie na zdrowie!

— Na zdrowie! — zawołał Sikes. — Byłbym mógł śmiało ze dwadzieścia razy już umrzeć, nimeś się raz do mnie przytoczył, aby mi pomódz! Cóż ty sobie myślisz, człowieka w takim stanie przez całe trzy tygodnie bez wszelkiéj wiadomości o sobie zostawiać, ty podły, haniebny łotrze!

— Słuchajcie go tylko, chłopcy! słuchajcie go! — rzekł na to Żyd, wzruszywszy ramionami; — a my przychodzimy do niego i przynosimy same takie piękne rzeczy!

— Te rzeczy mogą być dość dobre, — odparł na to Sikes cokolwiek łagodniejszym głosem, gdy okiem na stół rzucił; — cóż mi jednak możesz powiedzieć na uniewinnienie swoje własne, żeś mię tak zostawił leżącego w łóżku, bez zdrowia, jadła, pieniędzy, słowem z wszystkiego ogołoconego, i nietroskał się o mnie przez ten czas cały, gorzéj nawet, jakbym tym psem był oto!.... Spędź go, spędź Karolku!

— Ja niewidziałem jeszcze nigdy tak pięknego psa

jak ten, — zawołał pan Bates, uskuteczniwszy natychmiast dany rozkaz. — Zwąchał mięso, jak jaka stara baba, idąca na targowicę! Z tym psem można by jeszcze wielkie szczęście zrobić.

— Stul pysk i milcz! — zagrzmiał Sikes, gdy się pies pod łóżko schronił, warcząc na nich gniewliwie.— Cóż więc możesz powiedzieć na uniewinnienie swoje, ty nikczemny, wyschły staruchu, ... co?

— Nie było mię w domu, ani w Londynie, więcéj jak tydzień może, — odpowiedział Żyd.

— A gdzieżeś się przez drugie dwa tygodnie krył? —zarzucił Sikes.— Gdzieżeś się krył drugie dwa tygodnie, żeś mię tak zaniedbał i dał mi leżéć choremu, jakby zdechającemu szczurowi w swéj jamie.

— Niemogłem inaczéj uczynić, Billu, niemogłem inaczéj, — tłómaczył się Żyd; — nie mogę się teraz w długie wywody w obec całego towarzystwa przed tobą zapuszczać mój drogi; ale ja nic dla ciebie przez ten czas uczynić nie mogłem, zaręczam na moję uczciwość.

— Na co, na co? — powtórzył Sikes z szyderstwem i niewypowiedzianą odrazą. — Słyszycie chłopcy, niechaj mi jeden z was kawałek pasztetu ukroi, abym sobie nim smak po jego uczciwości mógł naprawić, inaczéj zginę!

— Nie gniewaj się tylko, mój drogi, nie gniewaj! — błagał go Żyd pokornie. — Ja o tobie nigdy nie zapomniałem!

— Ja bym sam był na to przysiądz gotów, żeś o mnie nigdy nie zapomniał, — odpowiedział Sikes z szyderstwem i goryczą. — Tyś sobie dobrze po świecie chodził i włóczył za twemi własnemi sprawami, pod

ten czas, kiedy ja tutaj jęcząc, drżąc z głodu, zimna i gorączki, do łoża przykuty leżeć musiałem. Billu zrób no to, Billu zrób no owo, szło zawsze kiedy Bill był zdrowy i wszystkiemu mógł podołać, a Bill był w istocie tak głupi, że wszystko za tanie pieniądze robił i został ubogim, kiedy tyś się za jego pot krwawy bogacił. A teraz bym był musiał zginąć nędznie jak pies, gdyby nie ta dziewczyna.

— To prawda, to prawda, — odparł Żyd natychmiast, chwytając się z pośpiechem ostatniego słowa. — To prawda, gdyby nie ta dziewczyna! A czybyś ty był miał taką dobrą i poczciwą dziewczynę Billu, gdyby nie ja?

— Bóg widzi, że prawdę wyrzekł Billu, — ozwała się Nancy z goryczą, przychodząc nagle do siebie. — Daj mu zatém pokój, daj mu pokój!

Pojawienie się Nancy nadało całkiem inny zwrót całéj rozmowie, albowiem chłopcy zaczęli ją na znak potajemny starego, przebiegłego Żyda hojnie wódeczką częstować, lubo, mówiąc prawdę, nie bardzo gorliwie, i nawet nadzwyczajnie skromnie nią się raczyła; Fagin zaś wszystkie swoje władze umysłowe zebrał i wszelkiego dowcipu swego przez ten czas używał, aby Billa pomału ułagodzić, uskromić, udając że jego groźby jedynie za żarciki dawniejsze uważa, i śmiejąc się serdecznie na całe gardło z kilku jego bardzo rubasznych dowcipów, które, po zajrzeniu częstszém do butelki, objawić się poniżył.

— To wszystko dobrze, ale ja coś innego jeszcze od ciebie dzisiaj mieć muszę, — ozwał się naraz Sikes do Żyda.

— Kiedy ja nic a nic przy sobie tutaj niemam, — odpowiedział Żyd.

— Więc masz za to w domu daleko więcéj, — odparł Sikes; — a ty mi koniecznie coś pieniędzy dać musisz.

— Więcéj! — zawołał Żyd, podnosząc ręce do góry. — Ja nawet tyle niemam, aby....

— Ja niewiem wcale, wiele ty masz, a nawet śmiało powiedzieć mogę, że i ty sam o tém nic wiesz, gdyżby wiele czasu na to potrzeba było, aby wszystko przeliczyć, — odpowiedział Sikes, — ale to nic nie szkodzi, gdyż ja muszę, koniecznie dzisiaj pieniędzy mieć muszę.

— Dobrze, dobrze! — odpowiedział Żyd z westchnieniem; — to ja ci przez Smyka cokolwiek przyślę.

— Nic z tego nie będzie, mój kochany, nic z tego nie będzie, — odparł Sikes. — Pan Smyk przebiegły jest mi trochę zanadto przebiegłym, i mógłby w końcu o tém zapomnieć do mnie przyjść, lub też po drodze gdzieś zbłądzić i zaginąć, albo też przez posiepaków być schwytanym i przez to przeszkodzonym; jużby on sobie zawsze jaką wymówkę wymyślał, a jabym mógł do sądnego dnia na niego czekać. Nie, nie, z tego nic nie będzie! Nancy pójdzie z wami i odbierze, to będzie najbezpieczniéj, a ja tymczasem się położę i trochę przedrzymię.

Po wielu targach i umowach na tém nakoniec stanęło, iż Żyd z pierwotnych pięciu funtów, które od niego zażądano, półtora funta urwał, i trzy funty i pół Nancy dać przyobiecał, klnąc się na duszę i ciało, i

zaręczając na wszystkie świętości, że mu tylko kilka szylingów na utrzymanie całego domu pozostanie.

Sikes widząc nakoniec, że Żyd żadną miarą więcéj dać nie chce, musiał i na tém poprzestać; Nancy się przeto zebrała do towarzyszenia Faginowi do jego mieszkania, a Smyk i Karolek Bates pochowali tymczasem jadło do szafki.

Fagin pożegnał się nareszcie ze swoim szczerym przyjacielem, i powrócił w towarzystwie Nancy i obu chłopców do domu, a Sikes rzucił się tymczasem na łóżko, chcąc ten czas przespać aż do powrotu dziewczyny.

W krótkim czasie przybyli do mieszkania Żyda, gdzie panów Tobijasza Crackit i Tomasza Chitling przy piętnastéj grze w *cribbage* zastali, którą, jak nawet nadmieniać niepotrzebujemy, ostatni jegomość tak jak i resztę wszystkie przegrał, a z nią i piętnasty i ostatni półszylonżek z niewypowiedzianą radością jego młodych przyjaciół.

Pan Tobijasz Crackit, którego to widocznie mocno wstydziło, iż go przyjaciele w takiéj poufałości z paniczem tak nizkim od niego tak co do umysłowych zdolności, jak i godności zastali, ziewnął kilka razy i zapytawszy się o zdrowie i powodzenie Billa, chwycił za kapelusz, aby się wynieść.

— Nie było nikogo, Tobijaszu? — zapytał Żyd. —

— Ani żywego ducha! — odpowiedział Crackit, zawijając kołnierz. — Bardzo nudno w téj dziurze. Wiecie co Fagin, powinnibyście mi właściwie dobrze za to zapłacić, żem wam domu przez taki długi czas

pilnował. Niech mię piorun trzaśnie! tak mi się już w końcu znudziło, jak sędzi przysięgłemu, i byłbym niezawodnie niezadługo tak mocno zasnął, jak w New-Gate, gdyby mię moja dobroduszność nie była skłoniła do zabawienia tego chłopca oto! Przeklęciem się znudził! Niech mię djabli wezmą, jeśli to nieprawda!

Śród tych i tym podobnych zapewnień, narzekań i zaklęć, pan Tobijasz Crackit wziął ze stołu swoje wygrane, schował je do kieszeni od kamizelki z taką powagą i wyniosłością, jakoby tak małe sztuczki srebra nie były wcale godne, aby człowiek taki jak on wiele na nie miał zważać, i wyszedł z izby z taką wspaniałością i przyzwoitością, że pan Chitling, przypatrując się mu ciągle z niewypowiedzianém podziwieniem, a szczególnie na jego nogi i buty, dopokąd z ócz mu nie zniknęły, po odejściu jego całemu towarzystwu wyraźnie oświadczył, że on taką znajomość za największy zaszczyt sobie poczytuje, że piętnaście sixpensów na jeden raz, tanią jeszcze jest ceną w porównaniu z taką przyjemnością, a stratę pieniędzy tak mało sobie ceni, że nawet mówić o tém nie warto.

— Ha! jaki z ciebie przedziwny chłopiec Tomaszu! —

Zawołał Bates, ucieszony mocno tém oświadczeniem pana Chitling.

— Cóż, nieprawda panie Fagin, — odparł Chitling, — nieprawdaż?

— Prawda, prawda; ..... z ciebie chłopiec poczciwy, mój drogi, poczciwy!

Odpowiedział Żyd, poklepawszy go po ramieniu, i mrugnąwszy na resztę swych wychowanków.

— A pan Crackit, czyż nie chłopiec ładny, przyzwoity? nieprawda panie Fagin? — zapytał daléj Tomasz.

— Bez wątpienia, mój drogi, bez wątpienia, — odpowiedział Żyd.

— Czyż to nie jest zaszczytem, znajomością jego się pochlubić? nieprawda panie Fagin? — pytał ciągle daléj Tomasz.

— Pewnie, pewnie, mój drogi,.... i to wielki zaszczyt, mój drogi, wielki zaszczyt, — odpowiedział mu Żyd. — Oni tylko są zadrośni Tomaszu dla tego, że on się z nimi wdawać nie chce, oto rzecz cała, mój drogi, oto rzecz cała!

— Ha, cóż mówiłem? — zawołał Tomasz z chlubą; — to zapewnie inaczéj nie będzie! On mnie wprawdzie ograł; ale ja mogę wyjść na miasto i sobie coś zarobić, jeżeli się mi będzie podobało, nieprawdaż panie Fagin, że mogę?

— Pewnie, pewnie, że możesz, — odpowiedział Żyd; — i czém prędzéj to się stanie, tém lepiéj Tomaszu; weźże się zatém natychmiast do tego i nie trać nadaremnie czasu! Smyku! Karolku! czas abyście się na zasadzkę udali; ..... już dziesiąta, a jeszcze dzisiaj nic nie zarobiono.

Chłopcy, posłuszni temu rozkazowi, pożegnali Nancy skinieniem głowy, pobrali swe kapelusze i wyszli, a Smyk i Karolek Bates zaczęli sobie po drodze wiele dowcipów i żartów na koszt biednego Chitling pozwalać, w którego zachowaniu się, mówiąc szczérze, nic tak szczególnego i niezwyczajnego nie było; albowiem bardzo wiele młodzieży po miastach się bawi, którzy da-

leko więcéj jeszcze jak Chitling za to płacą, aby się tylko w tak zwaném towarzystwie dobrém pokazać mogli, a wielka nawzajem ilość takich wytwornych, wymuskanych paniczów bywa, składających właśnie to dobre towarzystwo, którzy sławę swoję na takiéj saméj zasadzie, jak i zuchwały Tobijasz Crackit, pozyskali i ustalili.

— A teraz, — ozwał się Żyd, gdy wszyscy z izby wyszli, — teraz pójdę po pieniądze, moja droga Nancy. Jest to kluczyk od bardzo małéj szafki, w któréj te kilka drobnych rzeczy chowam, które sobie chłopcy zarobią, moja droga. Ja się nigdy na moje pieniądze nie patrzę, i nigdy nie liczę, gdyż nie ma się na co patrzeć, nie ma co liczyć, moja droga, ... ha! ha! ha! nie ma co liczyć! .... Jest to czysty przekup, moja droga Nancy, a żadnego zarobku, żadnego zarobku! lecz ja lubię zawsze młodych ludzi mieć koło siebie moja droga, bardzo lubię, i wszystkich utrzymywać muszę, ... tak jest, wszystkich utrzymywać! .... Cicho! — zawołał nagle, kryjąc śpiesznie kluczyk w zanadrzu; — co to jest? ktoś idzie?

Dziewczyna, która przy stole z założonemi rękoma siedziała, niezdawała się wcale być ciekawą tego przybycia, lub też najmniejszéj pracy sobie zadawać, aby dociec, czyli owa osoba, ktokolwiek ona być mogła, przybywa lub odchodzi, dopokąd szmer głosu męzkiego uszu jéj niedoleciał.

Skoro tylko głos ten dosłyszała, w mgnieniu oka kapelusz z głowy, a chustkę z siebie zerwała z szybkością łyskawicy i pod stół rzuciła.

Gdy się Żyd natychmiast potém do niéj obrócił, za-

częła się skarżyć na ból nadzwyczajny głowy i to głosem słabym, cierpiącym, który jednak w wielkiéj był sprzeczności z nadzwyczajnym pośpiechem i gwałtownością jéj poprzedniego ruchu; lecz Żyd téj uwagi żadną miarą zrobić niemógł, gdyż właśnie wtedy stał od niéj odwrócony.

— Ba! — szepnął jéj Żyd, niebardzo rad z téj przerwy i przeszkody; — jest to ten sam, któregom właśnie oczekiwał; schodzi po schodach. Nie wspominajże ani słówka o pieniądzach Nancy, dopokąd on tutaj będzie.... On się tu długo niezatrzyma,....najdaléj za dziesięć minut odejdzie, moja droga!

Żyd przytknąwszy palec swój wyschły, kościsty do ust, wziął świecę, zbliżył sie z nią do drzwi, usłyszawszy stąpanie mężczyzny na schodach, i odemknął je téjże saméj chwili, kiedy gość wszedł do jego izby, a wbiegłszy z wielkiem pośpiechem do niéj, tuż koło dziewczyny stanął, nim się opamiętał i ją spostrzegł.

Był to Monks.

— Jedna z moich wychowanic, — ozwał się Żyd, a Monks się w tył cofnął, widząc w izbie kogoś nieznajomego. — Siedź cicho Nancy i nieruszaj się z miejsca!

Dziewczyna przysunęła się bliżéj do stołu, i rzuciwszy okiem na Monksa z pewną niedbałą obojętnością, spotkała jego wejrzenie i spuściła swoje na ziemię; lecz gdy się on do Żyda zwrócił, rzuciła ukradkiem spojrzenie na niego takie śmiałe, śledcze, badawcze, przeszywające, że gdyby jaki świadek trzeci téj chwili był przytomnym, który by te oba jej spojrzenia mógł

był zauważyć, bardzoby mu trudno było poznać, iż to jedna i ta sama osoba była.

— Czy niema nic nowego? — zapytał Żyd.

— Bardzo wiele!

— A....czy....do....bre?

Zapytał Żyd powtórnie z pewną trwogą, jakby się obawiał, aby jego przyjaciel za nadto żywym się niekazał.

— Niebardzo i złe! — odpowiedział Monks z uśmiechem. — Tą razą dobrze i szybko się zwinąłem. Chciałbym z tobą parę słów pomówić.

Dziewczyna jeszcze bardziéj do stołu się przytuliła, niemyśląc jednak opuścić izby, lubo bardzo dobrze widziała, jak Monks na nią wskazywał i do Żyda szeptał. Fagin zaś, obawiając się z pewnością, aby się z żądaniem pieniędzy w obec nowego przybysza nie wyrwała, gdyby jéj z izby wyjść kazał, — wskazał w milczeniu na górę, i wyprowadził Monksa do sieni.

— Tylko nie do téj jamy przeklętéj, w któréjeśmy już raz byli! —

Dziewczyna słyszeć mogła, iż Monks wyrzekł, idąc z Faginem po schodach do góry.

Żyd się roześmiał, i coś mu na to odpowiedział, czego dziewczyna dokładnie dosłyszeć niemogła; po trzeszczeniu schodów jednak poznała, iż towarzysza swego aż na drugie piętro prowadzi.

Nim jeszcze odgłos ich kroków, po całym domu się rozchodzący, zupełnie ucichł, Nancy trzewiki z nóg zrzuciła, a zawinąwszy spodnicę od sukni na głowę i obwinąwszy w nią ręce, u drzwi stanęła i z największém natężeniem nadsłuchiwała.

Skoro tylko szmer wszelki zupełnie ucichł, wymknęła się z izby z niesłychaną zwinnością, i tak lekko i cicho jak kot po schodach do góry się skradła i w ciemnościach sieni w okamgnieniu zaginęła.

Przez całe ćwierć godziny, albo może i więcéj, ani żywego ducha w mieszkalnéj izbie Fagina niebyło; dopiero po upływie tege czasu dziewczyna takim samym krokiem cichym i ostróżnym na powrót się pojawiła, a tuż za nią i stąpania obu mężczyzn słyszeć się dały.

Monks natychmiast z domu tego się oddalił, a Żyd wrócił się jeszcze raz po schodach do góry po pieniądze. Gdy nakoniec z nimi powrócił, zastał dziewczynę wdziewającą na siebie kapelusz i chustkę i zabierającą się do odejścia.

— Nancy! a to co? — zawołał Żyd, cofnąwszy się w tył przelękniony, gdy świecę na stole postawił i jéj się przypatrzył; — jakże ty wyglądasz blada?

— Blada! —

Zawołała dziewczyna, ocieniając oczy ręką, jakby mu śmiało w twarz spojrzeć chciała.

— I to okropnie blada! — powtórzył Żyd. — Cóżeś ty zrobiła?

— Nic, chyba to żem tutaj bóg wie jak długo w tém powietrzu zamkniętém siedzieć i czekać na was musiała, — odparła dziewczyna niedbale. — Daléj Faginie, daléj, odprawcie mię jak najprędzéj, to będzie lepiéj.

Fagin wyliczył jéj pieniądze na rękę z westchnieniem smutném za każdą sztuką złota, a ona niebawem odeszła bez wszelkiego innego pożegnania, powiedziawszy mu jedynie: dobranoc!

Gdy dziewczyna nareszcie na ulicę się dostała, usiadła na chwilkę na progu jakiegoś domu, wylękniona, sił pozbawiona, i nie zdolna jak się zdawało, do odbycia swéj drogi.

Nagle się zerwała i biegnąc w stronę zupełnie przeciwną od téj, w któréj Sikes powrotu jéj oczekiwał, przyśpieszyła swego kroku, tak że nakoniec pędem biedz zaczęła. Lecz utraciwszy nareszcie siły, zatrzymała się, aby odetchnąć, i opamiętawszy się nagle załamała ręce i rzewnie się rozpłakała, jakby boleśnie żałowała nieudolności swojéj uczynienia czegoś, co właśnie uczynić zamierzała.

Te łzy musiały jéj sercu znaczną ulgę przynieść, lub też może stan cały nieszczęsny swego położenia uczuła, dość że zwróciwszy się w przeciwną zupełnie stronę z tą samą szybkością na powrót pobiegła jak i poprzód, w części aby ten czas wynagrodzić, który przez zmianę drogi i kierunku straciła, w części zaś aby z burzliwą nawałnością własnych myśli swoich równy krok utrzymać, i dobiegła w krótce do téj pieczary, w któréj zbójcę zostawiła.

Jeżeli w istocie znać było jeszcze na niéj jakie wzburzenie, gdy do izby weszła, Sikes tego z pewnością niespostrzegł, gdyż zapytawszy się zaledwie, czyli pieniądze przyniosła, i otrzymawszy od niéj odpowiedź zadawalniającą, wyzionął pare przekleństw, położył na powrót głowę na poduszce i zasnął natychmiast.

ROZDZIAŁ XII.

Szczególne odwiedziny, wynikłością przeszłego rozdziału będące.

Było to wielkiém szczęściem dla dziewczyny, iż Sikes pieniędzy dostał, i przez to cały dzień następny jedzeniem i piciem był zajęty, co taki wpływ pomyślny na ułagodzenie jego zwykłego nie bardzo miłego usposobienia wywarło, że ani czasu, ani też skłonności najmniejszéj niemiał do wglądania i ścisłego rozbierania jéj postępowania i czynności.

Jéj wzięcie bowiem, jéj postępowanie całe tak było dziwne, szczególne, jakby krok jakiś nadzwyczaj ważny i niebezpieczny uczynić zamierzała, który niemało namysłu i rozwagi wymaga, nim się do podjęcia go skłoniemy; gdyby jéj przyjaciel bystrooki, Fagin to pomięszanie i niespokojność w niéj był spostrzegł, byłby się z pewnością natychmiast czegoś domyślał, lecz Sikes, któremu na téj bystrości umysłu do tego potrzebnéj zupełnie zbywało, w którem nigdy nic naj-

mniejszego podejrzenia lub nieufności obudzić nie zdołało, chyba to, co do jego zwykłego rubasznego obejścia się z każdym dostateczny powód dać mogło, będąc nadto pod ów czas w nadzwyczaj miłém i przyjemném usposobieniu, jak już o tém niedawno nadmieniono, nic szczególnego i zadziwiającego w jéj zewnętrzności nic spostrzegł, i tak mało się nawet o to troszczył, żeby jéj niespokojność z pewnością jego podejrzenia nie była pobudziła, gdyby widoczniejszą jeszcze była była jak teraz.

Gdy wieczór nadchodził, niespokojność wewnętrzna dziewczyny jeszcze bardziéj wzrastała, a gdy wieczór już zapadł, a ona przy łóżku usiadła, oczekując z niecierpliwością téj chwili, w któréj zbójca spity i snem znużony, zaśnie, taka bladość nadzwyczajna lica jéj pokrywała, a oko takim żarem podejrzanym płonęło, że nawet sam Sikes to spostrzegł i niewypowiedzianie tém się zdziwił.

Sikes, którego znaczna gorączka do łoża przykuła, zapijał właśnie wódkę z wodą, aby ogień gorączkowy, wnętrze jego palący uśmierzyć, i podał szklankę swoję dziewczynie, aby ją po trzeci czy czwarty raz zapełnić, gdy mu te oznaki w oczy wpadły i mocno go uderzyły.

— Niech mię piorun trzaśnie! — zawołał, zrywając się z łóżka, tak że na rękach wsparty na niém usiadł, i wlepił wzrok swój w oblicze dziewczyny. — Wszakże ty wyglądasz jak trup, który na powrót do życia przychodzi. Cóż ci to jest?

— Co mi jest? — odparła dziewczyna; — nic mi nie jest. Czegóż się tak ostro we mnie wpatrujesz?

— A to co za szaleństwo? — zawołał zbójca,

chwyciwszy ją za ramię, i szarpnąwszy niém gwałtownie. — Co ci to jest? Co to ma znaczyć? O czém rozmyślasz, dziewcze? ha, co?

— O wielu rzeczach, Billu! — odpowiedziała dziewczyna, dreszczem na wskróś przejęta, a gdy to wyrzekła, rękoma oczy zakryła. — Ale na Boga? cóż już robić?

Ten wyraz wesołości wymuszonéj, z jakiém te ostatnie słowa wyrzekła, zdawał się na Billa daleko większe i nieprzyjemniejsze wrażenie robić, jak owe dzikie i obłąkane wejrzenie, które poprzód uwagę jego na siebie ściągnęło.

— Ja ci powiem, co to jest? — rzekł Sikes; — jeżeliś się odemnie gorączką niezaraziła, i ta się teraz w tobie niepojawia, to się w tém coś innego zupełnie święcić musi i to coś bardzo niebezpiecznego. Przecież niechcez z tąd uciec i..nie, nie, niech mię piorun trzaśnie, to być nie może.

— Co takiego? — zapytała dziewczyna.

— Nie, to być niemoże! — powtórzył Sikes, wlepiając w nią swój wzrok, i mrucząc to do siebie samego, — niema w świecie drugiéj dziewczyny tak wiernéj i przywiązanéj, jak ona, inaczéj byłbym już od trzech miesięcy ją był zadusił. Zapewnie gorączka,.... oto rzecz cała!

Pocieszając się sam tém zapewnieniem, Sikes szklankę sobie podaną aż do dna wychylił, i najokropniejsze przekleństwa potém miotając, o lekarstwo swoje zawołał.

Dziewczyna z wielkim pośpiechem się zerwała, lekarstwo co tchu przyrządziła, i natychmiast mu podała,

z twarzą jednak od niego odwróconą, i trzymała mu tak długo filiżankę, dopokąd niewypił.

— A teraz, — rzekł zbójca, — chodź i siadaj przy mnie i pokaż mi twoję twarz zwyczajną, inaczéj ci ją tak naznaczę, że jéj potém sama niebędziesz poznać mogła, gdy jéj będziesz potrzebowała.

Dziewczyna usłuchała natychmiast jego woli, a Sikes, uchwyciwszy jéj rękę, opuścił głowę na poduszki, trzymając jednak oczy ciągle na nią zwrócone.

Niebawem jednak to je zamknął, to znów otworzył: i znowu je zamknął i znów otworzył, wytrzeszczył; zbójca z niecierpliwości położenie swoje zmienił, i zasypiając kilkakrotnie na kilka minut, i zrywając się potém zawsze ze zgrozą, oczyma szeroko rozwartemi, któremi w sennym obłędzie po izbie dziko potoczył, zasnął nakoniec nagle snem mocnym, głębokim zdjęty. Ręka jego straciła siłę i nie uściskała więcéj ramienia dziewczyny, ramie wyprężone osłabło i padło na pościel bezwładne, a on leżał podobien do człowieka zachwytem uniesionego.

— Przecież raz opium skutek swój zdziałało, — ozwała się szepcąc po cichu dziewczyna, gdy się ze swego siedzenia przy łóżku podniesła. — Byle tylko już za późno nie było.

Śpiesznie kapelusz na głowę wzięła i chustkę na siebie zarzuciła, oglądając się co chwila z przerażeniem naokoło, jakby jeszcze i teraz, pomimo ten sen głęboki Billa obawa ją dręczyła, czyli się Sikes ze swego snu nie zerwie, a ona jego silnego, ciężkiego uściśnięcia ręki nieuczuje; nachyliwszy się potém po cichutku nad łóżko, złożyła pocałunek na ustach zbój-

cy, i otworzywszy i zamknąwszy za sobą pokój z największą ostrożnością, wypadła śpiesznie z domu.

Stróż nocny wywoływał właśnie pół do dziesiątéj, gdy do ciemnéj, wązkiéj uliczki dobiegła, przez którą jéj koniecznie przejść wypadało, jeżeli się do celu swéj wycieczki dostać chciała.

— Czy już dawno wpół do dziesiątéj wybiło? — zapytała z trwogą dziewczyna.

— Za ćwierć godziny dziesiątą obwoływać będę, — odpowiedział stróż, podnosząc latarnię, aby się jéj przypatrzeć.

— A ja dopiero za godzinę zaledwie tam się dostać będę mogła! — mruknęła Nancy, wyminąwszy go szybko, i puściwszy się pędem ulicą.

Wiele kramów i sklepów stało już zamkniętych w tych wązkich ulicach i przechodnich sieniach, przez które przebiedz musiała, aby się z Spitalfields na zachodnią stronę Londynu dostać. Na zegarze godzina dziesiąta wybiła, a niecierpliwość jéj wzrastała.

Lotem strzały goniła ciasnym brukiem tych ulic, roztrącając łokciami ludzi wspólnie idących na wszystkie strony, przemykając się przed łbami biegnących koni, krocząc śmiało przez ulice błotniste, gdzie gromady ludzi czekały na sposobność pomyślną, aby się przez nie dostać.

— Ta kobieta musi być szalona, — rzekł lud, zwracając głowę za nią, gdy mimo niego przebiegła.

Gdy się nakoniec do zamożniejszéj części miasta dostała, ulice były już w porównaniu bardziéj puste, nie tyle zwiedzane, a tutaj bieg jéj szybki wzbudzał daleko więcéj ciekawości i uwagi pomiędzy przecho-

dniami, jak gdzieindziéj. Nie jeden z przechodzących za nią się udał, jakby się chciał przekonać, dokąd ona takim pędem niezwykłym pośpiesza, i niejeden potém ustał, głowę zwrócił, i za nią spoglądał zdziwiony, iż ciągle biegnie a biegnie krokiem zawsze równym, nie niezwolnionym, a tak jeden za drugim od niéj odpadał i ustawał, a gdy w końcu do celu swego dobiegła, była sama.

W okolicy spokojnéj, cichéj, lecz bardzo pięknéj niedaleko Hyde-park, stał pałac ładny.

Jedynasta godzina właśnie wybiła, gdy latarnia nade drzwiami wisząca, wchodzącéj na schody pod 'wystawę tego pałacyku przyświecała.

Na kilka kroków przed domem się wstrzymała, wahając się niejako, czy ma wejść lub nie, lecz uderzenie zegaru wszelką odwagę jéj wróciło, a ona do przysionku weszła.

W loży odźwiernego niebyło. Spojrzała naokoło z pewną niespokojnością i zbliżyła się do schodów.

— Do kogóż to chcesz iść, moja panno? — zawołała schludnie i czysto ubrana niewiasta, spoglądając za nią przez drzwi na pół uchylone.

— Do pani, która w tym domu stanęła, — odpowiedziała dziewczyna.

— Pani! — odpowiedziano z gniewliwém wejrzeniem. — Jakiéj pani? jakże się nazywa?

— Pani Maylie, — odpowiedziała Nancy.

Owa niewiasta, która dotąd z Nancy rozmawiała, nierzekła ani słowa więcéj do dziewczyny, rzuciła na nią tylko spojrzenie cnotliwéj pogardy, i zawołała na

sługę domu, aby się z nią rozmówił. Jemu to Nancy pytanie swoje powtórzyła.

— Kogóż mam zapowiedzieć? — zapytał sługa.

— Po prostu, nieznajoma, więcéj niepotrzeba, — odpowiedziała Nancy.

— Niepotrzeba, ani też po co? — powtórzył sługa.

— Nie, niepotrzeba, — odparła dziewczyna; — proszę tylko powiedzieć, że z panną koniecznie pomówić muszę, to dosyć!

— Doprawdy? nic z tego niebędzie! — zawołał sługa wypychając ją za drzwi. — Ruszaj sobie, czy słyszysz?

— Strzeżcie się, i niezaczepiajcie mnie! — zawołała dziewczyna gwałtownie, — mogłabym wam takiego tutaj figla narobić, żebyście się niezaraz opamiętali. Czy niema tu nikogo, — dodała, spoglądając naokoło, — coby chciał małą usługę takiéj biednéj dziewczynie jak ja uczynić i owéj pani mię zapowiedzieć?

Ta odezwa sprawiła pomyślne wrażenie na poczciwego, dobrodusznie wyglądającego kucharza, który wraz z kilkoma służącemi przez drzwi wyglądał, i teraz naprzód się wysunął, aby dziewczynie przyjść w pomoc.

— Cóż, czy niemożesz tego dla niéj uczynić, Jakubie? — ozwał się do owego sługi.

— Na cóż to się zdało? — odparł sługa; — czyż niewidzisz, że ta panna którego z nas raczéj odwiedzić pragnie, co?

Ta przymówka do życia podejrzanego Nancy, wywołała całą burzę wstydliwości cnotliwéj i skromnéj w piersiach przysłuchujących się wszystkiemu kobiet słu-

żących, które z zapałem na to się srożyły, że ta dziewczyna jest zakałą ich płci, i na tém koniecznie obstawały, aby ją za drzwi wyrzucono i do kanału wtrącono.

— Zróbcie potém ze mną, co chcecie, — odparła dziewczyna, zwracając się jeszcze raz do owego sługi, — lecz uczyńcie to, o com was najprzód prosiła; a błagam was raz jeszcze, i zaklinam na miłość Boga, abyście żądanie moje dopełnili.

Kucharz, człowiek miękkiego serca, połączył swe prośby z jéj błaganiem, a wypadkiem tego było, że ów sługa, który się najpierw był pojawił, życzenie jéj spełnić postanowił.

— Cóż mam powiedzieć? — zapytał, stojąc jedną nogą już na schodach.

— Proszę powiedzieć, iż młoda dziewczyna koniecznie o to prosi, — rzekła Nancy, — aby z panną Maylie samą na osobności pomówić mogła, a gdy panna pierwsze tylko słowo od niéj usłyszy, będzie się mogła natychmiast przekonać, czyli ją ma daléj wysłuchać, lub też za drzwi jako oszusta wypchnąć kazać.

— To wyrok bardzo surowy, — odrzekł na to sługa. —

— Zanieś tylko to poselstwo, — odpowiedziała dziewczyna stale, — i przynieś mi odpowiedź!

Sługa wbiegł po schodach do góry, a Nancy blada, bez tchu prawie została w sieni, i słuchała z drżącemi usty tych głośnych przekleństw i nazw pogardliwych, których skromne niewiasty służebne domu w oburzeniu swojém cnotliwém wcale nie szczędziły. Bladość jéj się coraz bardziéj powiększała, aż nareszcie sługa ów się

napowrót zjawił i rzekł, ażeby dziewczyna na górę się udała. —

— Na cóż się człowiekowi w świecie zdało być uczciwą! — rzekła pierwsza służąca.

— Mosiądz bardziéj ceniony jak złoto, co próbę ogniową przebyło, — dodała druga.

Trzecia poprzestała skromnie na okazaniu tego zadziwienia jedynie: „z czego te panny są lepszego?“ a czwarta zabrała głos pierwszy w tym kwartecie: „to wstyd!“ na czém te niewinne Diany zakończyły.

Niezważając wcale na te złośliwe wybuchy gniewu, ... gdyż coś daleko ważniejszego na sercu jéj ciężyło, — Nancy się udała za sługą, drżąc na całém ciele, do małego przedpokoju, oświeconego lampą wiszącą u stropu, gdzie ją tenże opuścił, a ona się sama na kilka chwil została.

Prawda, że ta dziewczyna całe swoje życie na ulicach, lub téż w najohydniejszych pieczarach zepsucia, zdrożności i zbrodni Londynu przepędziła, lecz pomimo to w sercu jéj zawsze jeszcze mała iskierka pierwotnego znamienia kobiecości pozostała; a gdy się wkrótce stąpanie leciuchne słyszeć dało, zbliżające się ku drzwiom przeciwnym od tych, przez które weszła, a ona o téj różnicy pomyślała i nadzwyczajnéj sprzeczności tych osób, które ten mały pokoik wkrótce obejmować miał, uczucie własnego wstydu niesłychanym ciężarem do ziemi ją przygniatało, a ona się cała wzdrygnęła, jakby jéj trudno przyjść miało znieść obecność téj dziewczyny młodéj, którą przecież o kilka chwil potajemnéj rozmowy prosić kazała.

Lecz duma,..... ta wada ogólna ludzi najwyżéj i

najniżéj czy to w cnocie, czy w zbrodni lub zaszczytach stojących,.... zwalczyła w niéj to chwilowe wzburzenie lepszych uczuć.

Nędzna towarzyszka złodziei i złoczyńców wszelkiego rodzaju,.... nikczemny mieszkaniec najniższych, najpodlejszych jam, — wspólniczka wyrzutu najgorszego więzień i galarów,..... ta istota, która się sama szubienicy obawiać musiała,...... nawet ta hańbą, i wstydem pokryta istota za nadto wiele dumy w sobie czuła, aby okazać miała choć najmniejszą iskierkę kobiecości uczucia, które w oczach jéj słabością było; a jednak ono tylko jedno z ludzkością całą jeszcze ją łączyło, któréj ślady i oznaki wszelkie życie wszeteczne, rozpustne, zdrożne z powierzchowności jéj zupełnie wytarło.

Podniosła oczy o tyle, aby spostrzedz, iż ta postać, która weszła téj chwili, była to postać dziewczyny młodéj, smukłéj, ładnéj; potém je na dół spuściła, głową z udaną obojętnością wstrzęsła i rzekła:

— Było to bardzo trudno dobić się do panny i wyjednać sobie u niéj rozmowę. Gdybym tak bardzo drażliwą była, byłabym się mogła obrazić i odejść, coby każda inna na mojém miejscu zrobiła, a tegobyś panna była kiedyś pożałowała i to nie bez przyczyny.

— Bardzo mnie to boli, jeżeli się kto z tobą, moja dziewczyno, niegrzecznie i rubasznie obszedł, — odpowiedziała Rózia. — Proszę o tém nie pamiętać i powiedzieć mi, dla czegoś ze mną widzieć się pragnęła. Ja jestem tą samą osobą, któréjś pragnęła.

Głos miły dziewczyny, przyjacielski, z jakim tę odpowiedź wyrzeczono, grzeczność w całym jéj układzie

rozlana, brak wszelkiéj dumy, wyniosłości lub przykrości, zdziwieniem i podziwieniem biedną Nancy przejął, tak że się rzewnie rozpłakała.

— Ach panno! panno! — zawołała, załamała ręce z boleścią, i zakryła sobie twarz niemi — gdyby więcéj tobie podobnych na świecie było, byłoby daleko mniéj podobnych do mnie,...... o niezawodnie! —

— Proszę usiąść, — rzekła Rózia serdecznie; — mowa twoja mnie wzrusza i rozczula. Jeżeli ubóstwo, niedostatek, lub smutek, troski cię nękają, powiedz śmiało, a ja się będę starała ci je ulżyć, jeżeli siły moje na to wystarczą,...... bądź tego pewną. Proszę usiąść. —

— Proszę mi stać pozwolić, panno! — odpowiedziała dziewczyna, płacząc; — proszę tak mile, tak łagodnie do mnie nie przemawiać, dopokąd mnie panna bliżéj nie poznasz. Już późno, bardzo późno! czy te drzwi zamknięte?

— Zamknięte, — rzekła Rózia, cofając się w tył o parę kroków, jakby nieco bliżéj pomocy być pragnęła na przypadek, gdyby potrzeba jéj wypadła. — A to dla czego?

— Dla tego, — odpowiedziała dziewczyna, — iż życie moje własne, i życie wiele innych osób w ręce twoje panno oddać zamyślam. Ja to jestem tą samą dziewczyną, która małego Oliwera schwytać i do starego Fagina napowrót sprowadzić pomogła owego dnia, kiedy go z Pentonville z poleceniem i pieniędzmi do miasta wysłano.

— Ty! — zawołała Rózia Maylie.

— Tak jest, ja, moja panno, — odpowiedziała dziewczyna. — Ja to jestem tą nikczemną istotą, o któréj ci opowiedziano,.... żyjącą pomiędzy złodziejami, rabusiami, a która jeszcze nigdy lepszego życia nie zaznała, odkąd zmysłami swojemi przytomnie władnąć się nauczyła, a oczy jéj ulice Londynu zobaczyły, ani też miłego, przychylnego słówka od nikogo nie słyszała, jak mi Bóg miły! prócz tych, któremi mię towarzysze moi witali. Nie wzdrygaj się wcale, moja panno, ze zgrozą na mnie spoglądać!...... Ja jestem młodszą, jakbyś z pozoru mojego sądzić mogła, lecz śród występku i rozpaczy się podstarzałam przed czasem. Kobiety najuboższe, najnędzniejsze oddalają się odemnie i unikają mego spotkania, jeżeli przez najludniejsze nawet ulice się przeciskam.

— Jakie życie okropne!

Zawołała Rózia, oddalając się od niéj jeszcze bardziéj mimowolnie.

— Dziękuj Bogu codziennie na klęczkach, moja panno, — ciągnęła dziewczyna, — żeś znalazła przyjaciół, którzy w dzieciéństwie twojém staranie koło ciebie mieli i cię pielęgnowali, i żeś nigdy tak jak ja od kolebki mojéj chłodem i głodem nękana, zepsuciem, zdrożnością, zbrodnią i czémś jeszcze gorszém od tego wszystkiego,.... zewsząd otczona nie była. Ja to śmiało powiedzieć mogę, gdyż najlichsze ulice i jamy najokropniejsze były mojém codzienném łożem, i łożem śmiertelném z pewnością także będą.

— Twój los litość szczerą we mnie wzbudza! — rzekła Rózia głosem drżącym. — Słysząc cię, serce mi się kraje.

— Niech cię Bóg błogosławi za twoję dobroć, droga panno. — odpowiedziała dziewczyna. — Gdybyś wiedziała co się we mnie czasami dzieje, jakie uczucia sercem mém miotają, tobyś się z pewnością mocno nademną litowała. Musiałam się pokryjomu wykraść od tych ludzi, którzyby mię z pewnością natychmiast zamordowali, gdyby się o tém dowiedzieli, żem tutaj przyszła wyjawić ci to wszystko, com od nich podsłuchała. Czy pannie znajomy jest człowiek, imieniem Monks?

— Nie, — odpowiedziała Rózia.

— Ale on cię zna, droga panno, — odpowiedziała dziewczyna, — i wie o tém także, iż tutaj jesteś, gdyż to od niego o tém mieszkaniu się dowiedziałam, któregobym inaczéj nigdy nie była znalazła.

— Jeszczem tego nazwiska nigdy nie słyszała, — odpowiedziała Rózia.

— Musi to być zatém nazwisko przybrane, które w naszém towarzystwie jedynie nosi, czego się już dawniéj domyślałam, — odparła dziewczyna — W kilka dni po owym wypadku, kiedy Oliwera do mieszkania pani nocą przez okienko wsunięto, aby dom okraść, podsłuchałam rozmowę pomiędzy nim a Faginem w ciemności, ... mając go już dawno w wielkiém podejrzeniu. Wtedy to dowiedziałam się z tego, co do siebie mówili, że Monks, — ten człowiek, o którym pannie poprzód wspomniałam, ... panna wie....

— Wiem, wiem, pamiętam..... — odpowiedziała Rózia. —

— .. Że Monks, — ciągnęła daléj dziewczyna, — Oliwera w towarzystwie kilku innych chłopców owego

dnia zobaczył, kiedy go po raz pierwszy z domu wypuszczono, i natychmiast go poznał, że on jest tym samym chłopcem, na którego już od tak dawna czatował, lubo tego żadną miarą odgadnąć nie mogłam, dla czego? Monks zrobił z Faginem, owym Żydem, ugodę, że ma wiele za to zapłacić, jeżeli Oliwera jakim sposobem będzie mógł napowrót do siebie dostać, a więcéj jeszcze za to, jeżeli go na złodzieja wykieruje, co dla tego Monksa ważną i pożądaną rzeczą być się zdawało. —

— Lecz w jakim celu? — zapytała Rózia skwapliwie. —

— Tegom już słyszeć nie mogła, gdyż oni cień mój na ścianie spostrzegli, kieydm pode drzwiami stała, aby ich podsłuchać, — odrzekła dziewczyna, — a przekonana jestem, żeby nie wiele takich się znalazło, którzyby wtedy tak zręcznie ukryć się byli umieli, aby ujść ich prześladowaniu, gdy na to odkrycie z izby wypadli i za mną wszędzie szukali. Lecz ja uciekłam, i nie słyszałam nic więcéj o nim, dopiero wczoraj.

— A cóż się wtedy wydarzyło?

— Zaraz ci to opowiem, droga panno. Wczoraj wieczór on znowu przyszedł. I teraz obaj do innéj izby na drugie piątro razem się wynieśli, a ja się także za nimi udałam, i tak ostróżnie do drzwi przytuliłam, że mię spostrzedz niemogli, i znowum ich podsłuchała. Pierwsze com z ich rozmowy usłyszała, były słowa następne: Tak więc ostatnie świadectwa i dowody jego rodu leżą na dnie rzeki, a ta stara czarownica, która je matce jego umierającéj skradła, gnije teraz w swéj

trumnie.“ — Obaj się potém serdecznie rozśmiali, i rozmawiali o szczęśliwém uskutecznieniu tego przedsięwzięcia, a Monks, mówiąc jeszcze daléj o tym chłopcu, rzekł z niewypowiedzianą wściekłością, że lubo teraz majątek tego przeklętego chłopca bez wszelkiéj obawy do niego należy, wolałby go był na inny sposób dostać; gdyż on tego nawet określić nieumie, jaką rozkoszą by to dla niego było, gdyby testament ojca przez to był mógł wywrócić, iżby tego chłopca z więzienia do więzienia włóczono, i w końcu za jaką zbrodnię wielką przed sąd stawiono, na śmierć lub wywiezienie z kraju osądzono, coby Fagin z łatwością był mógł uskutecznić, ciągnąc przytém z niego korzyść tak długo, jakby się tylko było dało.

— Co to wszystko ma znaczyć?....co to jest? — zawołała Rózia.

— Prawda, panno, szczera, ista prawda, lubo z ust moich wychodzi, — odpowiedziała dziewczyna. — A potém dodał, zionąc przekleństwa, do których ucho moje przyzwyczajone, lecz twojem panno zupełnie są obce, nieznane, żeby chętnie życie chłopcu odebrał dla zaspokojenia swéj nienawiści i zemsty, byle tylko bez niebezpieczeństwa dla swego własnego gardła to mógł uczynić; ale żeby to na teraz rzeczą bardzo niebezpieczną dla niego być mogło, więc oka od niego ani na chwilę nie odwróci, wszędzie za nim czatować, wszędzie go prześladować będzie, co z łatwością uczynić zdoła, jeżeli owe wydarzenia, które go dotąd spotkały, zręcznie na korzyść swoję użyć zechce. „Mówiąc słowem Faginie! — dodał, — jakkolwiek jesteś Żydem, to ani wyobrażenia niamasz o tych podstępach, których użyć

zamyślam, aby tego małego braciszka mojego Oliwera zgnębić i zgubić!“

— Jego brata! — zawołała Rózia, załamując ręce.

— Tak przynajmniéj powiedział!

Odparła Nancy, obglądając się z trwogą naokoło, jak to zwykle dotąd czyniła, nim rozmowę swoję z Rózią rozpoczęła, gdyż cień groźny Billa ciągle przed oczyma jéj stawał.

— I coś więcéj jeszcze. Kiedy o tobie panno i twéj opiekońce czcigodnéj mówił, i rzekł, iż się niebo lub piekło przeciwko niemu sprzysiądz musiało, że się Oliwer do was dostał, rozśmiał się szydersko, mówiąc, że i w tém wielka jeszcze pociecha dla niego leży, gdyż on wie dobrze ilebyś tysięcy i stotysięcy funtów za to panno chętnie dała, gdybyś się tylko dowiedzieć mogła, kto jest ten twój ulubiony piesek dwunożny.

— Spodziewam się, iż niechcesz utrzymywać, — odpowiedziała Rózia, zbladłszy jak chusta, — że on to szczerze powiedział?

— On to szczerze mówił, tak szczerze, jak człowiek jemu podobny tylko mówić może, — odparła dziewczyna, wstrząsnąwszy głową. — Jest to człowiek, który żartować nie lubi, jeżeli nienawiść sercem jego miota. Ja znam bardzo wielu, którzy nie jedną zbrodnię większą popełnili, ale ja bym wolała stokrotnie chętniéj z nimi, jak z tym człowiekiem mieć do czynienia. Ale już bardzo późno w nocy, a ja do domu powrócić muszę niewzbudziwszy najmniejszego podejrzenia, iż w tym celu tak daleko chodziłam. Muszę jak najprędzéj do domu pośpieszać.

— Cóż ja jednak uczynić mogę? — zawołała Rózia,

— na cóż mi się ta cała wiadomość zda bez ciebie, moja dziewczyno! Chcesz powracać! Czyż możesz tęsknić za towarzyszami, którycheś mi w tak ciemnych i okropnach barwach dopiero co odmalowała? Jeżelibyś tę wiadomość powtórzyć chciała pewnemu panu, którego natychmiast z przyległego pokoju przywołać mogę, tobyśmy cię potém najdaléj za pół godziny w miejsce bezpieczne odesłać mogli.

— Lecz ja chcę do siebie powrócić, — odparła dziewczyna; — ja muszę nawet do siebie powrócić, dla tego że,....lecz czyż mogę ucho takiéj niewinnéj dziewczyny podobném wyznaniem razić?....dla tego że pomiędzy owymi ludzi, o których pannie już wspominałam, znajduje się jeden, i najniebezpieczniejszy z wszystkich, którego mi opuścić niepodobna; nie....nie ....nawet i wtedy nie, gdybym się przez to od tego życia, którem dotąd wieść była zmuszona, wybawić i oswobodzić mogła.

— Twoja gorliwość i troskliwość o dobro tego drogiego chłopczyny, — rzekła na to Rózia, — twoje do mnie przybycie bez względu na wszelkie niebezpieczeństwa ci grożące, aby mi to opowiedzieć, coś o nim słyszała; twoje całe wzięcie, przekonywujące mię o prawdzie tego coś mi doniesła,...twój żal widoczny, skrucha i uczucie wstydliwości, to wszystko mi jasno dowodzi, żebyś się jeszcze poprawić, i życie inne rozpocząć była w stanie. O! — zawołała ta dziewczyna, złożywszy ręce, a łzy czułéj litości po licach jéj płynęły; — o usłuchaj błagania i prośby istoty, do twéj własnéj płci należącéj;....pierwszéj,...tak jest pierwszéj może, która do ciebie z tém uczuciem szczeréj litości i współczucia

przemawia. Usłuchaj méj prośby ;....daj się namówić, ...i przezemnie życiu lepszemu uzyskać.

— Ach panno, — zawołała dziewczyna padając na kolana, — droga, miła, dobra, anielska panno! tak jest, ty *jesteś* pierwszą, która mnie kiedykolwiek takiemi słowy szlachetnemi, zbawiennemi jak te, uszczęśliwiła; a gdybym je była przed kilku laty jeszcze pierwéj usłyszała, byłyby może życie moje od grzechu, występku, zbrodni odwiodły, odwróciły;....ale teraz już późno,....za nadto późno!

— Na żal i pokutę nigdy nie jest zapóźno! — odparła Rózia.

— Lecz nie dla mnie! — zawołała dziewczyna, załamawszy ręce w okropnéj rozpaczy. — Ja go teraz opuścić niemogę;.... niemogę się stać przyczyną jego śmierci.

— A to jakim sposobem? — zapytała Rózia.

— Nieby go zbawić niemogło, — odpowiedziała dziewczyna; — gdybym to przed innymi wyjawiła, com téj chwili tobie panno powierzyła, i więzienie przez to na niego sprowadziła, nieby go wtedy od śmierci zbawić niemogło. Jest on najśmielszym z wszystkich i nie jedno okrucieństwo już popełnił!

— Czy to być może? — zawołała Rózia, — ażebyś dla takiego człowieka wszelkiéj nadziei na przyszłość wyrzec się miała, wszelkiéj pewności rychłego wybawienia i prowadzenia życia lepszego, swobodniejszego? To prawdziwe szaleństwo!

— Ja niewiem wcale co to jest? — odpowiedziała dziewczyna, — ja tylko o tém wiem, że tak jest w istocie, a to nie tylko ze mną jedną tak się dzieje, ale i z

tysiącem innych, niemniej zepsutych i nikczemnych odemnie. Lecz ja koniecznie powrócić muszę. Niewiem, czy to nie jest skutek Bożego gniewu na mnie za to złe, które uczyniłam, ale ja czuję, że mię pomimo wszelkie plagi i złe obejście, coś nieprzezwyciężonego do niego ciągnie, któremu bym wtedy nawet uledz musiała, gdybym przekonaną była, że z jego ręki jeszcze zginę.

— Cóż mam więc czynić? — zarzuciła Rózia; — właściwie niepowinnabym cię puszczać.

— Nie, nie, panno,....tego uczynić niemożesz, i ja wiem że nieuczynisz, abyś mię tutaj zatrzymać miała, — odpowiedziała dziewczyna podnosząc się z ziemi. — Ty mię wolno wypuścisz dla tego, żem twojéj dobroci zaufała, i żadnego przyrzeczenia od ciebie poprzód nie żądała, cobym bardzo łatwo była uczynić mogła.

— Na cóż się mi więc zda ta wiadomość, którąś mi przyniosła? — odparła Rózia. — Tę tajemnicę musimy koniecznie rozświecić; inaczéj niewidzę, jaka korzyść by z twego doniesienia dla Oliwera wypaść mogła, którego jak widzę szczerze zbawić pragniesz?

— Musisz panna mieć zapewnie jakiego dobrodusznego i usłużnego przyjaciela, który tę tajemnicę wysłucha i potém ci poradzi, co uczynić wypadnie? — odpowiedziała dziewczyna.

— Gdzież cię jednak będę znaleść mogła, na przypadek gdyby mi cię koniecznie potrzeba było? — spytała Rózia. — Ja się niechce wcale dopytywać, gdzie owi okropni ludzie mieszkają, jabym jedynie wiedzieć chciała, gdzie się o pewnym, oznaczonym czasie znajdować, lub też którędy przechodzić będziesz?

— Czy mi panna przyrzecze, że tajemnicy mojéj ściśle dochowasz, i sama tylko na ową schadzkę przyjdziesz, a przynajmniéj w towarzystwie jednéj tylko osoby, któréj to wszystko będzie wiadome, i że nikt na mnie czatować lub za mną śledzić niebędzie? — spytała dziewczyna.

— Przyrzekam ci to uroczyście, — odpowiedziała Rózia.

— Każdéj niedzieli pomiędzy jedynastą a dwunastą godziną w nocy będę się przechodzić po moście Londyńskim, jeżeli przy życiu zostanę, — rzekła wtedy dziewczyna bez wahania.

— Jeszcze jedno słówko! — zawołała Rózia, widząc że się dziewczyna ku drzwiom zwraca. — Pomnij jeszcze raz dobrze na swoje własne położenie, i tę sposobność, która ci się nastręcza wybawienia się od tego okropnego życia. Uzyskałaś sobie pewne prawo do mojéj pomocy; nie tylko dla tego, żeś mi tak ważną wiadomość przyniosła, tak wielką tajemnicę wyjawiła, ale i jako kobieta na wieki już prawie stracona. Czy chcesz koniecznie do tych ludzi okropnych, tych zbójców i owego groźnego człowieka powracać, kiedy jedno słówko twoje zbawić cię może? Jakiż to urok cię do nich na powrót ciągnie i do tego życia w nędzy, niedostatku i występku nęcić może? O! czyż niema żadnéj strony słabéj w twojém sercu, w którąbym uderzyć mogła?....czyż niema w niém żadnego uczucia, które bym przeciwko temu postanowieniu twojemu okropnemu w pomoc wezwać mogła?

— Jeżeli tak młoda, dobra, i piękna kobieta jak ty, panno, — odparła dziewczyna stanowczo, — serce

swoje kochankowi odda, miłość ono do wszystkiego zdolném czyni,....zwłaszcza jeżeli do ciebie panno jest podobną, co masz krewnych, przyjaciół, licznych wielbicieli,....i posiadasz zatém coś, czém ono zapełnić możesz. Lecz jeżeli kobieta taka jak ja, która żadnego przytułku nieposiada, chyba grób, żadnéj strzechy własnéj, chyba wieko od trumny, żadnego przyjaciela lub pocieszyciela w chorobie, chyba dozorczynię w szpitalu, serce swoje gnijące jakiemu mężczyźnie odda, i pozwoli mu w niém zapełnić miejsce rodziców, krewnych, przyjaciół, lub też to, które przez cały czas naszego haniebnego życia, miejscem próżném, pustém było, któż się może spodziewać nas wyleczyć? O lituj się,....lituj nad nami panno, żeś my tylko jedno jeszcze uczucie kobiece zachowali, a że i to uczucie w skutek kary ciężkiéj nieba zamiast być naszą pociechą i dumą, owszem przekleństwem i źródłem nowych cierpień, nowych udręczeń się staje.

— To przynajmniéj chciéj przyjąć odemnie jaką pomoc małą, — rzekła Rózia po chwili, — którąby ci bez hańby żyć dozwoliła, przynajmniéj tak długo, ... dopokąd się powtórnie z sobą nie zobaczemy?

— Nieprzyjmę ani grosza! — odpowiedziała dziewczyna, skinąwszy ręką.

— Niezamykaj twego serca na moje porady, na moje ofiary, aby ci pomódz, — rzekła Rózia postępując grzecznie ku niéj. — Ja sobie szczerze życzę w czémkolwiek ci usłużyć.

— Najlepiéj mi usłużysz, największe dobrodziejstwo wyświadczysz, droga panno, — odpowiedziała dziewczyna, załamując ręce, — jeżeli mi to życie

odebrać możesz; gdyż ta myśl: czém jestem, daleko większą boleść dzisiejszego wieczora sercu memu sprawiła, jak ono kiedykolwiek już doznało, a byłoby to dla mnie wielką pociechą w tym piekle nieumierać, w którym dotąd mieszkałam. Niech cię Bóg błogosławi, droga, luba panno, i niech tyle szczęścia na ciebie zeszle, ile ja hańby na siebie ściągnęłam!

Z temi słowy, śród łkania płaczu boleśnego, ta istota nieszczęśliwa, litości godna, z domu się oddaliła, a Rózia Maylie, przygnieciona tą szczególną rozmową, mającą więcéj podobieństwa do sennego marzenia płochego, jak prawdziwego zdarzenia, padła na krzesło, i zaczęła myśli swoje zbierać, aby przytomność i pamięć odzyskać.

ROZDZIAŁ XIII.

Zawiera nowe odkrycia, i pokazuje że tak szczęscie jak i nieszczęście nie po ziemi, ale po ludziach chodzi.

Położenie Rózi było rzeczywiście nadzwyczajne i niemało rozmaitych trudności przedstawiało; gdyż z jednéj strony ożywiało ją jak najgorętsze pragnienie wyświecenia téj całéj głębokiéj tajemnicy, którą wypadki życia Oliwera okryte były,....z drugiéj zaś wzdrygała się zdradzić tę ufność, którą owa nieszczęśliwa dziewczyna podczas swéj rozmowy, w niéj jako młodéj, niewinnéj, tkliwéj dziewczynie położyła, zawierzając jéj ten cały wypadek.

Mowa i układ Nancy ujął serce Rózi dla siebie, a dla przywiązania jéj do téj małéj sieroty, która pod opieką Rózi zostawała, niezmniejszającéj z pewnością ufności téjże w gorliwość i szczerość biednéj Nancy, połączyło się w duszy Rózi najgorętsze życzenie ją poprawić, żalem i skruchą serce jéj natchnąć, i na drogę do cnoty ją sprowadzić.

Pani Maylie zamierzała trzy dni jedynie w Londynie zabawić, a potém na kilka tygodni w miejsce odległe nad brzegi morza się udać. Była to właśnie północ pomiędzy dniem pierwszym i drugim. Jakiż zamiar działania mogła sobie przez te czterdzieści ośm godzin ułożyć, jaką drogę obrać? jakimże sposobem mogła tę podróż na czas dalszy odwlec, niechcąc wzbudzić podejrzenia, że coś szczególnego, nadzwyczajnego zaszło?

Prawda że Losberne im towarzyszył, i przez to parę dni się u nich miał zatrzymać; lecz Rózia znała dokładnie zbytnią popędliwość tego zacnego i ze wszech miar godnego człowieka, i przewidywała bardzo jasno ten gniew i wściekłość, z jaką przy pierwszym zaraz wybuchu swego oburzenia na to narzędzie nieszczęśliwe spoglądać będzie, które się do schwytania Oliwera i zaprowadzenia go do jamy Żyda przyczyniło; niepodobieństwem przeto było, aby mu swą tajemnicę wykryć była mogła, jeżeli nikogo za sobą niemiała, coby jéj mógł być podporą w obronie owéj dziewczyny, i pomocy swojéj przy wstawieniu się za nią udzielić.

Te same powody musiały także jéj postanowieniem kierować, aby tylko z największą ostrożnością i oględnością owe wydarzenie saméj pani Maylie powierzyć, któraby w pierwszym popędzie swojém z pewnością rady lekarza godnego była zasięgnąć chciała i z wszystkiém się mu zwierzyła. Z tychże samych przyczyn ani myśleć o tém niemogła, aby się z tą całą rzeczą do prawnika jakiego udać, choćby nawet była dobrze wiedziała, jak sobie w téj mierze postąpić.

Raz jéj nawet na myśl wypadło Henryka Maylie o radę i pomoc wezwać; ale ta myśl wzbudziła w niéj

wspomnienie jego ostatniego odjazdu, a to się jéj niezdawało rzeczą przyzwoitą i godną do siebie go przywoływać, gdyż — a na tę myśl łzy się jéj z oczu potoczyły, — przez ten czas mógł już o niéj zapomnieć i w sposób inny być szczęśliwym.

Dręczona temi rozmaitemi, przeciwnemi myślami, skłaniając się to do tego, to do owego zamiaru, to znów jeden i drugi odrzucając, w miarę jak jéj dalsza rozwaga te zamysły w tém lub owém świetle ukazywała, Rózia przepędziła noc niespokojną, bezsenną, a rozebrawszy nazajutrz rano raz jeszcze wszystko dokładnie, w rozpaczy swojéj do tego ostatecznego postanowienia się skłoniła, aby Henryka Maylie wciągnąć w tajemnicę.

— Będzie to dla niego bardzo przykro, niemiło raz jeszcze do mnie się zbliżyć, — pomyślała sobie, — czyż to jednak dla mnie jeszcze przykrzéj i boleśniéj nie będzie? A może też i on nieprzyjdzie; może on mi tylko odpisze;.... albo też może sam przyjdzie, lecz umyślnie mię unikać będzie, aby ze mną niemówić,.... jak to podczas swego odjazdu uczynił; nawet mi ani przez myśl nieprzeszło, że on to uczyni. Było to jednak daleko lepiéj dla nas obojga, ...daleko lepiéj!

Rózia przytém pióro na bok odłożyła i cokolwiek się obróciła, aby ten papier nawet, na którym do niego pisała, łzy w oczach jéj drżącéj niewidział.

Już po raz dwudziesty pióro do ręki wzięła, tylekroć razy na powrót ono odkładając i pierwszy zaraz wiersz swego listu, ciągle na nowo układając, za każdą razą na nowo rozważała, odrzucała, nienapisawszy jeszcze ani jednéj głoski nawet, gdy Oliwer, który się ze starym Giles na miasto był wybrał, i przez kilka

godzin po ulicach błąkał, wpadł do jéj w pokoju zadyszany, wylękły, wzburzony, z taką niespokojnością na twarzy, jakby się jakiego nieszczęścia obawiać należało.

— Cóż ci się to stało, że taki strwożony, wylękniony wyglądasz? — zapytała Rózia, wychodząc naprzeciwko niego. — Powiedzże mi Oliwerze, co ci jest?

— Ach panno, do słowa przyjść nie mogę,..tak mi coś jest, jakby mię za gardło ściskało, dusiło,— odpowiedział chłopiec.—Ach droga panno! jeźli sobie pomyślę, żem go raz przecie zobaczył, a państwo wszyscy się przekonać będą mogli, że ja wam zawsze prawdę mówiłem!

— Jam nigdy inaczéj nie sądziła,....byłam zawsze pewna, żeś przed nami prawdy nigdy niezataił, — odparła Rózia, pieszcząc go. — Cóż się jednak stało?.... o kimże to mówisz?

— Widziałem dzisiaj owego jegomości, — odpowiedział Oliwer, bełkotając z radości, — owego staruszka, który tak dobrym był niegdyś dla mnie,.... pana Brownlow, o którymeśmy tyle razy mówili?

— Gdzie? — zapytała Rózia.

— Wysiadającego z powozu, — odpowiedział Oliwer, roniąc łzy radości, — i wchodzącego do pewnego domu. Nic rzekłem do niego ani słowa, ... niemógłem nic mówić do niego, gdyż on mnie nie widział, a ja tak mocno drżałem na całém ciele, żem na żaden sposób z miejsca się nie mógł ruszyć i do niego udać. Ale Giles się odwiedział u sługi, gdzie ten pan teraz mieszka? na co mu odpowiedziano, że w tym domu mieszka od niejakiego czasu. Proszę popatrzyć,—dodał, dobywając z kieszeni małéj karteczki, — oto jest jego

mieszkanie, ... w tym domu mieszka; ..... natychmiast się myślę udać do niego. O, droga, droga panno! nie będę się mógł z radości opamiętać, jeżeli do niego przybędę, i po tak długim rozstanku głos jego usłyszę!

Śród podobnych wybuchów nadzwyczajnéj radości i uciechy biednego chłopczyny Rózia zaledwie czasu na tyle uzyskała, aby na kartce napisane mieszkanie pana Brownlow przeczytać. Leżało ono przy ulicy Cravenstreet, nad brzegiem Tamizy, a ona się długo nie namyślała, lecz w okamgnieniu to postanowienie powzięła z tego przypadku szczęśliwego korzystać.

— Żywo!.... żywo! — rzekła; — każ zaprzęgnąć do kabryjoletu i bądź gotów natychmiast mi towarzyszyć. Ja cię bez najmniejszéj utraty czasu wprost do niego zawiozę. Ja tylko cioci mojéj chcę oznajmić, że na godzinkę z domu wyjedziemy, i zbierę się prędzéj jeszcze jak ty.

Nie trzeba było Oliwerowi pośpiechu zalecać, gdyż jemu samemu wiele na tém zależało, aby się jak najprędzéj z dobroczyńcą swoim zobaczyć, a oni się oboje za pięć minut najdaléj już na drodze do Cravenstreet znajdowali. —

Gdy w miejsce naznaczone dojechali, Rózia sama wysiadła, i Oliwera w powozie zostawiła pod pozorem przygotowania staruszka na jego przyjęcie, i posłała najprzód przez służącego swoję kartę z tą prośbą, aby się z panem Brownlow w sprawie bardzo ważnéj jak najprędzéj widzieć mogła.

Sługa powrócił niebawem z tém poleceniem, aby się po schodach na górę udać raczyła, a panna Maylie, idąc za nim, weszła do pokoju małego i stanęła w obec

staruszka, w zielonym surducie, któremu dobroć serca z oczu patrzyła, a z nim spostrzegła drugiego starca, w nankinowych spodniach, który w niejakiéj odległości siedział, nie bardzo dobrotliwie wyglądał, ręce złożone na gałce od swéj grubéj laski miał sparte, a bródkę na nich opartą.

— A!.... — zawołał ów jegomość w zielonym surducie, zrywając się z krzesła z grzeczną uprzejmością. — Proszę mi wybaczyć, łaskawa panno;.... sądziłem, że to jaka dziewczyna natrętna, pomocy żebrząca;.... spodziewam się, że mi pani tę pomyłkę wybaczy. Proszę usiąść, proszę....

— Pan Brownlow, jeżli się nie mylę?

Rzekła Rózia, rzucając okiem to na jednego, to na drugiego.

— Tak się nazywam, — odpowiedział staruszek; — a to jest mój przyjaciel, pan Grimwig. Grimwig, czy nie byłbyś tak dobrym na kilka chwil nas samych pozostawić?

— Mnie się zdaje, — odparła dziewczyna, — iż na teraz nie jest rzeczą wcale potrzebną, aby temu panu tyle trudu zadawać. Jeżeli mi prawdę powiedziano, to i temu panu ta sprawa cała jest wiadoma, która mię tutaj przyprowadziła.

P. Brownlow pochylił głowę na znak uległości życzeniu panny Maylie, a Grimwig, który się zrazu bardzo sztywnie był ukłonił, podniósłszy się ze swego krzesła, teraz powtórnie i nie mniéj sztywnie się skłonił, i miejsce swoje napowrót zajął.

— Wiadomość, którą przynoszę, z pewnością pana mocno zadziwi, — ozwała się nakoniec Rózia z nie-

jakim kłopotem; — lecz pan świadczyłeś przed niejakim czasem wiele dobroci jednemu bardzo drogiemu przyjacielowi mojemu, a ja jestem pewną, że pan się będziesz cieszył, jeżeli o nim teraz coś więcéj usłyszysz. —

— Być to może, — odpowiedział Brownlow. — Prosiłbym jednak o jego nazwisko?

— Ten chłopczyna zowie się Oliwer Twist! — odpowiedziała Rózia.

Zaledwie to słowo z jéj ust się wymknęło, Grimwig, który dotąd udawał, iż się w księdze wielkiéj na stoliku przed nim leżącéj, głęboko zaczytał, nagle z wielkim hałasem ją zatrzasnął, na krześle w tył się rzucił, a z jego oblicza znikł wszelki wyraz prócz jedynego niewysłowionego zadziwienia. Z oczyma szeroko rozwartemi, wytrzeszczonemi, siedział przez czas niejaki, lecz wkrótce się opamiętał, i wstydząc się niby, że tak wielkie, niezwykłe wzruszenie okazał, zajął napowrót swoję dawną postawę, i wlepiwszy oczy wprost przed siebie, świst głuchy, przeciągły wydał, który się wcale po powietrzu nie rozszedł, lecz w brzuchu jego ginąć się zdawał.

I pan Brownlow tą wiadomścią nie mało zdziwiony został, lubo to zadziwienie na taki sposób szczególny u niego się nie objawiło. Przysunął sobie tedy krzesło bliżéj do Rózi i rzekł:

— Bądź pani tak łaskawą, wypuścić z naszéj rozmowy wszelką dobrotliwość, o któréjś wspomniała, a o któréj nikt w świecie ani słówka nie wie; a jeżeli dowód najmniejszy posiadasz, którymbyś zbić mogła to złe mniemanie, które o nim powziąść zmuszony byłem, i

przekonać mię, iż na moje przywiązanie, moję przychylność zasługuje, więc cię zaklinam na miłość Boga, abyś mi go jak najprędzéj udzieliła.

— Jest to chłopiec zły, zepsuty;....ja połknę moję głowę, jeżeli to nie jest chłopiec zepsuty!

Mruknął Grimwig na sposób brzuchomówcy, bez poruszenia najmniejszego na twarzy.

— Jest to chłopiec serca szlachetnego i wzniosłego umysłu, — odparła Rózia, spłoniwszy się nieco; — a owa potęga, któréj się go tak srogo na jego młode lata doświadczyć podobało, obdarzyła pierś jego uczuciami tak pięknemi i szlachetnemi, żeby zaszczytem niejednego człowieka, który sześć razy starszym jest od niego, stać się mogły.

— Ja mam dopiero lat sześćdziesiąt, — rzekł pan Grimwig, z tąże samą niezmiennością i otrętwiałością twarzy; — a jeźli djabli się w to nie wmięszali, to Oliwer musi teraz mieć już przynajmniéj dwanaście; nie widzę zatém trafności w zastósowaniu téj uwagi.

— Proszę na mego poczciwego przyjaciela wcale nie zważać, droga panno; on tak źle nie myśli, jakby się z jego mowy wydawało, — wtrącił Brownlow

— Nieprawda, on tak źle myśli, — odparł Grimwig.

— Nie, nie myśli!

Zawołał Brownlow, pomału w gniew burzliwy się wbijając.

— On głowę swoję połknie, jeżeli nie myśli, — mruknął Grimwig.

— Wart by tego był, aby ją utracić, tę twardą głowę, jeżeli myśli, — odparł Brownlow.

— A on by tego rad widział, coby się chciał odważyć, aby mu ją wziąść!

Odpowiedział Grimwig, stuknąwszy laską o ziemię. Obaj staruszkowie, doszedłszy do tego stopnia w swéj sprzeczce, zażyli poważnie tabaki, a potém sobie ręce podali, według swego odwiecznego, niezmiennego zwyczaju.

— A teraz, chciéj do téj sprawy powrócić, droga panno Maylie, — rzekł Brownlow do niéj, — która serce twe ludzkie i litościwe tak gorąco zajmuje. Proszę mi łaskawie powiedzieć, jakie wiadomości pani masz o tym biednym chłopcu? proszę mi pozwolić przedewszystkiém jeszcze tę uwagę zrobić, iż wszelkie środki, w mocy mojéj będące wyczerpałem, aby najmniejszą wiadomość o nim zasięgnąć, i że od czasu mojéj podróży, którą w dalekie strony przedsięwziąłem, pierwsze moje przypuszczenie, iż z dawnymi swymi towarzyszami się zmówił, aby mię okraść, mocno się zachwiało.

Rózia, która dość czasu miała, aby myśli swoje pozbierać, i potrzebną spokojność odzyskać, opowiedziała mu krótko a dokładnie, wszelkie przygody Oliwera, które go od téj chwili spotkały, gdy go z domu pana Brownlow uwiedziono, zachowując sobie jednak poufne zwierzenia Nancy na chwilę pomyślniejszą, w któréjby z panem Brownlow na osobności rozmówić się mogła, kończąc całe swoje opowiadanie tém zapewnieniem, iż przez te kilka miesięcy to największą jego troską było, że się ze swoim dawnym dobroczyńcą i przyjacielem widzieć i za jego dobroć i łaskawość podziękować mu niemógł.

— Dzięki Bogu! — zawołał wtedy Brownlow; —

jest to dla mnie wielką pociechą, bardzo wielką pociechą. Aleś mi jeszcze nie doniosła moja droga panno Maylie, gdzie on się obecnie znajduje. Proszę mi wybaczyć, że sobie wyrzut pani uczynić pozwalam,...... lecz dla czegóżeś go pani z sobą nie przywiozła?

— On u drzwi tego domu czeka w powozie, — odpowiedziała Rózia.

— U tych drzwi?....

Zawołał staruszek i wypadł z największym pośpiechem z izby, zbiegł po schodach na dół, przypadł do powozu, i wpadł do niego, nie wyrzekłszy ani słowa więcéj.

Gdy się drzwi za nim zawarły, Grimwig podniósł głowę, oparł się na krześle, wygiął na niém tak, że na jednéj nodze tylko stało, i zaczął w koło kręcić tak, iż za pomocą laski i stołu ciągle siedząc, trzy razy w koło na niém się obrócił.

Ukończywszy szczęśliwie ten obrót szczególny, zerwał się z krzesła, przebiegł kulejąc mało dwanaście razy przez pokój tam i nazad w największym pędzie, zatrzymał się potém nagle przed Rózią, i pocałował ją w twarz bez wszelkiego zachodu.

— Cicho! cicho! — zawołał, gdy się dziewczyna tym postępkiem dziwnym, niezwyczajnym, zmięszana zerwała, — niech się pani nie lęka; ja jestem w takim wieku, żebym śmiało dziadem twoim mógł być. Luba, poczciwa z ciebie dziewczyna, moja panno. Kocham cię za to. Otóż i oni.

Gdy Grimwig to wyrzekłszy, zręcznym rzutem na dawném swojém miejscu się usadowił, pan Brownlow

wszedł rzeczywiście w towarzystwie Oliwera do pokoju, którego Grimwig wtedy bardzo grzecznie i uprzejmie powitał; a gdyby Rózia Maylie, za swoję trwogę, trudy i starania dla Oliwera poniesione, żadnéj innéj nagrody nie była otrzymała, już ta rozkosz sama, którą ta chwila serce jéj przejęła, byłaby ją hojnie za wszystko wynagrodziła.

— Jeszcze tu jest ktoś, o kim w téj radości naszéj zapomnieć nie możemy, niech się co chce stanie,— ozwał się Brownlow, pociągnąwszy za dzwonek. — Niechno pani Bedwin natychmiast przyjdzie.

Stara gospodyni usłuchała tego wezwania z największym pośpiechem, i zatrzymała się u drzwi, oczekując dalszych rozkazów swego pana.

— Coż to, ... jak widzę to oczy twoje codziennie bardziéj się psują, moja kochana Bedwin, — rzekł Brownlow po chwili nieco markotny.

— Prawdać to panie, prawda, — odparła staruszka. — W moim wieku to się wzrok nie polepsza.

— I jabym się to samo był na tę uwagę mógł zdobyć, — odpowiedział Brownlow; — wdzijże na nos okulary i popatrz się, czyli tego sama nie zobaczysz, poco cię tutaj przywołano?

Staruszka zaczęła po kieszeniach swoich za okularami szukać, lecz Oliwer dłużéj wytrzymać nie mógł, było to nad jego siły; a ulegając swemu silnemu pociągowi serca, rzucił się w jéj objęcie.

— Boże zmiłuj się nademną! — zawołała staruszka, ściskając go serdecznie; — wszakże to mój niewinny chłopczyna!

— Moja droga opiekónko! — zawołał Oliwer.

— Cóż czy nie mówiłam, że on wróci? a ja dobrze o tém wiedziałam, że on powróci, — wołała staruszka, ściskając go ciągle. — A jak on dobrze wygląda! jak ładnie ubrany, gdyby panicz jaki. Gdzieżeś to bywał przez ten cały czas tak długi, bardzo długi?.... Ach, to same miluchne, lube oblicze, tylko nie tak blade jak niegdyś! to samo oczko łagodne, tylko nie tak posępne. Ach, ja o tobie nigdy nie zapomniałam; twój uśmiech wesoły, miły, widywałam codziennie wraz z uśmiechem moich własnych, drogich dzieci, które jeszcze wtedy pomarły, kiedy ja młodą, wesołą kobietą byłam.

Puszczając tedy wolne wodze temu tkliwemu uniesieniu swojemu, Oliwera to od siebie odsunęła, aby się mu lepiéj przypatrzyć, to znów do siebie przycisnęła i ręką przez jego włosy przesuwała, płacząc i śmiejąc się nad nim na przemian.

Brownlow zostawił oboje, aby się dowolnie swém uczuciom oddać mogli, sam zaś Rózię do pobocznego pokoju zaprowadził, i z natężoną uwagą całego i dokładnego sprawozdania jéj rozmowy z Nancy wysłuchał, co go w niemałe zadziwienie i niespokojność wprawiło. —

Rózia udzieliła mu także i tych powodów, które ją do tego skłoniły, aby pierwszéj zaraz chwili pana Losberne za powiernika nie brać, a staruszek oświadczył, iż bardzo rozsądnie i roztropnie sobie postąpiła, i przyobiecał, iż się sam z największą chęcią tego trudnego zadania podejmie, i godnego lekarza w rozmowie uroczystéj o wszystkiém uwiadomi.

Aby mu zaś jak najrychlejszą sposobność do usku-

tecznienia tego zamiaru nastręczyć, postanowiono, że pan Brownlow tego jeszcze wieczora o ósméj godzinie do mieszkania pani Maylie ma przyjechać, a Rózia pod ten czas ciotkę swoję z największą ostrożnością o tém wszystkiém, co się dotąd wydarzyło, uwiadomić.

Po uskutecznieniu tych układów wstępnych, Rózia i Oliwer do domu powrócili.

Rózia nie przesadziła wcale w ocenieniu wielkości gniewu i oburzenia poczciwego lekarza, gdyż zaledwie o tém wszystkiém usłyszał, co Naucy Rózi w zaufaniu powierzyła, tysiące groźb i przekleństw miotać zaczął. Nancy pierwszą ofiarą połączonéj przebiegłości i bystrości umysłowéj panów Blathers i Duff uczynić postanowił, i na rozpoczęcie rzeczywiście kapelusz na głowę zasadził i natychmiast do wyjścia się zabierał, aby jak najprędzéj pomoc tych wielce szanownych mężów otrzymać.

Niema najmniejszéj wątpliwości, żeby w pierwszéj chwili swego uniesienia ten zamiar swój rzeczywiście był uskutecznił bez wszelkiego namysłu, nie pomnąc wcale na skutki z tego postępowania wyniknąć mogące, gdyby go pan Brownlow, w części równą i odpowiednią popędliwością swoją, w części zaś takiemi dowodami i przedstawieniami, jakie za najstósowniejsze ocenił do uśmierzenia i ułagodzenia jego gniewu, od tego szalonego i niedorzecznego zamiaru nie był odwiódł.

— Cóż u djabła począć? co zrobić? — zawołał ten lekarz popędliwy, gdy do pokoju obu kobiet wrócili. — Mamyż tym wszystkim męzkim i niewieścim włóczęgom i zbrodniarzom uroczyste dziękczynienie jeszczę

składać i błagać ich, aby kilkaset funtów jako dowód mały naszego poważania i wzdzięczności za dobre obejście się z Oliwerem przyjąć raczyli?

— To nie jest wcale naszym zamiarem, — odpowiedział Brownlow, śmiejąc się serdecznie, — musimy jednak w tém wszystkiém bardzo ostrożnie i oględnie sobie postępować.

— Ostrożnie i oględnie! — zawołał lekarz. — Jabym tych łotrów wszystkich odesłał do....

— Mniejsza o to dokąd i gdziebyś ich odesłał, — przerwał mu Brownlow. — Proszę jednak o tém pomyśleć i dobrze wziąść na uwagę, czyli, odsełając ich gdziekolwiekbądź, gdzie ci się tylko podoba, jest jakie podobieństwo, abyśmy do naszego celu doszli?

— Do jakiego celu? — zapytał lekarz.

— Do tego prostego celu wykrycia rodziców Oliwera, i uzyskania dla niego napowrót tego majątku i spadku, który mu takiém haniebném oszustwem wydarto, jeżeli to wszystko, cośmy słyszeli od owéj dziewczyny, jest rzeczywiście prawdą.

— Prawda! — zawołał Losberne, dla ochłodzenia się chustką powiewając; — zupełnie o tém zapomniałem. —

— Teraz sam wyznasz, — ciągnął Brownlow, — iż prowadząc rzecz całą tak, aby ta dziewczyna do niczego nie należała, przypuściwszy, żeby się nam tych łotrów pochwytać i przed sąd stawić udało, bez narażenia téj dziewczyny na niebezpieczeństwo, ile dobrego byśmy przez to osięgnąć mogli?

— Największe dobro by było, żeby kilku z nich

powieszono, — wtrącił lekarz, — a resztę z kraju wywieziono.

— To prawda, — odpowiedział Brownlow z uśmiechem; — lecz niema żadnéj wątpliwości, że oni z czasem do tego doprowadzą; ...... a gdybyśmy teraz bieg przyrodni podobnych wypadków przerwać lub zwichnąć chcieli, tobyśmy według mego zdania czynność popełnili, godną jedynie owego rycerza z Manszy, Don Quixota, i naszą własną korzyść, czyli raczéj Oliwera, co jest w końcu jedno i to samo, na zawsze zniszczyli.

— A to jak? — zapytał lekarz.

— Jak? Oto następnie: Jest to rzeczą bardzo jasną, że największe, a może i nieprzezwyciężone trudności będziemy mieli do wykrycia téj całéj tajemnicy, o którą nam chodzi, jeżeli do tego nie będziemy mogli doprowadzić, aby tego Monksa jakim sposobem do wyznania dobrowolnego zmusić. To jedynie przez podstęp i przebiegłość uskutecznić się nam uda, i schwytanie go wtenczas, kiedy żadnego z owych złoczyńców koło niego nie będzie. Gdyż przypuściwszy, żeby go gdziekolwiekbądź schwytano, ... jakiż dowód mamy przeciwko niemu. Wszak on,... o ile nam wiadomo, lub też dotychczasowe wypadki nam wyświecić mogą,....żadnego udziału widocznego w jakiémkolwiek złodziejstwie tych łotrów mniejszym lub większym dotąd nie miał. Gdyby go nawet na wolność nie puszczono, i w więzieniu osadzono, niema żadnego podobieństwa, aby go za co innego skarać miano, chyba jako włóczęgę na czas niejaki, a wtedy by gęba jego na wieki była zamknięta, a mybyśmy naszego zamiaru wcale nie dopięli, gorzéj

jeszcze, jakby w istocie był niemym, głuchym, ślepym lub głuptasiem z urodzenia.

— Raz jednak jeszcze to pytanie zadać muszę, — zarzucił lekarz ze zwykłą popędliwością swoją, — czyli w istocie zdanie twoje jest niezmienne, iż to jest rzeczą rosądną, aby przyrzeczenie owéj dziewczynie dane, ściśle dotrzymano; przyrzeczenie dane w celu najlepszym i najchwalebniejszym, ... ale ....

— Proszę się o to wcale nie upominać droga pani, — odparł Brownlow, przerywając Rózi, gdy się do mówienia zabierała. — Przyrzeczenie raz dane, święcie dotrzymane zostanie. Nie sądzę, aby ono naszemu zamiarowi i krokom, które uczynić zamyślamy, bynajmniéj na przeszkodzie stało. Nim jednak zamiar stały, niezmienny postępowania naszego stanowczo ułożyć będziemy mogli, będziemy się musieli najprzód z ową dziewczyną koniecznie widzieć i zapewnić się, czyli na ten lub ów sposób do schwytania tego Monksa pomódz nam nie może, lub téż, jeżeli tego nie zechce, albo téż uczynić nie jest w jéj mocy, aby nam przynajmniéj wierny opis jego osoby i tych miejsc, w których się zwykle ukrywa, dać mogła, tak żebyśmy w razie potrzeby go znaleść i poznać mogli. Przed przyszłą niedzielą o północy widzieć jéj nie możemy, a dzisiaj jest wtorek. Przypominam to dla tego, abyśmy się aż do tego czasu cicho i spokojnie zachowywali, i o rzeczy całéj nawet przed Oliwerem samym zamilczeli. —

Lubo pan Losberne to polecenie zachowania się cicho i spokojnie przez całe pięć dni z miną bardzo kwaśną przyjął i z wielką trudnością na to się zgodził,

w końcu jednak sam przyznać musiał, że nic lepszego w téj chwili uczynić nie można, a gdy przytém jeszcze pani Maylie i Rózia na stronę pana Brownlow się przechyliły, przedstawienie tego jegomości jednomyślnie przyjęte zostało.

— Jabym chętnie pomocy mego przyjaciela Grimwig do tego wezwał, — dodał Brownlow. — Jest to człowiek szczególny, dziwak, lecz wielką bystrość i przebiegłość posiada, i mógłby nam w téj sprawie nadzwyczajnie być użytecznym. Muszę tutaj na poparcie téj myśli przytoczyć, że on jest głównie prawnikiem, i że posady swojéj jako rzecznika jedynie przez odrazę się wyrzekł, albowiem w przeciągu dziesięciu lat jedną miał sprawę, a państwo sami niech teraz rozstrzygną, czyli to nie jest zaletą.

— Ja się temu wcale nie sprzeciwiam, abyś pan swego przyjaciela do porady wezwał, jeżeli tylko i mnie będzie wolno z moim to samo uczynić, — odpowiedział lekarz.

— Musimy go puścić na głosy, — zarzucił Brownlow, — któż to jest?

— Syn téj oto pani, a stary, szczery przyjaciel.... téj oto panny!

Odpowiedział lekarz, wskazując najprzód na panią Maylie, a kończąc wejrzeniem wiele znaczącém na jéj siostrzenicę.

Rózia się mocno zarumieniła, lecz żadnego zarzutu przeciwko temu wnioskowi uczynić nie mogła, ... albowiem może czuła, iżby z wielką mniejszością głosów była przepadła, ... a Henryk Maylie i Grimwig je-

dnozgodnie jako członkowie tego komitetu wybrani zostali. —

— Pozostaniemy w mieście, — rzekła pani Maylie, — dopokąd najmniejsze podobieństwo będzie, że to śledztwo z pewną nadzieją pomyślnego skutku prowadzić będziemy mogli. Ja niczego szczędzić nie będę, ani trudu, ani pieniędzy, byle tylko w téj sprawie tak ważnéj dla nas wszystkich cokolwiek uczynić, i z chęcią tutaj pozostanę, choćby przez cały rok, dopokąd mię nie zapewnicie, iż niema żadnéj nadziei wyświecenia téj tajemnicy, która nas wszystkich tak mocno obchodzi.

— Dobrze, — odpowiedział Brownlow; — a że na wszystkich twarzach naokoło tę chęć widzę zapytania mię, jakim sposobem to się stało, że mię wtedy tutaj nie było, aby Oliwera zwierzenia i wyznania potwierdzić, i żem tak nagle kraj nasz opuścił, proszę mi pozwolić, abym to zastrzeżenie mógł uczynić, iż mi nikt najmniejszego pytania w téj mierze nie zada, dopokąd tego sam za rzecz potrzebną nie uznam, wszelkiem pytaniom tego przedmiotu się dotyczącem, dobrowolném skreśleniem przygód i biegu mego życia zapobiedz. Proszę mi zawierzyć, iż to żądanie z bardzo ważnych przyczyn czynię, mógłbym bowiem inaczéj nadzieje pobudzić, które nigdy urzeczywistnione być nie mogą, i stworzyć nowe trudności, nie jedno oczekiwanie, które i tak już są dość liczne ... Moi państwo, wieczerza już od dawna na nas czeka, a nasz mały Oliwer, siedzący samotnie w przyległym pokoju, gotów w końcu pomyśleć, że nam się towarzystwo jego już sprzykrzyło, i że my tutaj jakie sprzysiężenie prze-

ciwko niemu knujemy, aby go z tego świata zgładzić. —

To wyrzekłszy staruszek, rękę pani Maylie podał i poprowadził ją do jadalnego pokoju. Pan Losberne poszedł za nim, prowadząc Rózię, a obrada uroczysta na ten raz przerwana została.

ROZDZIAŁ XIV.

Stara znajomość Oliwera objawia ślady stanowcze jenijalności i staje się osobą znaczącą w stolicy.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy Nancy Billa środkami upajającemi uśpiła, i posłannictwo swoje dobrowolnie na siebie nałożone, u Rózi wypełnić pobiegła, zbliżały się gościńcem głównym, z północy ku Londynowi wiodącym, do téj stolicy dwie osoby, na które w téj powieści uwagę szczególną zwrócić wypada.

Był to mężczyzna i kobieta; czyli raczéj, aby ich nieco lepiéj i dokładniéj w parę słowach skreślić, chłopiec i niewiasta; albowiem pierwszy należał do rzędu owych długo-nożnych, kościstych, wysokich ludzi, których wiek prawdziwy odgadnąć bardzo trudno, ... albowiem będąc młodemi jeszcze chłopcami na zwiędniałych przed czasem mężów, a gdy już do męzkiego wieku dojdą, na chłopców przekwitłych wyglądają.

Kobieta mu towarzysząca była młoda, lecz silnie i mocno zbudowana; inaczéj by nawet nie była mogła

unieść tak długo tego nadzwyczajnie ciężkiego tłumoka, którym grzbiet jéj był obładowany.

Towarzysz jéj nie miał na sobie wielkiego ciężaru; małe bowiem tylko zawiniątko, tyle co się do zwykle używanéj chusteczki od nosa zmieścić mogło, widocznie bardzo lekkie, niósł na końcu grubéj laski, przez ramię przełożonéj.

Ta okoliczność połączona z nadzwyczajną długością jego nóg, była powodem, iż bezpiecznie, bez wszelkiego natężenia o dwanaście kroków przynajmniéj towarzyszkę swoję mógł wyprzedzić, do któréj się właśnie z gniewliwém wstrząśnieniem głowy i największą niecierpliwością obrócił, wyrzucając jéj niby zbyteczną powolność, i zmuszając ją do szybszego nieco chodu.

Tak szli długo gościńcem, nie dając na nic baczności, lubo nie jedno po drodze widzieć się im zdarzyło, i nie zatrzymując się nigdzie ani na chwilę, chyba że im wypadało z drogi się ustąpić i na bok usunąć przed nadjeżdżającą pocztą, która o téj porze w różnych kierunkach z miasta się uwijała, dopokąd Highway nie minęli; wtedy bowiem przodem idący podróżny się zatrzymał, obrócił, i z niecierpliwością na towarzyszkę swoję zawołał:

— A ruszajże się żywiéj, czy słyszysz? Jakiż to z ciebie leń niedołężny Karolino!

— To ciężar wielki; możesz mi wierzyć!

Odpowiedziała kobieta, podchodząc zadyszona, upadająca ze znużenia.

— Ciężar! Cóż to znowu za gadanie!... Do czegóż cię z sobą wziąłem? — odpowiedział ów młody człowiek, przełożywszy sobie swój mały węzełek z je-

dnego ramienia na drugie. — Cóż to, czy znowu się ostajesz?....A to już człowiekowi cierpliwości brakuje! ....Toby i najlepszego na śmierć znudziło!

— Czy daleko jeszcze?

Zapytała dziewczyna, usiadłszy sobie na ławce dla odpoczynku, z obliczem potem zalaném.

— Już niedaleko! Jesteśmy prawie już na miejscu, — odpowiedział ten długonożny piechotnik, wskazując na miasto przed sobą. — Spojrzyj przed siebie! ....To są oto swiatła Londynu.

— Do tych świateł będzie jeszcze dobre dwie mile, — odparła kobieta z rozpaczą.

— Czy dwie mil, czy dwadzieścia, to cię obchodzić nie powinno, — odparł Noa Claypole oprysklíwie, gdyż to on był tym długonogim; — tylko ruszaj żywo daléj, powiadam ci, inaczéj nogą dostaniesz.

A nos czerwony Noy zapyrzonego ze złości jeszcze ciemniejszéj barwy nabrał, a gdy gościeńcem do niéj się zbliżał z tém mocném postanowieniem, aby zagrożenie swoje wykonać, owa niewiasta, nierzekłszy ani słowa się podniosła, i szła spokojnie daléj koło niego:

— Gdziesz myślisz na noc stanąć Noa? —

Zapytała na nowo uszedłszy kilkadziesiąt kroków.

— Czyż mogę naprzód wiedzieć?

Odpowiedział Noa ospryklíwie, gdyż ta droga daleka gniew i złość jego jeszcze bardziéj powiększyła.

— Zapewnie, gdzie blisko? — rzekła Karolina.

— Nie, ... nieblisko, nie! — odpowiedział Noa Claypole; — niespodziewaj się tego.

— A to dla czego?

— Jeżeli raz powiem, że tak albo owak uczynić

zamyślam, to się ty więcéj niepowinnaś pytać, dla czego tak a nieinaczéj, powinnaś poprzestać na tém, co ci mówię; — odpowiedział Noa z godnością.

— No, no!.... Nie masz się o co tak złościć! — odpowiedziała jego towarzyszka.

— Śliczna by mi rzecz była zasiąść sobie w pierwszym lepszym gospodnim domu zaraz na drodze pod miastem, ażeby Sowerberry, jeżeli za nami goni, mógł natychmiast swój nos stary wścibić, i zabrać nas z sobą na powrót z kajdanami na ręku, — rzekł Claypole z szyderstwem. — Toby w istocie sztuczka była nielada. Nie, nie, tego głupstwa niezrobię;....jak wejdziemy do miasta, zapuszczę się natychmiast w uliczki najciaśniejsze, jakie tylko znaleść będziemy mogli, i niezatrzymam się dopotąd, dopokąd nie zobaczemy najlichszéj, najmizerniejszéj karczminy, jaką tylko znaleść będziemy mogli. Powinnabyś wstając, legając Bogu dziękować, że dosyć przebiegłości i za ciebie posiadam, gdyż jeźlibyśmy się za moją poradę niebyli drogą przeciwną udali, a potém dopiero w koło obeszli i na gościeniec do Londynu doszli, tobyś już była dawno schwytana, okuta, w więzieniu sobie osiadła, a to by ci się bardzo dobrze było stało za to, żeś taką głupią gąską.

— Ja wiem, wiem, żem nie jest tak kutą na wszystkie strony, jak ty, — odpowiedziała Karolina; — dla czegóż jednak zwalasz całą winę na mnie, i mówisz, byłabyś została do więzienia zamknięta. Jeżeliby mnie byli zamknęli, toby i ciebie byli zamknęli; wina nasza wspólna.

— Ty wiesz przecie Karolino, żeś ty, nie ja pieniądze wzięła, — rzekł Claypole.

— Ale ja je wzięłam dla ciebie, kochany Noa, — odpowiedziała Karolina.

— Czyż ja je mam przy sobie? — zapytał pan Claypole.

— Nie, nie; tyś mi je powierzył i kazałeś mi je nieść, jak na chłopca poczciwego przystoi; — odpowiedziała niewiasta, głaszcząc go pod brodę i wzięła go pod rękę.

A to było w istocie prawdą; ale że niebyło wcale zwyczajem pana Claypole zaufanie ślepe i nierozważne w kimkolwiek bądź pokładać, musimy zatém wyznać na usprawiedliwienie tego jegomości, że on dla tego jedynie Karolinie w tak wielkim stopniu zaufał, ażeby w przypadku, gdyby za nimi goniono i ich schwytano, pieniądze skradzione nie u niego, lecz u niéj znaleziono, coby mu sposobność bardzo pomyślną było nastręczyło do zaparcia się i oświadczenia swéj niewinności w całéj kradzieży, i możliwość ucieczki nieskończenie ułatwiło. On się jednak tą razą w dalsze wyłożenie i rozwinięcie pobudek swoich w tym przypadku wcale niezapuszczał, a tak szli daléj w zgodzie najlepszéj, najtkliwszéj.

Stósownie do swego raz przyjętego zamiaru pan Noa Claypole zdążał do Londynu, niezatrzymawszy się po drodze ani razu, dopokąd Anioła w Islington nieminęli, gdzie z tłumu cisnących się przechodniów i liczby wielkiéj powozów mądrze wnosić zaczęli, iż teraz już miasto Londyn w istocie się zaczęło.

Zatrzymawszy się na tyle czasu tylko, aby się przekonać, która ulica jest ludniejsza, któréj się przeto bardziéj wystrzegać potrzeba, zwrócili się w *Saint Johns-Road* i zaginęli wkrótce w ciemnościach zawiłych, brudnych

uliczek błędnika, leżącego pomiędzy *Grays Jan Lane i Smithfield*, téj części miasta Londynu, która pomimo wszelkie polepszenia i upiększenia naokoło się szerzące, dotąd zawsze najbrudniejszą i najobrzydliwszą została.

Przez te ulice tedy Noa Claypole śmiało kroczył, ciągnąc Karolinę za sobą, zatrzymawszy się tylko na chwilkę małą czasami na środku ulicy, aby za jednym rzutem oka uchwycić całe zewnętrzne znamie każdéj karczminy, koło któréj przechodzili, i natychmiast daléj idąc, jeżeli powierzchowność nieco porządniejsza mu okazywała, iż ten dom gospodni za nadto jest odwiedzany, aby to się z bezpieczeństwem jego zgodzić mogło.

Nakonice stanął przed karczmą najlichszą, najbrudniejszą z wszystkich, jakie się mu dotąd widzieć zdarzyło, a przeszedłszy natychmiast na drugą stronę ulicy, i zbadawszy ją i ztąd dokładnie, oświadczył najuprzejmiéj swój zamiar zatrzymania się tutaj na noc.

— Dajże mi teraz ten węzełek, — rzekł Noa do Karoliny, zdejmując go z ramion téj niewiasty, i zarzucając na swoje własne, — a nie mów ani słówka pierwéj, dopokąd cię się niezapytają. Jakież godło ma ta gospoda? Pod t-r-z-e-m-a....czém trzema?...

— Trzema kalekami! — dokończyła Karolina.

— Trzema kalekami, — powtórzył Noa, — to bardzo dobry znak dla nas. No a teraz chodźże za mną i trzymaj się mię dobrze.

Z tém napomnieniem barką drzwi spruchniałe otworzył, i wszedł do gospody w towarzystwie swéj przyjaciółki.

W izbie szynkownéj niezastali nikogo prócz młodego Żyda, który, łokciami na stole oparty, dzienniki czytał. Bystro spojrzał na Noego, a Noa również bystro na niego.

Gdyby Noa w dawnym ubiorze swoim, jako chłopiec z domu miłosierdzia był się pojawił, ów Żyd byłby przynajmniéj słuszny miał powód do wytrzeszczenia swych oczu tak szeroko; ale że on i skórzane spodnie i fartuch skórzany z siebie zrzucił, i odzież zwykle używaną przywdział, niebyło przeto żadnéj przyczyny widocznéj, ażeby pojawienie się jego w domu gościnnym takie zdziwienie nadzwyczajne było obudzić miało.

— Czy to jest gospoda pod trzema kalekami? — zapytał Noa.

— Tak jest, — odpowiedział Żyd.

— Spotkaliśmy na drodze pewnego jegomości ztąd idącego, który nam tę gospodę na mieszkanie polecił.

Rzekł Noa, skinąwszy na Karolinę, być może dla tego, aby uwagę jéj na swój wybieg dowcipny skierować, poważanie sobie u niéj wyjednać, albo też, aby ją ostrzedz, żeby się przypadkiem z czémś niewygadała i jego i siebie niezdradziła.

— Czy możemy tę noc tutaj przenocować?

— Ja niewiem, czy będzie można? — odpowiedział Barney, będący właśnie tym duchem posługującym, — ale ja się zapytam.

— To nam wskaż tymczasem inną izbę, i daj nam trochę zimnego mięsiwa i kropelkę piwa, nim się pójdziesz pytać, dobrze? — rzekł Noa.

Barney zaprowadził natychmiast tych podróżnych znużonych do pobocznéj, małéj izdebki, i zastawił im

zażądane mięso i piwo; poczém im oświadczył, iż na noc także pozostać mogą, jeżeli chcą, opuścił natychmiast tę lubą parkę i zostawił ją samą.

Ta izba, do któréj ich Barney zaprowadził, przypierała tuż do izby szynkownéj, i leżała o kilka stopni niżéj od niéj, tak że osoba, która w ściślejszéj znajomości z gospodarzem domu była, odwinąwszy małą zasłonę, zakrywającą małe okienko o jednéj szybie, umieszczone w ścianie w wysokości pięciu stóp blizko od ziemi, nie tylko do owéj izdebki zajrzeć i wszystko widzieć mogła co się tam działo, niemając się czego obawiać, aby jéj nawzajem spostrzeżono,.... okienko to znajdowało się bowiem w najciemniejszym kącie ściany, a zaglądający mógł się usadowić pomiędzy nią i belką grubą, wystającą, tak iż w tym zakątku zupełnie ukryty mógł siedzieć,....lecz i podsłuchać wszystko dokładnie, cokolwiek tam mówiono, przytknąwszy ucho do okienka.

Gospodarz domu oka swego niespuścił z tego miejsca, aby obu podróżnych potém wyszpiegować, a Barney zaledwie od nich powrócił, przyniósłszy im wzwyż wspomnioną odpowiedź, kiedy Fagin wszedł do gospody, spowodowany do tego potrzebą wywiedzenia się o kilku swoich młodych wychowankach.

— Cicho, sza! — szepnął Barney; — w pobocznéj izbie są podróżni.

— Podróżni! — zawołał zdziwiony Fagin takim samym szeptem.

— Tak jest,....i to zdaleka! — dodał Barney. — Dziwni ludzie!....a musiałbym sie bardzo oszukać, gdyby się wam na co zdać niemieli.

Jak się zdawało to Fagin tę wiadomość z największą radością przyjął, stołek sobie przystawił, na nim stanął, i z największą ostróżnością oko do szyby przytulił, z którego to miejsca tajemnego bardzo dobrze mógł widzieć, jak Noa Claypole ogromne kęsy mięsiwa pochłaniał, i piwo w niezwykłéj iłości do tego połykał, udzielając dozy homeopatyczne mięsa i piwa swéj lubéj towarzyszce Karolinie, która spokojnie przy nim siedziała, i z upodobaniem na niego spoglądała, iż tak smacznie zajada i zapija.

— Aha! — szepnął Żyd, obejrzawszy się do Barneya. — Ten chłopiec się mi podoba. Mógłby nam być bardzo użytecznym, gdyż on jak widzę bardzo dobrze dziewczęta sobie podbijać umie. Słyszysz Barneyu, nie rób wiele hałasu, ażebym ich mógł podsłuchać;...dajmi ich tylko kilka chwil podsłuchać.

Żyd oko na nowo do okienka przysunął, ucho do szyby przytulił, nadsłuchując z największą uwagą, i spoglądając na nich z takiém podstępném wejrzeniem, żeby go można było łatwo wziąść za jakiego ducha złego, gdyby go ktoś w téj postawie był zobaczył.

— Odtąd myślę zostać panem, — ozwał się w końcu Noa, wyciągając nogi i prowadząc daléj rozmowę, któréj początku Fagin niesłyszał, przyszedłszy na to za późno. — Teraz już ani myśli o trumnach i pogrzebach, Karolino! Teraz mi pańskie życie prowadzić wypada, a jeźli ty będziesz chciała, to będziesz także panią.

— O jabym niebyła wcale od tego, mój luby, — odpowiedziała Karolina, — ale to się nam tak prędko

znowu niezdarzy kassę jaką wypróżnić, i tak szczęśliwie do tego uciec jak teraz.

— Niech djabli wezną wszystkie kassy! — odpowiedział Noa Claypole; — wszak nam jeszcze bardzo wiele innych rzeczy pozostaje, które także wypróżnić możemy.

— Naprzykład? radabym bardzo wiedzieć, co takiego? — zapytała Karolina.

— Woreczki, torbeczki, domy, wozy pocztowe, banki, — odpowiedział Noa, który tém większéj odwagi nabierał, czém bardziéj piwo do głowy mu biło.

— Ależ ty nieumiesz się brać do tego wszystkiego, mój drogi Noa, — rzekła Karolina.

— Obejrzę się za takimi, co to wszystko umieją, aby się od nich nauczyć, — odpowiedział Noa. — Będą nas mogli przecież do czegoś użyć. Wszakże ty sama staniesz za pięćdziesiąt innych kobiet, gdyż nigdy jeszcze niewidziałem drugiéj, któraby tyle przebiegłości i dowcipu posiadała, jak ty, jeżeli ci swobodnie działać pozwolę.

— O dla boga! jakżeż to miło cię słuchać, kiedyś taki grzeczny!

Zawołała Karolina i wycisnęła pocałunek na jego szpetnéj twarzy.

— No dobrze już dobrze, dosyć tego! niebądź tak bardzo serdeczną i czułą, jeżeli się na ciebie gniewam, — rzekł Noa, uwalniając się od jéj uścisku z nadzwyczajną godnością. — Jabym chciał być jakim dowódźcą rozbójników, mieć władzę zupełną nad nimi, i wszędzie ich śledzić tak żeby oni sami o tém nic niewiedzieli. Toby zatrudnienie miłe dla mnie było, zwłaszcza jeże-

liby przytém coś dobrego zarobić można. Słuchaj, gdybyśmy tak szczęśliwi byli jakiego z paniczów tego rzemiosła napotkać, toby daleko korzystniéj dla nas było, jak posiadanie tego banknota dwudziesto funtowego, który mamy,...zwłaszcza, iż niewiemy wcale, jakim sposobem go wymienić.

Pan Noa Claypole, objawiwszy to zdanie swoje z miną nadzwyczajnie mądrą, do swego kubka z piwem zajrzał, na piwo do światła spojrzał, z pewną opiekończą łaskawością na Karolinę kiwnął, tęgi łyk pociągnął, którym się mocno pokrzepiony być zdawał. Już drugi łyk pociągnąć zamyślał i kubek do ust przytulił, gdy téj chwili drzwi się nagle otworzyły, a pojawienie się w nich osoby nieznajoméj w tém mu przeszkodziło.

Tym nieznajomym był Fagin, który twarz jak najmilszą, jak najuprzejmiejszą ułożył, i jak najgłębiéj się ukłonił zbliżając się do nich, a usiadłszy sobie przy stoliku najbliższym, kazał Barneyowi szydersko się uśmiechającemu coś do picia przynieść.

— Wieczór bardzo ładny, tylko na tę porę roku trochę za chłodny, — rzekł Fagin, zacierając ręce. — Jak widzę to państwo z daleka przychodzicie.

— Po czémże to poznajecie ?— spytał Noa Claypole.

— My tyle pyłu w Londynie niemamy jak na obówiu waszém widać!,

Odpowiedział Żyd, wskazując na trzewiki Noy i jego towarzyszki, a potém na oba zawiniątka.

— Z was jak widzę człowiek nie lada przebiegły, — rzekł Noa. — Ha! ha! ha! tylko go posłuchaj Karolino!

— Cóż robić, co robić! my ludzie z miasta musi-

my być przebiegli, mój drogi, — odparł Żyd, przytłumiwszy głos swój aż do poufnego szeptu; — inaczéj byśmy tutaj nieobstali.

Żyd zrobiwszy tę uwagę palcem się po nosie poklepał;....a Noa wielki w sobie pociąg uczuł ruch ten naśladować, co też i natychmiast uczynił, lubo z niebardzo pomyślnym skutkiem, a to z tego bardzo słusznego powodu, iż nos jego nie był na to dość wielki.

Pan Fagin to postępowanie w ten sposób sobie tłómaczyć zdawał, iż Claypole zdanie jego zupełnie podziela, i przysunął mu szklankę grogu, z którą Barney téj chwili wszedł do izby po przyjacielsku.

— Tęgi, bardzo tęgi, — rzekł Noa mlaszcząc i smakując.

— Ale drogi, — zarzucił mu Fagin. — Jeżeli kto taki napój chce pić codziennie, powinien koniecznie jakiemu zatrudnieniu się oddać, choćby naprzykład wypróżniać woreczki, torbeczki, domy, powozy pocztowe, banki lub też coś podobnego.

Zaledwie Noa Claypole tę główną istotę swéj rozmowy i uwag z ust tych usłyszał, wywrócił się na krześle, i wybladły, struchlały z niewysłowionêm przerażeniem to na godną towarzyszkę, to na Żyda okiem osłupiałym spoglądał.

— Niech cię to wcale nie zatrważa, mój drogi, — rzekł Fagin, przysuwając sobie krzesło bliżéj do niego. — Ha! ha! ha! wielkie szczęście dla ciebie mój kochanku, że to ja tylko sam przypadkiem cię słyszałem, ... prawdziwie, wielkie szczęście!

— Ja nic niewziąłem, ja nic niezabrałem, — wyjąkał Noa, niewyciągając teraz już swoich nóg podobnie

jak każdy człowiek niezawisły, samodzielny, ale stulając je i kryjąc pod krzesło; — to ona to wszystko wyjęła i zabrała; no jakże Karolino, nieprawda, żeś ty te wszystkie rzeczy z domu wyniesła, nieprawda?

— Tu o to wcale niechodzi, kto je wziął, albo kto je ma, mój drogi! — odpowiedział Fagin, rzuciwszy pomimo to okiem chciwém, łakomém na dziewczynę i oba zawiniątka. — To jest także i mojém zatrudnieniem, dla tego się mi podobasz, mój drogi.

— Jakie zatrudnienie? — zapytał Noa Claypole, odetchnąwszy nieco wolniéj.

— To samo zatrudnienie, któreś i ty teraz rozpoczął, — odpowiedział Fagin; — i wszyscy ludzie z tego domu to samo się tém trudnią. Trafiłeś bardzo szczęśliwie, żeś się wprost do tego domu dostał, gdyż jesteś tutaj najbezpieczniejszym. Niema w całém mieście bezpieczniejszego miejsca, jak gospoda pod trzema kalekami; to jest, jeżeli ja chcę, ażeby bezpieczną była, a ja się w tobie i téj młodéj kobiecie pokochałem,.... musieliście mię chyba oczarować. Otóż możecie teraz zupełnie być spokojni,....nikt wam tutaj nieprzeszkodzi.

Być może, iż to zapewnienie umysł Noego nieco uspokoiło, wyznać jednak musimy iż jego ciało wcale spokojne nie było, gdyż on się ciągle rzucał i suwał na krześle, niemogąc sobie znaleść miejsca i spoglądając na swego nowego przyjaciela pod tenczas z wielką obawą i podejrzliwością.

— Ja wam jeszcze coś więcéj powiem, — mówił daléj Żyd, uspokoiwszy po chwili dziewczynę, kiwając na nią głową bardzo uprzejmie i szeptając jéj do ucha tysiączne pochlebstwa i zachęcające słówka. — Ja

mam bardzo dobrego przyjaciela, który wasze piękne życzenia będzie mógł uskutecznić, jak się mi zdaje, i na dobrą drogę was sprowadzić, u którego będziecie mogli najprzód téj gałęzi rzemiosła i przemysłu się oddać, która wam się najlepiéj będzie podobała, a potém dopiero reszty się nauczyć.

— Wy coś tak do nas przemawiacie, jakby to wszystko szczerą prawdą było, — odparł Noa.

— Jakąż bym w tém mógł mieć korzyść, gdybym wam nieprawdę chciał gadać? — zapytał Żyd wzruszywszy ramionami. — Chodźcie no na chwilkę ze mną, abyśmy mogli słówko ze sobą pomówić. Chodźcie zemną do drugiéj izby.

— Niema potrzeby, abyśmy sobie tyle trudu zadawać mieli i za drzwi wychodzili, — odparł Noa, wysuwając nogi z pod krzesła i wyciągając je śmiało pomału. — Ona może tymczasem nasze rzeczy wynieść na górę. Karolino, zabierz te zawiniątka z sobą i zanieś je na górę.

Ten rozkaz, wydany z godnością niewypowiedzianą i powagą, został natychmiast bez najmniejszego oporu lub sprzeczności wykonany; Karolina zabrała węzełki i oddaliła się z niemi, a Noa jéj tymczasem drzwi otworzył i potrzymał, dopokąd z niemi niewyszła.

— Cóż, czy nie jest dobrze wyćwiczona? — zapytał, usiadłszy na powrót na miejscu, z zadowolnieniem i chlubą pogromcy, który jakieś źwierze dzikie, drapieżne, ułaskawił.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, — odpowiedział Fagin, poklepawszy go po ramieniu. — Z ciebie prawdziwy jenijusz mój drogi, prawdziwy jenijusz.

— Czyliżbym teraz tutaj był i przy tym stole siedział, gdybym nim niebył? — odparł Noa. — Śpieszcie się jednak, śpieszcie, co mi powiedzieć macie, gdyż ona niebawem powróci; nietraćmy nadaremnie czasu!

— No i cóż, jakże myślicie? — rzekł Żyd. — Jeżeli się wam przyjaciel mój podoba, czyliżby niebyło lepiéj wejść z nim w związek, z nim się połączyć?

— Zależy to jednak od tego, czyli on dobrze na nogach stoi, a zatrudnienie korzystne jest dla niego? — zarzucił Noa, mrugając przebiegle na niego swemi małemi oczyma.

— Daję wam na to moję rękę, — odpowiedział Żyd; — on bardzo wiele osób zatrudnia; zatrudnienie jego jak najlepiéj idzie, a ludzie wszyscy do najlepszego towarzystwa należą.

— Sami miastowi, nieprawda? — zapytał Noa Claypole.

— Niema ani jednego z prowincyi między nimi, a ja wiem z pewnością, żeby on nawet na moje polecenie i was nieprzyjął, gdyby mu teraz właśnie przypadkiem na ludziach bardzo mu potrzebnych nie brakowało, — odpowiedział Żyd.

— Czy będę musiał z czém wyruszyć? — zapytał Noa, wsuwając rękę do kieszeni w spodniach.

— Bez tego się żadną miarą nie będzie obejść mogło, — odpowiedział Fagin stanowczo.

— Dwadzieścia funtów!...... to jednak kupa pieniędzy!

— Ale gdzież tam!...to bardzo mało, bardzo mało, jeżeli chodzi o banknot, którego się niewiesz jak po-

zbyć, — odparł Fagin. — Jeżeli dzień i liczbę banknotu ma zapisaną, to wypłatę w banku wstrzyma. Ach! to nawet niewarto wspominać o tém;......jeżeli hałasu wielkiego po świecie narobi, to nawet trudno będzie ten papier tak zaraz zmienić, a nawet i późniéj trzeba będzie więcéj jak połowę na nim utracić.

— Kiedyż się będę mógł z nim widzieć? — zapytał w końcu Noa zachwiany.

— Jutro rano! — odpowiedział Żyd.

— A gdzie?

— Tutaj!

— Hm! — mruknął Noa, — jakżeż wielka zapłata?

— Będziesz sobie żył jak panicz,.....będziesz miał jadło, mieszkanie, tytuń i wódkę wolną,.... połowę tego co ty sam zarobisz,....i połowę tego, co ta kobieta zarobi, — odpowiedział Fagin.

Jest to rzeczą bardzo wątpliwą, czyliby Noa Claypole, którego chciwość i łakomstwo niepospolite było, na to przedstawienie był przystał, chociaż widoki, które mu Żyd pokazywał, tak świetne i korzystne były; gdy mu jednak ta okoliczność na myśl przyszła, że na przypadek, gdyby mu chciał odmówić, całkiem w jego mocy się znajduję, tak że ten przyjaciel nowy każdéj chwili w ręce Sądów by go był mógł oddać,....coby też z pewnością, bez wszelkiego wątpienia był uczynił,..... zaczął się pomału namyślać, skłaniać, i oświadczył nakoniec, żeby zupełnie od tego niebył.

— Musicie jednak zważyć na to, — zauważył Noa,

— że *ona* jest bardzo zręczna i wiele znieść może, chciałbym zatém, ażeby się dla mnie coś lekszego dostało.

— Tak coś zabawnego, a przebiegłego, — wtrącił Żyd.

— Tak jest, coś podobnego, — odpowiedział Noa. — Jak myślicie, do czegóżbym się mógł wziąść teraz? Musiałoby to coś być takiego, coby niebardzo ciężkiém i trudném, ale też i niebardzo niebezpieczném było,...... wy przecież rozumiecie?....w tém sęk?

— Słyszałem, żeście sobie życzyli mieć jakich ludzi, którychbyście pokryjomu, tajemnie śledzić mogli, co? — rzekł Żyd; — mój przyjaciel właśnie teraz kogoś potrzebuje, coby do tego był zdolny.

— To prawda, że o tém wspomniałem i takie zatrudnienie bardzo by mi się podobało,.... i chętnie bym w nim pracował, — odpowiedział Claypole z namysłem; — ale wy wiecie, że z tego niema żadnéj korzyści, ono się samo nieopłaca.

— To prawda, to prawda, — potwierdził Żyd rozmyślając, czyli też udając, że się nad czémś mocno zastanawia. — To prawda że nie, wielka prawda.

— Cóż jednak o tém naprzykład sądzicie? — zapytał Noa, spoglądając na niego z wielką trwogą. — Naprzykład gdybym się rzucił na łowienie drobnych rzeczy, żeby to było coś bezpieczniejszego, i człowiek się na wiele nienarażał, chyba na to, aby jak najprędzéj do domu umknąć? No cóż?

— Jakżeż by ci się stare panie podobały? — zapytał Żyd. — Możnaby przytém wiele zarobić, kradnąc

im pierścionki, naramienniki, na to trzeba tylko nóg dobrych, aby natychmiast koło rogu ulicy zemknąć i zniknąć?

— A czy nie wrzeszczą one czasami okropnie, albo też może nie drapią? — zapytał Noa, kiwając głową. — Ja niemyślę, aby ta gałęź przemysłu usposobieniu i życzeniu mojemu odpowiadała....Czy niema jakiego innego mmiejsca wolnego?

— Stój! — zawołał Żyd, kładąc rękę na kolanie Noego; — mam coś! taniec z bębnami!

— A to co? — zapytał Claypole.

— Bębnami, mój drogi, — wyjaśniał mu Żyd, — nazywamy małe dzieci, które matki po kupno jakie do sklepów posełają z sikspensami i szylingami;....a taniec z nimi znaczy tyle, co to pieniądze z ręki im wydrzeć, ...gdyż one je zawsze mocno w ręce trzymają,......potrącić je potém w kanał i odejść sobie powolusienko, jakby się nic niebyło wydarzyło, tylko chłopczyna upadła i mocno się potłukła,....ha! ha! ha!

— Ha! ha! ha! — towarzyszył mu Claypole, śmiejąc się na całe gardło i wyciągając nogi do góry w uniesieniu swéj radości. — Otóż to mi się podoba, do pioruna!

— Zapewnie, zapewnie, że to się podobać musi, — odpowiedział Fagin; — a możesz mieć bardzo zyskowne okręgi w Candew-town, Battle-bridge i w sąsiedztwie, gdzie bardzo wiele dzieci codzień z pieniędzmi wysełają, tak że każdego czasu możesz mieć bardzo ładne żniwo. Ha! ha! ha!

To mówiąc Fagin Noego po boku poklepał, a oba potém długim i głośnym śmiechem parsknęli.

— A zatém zgoda! zgoda! — ozwał się w końcu Noa, gdy z tego uniesienia do siebie przyszedł, a Karolina także powróciła. — O któréjże godzinie jutro rano widzieć się mamy?

— O któréj się wam podoba! może o dziesiątéj? — zapytał Żyd, dodając, gdy Claypole na znak potwierdzenia głową skinął; — kogoż mam przyjacielowi memu zapowiedzieć?

— Bolter! — odpowiedział Noa, który się na to pytanie już był przysposóbił. — Pan Moryc Bolter, a to pani Bolter.

— Uniżony sługa pani Bolter! — rzekł tedy Fagin skłoniwszy się głęboko z śmieszną grzecznością. — Mam nadzieję, że się z czasem jeszcze lepiéj poznamy.

— Czyś słyszała, co ci ten jegomość mówi, Karolino? — zagrzmiał Claypole.

— Słyszałam, drogi Noa, słyszała, — odpowiedziała pani Bolter, wyciągając rękę.

— Ona mię Noą nazywa z pieszczoty, — rzekł pan Bolter, dawniéj Claypole, do Fagina. — Rozumiecie przecież?

— O rozumiem, rozumiem, doskonale, — odpowiedział Żyd, mówiąc tą razą szczerą prawdę. — Dobra noc, dobra noc!

Po tych słowach Fagin odszedł złożywszy jeszcze poprzód tysiączne swoje życzenia i pożegnania, a Noa Claypole, zalecając swéj kobiecie największą na siebie uwagę, przystąpił do wyjaśnienia jéj całego układu, który z Faginem zawarł, z całą wzniosłością, godno-

ścią, surowością i wyższością, będącą nietylko przywilejem wyłącznym jego, jako istoty płci męzkiéj, a zatém i z przyrody już mocniejszéj i wszelką władzę i potęgę dzierzącéj, ale i człowieka, ktory ma już pewne stanowisko w życiu, choćby jako tancerz z bębnami po ulicach Londynu i jego sąsiedztwa.

ROZDZIAŁ XV.

Sprawozdanie, jak się Smyk przebiegły w przykrém położeniu zachowywał.

— A zatém toście *wy* sami waszym przyjacielem byli, nieprawda?

Zapytał pan Bolter, niegdyś Claypole, Fagina, gdy na mocy dniem poprzód zawartéj ugody pomiędzy sobą, nazajutrz do mieszkania Żyda się przeniósł.

— Jakiż to głupiec zemnie!.... żem się tego wczoraj jeszcze nie dorozumiał!

— Każdy człowiek jest swoim własnym i najlepszym przyjacielem, mój drogi, — odpowiedział Fagin ze swoim najuprzejmiejszym uśmiechem. — Człowiek nigdy tak szczerego przyjaciela nieznajdzie, jakim sobie sam być może.

— Wyjąwszy czasami, — odpowiedział Moryc Bolter, przybierając postać człowieka światowego. — Musicie wiedzieć, że każdy człowiek jest sobie samemu największym nieprzyjacielem.

„— Nie wierzcie temu wcale, — odpowiedział na to Żyd. — Jeżeli który człowiek jest swoim własnym nieprzyjacielem, dzieje się to jedynie dla tego, że jest za nadto bardzo swoim własnym przyjacielem, ale nie dla tego, że jest także i o kogo innego troskliwym. Ba! ba! Już to leży w przyrodzie człowieka.

— Jeżeli tak jest, to bardzo źle!...... toby tak być niepowinno! — odpowiedział Bolter.

— Ja ci to zaraz dowiedę, — rzekł Żyd. — Są czarownicy, którzy mówią, że liczba trzy jest liczbą tajemniczą, czarodziejską, a drudzy mówią przeciwnie, iż liczbą kabalistyczną jest liczba siedm. To wszystko bajki, mój drogi, wszystko bajki; prawdziwą liczbą kabalistyczną, czarodziejską jest *jeden.*

— Ha! ha! ha! — zawołał Bolter śmiejąc się na całe gardło; — niech żyje liczba jeden!

— W takiém małém towarzystwie jak nasze, mój drogi, — ciągnął Żyd, który to za rzecz konieczną uznał, zaraz z początku położenie ich wzajemne stanowczo odznaczyć i ograniczyć, — jedno stanowi liczbę ogólną; to jest, iż żadną miarą siebie jako liczbę jedno uważać niemożesz, nieliczącmnie do téj saméj liczby jedno, i resztę wszystkich do naszego towarzystwa należących młodych ludzi.

— Tam do djabła! — zawołał p. Bolter.

— Widzisz tedy sam, — mówił daléj Żyd, udając że owego wykrzyknięcia wcale nawet niesłyszał; — że my wszyscy jesteśmy tak ściśle z sobą połączeni, i w naszych celach, dążeniach, widokach tak nadzwyczajnie od siebie wzajem zawiśli, iż to inaczéj być niemoże. Weźmy przykład. Jest to zamiarem twoim starać się

jak najtroskliwiéj o liczbę jedno, ... rozumiejąc pod nią tylko siebie samego!

— Nieinaczéj, — odpowiedział Bolter; — terazeście prawdę wyrzekli.

— Ale ty niemożesz mieć starania o sobie, jako liczbie jeden, niemając także starania i o mnie, również liczbie jeden.

— Liczbie dwa, chcecie może powiedzieć, ja myślę. —

Odpowiedział Bolter, posiadający niemałą cząstkę samolubstwa i chciwości.

— Nie, ja tego niechcę wcale powiedzieć, — odparł Żyd. — Ja jestem dla ciebie nie mniéj ważnym, jak i ty sam dla siebie.

— Już ja dobrze widzę, — przerwał mu Bolter, — że z was człowiek bardzo przebiegły, i wielkie uszanowanie mam dla was; ale my jednak nie jesteśmy jeszcze tak ścisłemi przyjaciełami, jak wy sobie myślicie.

— Pomyśl tylko, mój drogi, — rzekł Żyd, wzruszywszy ramionami, i wyciągając ręce; — chciej się zastanowić i dobrze zważyć. To coś uczynił, było bardzo piękne, a ja cię za to lubię i kocham; ale ten uczynek twój jest przytém takiego rodzaju, żeby ci łatwo w nagrodę przynieść mógł naszyjnik, który bardzo łatwo ściągnąć, lecz bardzo trudno rozpuścić, słowem: stryczek.

Pan Bolter sięgnął natychmiast ręką do szyi, poprawił sobie chustkę, która go mocno cisnąć i dusić się zdawała, i mruknął coś pod nosem, co potwierdzeniem wyrzeczonego zdania Żyda, lecz tylko co do postaci, ale nie istoty być miało.

— Szubienica, — ciągnął daléj Fagin, — szubienica mój drogi, jest bardzo brzydkim i nieprzyjemnym drogoskazem, i wskazuje zakręt bardzo ostry i niebezpieczny, który już dalszą podróż niejednego śmiałego i odważnego podróżnego na bitym gościeńcu zatamował i przeciął. Utrzymać się przeto na tym gościeńcu, a jednak o szubienicę nie zawadzić, to musi być dla ciebie zawsze i głównie liczbą jeden.

— To prawda, rzecz jasna, — odpowiedział Bolter. — Niewiem jednak dla czego właśnie o tych rzeczach ze mną rozmawiacie.

— Aby ci tylko myśli i wyobrażenia moje jasno i dobitnie wyłożyć, — odpowiedział Żyd, podnosząc brwi do góry. — Abyś jednak to mógł uczynić, bardzo wiele odemnie zależy, tak jak nawzajem i od ciebie bardzo wiele zależy, aby moje rzemiosło i przekup dobre i pomyślne miał powodzenie. Pierwsze jest twoją liczbą jeden, drugie jest moją liczbą jeden. Czém większą ważność będziesz przywięzywać do twojéj liczby jeden, tém gorliwiéj musisz się starać o dobro i powodzenie mojéj liczby jeden;.... a tak przychodzimy w końcu do tego samego, com ci już zaraz z początku powiedział,...... iż troskliwość i staranie o liczbę jeden wszystkich nas razem łączy i wiąże, i łączyć nas musi koniecznie, jeżeli niechcemy wszyscy razem zaginąć.

— To prawda, wielka prawda, — potwierdził Bolter zamyślony. — Jak widzę to z was lisz szczwany, przebiegły.

Fagin z niesłychaną radością to spostrzegł, że powyższa pochwała Boltera z serca mu pochodziła, a uznanie jego wyższości i potęgi niebyło czczą grzecz-

nością, lecz owszem znakiem przekonywującym, iż swego nowozaciążnego podwładnego wielkiém i silném wyobrażeniem o potędze i przebiegłości swojéj natchnął, a dopięcie tego celu zaraz w początkach nowo zawartych związków było dla niego bardzo ważną rzeczą, jeżeli chciał, aby zatrudnienie jego zawsze kierunek pomyślny miało.

Aby zaś to wrażenie tak korzystne i pożądane jeszcze powiększyć, rozwinął przed oczyma jego cały obraz ogromu swych czynności rozległych, tajemniczo i przebiegle usnutych, a w tym opisie swojém prawdę i fałsz stósownie do zamiaru i potrzeby tak zręcznie z sobą połączyć i poplątać umiał, że uszanowanie pana Bolter dla niego coraz bardziéj rosło, i równocześnie pewnym stopniem bardzo zbawiennéj bojaźni w pewnych karbach utrzymywane było, którą obudzić rzeczą jest ważną i nadzwyczaj pożądaną.

— Ta ufność wzajemna jest bardzo często jedyną moją pociechą, przy poniesionych stratach, — rzekł Żyd. — Wczoraj rano dopiero utraciłem najlepszego mego pomocnika, moję prawą rękę.

— Czy wam uciekł, umarł? — zapytał Bolter.

— Ach nie, nie, — odpowiedział Fagin, — tak źle jeszcze niebyło.

— Jakto, przecież nie chcecie powiedzieć, że....

— Schwytany został?.... — wtrącił Żyd. — Tak jest, niestety! został schwytany!....

— Czy za co wielkiego? — zapytał Bolter.

— Nie bardzo, — odpowiedział Żyd, — niebardzo wielkiego. Schwytano go i oskarżono, iż chciał chustkę od nosa komuś skraść, a gdy przytém kieszenie

jego przetrząśnięto, znaleziono u niego srebrną tabakierkę,....jego własną, mój drogi, jego własną, gdyż on bardzo często tabakę zażywać lubiał, a ta tabakierka bardzo miłą mu była. Dzisiaj ma się powtórnie stawić przed sądem, gdyż właściciela prawdziwego téj tabakierki wynaleziono, jak się im zdaje. Ach! ten chłopiec wart był dla mnie więcéj jak pięćdziesiąt takich tabakierek, a jabym chętnie wszystkie dał za niego, aby go tylko na powrót wydostać. Trzeba ci było znać Smyka, mój drogi, trzeba ci było znać Smyka, był to chłopiec najprzebieglejszy jakiego widziałem.

— Mnie się zdaje, że go jeszcze poznam kiedyś, jakże myślicie? — spytał Bolter.

— Ja bardzo wątpię, mój drogi, ja bardzo wątpię, — odpowiedział Fagin z westchnieniem. — Jeżeli jakiego innego świadectwa jeszcze przeciwko niemu niewynajdą, sprawa jego nie długo się potoczy; zostanie wskazany, a my go za pięć do sześciu tygodni będziemy z pewnością zobaczyć mogli;.... lecz jeżeli dziś jeszcze ktoś przeciwko niemu wystąpi, wtedy się na tém nieskończy, a oni go z pewnością na całe życie zamarynują, na całe życie, mój drogi. O, bo to oni dobrze o nim wiedzą, jaki to chłopiec mądry i przebiegły; on z pewnością już do nas niepowróci.

— Cóż wy pod tém myślicie, że go na całe życie zamarynują? — zapytał Bolter. — Niewiem, dla czego do mnie takiemi słowami mówić, których ja wcale nierozumiem?

Fagin chciał mu właśnie ten wyraz tajemniczy wyrazami czystemi zrozumiale wytłómaczyć, a gdyby to było nastąpiło, pan Bolter by się był dowiedział, że to

słowo miało tyle oznaczać, co na całe życie być z kraju wywiezionym czyli deportowanym, lecz pan Karolek Bates, ręce w kieszeniach spodni ukryte, z obliczem, na którém smutek śmieszny się obijał, wszedł téj chwili śpiesznie do izby, i uciął natychmiast całą ich rozmowę.

— Już się z nim skończyło!

Zawołał Karolek, gdy mu Żyd jego nowego towarzysza przedstawił, i obaj się przynależnie powitali.

— Jak to skończyło! cóż to ma znaczyć? — zapytał Żyd z drżącemi usty.

— Wynaleziono już prawdziwego właściciela tabakierki; do tego się połączyło jeszcze kilka innych świadectw, a Smyk przebiegły z pewnością za morze wyprawiony zostanie i wolny przejazd otrzyma, — odpowiedział Karolek Bates. — Fagin, musicie mi sprawić zupełną żałobę i czarnéj krepy na kapelusz, abym go mógł jeszcze choć raz przynajmniéj odwiedzić, nim się w podróż swoję wybierze. Czy to być może!....czy to być może, ażeby Jakub Dawkins,....ten Jakub Dawkins wielki....ten Smyk....Smyk przebiegły,....miał być wyprawiony za morze za głupią tabakierkę, która nawet dwudziestu szylingów nie warta. Ja niemyślałem nigdy, aby on na złotym zegarka, ze złotym łańcuchem i pieczątkami przynajmniéj niezakończył. O dla czegóż on nie okradł jakiego starego jegomości, i niezabrał mu wszystkich jego klejnotów, aby mógł był przynajmniéj jako pan wyjechać, a nie tak jak najprostszy, najniedołężniejszy złodziéj..bez najmniejszéj chwały i zaszczytu!

Objawiwszy tym sposobem uczucia swoje dla nieszczęśliwego przyjaciela pan Bates rzucił się na krzesło

sło najbliższe z wyrazem nadzwyczajnego strapienia i smutku.

— Cóż ty znowu bajesz takiego, iż on ani sławy, ani zaszczytu nie pozyskał? — zawołał Fagin, rzuciwszy spojrzenie gniewliwe na swego tak boleśnie stroskanego wychowanka. — Czyliż on nie był zawsze najcelniejszym w swém rzemiośle z was wszystkich. Czyliż on was i co do przebiegłości i dowcipu wszystkich nie przechodził?..... czyli jest który z was, coby choć z daleka przynajmniéj był do niego podobnym, i chciał mu wyrównać?

— Nie, niema żadnego! — odpowiedział Bates głosem z boleści nad tą stratą nieocenioną nieco zmienionym; — to prawda że niema!

— Czegóż więc bzdury plecisz i bajesz? — zawołał Zyd gniewliwie; — gadasz ni w pięć ni w dziewięć, ... co się kupy nie trzyma?

— Ależ powiedzcie sami Faginie, czy to nie ma człowieka gryść i martwić, — odparł Karolek, którego potęga żalu i boleści serca nieczułym na wszelkie wyrzuty i karcące napomnienia Żyda zrobiła, — że o tém ani słówka przed sądem nikt nie wspomni,.... że nikt w świecie nawet i w połowie tego nie będzie wiedział, czém i co on jest?.... Jakież imie nędzne oni mu w kalendarzu w New-gate dadzą!..... a może nawet i do niego zaciągnięty nie zostanie! O moje oczy! moje oczy! jakżesz to okropnie, haniebnie!

— Ha! ha! ha! — zawołał Żyd, wyciągając rękę i zwracając się z mową do pana Bolter, i tak się przytém serdecznie śmiał, że się aż cały trząsł, jakby zimnicę był dostał: — przekonajże się teraz sam, mój

drogi, z jaką dumą oni się swojemu rzemiosłu oddają! — Czyliż to nie jest pięknie z ich strony?

Pan Bolter skinął głową na potwierdzenie tego zdania, a Żyd, przyglądając się temu boleśnemu oburzeniu Karolka przez kilka chwil z wielką radością, przystąpił potém do niego, i poklepał go po ramieniu.

— Niech cię to bardzo nie smuci, Karolku, — rzekł Fagin do niego słodziutko; — już ono się wszystko raz przecie wyda, ... ono wszystko kiedyś na jaw wyjdzie! Oni wiedzą wszyscy bardzo dobrze, jaki z niego chłopiec tęgi i przebiegły, już on sam kiedyś jeszcze pokaże, czém on jest, i nie zrobi wstydu swojemu nauczycielowi i swoim towarzyszom. Pomyśl tylko, że on jest jeszcze tak młody! Jaki to zaszczyt, jaka chwała, w tak młodym wieku już na zamarynowanie być skazanym!

— To prawda! że to jest wielki, ... bardzo wielki zaszczyt! — rzekł Karolek z niejaką pociechą.

— Będzie miał wszystko, czego mu tylko jeszcze potrzeba, — mówił dalćj Żyd. — Wsadzą go do *kamiennego dzbanka*, ... pomyśl tylko Karolku, ... gdyby jakiego wielkiego pana, ... o tak, bardzo wielkiego pana! dostanie codziennie piwa, a w kieszeni będzie miał zawsze pieniądze tak, że sobie będzie mógł zagrać: czy głowa, czy orzeł, ...jeżeli ich nie będzie mógł innym sposobem wydać.

— Czy to prawda? — zawołał Karolek Bates.

— Prawda, prawda, wielka prawda! — odpowiedział Żyd; — a my mu zapłacimy dobrego krętacza, adwokata, Karolku, i ..... i to najlepszego z całego Londynu, jakiego tylko za pieniądze dostać będzie mo-

żna, ... aby go przed sądem bronił; .... a potém Smyk sam może głos zabrać i przed sądem się bronić, jeżeli chce, ... a my wkrótce będziemy może w dziennikach czytać: .... ,,Smyk przebiegły.... głośny wybuch śmiechu, ... i sędziowie się śmiali aż do rozpuku." .... no i cóż Karolku, ... cóż ty na to?

— Ha! ha! ha! — śmiał się pan Bates, — toby śliczna dopiero była zabawa! nieprawdaż Faginie? o ja wiem, żeby się Smyk wtedy bardzo dobrze sprawił!... nieprawdaż Faginie?

— By .... by!. ... — odparł Żyd; — nie by, ... ale on się sprawi z pewnością, i to jak jeszcze!

— Oj to prawda, to prawda! że się sprawi! — Zawołał Karolek, zacierając ręce z radości.

— Mnie się zdaje, że go nawet widzę przed sobą!

Rzekł Żyd, rzuciwszy przebiegłe spojrzenie na swego wychowanka.

— Aj to prawda! to prawda! — zawołał Karolek Bates, — ha! ha! ha! to wielka prawda! I ja go także widzę przed sobą, na moję duszę Faginie! Ach! jaka to rozkosz! jaka zabawa cudowna! widzieć tych wszystkich poważnych ludzi w swoich ogromnych perukach siedzących uroczyście, a potém Jakóba Dawkins, jak śmiało i poufale do nich przemawia, jakby to jego przyjaciele byli i podwładni, ale nie sędziowie, ... ha! ha! ha!

Tym tedy sposobem Żyd wkrótce swego młodego przyjaciela tak rozweselił i smutek jego rozpędzić umiał, że pan Bates, który z początku na cały wypadek ze Smykiem z wielkiém zmartwieniem spoglądał, i w

nim ofiarę nieszczęśliwą upatrywał, teraz w nim głównego bohatera widowiska najszczególniejszego i najweselszego widział, a niecierpliwość wielka zaczęła go pożerać w oczekiwaniu téj chwili, która temu szczeremu przyjacielowi jego sposobność nastręczyć miała do rozwinięcia tak wysokich zalet i zdolności swoich.

— Musimy się koniecznie jakim sposobem dowiedzieć, kiedy on przed sądy stawionym będzie, — rzekł Fagin. — Muszę o tém pomyśleć.

— Mamże ja iść się dowiedzieć? — zapytał Karolek. —

— Za nic w świecie, — odpowiedział Żyd. — Czyś oszalał, czyś rozum utracił mój drogi?..... to trzeba wielkiego na to szaleństwa, aby się w to miejsce puszczać, gdzie.... nie, nie, mój drogi, nie!.... na utracie jednego będzie na teraz dosyć.

— Przecież nie myślicie iść sami, jak się mi zdaje? — zarzucił Karolek z uśmiechem żartobliwym.

— Tegoby mi jeszcze brakowało! — odpowiedział, wstrząsnąwszy głową z niewypowiedzianą odrazą. —

— A więc najlepiéj będzie posłać tego nowozaciężnego! — rzekł Karolek, kładąc rękę na ramieniu Nowego; — jego tu nikt jeszcze nie zna!

— To prawda, byle tylko on chciał! — zauważył Żyd. —

— Chciał, chciał! — zarzucił Karolek. — Cóż on tutaj ma chcieć lub niechcieć!

— I bardzo wiele, mój drogi, bardzo wiele, wy wiecie, — odparł Noa, cofając się ku drzwiom, i wstrząsając głową z śmieszną niespokojnością. — Nie, nie,

na to się niezgadzam, tego nie uczynię, to nie należy do mego wydziału!

— Jakiż to wydział on ma Faginie? — zapytał pan Bates, spoglądając na tę postać niezgrabną, cienką, wychudłą z nadzwyczajną odrazą. — Kryć się może i uciekać, jeżeli jakie niebezpieczeństwo grozi, a smacznie najlepsze kęsy dobierać i zajadać, kiedy wszystko bezpieczne?.... czy to jest jego wydziałem?

— Niech cię to wcale nie obchodzi, — odparł pan Bolter, — i niepozwalaj sobie takiéj śmiałéj poufałości z twoim przełożonym, ty mały chłopcze, inaczéj by rzeczywiście z tobą niebezpiecznie wypaść mogło.

Ta groźba i przechwalstwo taki śmiech nadzwyczajny w panu Bates wzbudziła, iż wiele czasu na to potrzeba było, nim Fagin wesołość jego uśmierzyć i uwagę na co innego zwrócić zdołał. Poczém zaczął panu Bolter przekładać, iż się na żadne widoczne niebezpieczeństwo przy zwiedzeniu policyjnego urzędu nie naraża; gdyż jeżeli żadna wiadomość o téj sprawie małéj, którą na swoję rękę przedsięwziął, lub też list gończy z rysopisem dokładnym jego osoby do stolicy nie doszedł, niema żadnego podobieństwa, ażeby go w podejrzeniu nawet miano, iż on się tutaj dla bezpieczeństwa swojego schronił;...... a jeżeliby jeszcze do tego dobrze się przebrał, to nigdzie tak bezpiecznym być nie może w całym Londynie, jak w urzędzie policyjnym, gdyż choćby się jego sprawka nawet była wydała, toby jednak nikomu na myśl niewpadło, aby go właśnie na policyi szukać.

Pan Bolter, częścią temi dowodami przekonany, lecz bardziéj jeszcze nadzwyczajną obawą swoją przed

Żydem pokonany, skłonił się w końcu, lubo nie bardzo chętnie, do przedsięwzięcia téj wyprawy.

Fagin dobył natychmiast niebieskiéj koszulki woźnicy ciężarów, spodni manszestrowych, długich skórzanych butów, kapelusza z kartkami drogowemi, batoga, mając to wszystko zaraz pod ręką, w co się pan Bolter natychmiast przebrał.

W tém przebraniu wyglądał jak jaki parobczak ze wsi, który z jakimś płodem ziemskim na targ do miasta przyjechał, na placu Convent-Garden stanął, i dla zaspokojenia swéj ciekawości na sądy do urzędu policyjnego przyszedł, a gdy się mu Fagin tak wystrojonemu przypatrzył i ze wszystkich stron go obejrzał, niemiał o niego żadnéj obawy, będąc pewnym, że go wszyscy w tém przebraniu za to uważać będą, co przedstawia.

Uskuteczniwszy te wszystkie przygotowania, udzielono mu potrzebnych wiadomości i znaków, po których by Smyka przebiegłego z łatwością mógł poznać, a pan Bates poprowadził go przez różne ciemne, brudne, kręte uliczki, i nieopuścił go, aż dopiero w blizkiém bardzo sąsiedztwie urzędu policyjnego w Bowstreet.

Karolek Bates dał mu wtedy opis dokładny całego położenia urzędu, przepisał mu jak najdokładniéj kierunek, którędy ma iść, aby prosto do niego zajść, jak się ma wszedłszy zachować; kazał mu najprzód wejść po pierwszych wschodach do góry, a potém się wziąść na lewo do drzwi pierwszych, które zobaczy, a gdy do izby wejdzie, zdjąć natychmiast kapelusz i t. d. potém mu kazał iść samemu, przyrzekłszy mu, że go na témże samém miejscu z powrotem będzie oczekiwał.

Noa Claypole, czyli pan Moryc Bolter, jak się czy-

telnikowi podoba, trzymał się jak najściślej przepisów otrzymanych, które, — pan Bates posiadał bowiem bardzo wielką znajomość tej miejscowości, — tak były dokładne, że bez wszelkiej trudności siedlisko sprawiedliwości znaleść się mu udało, niebędąc zmuszonym ani razu na drodze ludzi przechodzących zatrzymywać, aby się ich o drogę spytać, lub rady ich zasięgnąć, ani też przez nich wstrzymanym.

Przed izbą sądową zastał tłum nagromadzonego ludu, kobiet brudnych, nędznych, skupionych ciasno w ciemnéj, brudnéj izbie, na któréj końcu jednym znajdowało się małe wywyższenie, odgraniczone szrankami od reszty, z celą kratową na więźniów na lewo tuż koło ściany, w środku miejscem dla świadków, i ławką dla sędziów na prawo.

W celi więźniów znajdowało się kilka kobiet jedynie, które do swych przyjaciół pomiędzy widzami się uśmiechały, wdzięczyły, na nich kiwały; a pisarz sądowy czytał tymczasem jakieś rozporządzenie kilku urzędnikom policyjnym, i po zwyczajnemu ubranemu mężczyźnie, który o stół oparty siedział.

Dozorca więźniów stał niedbale oparty o drzwi od celi więźniów, bawiąc się leniwie, ospale, ogromnym kluczem w ręku; czasami tylko życie w niego wchodziło, aby głosem swoim donośnym nieprzyzwoitą i zbyteczną skłonność do głośnéj rozmowy między oskarżonemi w celi stłumić, wołając aby cicho byli, lub też okiem surowém na biedną jaką kobiecinę spojrzeć, i zawołać: „precz z tym bękartem,“ jeżeli przypadkiem poważna i uroczysta cisza, która w każdéj siedzibie sprawiedliwości panować powinna, słabym wrzaskiem jakiéj nę-

dznéj dzieciny, zaledwie chustką okrytéj i na rękach matki spoczywającéj, przerwana została.

Izba sama była bardzo niezdrowa, gdyż wielka zaducha w niéj panowała; ściany były na ciemno, a strop na biało pomalowany. Nad kominkiem stało stare, zapylone, zakopcone popiersie, a zegar zapruszony po nad celą więźniów, — jedynie dwie rzeczy, które się takiemi być zdawały, jakiemi być powinny, gdyż zepsucie, lub ubóstwo, lub też ciągła i ustawiczna styczność z obiema, pokryła pewną powłoką wszystkie żyjące stworzenia, nie mniéj niemiłą, jak i ta gruba, tłusta osada, pokrywająca wszystkie przedmiota w téj izbie, która im takiego pozoru odrażającego nadawała.

Noa spoglądał ciekawie za Smykiem po wszystkich kątach, a lubo wiele widział kobiet, któreby snadnie matkami lub siostrami człowieka tak znakomitego w tém wzniosłem rzemiośle być mogły, i niejednego mężczyznę, który wielkie podobieństwo miał do jego ojca, niemógł jednak żadnéj osoby uwidzieć, któraby danemu przez Karolka Bates rysopisowi jak najdokładniejszemu Smyka przebiegłego, ściśle była odpowiadała.

Czekał tedy z wielką niespokojnością i ciekawością tak długo, dopokąd wszystkich kobiet przed szrankami stojących nieosądzono i niepowyprawadzano, poczém dopiero pojawienie się innego więźnia wielce mu ulżyło, poznał bowiem natychmiast, iż nim nikt inny być niemoże tylko ten, dla którego właśnie tutaj przybył.

A był to rzeczywiście pan Jakub Dawkins, który jak zwykle ubrany, w swym surducie długim z zawiniętemi aż po łokcie rękawami, lęwą rękę trzymając

w kieszeni od spodni, a w prawéj swój kapelusz, śmiało wszedł do sądowéj izby, rzucając na wszystkie strony spojrzenie niewypowiedzianie dumne, a usiadłszy sobie w celi więźniów głośno zapytał, dla czego go w to miejsce haniebne przyprowadzono?

— A będziesz ty milczał trutniu? — zawołał dozórca więzień.

— Ja jestem Anglikiem, czy o tém niewiecie? — odpowiedział śmiało Smyk. — Powinniście szanować moje prawa, moje przywileje!

— Już ty wnet twoje prawa i przywileje dostaniesz, i to z pieprzem zaprawione, niebój się! — odpowiedział dozórca...

— Zobaczemy, co minister spraw wewnętrznych na to powie jeżeliby mi naruszone zostały, — zawołał pan Jakub Dawkins. — A teraz proszę mi śpiesznie powiedzieć, o co rzecz chodzi? Mnie się zdaje żeby panowie urzędnicy powinni pierwéj tę małą sprawę zemną zakończyć, a nietrzymać mię tutaj tak długo nadaremnie i czytać sobie tymczasem dzienniki, gdyż ja się mam z pewnym panem o godzinie oznaczonéj w City widzieć, a że jestem człowiekiem słownym, zwłaszcza jeżeli o sprawy ważniejsze chodzi, to on z pewnością odejdzie, jeżeli na czas oznaczony nie przyjdę, a wtedy wniosę skargę o wynagrodzenie mi poniesionéj straty.

Tutaj się do dozorcy obrócił i zapytał go z pewną dumną okazałością, w celu okazania, iż on wcale nieżartuje ze swemi groźbami, lecz to, czém grozi w istocie wykonać zamyśla, jak się te dwa ptaszki nazywają, którzy jako sędziowie na ławce siedzą;.... co wszystkich widzów, którzy to słyszeli, do największego śmiechu

pobudziło,....a gdyby Karolek Bates to pytanie był usłyszał, byłby się i on jak najserdeczniéj z tego roześmiał.

— A będziesz ty milczał, niepoczciwcze? — zawołał dozorca.

— Co tam takiego? — zapytał jeden z urzędników.

— Zwyczajne złodziejstwo, Wasza Godności!

— Czy ten chłopiec już był kiedy tutaj? — zapytał powtórnie urzędnik.

— Zasługiwał on na to, aby tu był już nieraz, — odpowiedział dozorca. — Już dosyć długo mu płazem uchodziło. Ja go znam bardzo dobrze, Wasza Godności!

— Czy tak, znasz mię dobrze? — zawołał Smyk, udając że sobie to wyznanie zapisuje. — Bardzo dobrze, bardzo dobrze! To będzie stanowiło skargę względem zelżenia mię i splamienia mego imienia.

Tutaj nowy wybuch śmiechu ogólnego nastąpił, i nowe wołanie, aby cicho było.

— Gdzięż są świadkowie?....czy są jacy świadkowie? — zapytał pisarz.

— Otóż to dobrze! to dobrze! — potwierdził Smyk. — Gdzież są świadkowie?....gdzież oni są?.... chciałbym widzieć tych świadków.

To życzenie natychmiast dopełnione zostało, gdyż Żandarm niebawem wystąpił, oświadczając, iż na własne swoje oczy widział, jak oskarżony jakiemuś nieznajomemu chustkę z kieszeni w tłumie wyciągnął, lecz gdy spostrzegł, że to była chustka stara, bez wielkiéj wartości, utarł sobie nią nos i do kieszeni mu ją na powrót wsunął. To było przyczyną, że go też natychmiast za kołnierz chwycił, skoro tylko się do niego mógł

dostać, i do więzienia zaprowadził, a gdy go przy schwytaniu przetrząsano, znaleziono u niego srebrną tabakierkę, na któréj imie właściciela wyryte było.

Tego właściciela wkrótce wynaleziono, a ten przyszedłszy przysiągł, że ta tabakierka do niego należy, że mu dniem poprzód w tłumie skradzioną została, w téj właśnie chwili, kiedy przedarłszy się nakoniec przez tłum, w uliczkę boczną zawracał, aby się do swego urzędu udać. Kiedy się obrócił, spostrzegł był jakiegoś młodzieńca, oddalającego się śpiesznie w przeciwnym kierunku, a teraz poznaje, iż tymże młodzieńcem właśnie jest oskarżony, przed nim stojący.

— Czy masz coś powiedzieć przeciwko temu świadectwu, chłopcze? — rzekł urzędnik.

— Ja się nie myślę tak poniżać, aby z nim w najmniejszą rozprawę wchodzić, — odpowiedział Smyk.

— Czy masz jeszcze w ogóle coś do powiedzenia lub zarzucenia?

— Czy słyszysz? Jego Godność się pyta, czyli niemasz nic do powiedzenia lub zarzucenia?

Zapytał dozorca trącając Smyka milczącego łokciem.

— Przepraszam, — ozwał się Smyk, przychodząc niby dopiero do siebie ze swego zamyślenia; — czyś co do mnie mówił, mój człowieku?

— Jeszczem w życiu takiego zuchwałego i przebiegłego złoczyńcę nie widział jak ten, Wasza Godności! — ozwał się dozorca. — Czy masz jeszcze coś do powiedzenia, ty wisielcze młody?

— Nie, niemam! — odpowiedział Smyk, — a przynajmniéj nie tutaj, gdyż to nie jest siedziba sprawiedliwości; wreszcie mój rzecznik jest właśnie dzisiaj na

śniadaniu z Wiceprezydentem Izby niższéj. Ale ja za to będę miał wiele do powiedzenia, tylko gdzieindziéj, a ze mną i on i wielka jeszcze ilość moich znajomych wysoko stojących, tak że ci panowie tutaj z serca sobie życzyć będą, aby się byli lepiéj nie porodzili, lub téż słudzy pierwéj za nogi ich popowieszali, nim się tutaj do sądzenia mię wzięli.... Ja!....

— Zbrodnia zupełnie dowiedziona,.... on o popełnienie jéj przekonany, — zawołał pisarz! — Odprowadzić go zatém natychmiast do więzienia!

— Chodź! — rzekł dozorca.

— Zaraz, zaraz idę! — odpowiedział Smyk, gładząc sobie kapelusz dłonią. — A! to wam nic nie pomoże moi panowie, — dodał, zwróciwszy się do sędziów na ławkach siedzących, chociaż tak zmięszani i strwożeni wyglądacie. Ja najmniejszéj litości z wami mieć nie będę, nawet i za grosz, nie. Wy mi za to wszystko odpokutujecie, moi przebiegli panowie, a jabym za żadne pieniądze na waszém miejscu być nie chciał. Jabym teraz wolności od was nie przyjął, choćbyście mię na kolanach o to prosili.... Hola! dozorco! zaprowadź mię do więzienia! Daléj żywo!

Dozorca téż bez najmniejszéj zwłoki do niego się zbliżył i za kołnierz go wyciągnął, a Smyk się przeciwko temu według swego zwyczaju oburzył, wołając, iż tę całą sprawę przed Parlament wytoczy, i potém urzędnikowi z największém zadowolnieniem ze siebie samego w oczy spojrzał.

Noa widząc, że Smyka przebiegłego już do więzienia odprowadzono i do celi samotnéj napowrót zamknięto, wysunął się natychmiast z izby sądowéj, i wracał

z pośpiechem w to miejsce na którém go Karolek Bates oczekiwał.

Przyszedłszy na miejsce schadzki, nie znalazł nikogo, gdyż pan Bates za rzecz najroztropniejszą uznał na czas niejaki do kryjówki znanéj się schronić, lecz gdy chwil kilka się zatrzymał, Karolek się zjawił, najprzód troskliwie obejrzał, czyli jaki człowiek natrętny za nowym przyjacielem nie śledzi, i udał się z nim śpiesznie do domu.

Obaj tedy pośpieszali żywo do mieszkania Fagina, aby mu tę pocieszającą wiadomość przynieść, iż Smyk nie zawiódł nadziei, którą o nim miano, i że sobie w pamiętnikach ich stowarzyszenia wieczną sławę wyjednał.

ROZDZIAŁ XVI.

Czas nadchodzi, w którym Nancy słowo swoje Rózi dane dotrzymać miała, lecz nie mogła. Fagin używa Noego Claypole do tajemnego posłannictwa.

Lubo Nancy w sztuce udawania nie była początkującą dopiero, i w przebiegłości snadnie mistrzynią nazwać się mogła, niepodobna jéj było jednak żadną miarą tego wzburzenia, téj niespokojności całkiem ukryć, którą zamiar i przyrzeczenie Rózi dane w sercu i umyśle jéj wzniecilo. Pamiętała ona bardzo dobrze o tém, iż tak Fagin pomimo całą chytrość i przebiegłość swoję, jak i rubaszny, srogi Sikes, swe najskrytsze zmowy i tajemnice jéj powierzyli, które jak najtroskliwiéj przed wszystkiemi innemi członkami ukrywali, a to jedynie w tém zaufaniu, iż wierność jéj jest nieposzlakowana, i żadnéj wątpliwości, żadnemu podejrzeniu dotąd nie podpadała.

Lubo zaś owe zmowy były haniebne, nikczemne, a twórcy i sprawcy najobrzydliwsi zbrodniarze, lubo

gorycz i oburzenie przeciwko Żydowi serce jéj zatruwało, który ją powoli, krok za krokiem, coraz to głębiéj w tę przepaść i błędnik nędzy i zbrodni zaplątał, z któréj teraz nigdzie wybawienia, ucieczki nie widziała, bywały jednak chwile, w których pewna litość ją nad nim ogarniała, a ona się wzdrygała krok taki uczynić, któryby się stać mógł powodem, iżby go kara, tak długo unikana, lubo wcale nie zasłużona, w końcu jednak z jéj przyczyny dosięgnąć miała.

Były to jednak myśli przemijające umysłu, uczucia chwilowe serca, które się tak łatwo od dawnych związków, dawnych znajomości, dawnych zwyczajów oderwać nie zdoła, lubo postanowienie jéj raz powzięte było niezmienne, niewzruszone, a żadne względy, żadne widoki od raz powziętego zamiaru jéj odwieść nie zdołały.

Obawa jéj o Billa byłaby może jeszcze powodem najsilniejszym była, skłonić ją do cofnięcia się od dawnego przyrzeczenia, dopokąd jeszcze czas był na to; .... lecz ona zobie zawarowała, ażeby tajemnicy jéj ściśle dochowano, ... a klucza żadnego im nie wyjawiła, za pomocą którego by tę tajemnicę wyśledzić, wykryć i wyjawić zdołali, ... i z miłości dla niego, ze względu na jego bezpieczeństwo, odrzuciła wszelką pomoc, wyrzekła się schronienia przed temi występkami i nędzą ją otaczającą, a cóż więcéj dla niego uczynić mogła?....Jéj postanowienie stanęło zatém stałe, niezłomne!

Lubo te wszystkie walki wewnętrzne tym wypadkiem ostatecznym zwykle się kończyły, pomimo to jednak bardzo często się ponawiały, i głębokie ślady po sobie zostawiały.

W kilka dni bowiem nadzwyczajnie schudła, wynędzniała i pobladła.

Czasem wpadła w zadumanie tak głębokie, że przytomność prawie traciła, na nic nie zważała, co się koło niéj dzieje, a rozmów, w których niegdyś udział najżywszy brała, teraz nawet nie słuchała. Inną razą się znów uśmiechała bez najmniejszego śladu wesołości, wrzeszczała i hałasiła, bez najmniejszego powodu do tego. —

Kiedyindziéj przeciwnie, — i bardzo często w kilka chwil potém, — siedziała głęboko zamyślona, dumająca, ponura, z głową na rękach wspartą, a natężenie widocznie, z jakiém się zrywała, aby się opamiętać, dowodem najjaśniejszym było, iż jakaś niespokojność dręcząca nią miota, a umysł jéj wcale innemi przedmiotami i myślami się zajmuje, i to bardzo różnemi od tych, które resztę towarzystwa zatrudniają, i treść ich rozmów stanowią.

Było to w Niedzielę wieczór,.. a zegar na poblizkiéj wieży zaczął bić godzinę. Fagin i Sikes, którzy rozmową żywą i zajmującą pomiędzy sobą zajęci byli, umilkli, i słuchali. Dziewczyna, siedząca na nizkim stołeczku, podniosła głowę i słuchała także z uwagą i natężeniem.

Jedenasta!

— Za godzinę będzie północ! — ozwał się Sikes, otworzywszy na chwilę okno, aby na ulicę spojrzeć, poczém na dwniejsze miejsce powrócił. — Mglisto i ciemno naokoło jak w garnku,....noc bardzo pomyślna dla naszego rzemiosła.

— A! — odpowiedział Żyd. — Jaka szkoda Billu!

jaka wielka szkoda, mój drogi, że na dzisiaj właśnie niema nic do czynienia.

— Prawda, bardzo wielka prawda! — potwierdził Sikes mrucząc ponuro. — Tém większa szkoda, żebym dzisiaj właśnie wielką miał do czego chętkę!

Żyd westchnął i ze smutkiem głowę pochylił.

— Musimy kiedyś ten czas stracony wynagrodzić, jeżeli znowu coś dobrego i korzystnego wymyślimy; inaczéj źle by z nami wypadło, — dodał Sikes.

— Otóż to mi się podoba, bardzo podoba, mój drogi! — odpowiedział Sikes, poklepawszy go ręką po ramieniu. — Cieszy mię to niesłychanie, że cię tak mówiącego słyszę.

— Cieszy cię to niesłychanie?..... doprawdy?..... — zawołał Sikes; — niechże i tak będzie.

— Ha! ha! ha! — śmiał się Żyd na całe gardło, jakby to małoznaczące pozwolenie nawet jego sercu wielce ulżyło, i nadzwyczajną uciechę mu sprawiło. — Tyś dzisiaj wieczór znowu Billem prawdziwym,.... tym samym co dawniéj mój drogi, tym samym co dawniéj.

— Mnie się przecież zdaje, że nie jestem tym samym co dawniéj, nie jestem do siebie podobnym, skoro tylko twoję wyschłą łapę na barkach moich poczuję, ... weźże ją weź ze mnie natychmiast, mówię ci! — odparł Sikes, odtrącając od siebie rękę Żyda.

— Rozumiem, rozumiem, że ci się zaraz niedobrze robi;.... to ci natychmiast schwytanie przypomina, nieprawdaż, co, mój drogi? —

Rzekł Żyd, postanowiwszy sobie mocno, o nic się nie obrażać.

— To prawda, że mi schwytanie przypomina,.....

— odparł Sikes, — ale schwytanie przez djabła, a nie przez posiepaka. — Niech mię djabli wezmą, jeżeli już kiedy od początku świata żył człowiek jaki, któryby do ciebie był podobnym, chyba twój ojciec, a ten rudowłosy starzec z pewnością się już od dawna w piekle smarzy, jeżeli przypadkiem sam Lucyper nie jest twoim ojcem, coby mię nawet wcale nie dziwiło.

Fagin ani słówka nieodpowiedział na tę grzeczność nadzwyczajnie pochlebną, lecz Billa za rękaw pociągnął, i palcem na Nancy wskazał, która z téj rozmowy ich korzystając po cichutku kapelusz na głowę wdziała, w chustkę się otuliła, i do wyjścia się właśnie zabierała.

— Holla! — wrzasnął Sikes. — Nancy! czy słyszysz? gdzież to panna o téj późnéj godzinie w nocy się wybiera?

— Niedaleko, — odpowiedziała Nancy obojętnie.

— A to jaka znowu odpowiedź? — odparł Sikes. — Dokąd chcesz iść? mów!

— Już ci raz powiedziałam, iż niedaleko, — odpowiedziała Nancy spokojnie.

— A ja się raz jeszcze pytam, dokąd? czyś słyszała? — powtórzył Sikes głośniéj jeszcze.

— Ja sama niewiem, dokąd! — odparła dziewczyna głosem cokolwiek drżącym.

— To ja wiem! — zawołał Sikes, nie tak dla tego, iżby miał jaką przyczynę ważną do sprzeciwiania się zamiarowi Nancy, jak raczéj przez czystą chęć oparcia się jéj woli. — Nigdzie. Zostaniesz w domu! siadaj.

— Słabo się mi zrobiło. Jużem ci poprzód o

tém mówiła, — rzekła dziewczyna. — Trzeba mi koniecznie świeżego powietrza ! .. .. muszę się przewietrzyć !

— Otwórz sobie okno, i wystaw głowę na ulicę, będziesz miała także powietrze świeże, — odpowiedział Sikes.

— To mi niewystarczy, — odparła dziewczyna.— Ja się muszę koniecznie przejść po ulicy.

— Czy tak?....ale ja na to niepozwalam, a ty nie pójdziesz !

Zawołał Sikes, poczém wstał, drzwi na klucz zamknął, klucz z zamku wyjął, i zerwawszy jéj kapelusz z głowy, na szafę starą go wyrzucił.

— Oto masz ! — dodał ten zbójca ; — a terazże siedź cicho na miejscu, inaczéj ja cię uspokoję !

— Ja i bez kapelusza sobie iść mogę, jeżeli mi się będzie podobało, — odparła dziewczyna, zbladłszy jak chusta. — Cóż ty sobie myślisz, Billu ? Czy ty wiesz, co ty robisz?

— Czy wiem, co ro.... O ! — zawołał Sikes, zwracając się do Fagina, — ona musiała już zmysły potracić, oszaleć ! Sam się przekonać możesz, Faginie, inaczéjby w ten sposób do mnie mówić niemogła !

— Ty mię jeszcze do rozpaczy przyprowadzisz i do jakiego okropnego kroku zmusisz ! — wyjąkała dziewczyna, kładąc obie ręce na piersi, jakby wybuch jakiś gwałtowny przemocą tłumiła. — Puszczaj mnie ! ....czy słyszysz? puść mię téj chwili zaraz.... natychmiast !

— Nie ! — zawył Sikes.

— Powiedzcie,.... poradźcie mu, Fagin, aby mię

puścił....Radzę ci, puść mię, ... to będzie daleko lepiéj dla ciebie....Puśćże mię, czy słyszysz?

Zawołała Nancy, tupnąwszy nogą ze złości.

— Ciebie słuchać? — powtórzył Sikes, obróciwszy ją na krześle, aby jéj bystro w oczy zajrzeć. — Słyszę cię, słyszę, a jeżeli cię jeszcze chwil kilka dłużéj słyszeć będę, to cię pies tak silnie za twoje gardło chwyci, że ci ten głos wrzaskliwy natychmiast stłumi. Cóż to u djabła dzisiaj ci się stało, kobieto?

— Puść mnie! — rzekła dziewczyna błagając, i usiadłszy na ziemi koło drzwi, zawołała: — Billu, puszczaj mnie! Ty niewiesz co robisz, że mię puścić niechcesz,.. .miej litość nademną i puszczaj mnie! Tylko na godzinkę!....zaklinam cię na miłość boga!

— Pierwéj się dam w kawałki porąbać, — wrzasnął Sikes, chwyciwszy ją rubasznie za rękę, — nim cię puszczę! Niech mię djabli wezmą, jeżeli ta dziewczyna zmysłów nie straciła; wstań!

— Ja dopotąd nie wstanę, dopokąd mię ztąd niepuścisz...... Bóg widzi, że nie wstanę! — wrzasnęła Nancy.

Sikes przez czas niejaki uważnie na nią spoglądał, dopokąd sobie chwili pomyślnéj nieupatrzył, i zręcznie za obie ręce jéj niechwycił. Gdy mu się to udało, zawlókł ją przemocą, pomimo wszelki jéj opór, do przyległéj izdebki małéj, usiadł sam na ławeczce, a ją wcisnął na krzesło poręczowe, i przemocą na niém ją przytrzymał.

Ona się długo broniła, rzucała, płakała, błagała, wszelkich sił dobywała, aby się mu z rąk wyrwać, aż

nareszcie godzina dwunasta uderzyła, a ona zmęczona, wysilona, bronić i rzucać się w końcu przestała.

Sikes, wyzionąwszy groźbę, różnemi przekleństwami popartą, aby się téj nocy z domu wyjść nieodważyła, opuścił ją zadyszaną, rozpaczającą i powrócił do Fagina.

— Tfu! — zawołał zbójca, ocierając pot z czoła i twarzy. — Jakaż to dziwna istota z téj dziewczyny!

— To prawda, Billu! to prawda! — odpowiedział Żyd zamyślony.

— Radbym wiedział, co jéj dzisiaj do głowy takiego wlazło, że się gwałtem z domu iść napierała? — zapytał Sikes. — Powinienbyś to łatwiéj jak ja odgadnąć, gdyż ty ją znasz lepiéj odemnie,.... cóż tedy myślisz?

— Upór,.... nic więcéj jak tylko czysty upór kobiecy, mój drogi! — Odpowiedział Żyd wzruszywszy ramionami.

— I ja tak sądzę, — potwierdził Sikes. — Ja myślałem, żem jéj upór już przełamał i ją poskromił, ale jak widzę, to ona nie jest lepszą, jak i poprzód była.

— Nawet gorszą jeszcze, — rzekł Żyd zamyślony. — Jeszczem ją nigdy taką niewidział i to dla takiéj drobnostki!

— Ani ja! — potwierdził Sikes. — Mnie się zdaje, że ona się na gorączkę odemnie zaraziła, a ta się teraz objawiać zaczyna;....jakże myślisz?

— Być może, Billu, być może! — odpowiedział Żyd.

— Ja jéj z pewnością trochę krwi sam upuszczę,

niepotrzebując na to lekarza, jeżeli się jęszcze raz coś podobnego wydarzy, — rzekł Sikes.

Fagin potwierdził pochwalającém kiwnięciem głowy ten sposób leczenia gorączki.

— Ona całe dnie i nocy przy mnię ślęczała, kiedym się z łóżka ruszyć niemógł, a tyś się mi ani razu na oczy niepokazał, ty stary, wyschły wisielcze, — rzekł Sikes. — Niemieliśmy ani kawałeczka suchego chleba przez długi czas w domu, a mnie się zdaje, że to ją nakonice wzburzyło i w taką niespokojność wprowadziło, iż tak długo w domu siedzieć musiała i nigdzie wyjść nie mogła!....co?

— Zapewnie, że to będzie, zapewnie, — odpowiedział Żyd szepcąc po cichu. — Pst!

Téj chwili dziewczyna do izby weszła i usiadła na dawném miejscu. Oczy miała czerwone i nabrzmiałe; zaczęła się po krześle rzucać, to w tę to w ową stronę chwiać, i parsknęła nakonice po niejakiéj chwili głośnym śmiechem.

— A to co znowu takiego? — zawołał Sikes, spojrzawszy z zadziwieniem niewypowiedzianém na Fagina.

Fagin dał mu znak skinieniem głowy, aby na nią wcale nie zważał, a dziewczyna wpadła też za kilka chwil w dawniejsze swoje zamyślenie i zadumanie.

Szepnąwszy Billowi do ucha, że się teraz już niczego obawiać niema, Fagin chwycił za kapelusz, wsadził go na głowę i powiedział mu dobranoc! U drzwi jednak stanął, obejrzał się na nich, i zapytał, czyli mu które z nich na schodach poświecić nie myśli?

— Poświeć mu na dół! — rzekł Sikes, nakładając sobie fajkę. — Byłaby jeszcze wielka szkoda, gdy-

by sobie sam kark miał skręcić, i lud tak przyjemnego widowiska pozbawić! Oto masz świecę;...... sprowadź go na dół!

Nancy wzięła świecę i poświeciła temu starcowi na schodach, a gdy oboje do sieni na dół zeszli, on palec na ustach położył, do dziewczyny się zbliżył i szepnął jéj do ucha:

— Cóż ci to jest, droga Nancy, cóż ci to jest?

— Co takiego? — odparła dziewczyna również po cichu.

— Co? No, dla czegoś koniecznie dzisiaj z domu wyjść chciała? — odpowiedział Fagin. — Jeżeli *on*, — i wskazał przytém palcem swoim chudym na górę, — jeżeli *on* się z tobą źle, srogo obchodzi,..a to źwierze prawdziwe, Nancy, źwierze drapieżnę, mówię ci, ...dla czegóż....

— No i cóż?

Zapytała dziewczyna, gdy Żyd na chwilę mowę uciął, trzymając usta blizko jéj ucha, a oczy w twarz jéj wlepione.

— Nie teraz, nie teraz! — rzekł Żyd, — my o tém jeszcze raz, ale kiedyindziéj pomówiemy. Ty masz zawsze we mnie przyjaciela, moja droga Nancy, wiernego, stałego przyjaciela. Mam ja wszystkie środki pod ręką,....wszystko się spokojnie i cicho odbyć może. A gdybyś się kiedy może na nim zemścić chciała, za to, że się z tobą tak, jak ze swoim psem obchodzi,.... tak jak ze swoim psem!....a nawet gorzéj jeszcze, jak ze swoim psem,....gdyż on się z nim przynajmniéj czasami pieści,..... więc przychodź śmiało do mnie. Powiadam ci, przychodź do mnie! On jest przyjacielem

twoim dopiero od niejakiego czasu, ale ty mnie już znasz od dawna, Nancy,....od dawna, nieprawda?

— O ja was znam bardzo dobrze, Faginie! — odpowiedziała dziewczyna, niepokazując najmniejszego zadziwienia lub wzruszenia po sobie. — Dobra noc!

Przerażona w tył się cofnęła, gdy jéj Fagin rękę podał, jednak głosem stałem, niewzruszonym go pożegnała, rzekłszy mu: dobra noc, odpowiedziała skinieniem głowy na to spojrzenie porozumienia, które Żyd odchodząc na nią rzucił, i zamknęła drzwi za nim.

Fagin wracał krokiem powolnym do domu, oddając się cały myślom, które się po mózgu jego uwijały. Pewne podejrzenie, — nie będące wcale skutkiem wzwyż wspomnionego wydarzenia, lubo mu do utwierdzenia się w téj myśli, od dawniejszego już czasu, lecz zwolna i stopniowo powziętéj, wielce posłużyło, — snuło się mu po głowie, że Nancy, znudzona, zrażona ustawiczną rubasznością i srogością zbójcy serce swoje mu odebrała, i w jakim innym chłopcu się pokochała.

Jéj wzięcie zupełnie odmienne, jéj niespokojność, jéj częste wydalanie się z domu sama jedna, jéj wzrastająca obojętność na wszelkie sprawy, na korzyść lub szkodę ich towarzystwa, czém się poprzód tak gorliwie zajmowała, a do tego jeszcze, jéj żądanie uporczywe oddalenia się téj nocy z domu o godzinie pewnéj, oznaczonéj, to wszystko razem wzięte sprzyjało jego przypuszczeniu, a nawet i pewność niejaką onemu nadawało. —

Przedmiot miłości nowéj téj dziewczyny nie musiał wcale należéć do liczby uczniów, wychowanków i zwolenników jego.

Chłopiec ten, mający takiego sprzymierzyńca jak Nancy, mógłby wielką korzyścią być dla niego, a Fagin natychmiast postanowił, jak najprędzéj go dla siebie pozyskać.

Prócz tego chodziło tu jeszcze o coś innego, ... o zamysł jeszcze podstępniejszy.

Sikes za nadto wiele tajemnic jego wiedział, a Żyd uczuł dobrze całą obrazę mów żartobliwych, rubasznych i dotkliwych tego gbura, lubo tego po sobie poznać nie dawał.

Dziewczyna z pewnością dobrze o tém wiedzieć musiała, iż na przypadek, gdyby go porzuciła, nietylko ona sama przed jego gniewem i zapalczywością nigdzie pewną, nigdzie bezpieczną nie była, ale i jéj kochankowi nadzwyczajne niebezpieczeństwo groziło, tak że się co chwila wściekłości Billa mógł obawiać, który z pewnością ręce, nogi, by mu połamał, ... albo téż i na śmierć zabił.

— Jest to rzeczą bardzo podobną, — myślał sobie Fagin, — iż się ją w końcu namową do tego skłonić uda, aby go otruła. Kobiety już nieraz coś podobnego, a nawet i gorszego jeszcze uczyniły dla zachowania kochanka swego od zagłady. Jeżeliby to uczyniła, to ja będę raz wolnym od tego niebezpiecznego, i bardzo dla mnie niebezpiecznego łotra, którego z duszy nienawidzę; .... dostanę innego na jego miejsce, a z wiadomością o téj zbrodni i wpływ i potęga moja nieograniczona nad tą dziewczyną wzrośnie.

Te myśli przebiegły Faginowi po głowie podczas téj krótkiéj chwili, którą w izbie zbójcy sam jeden przesiedział, a pełen tego zamiaru korzystał z téj pomyśl-

néj okoliczności, która mu się przez odprowadzenie dziewczyny nastręczyła, aby jéj kilka słów do ucha przy pożegnaniu szepnąć, i zbadać ją, jak dalece jéj w téj mierze zaufać i na nią budować może. A dziewczyna nie okazała najmniejszego zadziwienia, najmniejszego znaku, iż jego przymówki nierozumie, niepojmuje;.... ona go jasno i dokładnie zrozumieć musiała. Spojrzenie przy pożegnaniu jawnie *to* dowodziło.

Lecz ona się wzdrygać będzie może targnąć się na życie Billa, a to było właśnie celem najgłówniejszym jego zabiegów i dążeń.

— Hm! — pomyślał sobie Żyd, pełznąc nocą do siebie, — jakimże sposobem będę mógł wpływ mój na nią powiększyć? jak nową władzę nad nią uzyskać?

Lecz głowy takie jak jego, są bardzo płodne w pomysły i wybiegi.

Gdyby też naprzykład, niemogąc wyznania i ufności od niéj uzyskać, i zezwolenia na niéj wymódz, tajemnego szpiega na nią nasadził, któryby owę nieznajomą osobę, będącą przedmiotem jéj miłości, mógł wykryć, i potém jéj zagroził, iż wszystko Billowi wyjawi, — którego się nadzwyczajnie bała, — jeżeli tego nie uczyni, czego od niéj żąda, czyliżby wtedy jéj zezwolenia i pomocy nie mógł uzyskać?

— Niezawodnie, — rzekł głośno. — Wykrywszy raz jéj tajemnicę, nic mi wtedy odmówić nie może, jeżeli jéj życie miłe! Teraz cię trzymam w ręku, moja droga Nancy...... Środki już są gotowe, teraz o to jedynie chodzi, aby ich zręcznie użyć. Teraz się mi już nie wymkniesz!

I obróciwszy się ku stronie, w któréj mieszkanie

owego haniebnego złoczyńcy leżało, pogroził ręką i rzucił spojrzenie, w którém całe piekło zdrady i nienawiści tlało; potém daléj się potoczył, ukrywszy swe wyschłe ręce we fałdach swego wytartego płaszcza, które w swéj zapalczywości miął i szarpał, jakby za każdém poszarpnięciem swych palców kościstych nieprzyjaciela zgniótł i zniszczył.

Nazajutrz zerwał się wcześnie rano ze swego łoża, i czekał z nadzwyczajną niecierpliwością przybycia swego nowego spólnika, który się po nieskończenie długiéj zwłoce nakoniec pojawił, i natychmiast z chciwością żarłoczną na śniadanie rzucił.

— Słuchajno, Bolter!

Rzekł Żyd, przysuwając sobie krzesło i siadając naprzeciw niego.

— Cóż takiego! Oto jestem! — odpowiedział Noa. — Cóż tam nowego? Proszę was zawczasu, abyście niczego odemnie nie żądali, dopóki śniadania nie zjem. Jest to bardzo wielką wadą w tym domu, że nigdy człowiekowi spokojnie i wygodnie zjeść nie pozwolą.

— Czy podczas jedzenia mówić nie umiesz, co?

Zawołał niecierpliwie Żyd, przeklinając w sercu szczerze zbytnią żarłoczność swego nowego przyjaciela. —

— O dla czego nie! mówić umię i mogę! to nawet chęć do jedzenia zaostrza! — odpowiedział Noa, ukroiwszy sobie ogromną kromkę chleba z masłem. — A gdzie jest Karolina?

— Na mieście! — rzekł Fagin; — wysłałem ją dzisiaj rano z drugiemi dziewczętami na miasto, gdyż chciałem z tobą sam-na-sam pomówić.

— Oho! — zawołał Noa. — Byłbym wolał, żebyście jéj byli kazali poprzód jeszcze parę kromeczek chleba z masłem przypiec. A teraz daléj! mówcie śmiało!.... Wy mi wcale nie przeszkadzacie!

I nie było rzeczywiście wielkiéj obawy, aby mu ktokolwiek mógł był przeszkodzić, gdyż sobie z tém stałém przedsięwzięciem zasiadł, walecznie rąbać i pałaszować, dopokąd nieprzyjaciela ze stołu nie zmiecie.

— Dobrześ się wczoraj sprawił mój drogi, — rzekł Żyd; — prawdziwie, przedziwnie! Sześć szylingów i dziewięć sixpensów pierwszego dnia zaraz, to dalibóg bardzo ładnie. Ta gałęź naszego przemysłu jeszcze bogacza z ciebie zrobi.

— A niezapominajcie przecież o trzech kubkach od piwa i garnuszku do mleka! — odparł Bolter.

— Nie, nie, mój drogi, niezapominam, nie! — odpowiedział Żyd. — Kubki od piwa dowodzą w tobie wielkie zdolności, lecz garnuszek od śmietanki był dowodem mistrzowskiéj zręczności;...... wysokiego jeniuszu! —

— Jak na początkującego tom się w istocie nie źle sprawił, — zauważył pan Bolter z zadowolnieniem. — Kubki wziąłem z poręczy jakiegoś podziemia, a garnuszki stały na ulicy przed jakimś domem gospodnim. Pomyślałem sobie tedy, żeby łatwo od deszczu zardzewieć mogły, albo się téż może zaziębić, wy wiecie przecież, ha! ha! ha!

Żyd udał także iż się serdecznie śmieje, a pan Bolter, przyszedłszy z uniesienia swéj wesołości do siebie, zaczął na nowo chleb walecznie ćwiertować, tak, że wkrótce ani kawałeczka więcéj nie pozostało.

— Mam robotę dla ciebie Bolter, — rzekł Fagin, nachyliwszy się przez stół do niego.

— Dobrze, — odpowiedział Bolter; — tylko mię na wielkie niebezpieczeństwo nie wystawiajcie, lub też znowu do jakiego urzędu policyjnego po raz drugi nie wysełajcie; gdyż wam raz na zawsze powiadam, że mi się to wcale nie podoba.

— W tém, czego ja od ciebie żądam, niema najmniejszego niebezpieczeństwa, ... najmniejszego niebezpieczeństwa, — odparł Żyd; — chodzi tu tylko o szpiegowanie kobiety.

— Staréj czy młodéj? — zapytał Bolter.

— Młodéj! — odpowiedział Fagin.

— Na tém to się bardzo dobrze rozumiem, — rzekł Bolter. — Jeszcze kiedym do szkoły chodził tom w tém celował. Cóż mam u niéj wyszpiegować! Może kogo....

— Nie, nie, nikogo! — przerwał mu Żyd. — Będziesz mi tylko zawsze donosił, gdzie bywa, co robi, z kim rozmawia, a szczególnie co mówi, jeżeli to być może;.... będziesz musiał spamiętać ulicę, jeżeli to jest ulica; ..... dom, jeżeli to jest dom jaki, i donieść mi wszystko jak najdokładniéj, cokolwiek tylko słyszeć lub widzieć będziesz.

— A cóż mi dacie za to?

Zapytał Noa, stawiając na stole kubek z piwem i spoglądając z chciwością na Żyda.

— Jeżeli się tego podejmiesz i dobrze sprawisz, mój drogi, dostaniesz funt szterlingów!....czy słyszysz, funt cały! — rzekł Fagin, chcąc jego gorliwość pobudzić, i do tego jak najprędzéj skłonić. — Jeszczem

nigdy tyle niepłacił za żadną pracę, przy którój niewiele zyskać można.

— Któż to jest? — zapytał Bolter.

— Jedna z naszych!

— Doprawdy? — zawołał Noa, kręcąc nosem. — Czy jéj nieufacie, co?

— Ona jakąś nową znajomość sobie znalazła, mój drogi, a mnie bardzo wiele na tém zależy dowiedzieć się, jaka to jest ta znajomość, — odpowiedział Żyd.

— Rozumiem, rozumiem, — zawołał Noa; — aby mieć tę przyjemność z nimi się zaznajomić, jeżeli to są ludzie zacni, nieprawda? ha! ha! ha!...No spuśćcie się na mnie!

— O ja o tém bardzo dobrze wiedziałem, że się z chęcią do tego weźmiesz!

Odpowiedział Fagin, uradowany mocno tym skutkiem pomyślnėm swego przedstawienia.

— Zapewnie, zapewnie! — odparł Noa. — A teraz że mi powiedzcie, kto ona jest? Gdzie na nią mam czekać? i kiedy się mam za nią udać?

— O tém wszystkiém dowiesz się odemnie, mój drogi, gdy czas na to przyjdzie. Jak cię będę potrzebował, to ci ją pokażę, — rzekł Fagin. — Bądź tylko zawsze gotów, a o resztę się nie troskaj!

Tego dnia w nocy, i następnéj nocy, i przez kilka jeszcze nocy szpieg ten siedział w swych butach wysokich i ubiorze woźnicy od ciężarów ubrany i gotów do swójéj wycieczki na każde zawołanie Żyda.

Sześć wieczorów minęło,...... sześć długich, przykrych......nieznośnych wieczorów,..... a Żyd codziennie w nocy do domu powracał z nadzieją zawiedzioną, nie-

cierpliwością niewysłowioną dręczony, i za każdą razą krótko rzekł, iż niema jeszcze czasu.

Siódmego dnia nakoniec wcześniéj z wieczora jak zwykle powrócił, z uniesieniem radości, którą zaledwie pohamować zdołał. Była to Niedziela.

— Dzisiaj wieczorem z domu wyjdzie, — rzekł Fagin, — a ja wiem z pewnością, że ona tam pójdzie, gdzie się czegoś będziemy dowiedziéć mogli, gdyż przez cały dzień sama jedna siedziała, a ten człowiek, którego się nadzwyczajnie boi, niepowróci tak rychło, może aż nad rankiem dopiero. Chodź teraz ze mną,.... tylko żywo!

Noa się natychmiast zebrał, niewyrzekłszy ani słowa, albowiem taki zapał nadzwyczajny i dziwny Żyda zagrzewał, że i on się nim od niego zaraził.

Natychmiast z pośpiechem największym dom opuścili, i rzuciwszy się w błędnik uliczek wązkich, zawiłych, dostali nakoniec do gospodniego domu, któren Noa na pierwszy rzut oka poznał; był to bowiem ten sam, w którym pierwszą noc zaraz po swojém przybyciu do Londyna przepędził.

Już godzina jedynasta minęła, a drzwi były zamknięte. Fagin świsnął z cicha, a one się po cichutku natychmiast otworzyły. Obaj weszli bez najmniejszego szmeru do gospody, a drzwi się za nimi natychmiast zawarły.

Fagin ani słówka tą razą nie rzekł, lecz na migi z tym chłopcem się rozmówił, który mu drzwi otworzył, owe tajne, malutkie, jednoszybowe okienko Noemu wskazał, na stołku mu stanąć kazał i przypatrzeć się dobrze téj osobie, która w pobocznéj izbie siedziała.

— Czy to jest ta kobieta? — zapytał po cichutku.

Żyd kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Nie mogę widzieć dobrze jéj twarzy, — szepnął Noa. — Patrzy na dół, a świeca w tyle za nią stoi.

— Stój tylko na miejscu!

Szepnął mu Fagin i skinął oraz na Barneya, który natychmiast znikł.

Za kilka chwil wszedł do izby pobocznéj, udał że świecę chce objaśnić i postawił ją przytém tak, że światło na jéj oblicze padało, gdy głowę do góry podniosła; Żydek bowiem kilka słów umyślnie do niéj przemówił, aby ją skłonić do obrócenia swéj twarzy.

— Teraz to ją widzę, — szepnął szpieg.

— A czy dobrze? — zapytał Fagin.

— Mógłbym ją teraz pomiędzy tysiącem poznać, — odpowiedział Noa.

W tém Nancy wstała i zabierała się do wyjścia.

Noa zeskoczył śpiesznie ze swego krzesła, a drzwi téj chwili się otworzyły i dziewczyna w nich się pojawiła.

Fagin się z nim w okamgnieniu po za małą zasłoną ukrył, która w głębi téj izby mały kącik odgraniczała, a obaj dech w sobie nawet zaparli, dopokąd dziewczyna ich nie wyminęła i temi samemi drzwiami na ulicę niewyszła, któremi i oni weszli.

— Pst! — zawołał po cichu Barney, który jéj drzwi otworzył, — teraz czas!

Noa z Faginem jednćm spojrzeniem się porozumiał i śpiesznie z izby wypadł.

— Na lewo! — szepnął mu Barney do ucha, — weź się na lewo i przejdź na drugą stronę.

Noa tego polecenia usłuchał, i poznał przy świetle lampy postać dziewczyny, w niejakiéj odległości od niego żywo pośpieszającéj.

Noa pobiegł za nią czémprędzéj, i zbliżył się do niéj o tyle, o ile to z roztropnością się zgadzało, a potém na drugą stronę ulicy przeszedł, aby jéj ruchy tém lepiéj mieć na oku.

Kilka razy dziewczyna z trwogą naokoło się obejrzała, i raz nawet na miejscu zatrzymała, aby parę osób przepuścić, które tuż za nią szły.

Czém daléj szła, tém więcéj odwagi nabierać musiała, jak się zdawało, gdyż krok jéj stawał się śmielszy i pewniejszy.

Noa szedł ciągle za nią w przyzwoitém oddaleniu, i śledził okiem bystrém jéj ruchy.

ROZDZIAŁ XVII.

Dopełnienie przyrzeczenia.

Zegar na wieży wybił już trzy ćwierci godziny na dwunastą, kiedy dwie postaci na moście Londyńskim się zjawiły.

Jedną była kobieta, biegnąca krokiem lekkim, szybkim, która ostrożnie i troskliwie na wszystkie strony się oglądała, szukając niby oczyma jakiegoś spodziewanego przedmiotu; drugą zaś mężczyzna, który się ciągle w największéj ciemności, jaką tylko mógł znaleźć, za nią skradał, zawsze w pewnéj, niezmiennéj odległości od niéj się trzymał, stawał jeżeli i ona stanęła, i natychmiast z pośpiechem największym za nią się rzucał, jeżeli ona daléj pobiegła, nigdy się jednak w swym zapale śledzenia jéj tak dalece niezapomniał, aby ją miał kiedy wyprzedzić.

Tak więc przebyli most z jednego końca na drugi, gdy się nagle dziewczyna, w swych poszukiwaniach

niespokojnych widocznie zawiedziona, obróciła i wracać zaczęła.

Ten ruch był szybki i niespodziewany; ale ten, który ją ani na chwilę z oka niespuszczał, miał się zawsze na baczności, uskoczył natychmiast w zakątek, przez słupy mostowe utworzony, przechylił się przez poręcz, aby tém łatwiéj twarz swoję ukryć, i oko jej ułudzić, czekał w téj postawie tak długo, dopokąd go niewyminęła i na drugą stronę mostu nieprzeszła, a widząc, że już w téjże saméj odległości od niego być musi, w jakiéj dotąd ciągle od niéj zostawał, zerwał się śpiesznie i pobiegł za nią.

Na środku mostu kobieta się zatrzymała. Ów mężczyzna zatrzymał się także.

Była to noc bardzo ciemna. Dzień był także nienajmilszy, a tak i mało luda o téj późnéj godzinie i w tém miejscu odległém się znajdowało;....a ci którzy tędy przechodzili, biegli śpiesznie, najpodobniéj nie widząc, a z pewnością ani na to niezważając, czyli to mężczyzna lub kobieta im się przygląda.

Pojawienie się tych ludzi w tém miejscu, niebyło wcale spowodane tym zamiarem, aby ściągnąć na siebie natrętną uwagę osób z tego najlichszego motłochu Londynu, których droga na ten most zapewnie dla tego jedynie sprowadziła, aby sobie miejsce nieco bezpieczniejsze i przed zimnym wiatrem i słotą trochę bardziéj ochronione koło jakiego słupa lub posągu kamiennego wynaleść, i przez noc na niém spocząć.

Owe postacie obie stały zatém spokojnie, ani słówka do nikogo niemówiąc, a nikt też w odwet ani słówka do nich nieprzemówił.

Mgła gruba pokrywała całkiem rzekę, i tłumiła blask czerwonawy ognisk, na kilku małych nad brzegami spoczywających statkach płonących, a przy tém świetle słabém, ciemném, domy i budynki po nad rzeką leżące w jedną ciemną, dziwaczną massę spłynęły.

Owe stare, wysokie, odwieczne składy po obu stronach rzeki, wznosiły się ciężko i ciemno, w zarysach zatartych po nad tłum gęsty dachów, szczytów i kominów, i spoglądały ponuro na strumień płynący, za nadto ciemny i czarny, aby ich kształty odbić.

Śród téj mgły i ciemności widać było wieże dwóch starych kościołów: Zbawiciela i ś́go. Magnusa,.... tych dwóch odwiecznych i olbrzymich stróżów tego mostu starego, lecz maszty, żagle statków pod mostem i wysoko się pnące wieże innych kościołów ginęły albo w mgle, albo w oddaleniu.

Dziewczyna się już kilka razy po moście tam i napowrót przeszła, trwogą i niespokojnością miotana,.... a niewidomy jéj towarzysz krok w krok za nią te same obroty odbywał,..... gdy zegar donośny na wieży ś́go. Pawła biciem swojém skonanie tego dnia głosić zaczął.

Północ się nad tém ludném miastem unosiła.

Północ zaległa zarówno pałace i najlichsze szynkownie; tak więzienia, jak i domy obłąkanych; tak domy porodnicze, jak i kruchty i trupiarnie,...... tak izby, w których chorzy, jak i te, w których zdrowi spoczywają; tak ciała strętwiałe, skostniałe, jak i ciałka miękkie rumiane, kwitnące dzieciny;....... północ bez wyjątku wszystko zaległa.

Zaledwie chwil kilka po uderzeniu ostatniém zegaru przeminęło, dał się słyszeć turkot nadjeżdzającego po-

wozu, który się w niejakiéj odległości od mostu zatrzymał. Dziewczyna młoda wysiadła z niego w towarzystwie jakiegoś Jegomości z siwawym już włosem, powóz odprawiła, i natychmiast kroki swoje ku mostowi zwróciła.

Zaledwie ci nieznajomi nogą na moście stanęli, owa postać niewieścia naraz się zatrzymała, i natychmiast na przeciwko nich pobiegła.

Owi nieznajomi szli sobie powoli drogą, spoglądając naokoło siebie z wyrazem ludzi, którzy się czegoś spodziewają, ale mało nadziei mają, aby się ono spełnić miało; lecz gdy dziewczynę nadchodzącą spostrzegli, natychmiast się zatrzymali, wydawszy okrzyk zadziwienia, który jednak natychmiast stłumili, widząc, że jakiś człowiek, w ubiorze woźnicy ze wsi do nich się zbliżył, ... i téjże saméj chwili o nich się przechodząc otarł.

— Chodźmy z tąd!...... chodźmy! — ozwała się Nancy skwapliwie. — Ja się czegoś lękam tutaj z wami rozmawiać....Chodźmy z tąd,....oddalmy się ludziom z drogi,....zejdźmy lepiéj po tych schodach kilka stopni na dół!

Gdy to dziewczyna wyrzekła, i ręką wyciągniętą to miejsce wskazała, na które z nimi na rozmowę udać się pragnęła, ów wieśniak się właśnie obejrzał, i pytając się ich rubasznie, dla czego drogę całą zabierają, tak że koło nich przejść trudno, daléj potoczył.

Schody, które Nancy swym znajomym wskazała, znajdowały się z téj strony mostu, na któréj się kościoł naszego Zbawiciela znajdował, i prowadziły z brzegu na dół ku rzece, w miejsce, do którego statki mniejsze

zwykle przybijają. Do tych więc schodów ów mężczyzna, który na woźnicę ze wsi wyglądał, śpiesznie dobiegł tak że go nikt niewidział, a obejrzawszy się ostróżnie naokoło, zaczął po nich na dół schodzić.

Schody te stanowią część mostu, i mają trzy oddziały.

Tuż przy końcu drugiego oddziału tych schodów, spuszczając się na dół, ściana murowana po lewéj ręce przestaje, kończąc się w słup piękny, ozdobny, ku Tamizie zwrócony.

W tém miejscu stopnie oddziału niższego są nieco szersze, tak że osoba, któraby się po za ten słup i ściankę ukryła, przez nikogo widzianą być niemoże, choćby się ktoś tuż koło niéj na ostatnim nawet stopniu tego oddziału znajdował.

Gdy ów przebrany woźnica do tego miejsca doszedł, rzucił okiem szybko na około, a niewidząc nigdzie miejsca dogodniejszego dla siebie, aby się ukryć, zwłaszcza, iż się obawiał, żeby owi nieznajomi tuż za nim nadejść mogli, wśliznął się więc za mur, stanął koło słupa, plecyma o niego oparty, i czekał tutaj, pewien, że oni daléj na dół niezejdą; a gdyby na przypadek rozmowy ich słyszeć niemógł, to przynajmniéj natychmiast jak najbezpieczniéj za nią się mógł udać, gdyby do siebie wracała.

Noemu tak długo czas upływał na tém miejscu samotném, w którém się ukrył, a szpieg ten tak żarliwie tajemnicze powody przeniknąć pragnął, które ją do rozmowy i schadzki, jakiéj się nigdy widzieć niespodziewał, skłoniły, że on już nieraz rzecz całą za straconą uważał myśląc sobie, że albo w górze się zatrzymała,

albo też w jakie inne miejsce udała, aby swoję rozmowę tajemniczą z owemi nieznanemi obcemi do skutku przywieść.

Już nawet z rozpaczy kryjówkę swoję opuścić zamyślał, i udać się na górę, aby się za nimi obejrzeć, w tém nagle odgłos stąpania po schodach uszu jego doleciał, a niebawem i głosów, tuż blizko niego już rozmawiających.

Słysząc to, lepiéj się jeszcze do muru przytulił, dech w sobie zaparł, i uważnie nadsłuchiwał.

— Jak się mi zdaje, tobyśmy już dość daleko byli, — ozwał się głos; musiał to być z pewnością głos owego starego Jegomości. — Niemogę tego dopuścić, aby ta młoda panna choćby o krok jeden jeszcze daléj na dół schodziła. Nie jeden byłby i tak daleko za tobą nie poszedł, moja kochana; widzisz tedy sama, żeśmy ci bardzo wiele zaufali.

— Mnie zaufali! — zawołała dziewczyna, która owych nieznajomych w to miejsce sprowadziła. — Jesteś panie, jak widzę, bardzo podejrzliwym,...... ostrożnym. Mnie zaufali! Ale to nic nieszkodzi,....nic nieszkodzi!

— Powiedzże mi jednak, — ozwał się staruszek nieco łagodniéj, — w jakim celu sprowadziłaś nas w to miejsce? Dla czegóżeś mi niepozwoliła na górze się z tobą rozmówić, tam gdzie jakie takie światło przecież mamy, i ludzie czasami się przejdą, zamiast nas tutaj w tę ciemną i przerażającą otchłań prowadzić?

— Dla czegóżeś mi niepozwoliła na górze się z tobą rozmówić

— Jużem ci, panie, z początku zaraz powiedziała, — odparła Nancy, — żem się bała z tobą na górze rozmawiać. Niewiem co mi jest takiego, — dodała

dziewczyna, wzdrygnąwszy się cała, — lecz taki dreszcz, taki przestrach przerażający dzisiaj mię wskróś przeszywa, taka niespokojność dręczy, iż zaledwie ustać mogę. —

— Niespokojność, przestrach, a to przed czém? — zapytał staruszek nad nią się litujący.

— Trudnoby mi było powiedzieć, przed czém, — odpowiedziała dziewczyna. — Jabym chętnie w grobie teraz leżała. Jakieś myśli okropne o śmierci, widziadła białych całunów krwią pobryzganych, i jakaś dziwna bojaźń, trwoga, jakbym się w ogniu piekła, przez cały dzień mię udręczała. Czytałam dzisiaj książkę dla rozrywki i przepędzenia krótszego czasu, lecz zamiast głosek te widziadła mi ciągle przed oczyma stawały. —

— Urojenia, przywidzenia i nic więcéj, — rzekł na to staruszek, chcąc ją uspokoić.

— Nie, nie jest to żadne przywidzenie, — odpowiedziała dziewczyna nieco chrypliwie. — Ja bym na to przysięgła, żem na każdéj kartce pismem wielkiém, czarném, to słowo: *trumna*, wyryte widziała, ... a przechodząc dziś przez ulicę trumnę tuż przed oczyma mi przeniesiono.

— To nie jest nic szczególnego, — odpowiedział staruszek; — i mnie samego już nieraz z trumnami mijano.

— *Prawdziwemi*, — odparła dziewczyna; — ale ta nią nie była.

Ona to wszystko z taką żałobą dziwną, niepojętą w głosie mówiła, że tajemnego słuchacza okropność nieraz wskróś przejęła; krew mu nawet ze zgrozy w ży-

łach stygła, słysząc dziewczynę te słowa wymawiającą. —

Noa jeszcze nigdy tak błogiego uczucia nie doznał, jak wtedy, kiedy miły, dźwięczny, słodziuchny głos Rózi usłyszał, proszącéj Nancy, aby się uspokoiła, i takiem myślom i przywidzeniom ponurem, groźnem, nieoddawała.

— O proszę z nią trochę łagodniéj i przyjaźniéj mówić, — rzekła dziewczyna do swego towarzysza.— Biedna dziewczyna! Jak się zdaje to jéj tego wielce potrzeba.

— Wasze dumne, nabożne kobiety byłyby, widząc mię w tym stanie téj nocy, głową nademną wstrząsały i o piekle, mękach, i zemście Boga mi prawiły; — zawołała czule biedna Nancy. — Ach panno, luba, droga panno! dla czegóż ci, co wybranemi od Boga być mają, nie są tak pobłażającemi, tak litościwemi i łagodnemi dla nas biednych, nędznych istót, jak ty, droga panno, co wszystko hojnie posiadasz, co zaletę i powab dla kobiety stanowić może, młodość, piękność i dobroć; mogłabyś przeto bezpiecznie o wiele być dumniejszą, i nie tak skromną, jak teraz.

— Ach! — zawołał staruszek. — Jeżeli Turek modlitwy swoje chce odprawiać, ... obmywa poprzód czysto swe oblicze, i zwraca ono ku wschodowi. Ci zaś ludzie wszelką pogodę, uprzejmość i przyjemność z oblicza przy starciu się ze światem wielkim poprzód ścierają, i zwracają ono potém ku stronie najciemniejszéj nieba. Jeżelibym pomiędzy Turkiem i Faryzeuszem miał wybierać, tobym się śmiało na pierwszego zgodził.

Staruszek się z tą mową do swéj młodéj towarzy-

szki zwrócił, i to w tym celu widocznie, ażeby biednéj Nancy tyle czasu dozwolić, iżby się opamiętać i do siebie przyjść mogła.

W kilka chwil staruszek wprost do niéj się odezwał.

— Przeszłéj Niedzieli tutaj cię nie było,— rzekł.

— Niemogłam przyjść, — odpowiedziała Nancy, — gdyż mię przemocą przytrzymano.

— A to kto?

— Bill!.... Ten sam, o którym téj pannie już raz wspomniałam.

— Spodziewam się jednak, że cię nikt dotąd jeszcze w podejrzeniu niema, iż jakie związki utrzymujesz z obcemi ludźmi względem tego przedmiotu, który nas tego wieczora w tém miejscu zgromadził, — zapytał staruszek z trwogą.

— Nie, — odpowiedziała dziewczyna, wstrząsnąwszy głową. — Nie jest to jednak rzeczą łatwą dla mnie opuścić go, ażeby nie wiedział, gdzie i po co idę. Byłabym się nawet i z panną owego wieczora nie była widziała, gdybym mu była opium do lekarstwa nie wmięszała, które wypił, nimem się oddalić mogła.

— Czy się obudził, nimeś do domu powróciła?— zapytał staruszek.

— Nie; i żaden z nich w podejrzeniu mię niema.

— To dobrze, — odparł staruszek, — a terazże mię posłuchaj!

— Jestem gotowa! — odpowiedziała dziewczyna po małéj chwili namysłu.

— Ta panna, — rzekł wtedy staruszek, — powierzyła mnie i kilku jeszcze przyjaciołom, na których wierność i szczerość z ufnością spuścić się może, to

wszystko, coś jéj przed dwoma tygodniami pod największą tajemnicą opowiedziała. Muszę ci teraz wyznać, żem z początku powątpiewał, czyli twojem wyznaniom zupełnie zaufać możemy; ale teraz jestem przekonany, iż to wszystko jest prawdą, a ty byłaś szczerą.

— Tak jest, byłam nią! — odpowiedziała dziewczyna poważnie i otwarcie.

— Powtarzam jeszcze raz, iż o tém jestem przekonany. Aby ci zaś dowieść, że wszelką ufność w tobie pokładam, powiem ci więc szczerze, bez ogródki, żeśmy sobie stanowczo zamierzyli tajemnicę, jakakolwiek ona będzie, przestrachem i bojaźnią z owego Monksa wydobyć. Lecz jeżeli, ... — ciągnął staruszek daléj, ... jeżeli go nie będziemy mogli schwytać, lub téż schwyciwszy go, nie będziemy mogli z niego tego wydostąć, co wiedzieć pragniemy, to nam musisz wydać .... Żyda.

— Fagina! — zawołała dziewczyna przerażona.

— Tak jest; .... ten człowiek musi nam być przez ciebie wydany, — powtórzył staruszek.

— Nigdy! ..... przenigdy! ..... nie, tego nigdy nie uczynię! — odparła dziewczyna. — Jakkolwiek on jest prawdziwym z piekła szatanem, a nawet przeciwko mnie gorszym jeszcze od szatana, ... ja tego jednak nigdy nie uczynię!

— Więc niechcesz?

Zapytał staruszek, który się na tę odpowiedź przysposobionym być zdawał.

— Nie! — odpowiedziała dziewczyna.

— Powiedzże mi dla czego?

— Dla jednéj przyczyny, — odparła dziewczyna

stanowczo, — dla jednéj i bardzo ważnéj przyczyny, o któréj ta panna wie bardzo dobrze, i mnie teraz poprzeć zechce; a ja jestem przekonana, że ona to z chęcią uczyni, gdyż mi to sama przyrzekła. Wreszcie i dla tego drugiego powodu, że lubo on życie bardzo złe i haniebne prowadzi, lecz i ja to samo lepszego nie wiodłam. Bardzo wiele z naszych wiodło spólnie to samo haniebne i występne życie, lecz ja ich zdradzać nie myślę,.... gdyż i oni by mię byli zdradzić mogli,... zostawszy schwytanemi,.... a jednak tego pomimo podłość swoję nie uczynili.

— Jeżeli tak, — zawołał wtedy staruszek żywo, jakby tego był dostąpił, czego właśnie pragnął, — więc wydaj mi Monksa i pozwól mi sobie z nim według mego upodobania postąpić.

— A gdyby on téż innych chciał zdradzić?

— Więc ci daję moje słowo uczciwości, iż w takim wypadku wszelkie inne wyznania jego w niepamięć puścimy, i na nie wcale zważać nie będziemy, jeżeli się nam tylko to, czego pragniemy z niego wybadać uda. W życiu Oliwera muszą zachodzić okoliczności, którebyśmy niechętnie przed oko publiczności stawić chcieli, a jeżli tylko prawdę z niego wybadamy, to nikogo w nieprzyjemności wikłać nie zamierzamy.

— A jeźli to nie nastąpi?.... jeźli się prawdy z niego dobyć nie uda? — zarzuciła dziewczyna.

— Wtedy, — odpowiedział staruszek, — bez twego zezwolenia Żyda przed sądy nie stawiemy. Lecz w takim wypadku będę ci mógł dać dowody takie, jak się spodziewam, że ty sama na to chętnie zezwolisz.

— Czy mi panna za to ręczy? — zapytała dziewczyna skwapliwie.

— Ręczę! — odpowiedziała Rózia; — daję ci moję najszczersze słowo!

— Czy Monks się nigdy o tém nie dowie, od kogo państwo o tém wszystkiém wiecie? — zapytała powtórnie dziewczyna po chwili milczenia.

— Nigdy! — odpowiedział staruszek. — Będziemy we wszystkiém tak ostrożnie sobie postępować, że on nawet ani podejrzenia na ciebie mieć nie będzie.

— Skłamałam już nieraz i żyłam od dzieciństwa pomiędzy samemi kłamcami, — ozwała się dziewczyna po chwili milczenia, — jednak słowu pańskiemu zaufam. —

Otrzymawszy od staruszka i jego towarzyszki najświętsze przyrzeczenie,....iż bezpiecznie na ich słowo spuścić się może, zaczęła im kreślić wierny opis położenia i zewnętrzności owéj karczmy, z któréj dzisiaj na widzenie się z niemi wyszła, lecz głosem tak cichym, że niepodobna było podsłuchującemu Noemu bardzo często tego zrozumieć, co im mówiła.

Z tego, iż co chwila mowę ucinała, można było wnosić, iż staruszek sobie na prędce wszystkie jéj zwierzenia zapisuje.

Gdy już dokładnie całe wnętrze domu opisała, a nawet i objaśniła, z któregoby miejsca Monksa najlepiéj wyśledzić można, nie zwróciwszy na siebie niczyjéj uwagi, dzień i godzinę, o któréj on do téj karczmy zwykł przychodzić, ucięła mowę na chwilę, aby sobie rys i zewnętrzność jego poprzód jak najdokładniéj przypomnieć.

— On jest wzrostu wysokiego, — rzekła nakoniec, — silnie zbudowany, lecz nie bardzo mocny. Chód jego jest cichy, skradający się, a idąc ma ten zwyczaj przez ramię w tył się oglądać, najprzód przez jedno, a potém przez drugie. Proszę o tém nie zapominać, gdyż jego oczy tak głęboko leżą, jakem jeszcze u nikogo nie widziała, i po tych dwóch znakach jedynie pomiędzy tysiącem by go poznać można. Twarz ma smagławą, ciemną, włos i oczy czarne, a lubo dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu lat najwięcéj mieć może, jednak już stary, zwiędniały wygląda. Usta miewa bardzo często sine, pokrwawione, poranione od zębów, gdyż na wielką chorobę bardzo często cierpi, i nieraz sobie ręce, piersi porani, pokaleczy;.... ale,.... cóż to pana tak mocno uderza? — zapytała dziewczyna, ucinając nagle mowę.

Staruszek skwapliwie jéj odpowiedział, że o tém nic nie wie, i prosił ją, aby swego opisu nie przerywała.

— Te wszystkie okoliczności, — mówiła daléj dziewczyna, — musiałam sama pierwéj od innych wyłudzić, abym go panu opisać była w stanie, gdyż ja go sama dwa razy tylko w mojém życiu widziałam, a oba razy otulonego w tołubie. Teraz już nie wiem, czyli jesze coś więcéj będę mogła o nim panu powiedzieć.... Ale, ale,...... — dodała przypominając sobie. — Na szyi, tak wysoko, iż część tego z podchustki zobaczyć można, jeżeli twarz obróci, ma....

— Wielkie, czerwone znamie, podobne bardzo do ognika, — przerwał jéj staruszek.

— A to co? — zawołała dziewczyna, — czy go pan znasz?

Młoda towarzyszka staruszka wydała także głośny okrzyk zadziwienia, a wszystko troje na kilka chwil tak mocno zamilkli, że podsłuchujący Noa wyraźnie ich oddech przyśpieszony mógł słyszeć.

— Mnie się zdaje, że go znam, — odpowiedział staruszek obojętnie, przerywając milczenie. — Stósownie do twego opisu, powinienbym go znać w istocie. Zobaczemy jednak. Wszak bardo wiele ludzi, zupełnie sobie obcych, jednak do siebie jest podobnych,.... być może zatém, że to nie ten sam, co ja myślę.

Staruszek wyrzekłszy to z udaną obojętnością, cofnął się w tył parę kroków, nachylił nad poręcz murowaną, i szepnął z cicha do siebie, tak że ukryty Noa, o parę stóp tylko od niego oddalony, bardzo wyraźnie następne słowa mógł usłyszeć:

— To on z pewnością być musi!

— A teraz, — rzekł głośniéj, zbliżywszy się jednak napowrót do Rózi i Nancy, — do czego innego. Uczyniłaś nam bardzo ważną przysługę młoda dziewczyno, a my byśmy chcieli wdzięczność naszą za to ci okazać. Powiedzże nam, czém ci usłużyć możemy?

— Niczém, — odpowiedziała Nancy.

— Nie spodziewam się, aby to twoją odpowiedzią ostateczną być miało? — odparł staruszek z taką uroczystością i tkliwą szczerością, żeby głos jego najzatwardzialsze serce był zmiękczył. — Rozmyśl się dobrze i powiedz mi, czego sobie życzysz?

— Niczego panie, — odpowiedziała dziewczyna płacząc. — Pan nic dla pomocy mojéj uczynić nie możesz. Dla mnie już niema żadnéj nadziei.

— Ty się sama wszelkiéj nadziei wyrzekasz, —

odparł na to staruszek; — przeszłość srogo z tobą się obeszła; roztrwoniłaś skarby nieocenione młodości, któremi nas stwórca raz tylko w naszém życiu wyposaża, i nigdy więcéj nam ich nie udziela; lecz na przyszłość jeszcze liczyć możesz. Prawda że tego powiedzieć nie mogę, iż jest w naszéj mocy, spokój duszy i serca ci powrócić, który tylko wtedy udziałem twoim się stanie, jeżeli go sama szukać będziesz; lecz schronienie bezpieczne i przytułek spokojny czy to w Anglii, czyli téż, jeżeliby ci się tutaj żyć niepodobało, w jakiéj krainie odległéj ci nastręczyć, to jest nietylko w naszéj mocy, ale i najszczerszém naszém życzeniem, gdyż z serca pragniemy pomoc skuteczną ci udzielić. Nim jutrzenka poranna zaświta, nim pierwszy promień wschodzącego słońca na te mętne tonie rzeki padnie, możesz być już ztąd bardzo daleko, po za obrębem wszelkich poszukiwań i śledztwa twoich dawnych towarzyszy, nie zostawiwszy za sobą najmniejszego śladu, któryby im pobyt twój mógł wskazać, tak jakbyś dla nich zupełnie z ziemi zniknęła. Daj się namówić. Jabym nie chciał, abyś raz jeszcze w te otchłanie zdrożności, zbrodni, zepsucia powrócić miała, jedno spojrzenie jeszcze na nie rzuciła, tém powietrzem raz jeszcze oddechała, które zgubą i śmiercią jest dla ciebie, lub téż z którym z dawnych towarzyszów lub towarzyszek twoich najmniejsze słówko jeszcze mówiła. Opuść ich wszystkich, dopokąd jeszcze jest czas i sposobność.

— Ona się da wzruszyć, namówić, — zawołała Rózia; — jestem pewna że téj pomocy nie odrzuci.

— Lecz ja się boję, iż odrzuci, droga panno Różo! — odpowiedział staruszek.

— Tak jest panie, odrzucam, gdyż sobie inaczéj postąpić nie mogę, — odparła dziewczyna po kilku chwilach namysłu i wewnętrznéj walki. — Jestem przykuta do mojego dawnego życia. Ja ono teraz nienawidzę, zgroza i przerażenie na wspomnienie onegoż mię przejmuje, ale się go wyrzec teraz nie mogę. Musiałam już bardzo daleko na drodze występku zajść, że teraz powrócić nie mogę,......a jednak niewiem, czylibym sił moich i teraz jeszcze nie była doświadczyła, gdybyście byli przed niejakim czasem do mnie w ten sposób przemówili. Ale, — dodała, obejrzawszy się z przestrachem naokoło, — jakaś trwoga niepojęta znowu mię przejmuje. Muszę do domu powracać.

— Do domu! — powtórzyła Rózia, ze znaczącym naciskiem na to słowo.

— Tak jest, do domu! — odparła dziewczyna.— Do takiego domu, jakim sobie pracą mego życia całego zbudowała. O proszę, oddalmy się ztąd. Mógłby mię ktoś zobaczyć lub wyszpiegować. Chodźmy! Chodźmy! O zaklinam państwo, jeżelim wam choćby najmniejszą przysługę uczyniła, więc w całą nagrodę o nic innego nie proszę, tylko żebyście mię samą do domu puścili. —

— A zatém wszystko jest nadaremne, — rzekł staruszek z westchnieniem. — Moglibyśmy ją na niebezpieczeństwo narazić, gdybyśmy ją tutaj dłużéj zatrzymać chcieli. A możeśmy ją nawet dłużéj już zatrzymali, jak ona się tego spodziewała.

— To prawda, prawda! — odpowiedziała Nancy.

— Jakiż koniec życia téj biednéj, nieszczęśliwéj istoty być może? — zawołała Rózia.

— Jaki? — odparła dziewczyna. — Chciéj spojrzyć przed siebie luba panno. Rzuć okiem na te ciemne, mętne tonie. Ileż to razy czytasz w dziennikach o istotach nieszczęśliwych, takich jak ja, które się w rzekę rzucają i topią, nie zostawiając po sobie żadnego żalu, żadnéj istoty żyjącéj, któraby je opłakiwała, lub przynajmniéj za nimi westchnęła. Być może, iż lata jeszcze przejdą, a może już tylko miesiące, tygodnie, lecz w końcu ta sama śmierć i mnie oczekuje.

— O proszę, błagam cię, niemów nam o tém! — odparła Rózia z płaczem rzewnym.

— Takie okropności nigdy już więcéj uszu twoich nie dojdą, droga panno, a Bóg niech cię uchowa, aby taka zgroza! .... Dobra noc! dobra noc! — dodała boleśnie dziewczyna.

Staruszek się odwrócił.

— Oto jest kieska, — zawołała dziewczyna, — uczyń to dla mnie, i przyjmij ją odemnie, abyś kiedy w godzinę niedostatku, nędzy, potrzeby, jaką taką pomoc miała.

— Nie, nie, — odpowiedziała dziewczyna. — Ja tego nie uczyniłam dla pieniędzy. O proszę mi to pocieszenie przynajmniéj zostawić. Jednak proszę o jaką pamiątkę, ... coś takiego, coś panna przy sobie nosiła. .... Coś koniecznie mieć muszę, ... nie, nie, ... tylko nie pierścionek, ... raczéj rękawiczki lub chusteczkę małą, ... coś, cobym przy sobie ukryć mogła na pamiątkę, żeś to nosiła, droga, luba panno! Tak! .... Niech was pan Bóg błogosławi! ..... Bywajcie państwo zdrowi! Dobra noc! dobra noc!

Wzburzenie gwałtowne téj dziewczyny i obawa,

aby ją nie odkryto i nie zdradzono, coby ją na wielkie niebezpieczeństwo narazić mogło, skłoniła staruszka do uskutecznienia jéj prośby, i oddalenia się natychmiast z tego odległego i samotnego miejsca.

Wkrótce dał się słyszeć szmer kroków po schodach do góry idących, a mowa i szepty ustały.

Niebawem postać staruszka i jego powabnéj towarzyszki na moście się pojawiła. Na ostatnim schodzie się zatrzymali.

— Cicho! — zawołała Rózia, nadsłuchując uważnie. — Czy nie zawołała? Mnie się zdawało, żem głos jéj usłyszała?

— Nie, nie, moja luba panno! — odpowiedział Brownlow, obejrzawszy się na dół ze smutkiem. — Ona się jeszcze z miejsca nie ruszyła, i nie ruszy nawet pierwéj, nim się z téj okolicy nie oddalemy.

Rózia Maylie jeszcze się ociągała, lecz staruszek ją wziął pod rękę, i przemocą prawie z tego miejsca odprowadził. Gdy już zupełnie zniknęli, Nancy padła jak długa na stopień kamienny, i strumieniem gorzkich łez się zalała, które jéj sercu boleścią uciśnionemu niejaką ulgę sprawiły.

Po niejakiéj chwili podniesła się, wstała, i krokiem słabym, wlekącym, po schodach do góry się wpięła.

Noa, całém wydarzeniem nadzwyczajnie zdziwiony, pozostał jeszcze przez kilka chwil nieruchomy na swojém dawném miejscu, a obejrzawszy się potém ostrożnie na wszystkie strony, i upewniwszy się, że naokoło ani żywéj duszy nie widać, wysunął się z największą przezornością ze swojéj kryjówki, i szedł do góry po scho-

dach zwolna, w cieniu otaczającego muru, na ten sam sposób jak i wtedy, kiedy na dół schodził.

Gdy do najwyższego schodu doszedł, rzucił pierwéj przezornie kilka razy okiem naokoło, aby się upewnić, że go nikt nie śledzi, a potém jak najśpieszniéj na ulicę wypadł, i znanemi drogami pędem do mieszkania Żyda zdążał.

ROZDZIAŁ XVIII.

Skutki zgubne.

Było to może koło czwartéj godziny z rana;...... o téj porze, któraby w jesieni snadnie konaniem nocy nazwać można,.... kiedy ulice puste, głuche, milczenie najgłębsze pokrywa,.... kiedy nawet dźwięki drzemać się zdają,...... a rozpusta, pijaństwo hałaśne do domu się już udało, aby słodko śnić i spocząć;.... o téj tedy cichéj, spokojnéj porze dnia Fagin siedział czuwając w swéj ohydnéj pieczarze z obliczém tak wybladłém, pomięszaném, zmienionem, a oczyma tak czerwonemi, krwią zabiegłemi, że nie na człowieka, ale na ohydne, okropne straszydło, które z grobu swego powstało, przez złego ducha dręczone i chłostane, wyglądał. —

Siedział skulony przy kominku, na którym wcale ognia nie było; otulony w starą, połataną kołdrę, oczy mając zwrócone na świecę dogorywającą, która tuż

koło niego na małym stoliku stała. Rękę prawą trzymał przy ustach, i w myślach ponurych cały zatopiony, obgryzał swe czarne, brudne paznokcie, a z jego dziąseł sinych kilka zębów przednich sterczało, które do kłów psa, lub ostrych zębów szczura wielkie podobieństwo miały.

Na sienniku na ziemi leżącym, spoczywał Noa Claypole, twardym snem ujęty.

Na nim to oczy starca bardzo często na chwilę spoczywały, lecz je natychmiast na świecę napowrót odwracał, która się już całkiem prawie wypaliła, a knot w długich, przepalonych kawałkach na lichtarz spadający i łój świecy topiącéj się przez to, i po lichtarzu aż na stół się zlewający, jasno dowodził, że myśli jego czém inném zupełnie zajęte były.

A to w istocie prawdą było.

Zmartwienie największe, iż najlepsze jego zamysły tak zniweczone zostały,...... śmiertelna nienawiść do dziewczyny, która się z ludźmi obcemi w stosunki wejść i zdradzić go ośmieliła, ... nieufność największa w szczerość jéj postanowienia niezdradzenia go nigdy, ... gorycz z doznanego zawodu, iż się mu nad nienawistnym Billem pomścić nie udało, ... obawa przed odkryciem, zniszczeniem, osądzeniem i śmiercią, ... wściekłość dzika, niepohamowana, tém wszystkiém jeszcze bardziéj podburzona,...... oto były te myśli, uczucia, które sercem jego miotały, tłumnie, strumieniem nieprzerwanym po jego głowie się uwijały, cisnęły, mąciły, kręciły, wirowały, jakby jakiś nowy zamiar, zgubniejszy, czarniejszy od wszystkich dotąd umyślanych, ze swego łona wydać chciały.

Tak siedział długo, bardzo długo, niezmieniwszy ani razu swéj postawy, niedając najmniejszéj baczności na czas upływający, aż nakoniec odgłos stąpania na ulicy doszedłszy jego nadzwyczaj czujnego ucha, uwagę jego na siebie zwrócił.

— Przecież raz! — mruknął Żyd, przesunąwszy ręką po wyschłych, spieczonych ustach; — raz przecież przybywa!

Téj chwili dał się słyszeć cichy odgłos dzwonka.

Fagin natychmiast wyszedł, i powrócił niebawem w towarzystwie człowieka, otulonego aż po brodę, który zawiniątko niósł pod pachą.

Gdy ten nieznajomy sobie usiadł, tołub z siebie zrzucił, pokazała się twarz odrażająca Billa Sikes.

— Oto masz! — zawołał Bill, rzuciwszy zawiniątko na stół. — Weź to pod swoję opiekę i stop, jak tylko będziesz mógł najkorzystniéj! Nie mało mię to trudu i pracy kosztowało. Myślałem, iż przed trzema godzinami jeszcze powrócę.

Fagin wziął zawiniątko, i rzuciwszy ono do skrzyni swojéj, powrócił na swoje dawne miejsce, niewyrzekłszy ani słowa.

Przez ten cały czas Żyd ani na chwilę oczu swoich z niego nie spuścił, a gdy teraz naprzeciw niego usiadł, tak że obaj sobie oko w oko patrzeć mogli, on wzrok swój w nim utopił, z tak mocno drżącemi usty, obliczem owemi burzliwemi uczuciami, sercem jego od kilku godzin miotającemi, tak okropnie zmienioném, że zbójca poniewolnie z krzesłem w tył od niego się odsunął, i z przerażeniem na niego spojrzał.

— Cóż się znowu takiego stało? — zawołał Sikes.

— Czegóż na mnie tak okropnie spoglądasz? .... Cóż, czy otworzysz gębę?

Żyd podniósł prawą rękę do góry, i kiwnął parę razy swym palcem drżącym, lecz wzburzenie jego tak wielkie było, że przez chwilę ani słowa wyjąkać nie zdołał. —

— Przekleństwo na twoje oczy! — zawołał Sikes, z pewną niespokojnością rękę do zanadrza wsuwając. — Ten człowiek oszalał. Muszę się przed nim mieć na ostrożności.

— Nie bój się, nie bój, Billu! — odpowiedział nakoniec Fagin, odzyskawszy mowę. — To nie ty,... nie ty Billu! .... Ja nic niemam przeciwko tobie Billu!.. nic niemam!

— Czy tak,..... niemasz nic przeciwko mnie?..... niemasz nic?.... — odparł Sikes, spoglądając na niego ostro, i wkładając pistolet do bocznéj kieszeni, aby go wygodniéj mógł mieć pod ręką. — To wielkie szczęście .... dla jednego z nas. Wszystko jedno dla którego.

— Ja ci mam coś powiedzieć Billu, — ozwał się Żyd, przysuwając sobie krzesło bliżéj do niego; — coś, co cię jeszcze bardziéj jak mnie oburzy.

— Czy tak? — odparł Zbójca niedowierzając. — A więc mów? tylko żywo, gdyż Nancy będzie myślała, żem gdzie przepadł lub zginął.

— Zginął! — zawołał Fagin. — Ona się już w myśli na to przysposobiła!

Sikes spojrzał z niewypowiedzianém przerażeniem na Żyda, a niemogąc z jego pokurczonego oblicza nic stanowczego wybadać, wyciągnął dłoń swoję potężną, chwycił Fagina za kołnierz, i wstrząsnął nim co siły.

— Czy powiesz ty mi raz, co mi masz powiedzieć, — zawołał, — albo tak tobą wstrząsnę, że ci dusza gardłem wyleci. Otwórzże raz twój pysk i mów, co masz powiedzieć, tylko jasno i wyraźnie. Daléjże, zaczynaj, ty przeklęty stary kościeniu! daléj!

— Przypuśćmy, żeby ten chłopiec, co tutaj oto leży.... — zaczął Fagin mówić....

Sikes na to się szybko w kierunku wskazanym obrócił, zdziwionem okiem na śpiącego Noego rzucił, którego jeszcze dotąd nie był spostrzegł, potém dawną swoję postawę przybrał i rzekł:

— Dobrze!

— Przypuśćmy, żeby ten chłopiec oto, — ciągnął Żyd, — nas zdradził,.... wrogom naszym nas wydał, ... wyszukawszy sobie najprzód tych ludzi, którzyby mu się podobali, a potém mając z nimi schadzki tajemne, w miejscu ukrytém, i dając im rysopis jak najdokładniejszy nas wszystkich, opisując im te znaki, po których by nas najłatwiéj mogli poznać, i te miejsca, w którychby nas najłatwiéj i najbezpieczniéj mogli schwycić. Przypuśćmy, żeby on to wszystko uczynił i do tego jeszcze najtajniejszą kryjówkę naszę zdradził, którą wszyscy zwiedzać musimy, tak żeby nas wszystkich czy wcześniéj, czy późniéj wychwytać mogli, ... i to dla swego upodobania tylko;.... niebędąc wcale schwytanym, uwięzionym, przekonanym, zmuszonym, morzony głodem, zostając tylko o chlebie i wodzie,...... lecz z własnego upodobania,..... dobrowolnie, ... dla dopięcia własnego zamiaru, wykradając się nocą, aby najzawziętszych naszych nieprzyjaciół wynaleść i wszystko im wydać, zdradzić! Czy mię słyszysz? — wrza-

snął Żyd, z oczyma wściekłą zajadłością płonącemi. — Przypuśćmy, że on to wszystko uczynił, cóżbyś mu za to zrobił?

— Cobym mu za to zrobił? — odpowiedział Sikes z okropném przekleństwem. — Gdybym go przyszedłszy samego zastał, tobym mojemi goździami nabitemi napiętkami jego łeb na drobne kawałki rostrzaskał.

— A gdybym też *ja* naprzykład to był uczynił? — zawołał Żyd z przeraźliwym wrzaskiem. — Ja, co wiem o tylu rzeczach, i wielubym z sobą na szubienicę mógł pociągnąć!

— Niewiem, niewiem, — odpowiedział Sikes, zacinając zęby, zgrzytając niemi, zbledłszy jak trup na samo przypuszczenie podobnego wypadku. — Byłbym w więzieniu koniecznie coś takiego uczynił, ażby mię w kajdany okuli, a gdyby mi cię wtedy w oczy stawiono, rzuciłbym się w izbie sądowéj na ciebie i roztrzaskał ci łeb w oczach wszystkich ludzi. A miałbym wtedy tyle siły w sobie, — dodał zbójca, chwiejąc i grożąc mu żylastym ramieniem swojém, — żebym twoję głowę tak na miazgę zgruchotał, jakby wóz ciężarowy przez nią był przejechał.

— Byłbyś to w istocie uczynił?

— Czybym był! — Zawołał zbójca; — tylko mię doświadcz!

— A gdyby to był Karolek, Smyk, Betsy, lub ......

— To mi wszystko jedno, niechby to uczynił, kto chciał, — odpowiedział Sikes z zapalczywą niecierpliwością, — tobym się mu wypłacił.

Fagin powtórnie bystro na zbójcę wejrzał, i po-

wiedziawszy mu, aby się na chwilkę uciszył, wstał, zbliżył się do łoża na podłodze zaścielonego, chwycił śpiącego za ramię i wstrząsł nim silnie. Sikes pochylił się naprzód siedząc na krześle, i spoglądał na niego sparłszy ręce na kolanach, jakby się mocno dziwił, do czego te wszystkie pytania i przygotowania zmierzają. —

— Bolter! Bolter! .... Biedny chłopiec!

Ozwał się Fagin, podnosząc oczy z wyrazem szatańskiéj radości, mówiąc z cicha, z wielką uroczystością.

— Biedny znużony, ... bardzo znużony od długiego czuwania w noc dla *niéj*, ... gdyż bardzo długo dla *niéj* czuwać musiał Billu!

— Co to ma znaczyć? — zawołał Sikes, w tył się rzucając.

Żyd mu nic na to nie odpowiedział, lecz się powtórnie nad twardo śpiącego nachylił, i do góry go podniósł, tak że na łóżku siadł. Nakoniec, gdy go Żyd kilka razy po imieniu jego przybraném do ucha zawołał, Noa się przecież ocknął, oczy przetarł, i ziewnąwszy parę razy, okiem zaspaném koło siebie potoczył. —

— Opowiedz no mi jeszcze raz wszystko, ... raz tylko, aby on usłyszał!

Rzekł do niego Żyd, wskazując przytém na Billa.

— Cóż mam opowiadać?

Zapytał Noa zaspany, przeciągając się i odpowiadając niechętnie.

— To o *Nancy*!

Zawołał Fagin, chwytając Billa za rękę, jakby mu

chciał przeszkodzić, aby z domu jego nie wybiegł, nim wszystkiego nie usłyszy.

— Tyś ją śledził?

— Tak jest.

— Aż do mostu Londyńskiego?

— Tak jest!

— Gdzie się z dwoma obcemi osobami zeszła?

— Tak jest!

— Jakiś pan i młoda pani, z którą się poprzód już sam-na-sam widziała i z nią dokładnie umówiła. Ten pan jéj mówił, aby mu nas wszystkich wydała i Monksa najpierwéj, co téż uczyniła, ... aby go mu opisała,.... co téż natychmiast uczyniła, ... aby mu ten dom dokładnie opisała, w którym się my wszyscy zwykle schodzimy, a ona to uczyniła, ... aby mu powiedziała, gdzieby najlepiéj na nas się zaczaić, ... a ona to uczyniła; .... aby mu powiedziała, o któréj godzinie my tam zwykle przychodzimy, a ona to uczyniła. Ona to wszystko uczyniła. Ona im wszystko a wszystko powiedziała, bez zająknięcia się, bez najmniejszego wahania, bez najmniejszego oporu, ... tak jest, ona to uczyniła, ... a może nie, mów chłopcze, czy nie? — wrzasnął w końcu Żyd, szalony prawie z wściekłości zapalczywéj. —

— Tak jest, ona to wszystko powiedziała, — odrzekł Noa, skrobiąc się w głowę.

— A cóż powiedziała o przeszłéj Niedzieli? — zapytał Żyd.

— Co o przeszłéj Niedzieli mówiła? — zawołał Noa namyślając się. — Wszakżem wam to już raz powiedział.

— Powtórz że to jeszcze raz,...... powtórz jeszcze raz!

Wrzasnął Sikes, ścisnąwszy Billa mocniéj za rękę, i wywijając drugą po powietrzu, a piana z ust mu tryskała. —

— Oni się jéj pytali, — rzekł Noa, który się powoli domyślać począł, kto Sikes być może, czém bardziéj ze snu do siebie przychodził; — oni się jéj pytali, dla czego przeszłéj Niedzieli nie przyszła, jak im przyobiecała; a ona na to odpowiedziała, że niemogła.

— Lecz dla czego?.... dla czego? — przerwał mu Żyd radośnie; — powiedz mu także dla czego?

— Dla tego, że ją w domu Bill, ten sam człowiek, o którym już pierwéj wspominała, przemocą zatrzymał, — odpowiedział Noa.

— Cóż więcéj,..... cóż więcéj? — pytał Żyd. — Cóż mówiła więcéj o tym człowieku, o którym im już pierwéj raz wspominała?...... powiedz mu to, powiedz!

— Co mówiła? Oto że ona z domu tak łatwo oddalić się nie może, aby mu nie miała powiedzieć, gdzie i po co idzie, — ciągnął Noa; — i że wtedy, kiedy po raz pierwszy z domu się oddaliła, aby z panną pomówić, musiała...... ha! ha! ha! musiałem się śmiać, kiedy to powiedziała, co uczyniła, — musiała mu dać zażyć opium.

— Ha! piekło! — wrzasnął Sikes, wyrywając się z rąk Żyda. — Puszczaj mnie!

Potrąciwszy jednym zamachem ręki starca tak silnie, że się omal nie wywrócił, wypadł z izby i zbiegł w niewypowiedzianéj wściekłości po schodach na dół.

— Billu! Billu! — wołał Żyd, biegnąc za nim. — Posłuchaj tylko słówko, jedno słóweczko.

To słówko byłoby może nigdy z ust Żyda nie wyszło i Sikes go nie słyszał, lecz ten zbójca niemógł żadnym sposobem drzwi od ulicy otworzyć ,, miotając nadaremnie najokropniejsze przekleństwa, a Żyd miał przez to dosyć czasu do niego dobiedz.

— Puszczaj mnie! — wołał Sikes. — Nie mów do mnie nic,.... strzeż się,.... mógłbyś tego pożałować!... puszczaj mnie, mówię ci!

— Tylko słówko Billu, jedno słówko!.... — odpowiedział Żyd, kładąc rękę na klamce; — przecież nie myślisz....

— No i cóż? — odparł drugi.

— Przecież nie myślisz za nadto wielkiego gwałtu .... popełnić, Billu? — rzekł Fagin z udaną trwogą.

Dzień już świtać zaczął, a w sieni było tak jasno, że jeden drugiego twarz dobrze mógł widzieć. Obaj rzucili na siebie spojrzenie przenikliwe; .... a w obu oczach pałał żar, który aż zanadto wyraźnie tajemne myśli ich zdradzał.

— Ja chciałem powiedzieć, — rzekł Fagin, przekonawszy się, iż udawanie na nic się mu nie zda; — ja chciałem powiedzieć, abyś tak wielkiego gwałtu nie popełnił, któryby ci niebezpieczeństwem zagrażał. Użyj wszelkiéj przebiegłości Billu, i nie bądź za nadto śmiałym.

Sikes nic na to nie odpowiedział, lecz otworzywszy sobie z pośpiechem drzwi, które mu Żyd odemknął, wypadł z domu, i pobiegł szybko cichemi ulicami. —

Sikes pędząc milczącemi ulicami, nie zatrzymał się ani na chwilę, aby się rozmyśleć lub postanowienie swoje rozebrać, nie obrócił ani razu głowy w prawo lub lewo, nie podniósł ani razu swych oczu ku niebu, ani ich téż na ziemię nie spuścił, lecz biegł a biegł, patrząc ciągle przed siebie z stanowczym i okrutnym zamiarem w sercu, zębami tak mocno zaciśniętemi, że mu aż szczęki przez skórę przebijały, i nie zwolnił kroku, nie mruknął ani jednego słówka, nie zmienił ani jednego rysu, dopokąd do drzwi swego mieszkania się nie dostał.

Teraz dobył klucza z kieszeni, otworzył drzwi po cichu, wszedł lekko po schodach, i wszedłszy do swego własnego pokoju, zamknął go dobrze za sobą na dwa spusty, zatarasował jeszcze drzwiami do tego, przystąpił do łóżka i odwinął zasłony.

Na łózku leżała dziewczyna na pół ubrana. Musiał ją właśnie ze snu przebudzić, gdyż się zaspana, z okiem błędném z łóżka zerwała.

— Wstawaj! — zawołał Sikes.

— A to *ty* Billu!

Odpowiedziała dziewczyna z wyrazem radości z jego powrotu.

— Ja to ja, — odpowiedział Sikes. — Wstawaj!

W izbie się jeszcze świeca paliła, lecz Sikes ją natychmiast z lichtarza wyjął, zgasił i w kąt porzucił.

Dziewczyna, widząc brzask dniowy na dworze, wstała, aby zasłony od okien odsunąć.

— Zostaw to! — zawołał Sikes, wzbraniając jéj ręką wyciągniętą. — Na to, co uczynić zamyślam, mamy dosyć światła.

— Billu! — odezwała się dziewczyna z pewną trwogą, — czegóż tak okropnie na mnie spoglądasz?

Zbójca wlepił w nią swe oczy, i spoglądał na nią przez kilka chwil z rozwartemi nozdrzami i dyszącą piersią, potém ją za włosy i za gardło chwycił, na środek pokoju zawlókł, i rzuciwszy jedno jeszcze spojrzenie na drzwi, ręką swoją olbrzymią usta jéj zatkał.

— Billu! Billu! — jęknęła dziewczyna, śmiertelną trwogą zdjęta, szamotając się z nim; — ja nie będę płakała,..... nie będę krzyczeć,..... tylko mię wysłuchaj,.... przemów co do mnie,..... powiedz mi com ci takiego uczyniła?

— Ty wiesz sama o tém dobrze, ty szatanie w kobiecéj postaci! — odparł zbójca, tłumiąc w sobie wzburzenie; — zdradziłaś nas dzisiaj w nocy;.... podsłuchano każde słówko coś wyrzekła.

— A więc cię zaklinam na miłość Boga! nie odbieraj mi życia!...... zlituj się nademną, tak jak ja się dziś nad tobą litowałam, — zawołała z rozpaczą dziewczyna, przyczepiwszy się mocno do niego. — Billu! drogi, kochany Billu! czy miałbyś ty serce mię zabić. O pomyśl na to wszystko, czegom się téj nocy jedynie dla ciebie wyrzekła. Tyś *powinien* mieć na tyle czasu, aby się nad tém zastanowić, i tę zbrodnię sobie przynajmniéj oszczędzić. Ja cię nie puszczę, nie, ja cię nie puszczę, ty mię zabić nie możesz. Billu! Billu! zaklinam cię na miłość Boga, miéj litość nademną, nad sobą samym, wstrzymaj się i nie rozlewaj krwi mojéj. Ja ci byłam zawsze wierną, zawsze szczerą, przysięgam na moję grzeszną duszę!

Bill zaczął się z nią gwałtownie pasować, aby się

od niéj uwolnić, lecz dziewczyna objęła go silnie swemi ramiony i trzymała mocno w rozpaczy.

— Billu! — wołała dziewczyna, kładąc głowę na jego piersi i tuląc ją do jego łona; — ów staruszek i luba, szlachetna panna mówili mi przeszłéj nocy o przeniesieniu się w okolicę daleką na mieszkanie, gdziebym w spokoju i samotności życie moje zakończyć mogła. Pozwól mi, abym z nimi raz jeszcze pomówić mogła, a błagać ich będę na kolanach, aby i dla ciebie również dobroczynnymi i wspaniałomyślnymi się okazali; opuśćmy oboje to miejsce okropne, to piekło, i rozpocznijmy gdzieindziéj życie lepsze, zapomnijmy o przeszłości, wyjąwszy w modlitwach naszych, rozłączmy się oboje, tak żebyśmy się nigdy więcéj nie widzieli. Na żal i pokutę nigdy nie jest jeszcze za późno. Ona mi to powiedziała, ... a ja to samo teraz czuję; .... ale musimy jednak mieć na to cokolwiek czasu, ... choć trochę czasu!

Nakoniec sobie zbójca przecież jednę rękę uwolnił i za pistolet chwycił.

Lecz pomimo tę wściekłość nim miotającą, ta myśl, żeby się przez wystrzał mógł zdradzić, przez głowę mu przebiegła; namyślał się tedy inaczéj, zebrał wszystkie swoje siły, i uderzył ją po dwakroć zamkiem od pistoletu w głowę i twarz ku niemu zwróconą i jego własną prawie sięgającą.

Dziewczyna się zachwiała i padła, oślepiona prawie tą krwią, która jéj z rany głębokiéj w czole po twarzy płynęła, podniósłszy się jednak raz jeszcze z wielką trudnością na kolana, wyjęła z zanadrza chusteczkę białą, ... tę samą co jéj Rózia Maylie na pamiątkę dała,

....a trzymając ją w rękach złożonych, które ku niebu wzniosła, o ile tego siły opadające jéj dozwoliły, zaczęła się modlić za swego zbójcę!

Był to w istocie widok okropny, groźny!

Zbójca zachwiał się i potoczył na ścianę, oczy ręką zakrył, chwycił potém za gruby, sękaty kostur, w kącie stojący, i dobił ją na śmierć.

ROZDZIAŁ XIX.

Ucieczka Billa Sikes.

Z wszystkich zbrodni, jakie téj nocy w Londynie całym pod płaszczem ciemności i snu popełniono, nie była żadna tak wielka, tak haniebna, jak ta, któréj się Sikes na nieszczęśliwéj Nancy w zapamiętałości swojéj zapalczywéj dopuścił. Nie było w całéj stolicy większéj okropności, któraby się tego poranku z jadowitemi wyziewami nocy nad nią unosiła, jak okropność téj śmierci.

Słońce, ... to piękne, wspaniałe słońce, które nietylko światło nam przynosi, ale i życie nowe, nadzieję i świeżość pokrzepiającą na całą przyrodę rozlewa, ... zeszło nad tém ludném miastem w całéj swojéj świetnéj okazałości. Promienie jego jaskrawe przedzierały się zarówno przez okna pomalowane, jako też i papierem pozalepiane, i oświecały jednakowo wspaniałe pałace, jak i liche nędzne chaty. Zajrzały również i do téj izby, w któréj zabita kobieta na ziemi leżała.

Sikes chciał koniecznie przystępu im wzbronić, usiłowania jego były jednak nadaremne.

Jeżeli zaś przy ciemnym brzasku dnia widok jéj był okropny, cóż dopiero wtedy, gdy ją słońce pełnym wieńcem swych promieni otoczyło!

Sikes się z miejsca nie ruszył; bał się bowiem najmniejsze poruszenie zrobić.

Raz dosłyszał cichy, stłumiony jęk konającéj dziewczyny, kurczowe drganie jéj ręki, a zgrozą i trwogą, z zemstą i zawziętością się łączącą, zaślepiony, tak długo ją bił i bił, dopokąd już ani śladu życia więcéj w niéj nie pozostało.

Nakoniec kołdrę na nią zarzucił; ale to jeszcze daleko okropniéj było, gdyż wzrok jéj konający stał mu ciągle przed oczyma; zdawało się mu, że jéj oczy w niego się wpijają, a potém ku niebu się zwracają, jakby zemstę niebios na niego zwołać chciały; ..... a ten widok promieniem słońca olśniony ciągle przed nim tańczył, gdziekolwiek oczy swoje zwrócił.

Tego już dłużéj znieść niemógł i zdjął z niéj kołdrę napowrót.

Otóż leżało cicho, ... krew i ciało, nic więcéj; .... lecz *takie* ciało i *taka* krew!

Rozpalił ogień na kominku, i wrzucił do niego ów kostur, aby go zniszczyć.

Lecz na jednym końcu były włosy ludzkie, które skwiercząc w lekki popiołek się zamieniły, i strumieniem powietrza uniesione, w komin się uniosły.

I to go nawet przestraszyło, przeraziło, a lubo ten kij był sękaty, twardy jak żelazo, on go jednak w kawałki połamał, w ogień rzucił, i tak długo pilnował,

dopokąd się w węgiel nie obrócił, a potém w popiół nie rozsypał.

Poczém się zaczął myć, i odzież swoję czyścić i wycierać; lecz na niéj były plamki, które żadną miarą z niéj wytrzeć nie zdołał; widząc to, powycinał te kawałki i spalił je na ogniu.

W całéj izbie było pełno plam z krwi; .... łapy psa nawet krwią były zbroczone.

Przez ten cały czas ani razu okiem na trupa nie rzucił; .... ani jednego razu nawet.

Gdy już wszystkie przygotowania swoje ukończył, zwrócił się ku drzwiom z oczyma od trupa odwróconemi, ciągnąc psa za sobą, którego to samo jak najstaranniéj oczyścił, ażeby żadnego śladu zbrodni na ulicę z sobą nie wziął, drzwi po cichutku za sobą zamknął, klucz wyjął i z domu się oddalił.

Wyszedłszy na ulicę, przeszedł na drugą stronę, i spojrzał ku oknu, ażeby się upewnić, że nic a nic z dworu nie widać. Okna słoniły owe zasłony, które ona odsunąć chciała, aby światło dniowe do izby przepuścić, którego już nigdy więcéj widzieć nie miała.

Zwłoki jéj leżały tuż pod tém oknem. *On* o tém wiedział. Boże! jakżeż to słońce jasno i wspaniale w to okno świeciło!

Było to tylko jedno, chwilowe spojrzenie... Uczuł wielką ulgę, że już nie jest więcéj w téj izbie. Świsnął potém na psa i oddalił się śpiesznie z téj okolicy.

Puścił się drogą ku Islington, wyminął pagórek koło Highgate, na którym pomnik Wittingtona stoi, zwrócił się potém ku Highgate Hill, niebędąc jeszcze sam z sobą w zgodzie, w którą stronę ma się udać, wziął

się potém na prawo, i puściwszy ścieżką małą przez pola, wyminął *Caen Wood* i doszedł w końcu do Hampstead Heath.

Przeszedłszy wąwoz koło Vale of Health, wpiął się na brzeg przeciwny, dostał na drogę prowadzącą przez Hampstead i Highgate, puścił się potém przez pola od strony północnéj tego miejsca, ułożył na czystém polu pod jednym płotem i zasnął sobie spokojnie.

Niezadługo jednak się zerwał i daléj pogonił,.... nie w świat, lecz napowrót ku Londynowi, gościeńcem bitym,.... potém znowu w inną okolicę uciekać zaczął, ...znowu ku Londynowi się zwrócił przez to samo pole, przez które już raz przechodził, tylko z innéj strony,.... i tak ciągle po polach się błąkał, to się kładąc po rowach, pod płotami, aby cokolwiek spocząć, to znów się zrywając, błąkając, aby się na inném miejscu położyć i napowrót zerwać i błąkać.

Gdzież się miał udać, aby nie było daleko, a jednak i wiele ludzi się nie znajdowało, żeby się czémś pokrzepić?

Hendon!..... było to miejsce dogodne, nie bardzo dalekie, i nie bardzo ludne.

Zwrócił tedy natychmiast kroki w tę stronę,.... biegnąc raz szybko,.... to znów zwalniając kroku, i wlokąc się niedbale powoli, lub téż zatrzymując się czasami koło płotów, krzaków, których gałązki i liście laską swoją obijał.

Gdy nakoniec do Hendon doszedł, ... wszyscy ludzie go unikali;.....dzieci nawet we drzwiach pojedynczych chat stojące,.... zdawały się podejrzliwie na niego spoglądać.

21 *

Zaczął tedy napowrót uciekać, nie mając na tyle odwagi, aby kogoś o kawałek chleba lub łyk wody poprosić, lubo już od kilkunastu godzin nic w gębie nie miał, czémby się mógł był pokrzepić, ... i raz jeszcze w pola się udał, niewiedząc, w którą stronę się ma zwrócić.

Mile całe zbiegał po polach i zawsze w to samo miejsce wracał; już i rano minęło i wieczór się zbliżał, a on ciągle to w tę to w ową stronę się błąkał, krążył, lecz jakby zaczarowany, na tyle sił nie miał, aby się z tego zaklętego koła wydobyć, które go niby góra magnesowa zawsze w jedno i to samo miejsce przyciągało. Nakoniec jednak zebrał wszystkie swoje siły i udał się ku Halfield.

Było to może koło dziewiątéj godziny wieczorem, kiedy ten człowiek znużony, wraz z psem zmęczonym, spienionym, kulejącym od tak niezwykłéj gonitwy, z małego wzgórza koło kościoła téj cichéj wioseczki schodził, i wlokąc się z wolna tą małą uliczką, do lichéj karczminy udał, któréj światło z daleka widne, krokami jego kierowało.

W izbie szynkownéj płonął ogień na kominku, a kilku włościan siedziało koło niego i piło. Na widok nieznajomego gościa zrobili mu przy sobie miejsce, lecz on usiadł w najciemniejszym i najodleglejszym kącie izby, jadł i pił sam jeden, czyli raczéj wraz z psem swoim, któremu co chwila kawałek mięsiwa rzucał.

Rozmowa zgromadzonych rolników zwróciła się na sąsiednie wioski, pola i zagrody, rozmawiano o roli, uprawie i tém podobnych rzeczach gospodarskich, a gdy w końcu i tego wątku nie starczyło, zaczęto rozprawiać o wieku pewnego staruszka, którego zeszłéj

Niedzieli pogrzebano. Młodzież obecna utrzymywała, że on już był bardzo stary, a ludzie starzy obecni utrzymywali przeciwnie, że on był jeszcze bardzo młody,.... a pewien staruszek siwy rzekł, iż ów starzec zmarły nie był starszym od niego,..... i żeby jeszcze przynajmniéj dziesięć lub piętnaście lat dłużéj mógł był wygodnie pożyć,.... gdyby tylko bardziéj o siebie był dbał, i lepiéj się pielęgnował.

W téj rozmowie nie było zatém nic takiego, coby jego uwagę nadzwyczajnie zająć, lub téż jego trwogę lub niespokojność obudzić było mogło.

Zbójca tedy, zapłaciwszy za to, co spożył, siedział sobie w kącie spokojnie, cicho, od nikogo nie uważany, i w końcu sobie nawet zadrzemał, gdy go nagle szmer jakiegoś z wielkim hałasem wchodzącego mężczyzny ze snu przebudził.

Był to człowiek w średnim wieku, na pół kuglarz, na pół przekupca włóczęga, który po kraju podróżował sprzedając brzytwy, nożyki, igły, nici, mydło, olejki, pomady, lekarstwa na zęby, leki dla psów i koni, wonidła, wody rozmaite, i tém podobne rzeczy, nosząc to wszystko w szkatule na plecach.

Wejście jego było hasłem do rozmaitych żartów, śmiechów, dowcipów włościan, na które wtedy dopiero odpowiadał, gdy powieczerzał, poczém skarbnicę swoję otworzył i znajdujące się w niéj rzeczy jak najprzenośniéj i najzabawniéj zachwalać zaczął.

— A to, czy to może dobre do jedzenia, Harry?

Zapytał jeden z włościan z uśmiechem szyderskim, wskazując na jakąś gałeczkę w kącie leżącą.

— To, — zawołał ów kuglarz, wyjmując ją ze

skrzyni, — to jest środek najpewniejszy i nieoszacowany do wywabienia wszystkich plam z brudu, rdzy, tłuszczu, oleju, smoły, z materyj jedwabnych, lnianych, konopianych, sukiennych, bawełnianych, wełnianych, aksamitu, muślinu, tibetu i merinusu. Plamy z wina, owoców, piwa, wody, farby, i tym podobne plamy, wszystkie znikną odrazu za potarciem jednym téj gałeczki. Jeżeli jaka panna lub pani cnotę swą utraciła, niech tylko tę gałeczkę połknie, a natychmiast wyleczoną zostanie, gdyż to jest trucizna. Jeżeli jaki pan ma dać dowód swego honoru, potrzebuje ją tylko zadać, a wszystko natychmiast dowiedzie, co zechce. Fenika za jedną gałeczkę. Pomimo wszelkie własności téj gałeczki jednego tylko fenika za sztukę.

Dwóch kupców na ten towar tak korzystny natychmiast się znalazło; reszta słuchających zaczęło się wahać. Przekupca to spostrzegł, i bardziéj jeszcze zachwalać zaczął.

— Te gałki tak prędko bywają rozkupione, że ich niemożemy nastarczyć robić, — wołał daléj ten włóczący się przekupca. — Czternaście wodnych młynów, sześć parowych machin, bateryja galwaniczna w ciągłym są ruchu, i niemogą jeszcze towaru nastarczyć, lubo wszyscy robotnicy tak pracują jak woły, a wdowy po dwadzieścia funtów rocznéj pensyi za każde dziecko i nagrodę znaczną za bliźnięta dostają. Fenika za gałkę; kto kupi?....jednego fenika,...... albo dwa półfeniki, jak się podoba,....i cztery szelągi przyjmę z radością....Jednego fenika za gałkę! Plamy z wina, owocu, piwa, wody, farb, tłustości, oleju, krwi.... oto jest właśnie plamka z krwi na kapeluszu tego Je-

gomości, którą mu prędzéj wywabię, nim mi kubek piwa dać każe.

— Ha! — zawołał Sikes, zrywając się z ławki.— Nie ruszaj tego kapelusza!

— Ja tę plamkę z kapelusza wywabię, — odpowiedział przekupujący włóczęga, mrugając na całe towarzystwo, — nim ten pan przez pokój przejdzie, aby mi go odebrać. Moi panowie! Patrzcie! oto jest ciemna plamka na kapeluszu tego pana, niewiększa jak grosz, lecz grubsza jak złoty. Niechaj to będzie plamka jaka chce, czy z wina, owocu, piwa, wody, tłustości, oleju, krwi....

Lecz ten poczciwiec mowy niedokończył, gdyż Sikes z okropném przekleństwem się zerwał, stolik wywrócił, kapelusz z ręki mu wydarł, i za drzwi wypadł.

Ta sama niespokojność, wątpliwość, niepewność, która przez cały dzień zbójcą pomiatała, poraziła i teraz całą dzielność jego niegdyś tak silnéj woli. Widząc że nikt za nim nie biegnie, i według wszelkiego podobieństwa wszyscy za pijanego człowieka go uznają, skierował na powrót swe kroki ku miastu, a chroniąc się od blasku latarni przy jakimś powozie, chciał go wyminąć, lecz poznał, że to jest poczta z Londynu jadąca, która właśnie koło pocztowego domu stanęła. On wiedział, a przynajmniéj przeczuwał bardzo dobrze, o czém rozmowa toczyć się musi; pomimo to zbliżył się do powozu i słuchał.

Konduktor od poczty stał u drzwi, czekając na listy, które mu dać miano. Za kilka chwil zbliżył się jakiś człowiek, jako leśny ubrany, któremu wręczył koszyk, leżący na bruka już na pogotowiu.

— To dla waszych ludzi, — rzekł Konduktor. — A teraz sobie do niego spojrzyj, jeżeli chcesz.

— Czy niesłychać w mieście nic nowego? — zapytał ów leśny, podchodząc aż pod okienice pocztowego domu, aby się koniom dobrze przypatrzyć.

— Nie słychać nic tak bardzo ważnego, — odpowiedział konduktor, wdziewając rękawiczki. — Zboże tylko trochę w górę poszło. Słyszałem także i o zabójstwie, popełnioném w okolicy Spitalsfield,... ale niewiém o tém nic dokładniejszego.

— To prawda,.... i ja także o tém zabójstwie słyszałem, — ozwał się jakiś podróżny z powozu, który dotąd przez okienko wyglądał. — Jest to zabójstwo okropne!

— Czy to kobieta, czy mężczyzna? — zapytał Konduktor uchyliwszy nieco kapelusza. — Niemogłem się nic pewnego o tém dowiedzieć.

— Kobieta, — odpowiedział podróżny; — jak się domyślano, to....

— Panie Konduktor, już czas, — zawołał z niecierpliwością woźnica.

— A niechże djabli wezmą,......czyż mi dacie raz te listy, czy nie? — zawołał Konduktor, — czyście tam wszyscy już w waszéj jamie pomarli?

— Oto są, oto są! — zawołał urzędnik pocztowy, wypadając śpiesznie ze swego mieszkania.

— Są! — bąknął konduktor; — wolałbym jednak, żeby to ta młoda, piękna i bogata pani była, która się we mnie ma zakochać, chociaż niewiem kiedy. Oto jestem,....daléj naprzód!

Trąbka poczciarska zagrała, a powóz gościeńcem pogonił.

Sikes pozostał na ulicy, stojąc pozornie wcale tém niewzruszony, co przed chwilą usłyszał, niedoświadczając żadnych innych uczuć, prócz jednéj wątpliwości, dokąd się udać. Nakoniec postanowił wrócić i poszedł drogą z Hatfield do St. Albans wiodącą.

Szedł zwolna, opieszale;.... a gdy już miasteczko w tyle za sobą pozostawił, i coraz bardziéj w ciemność nocy i samotność czystego pola się zatapiał, uczuł pewną trwogę, pewną okropność tak wielką, że mu włosy na głowie stawały i skóra na nim drżała.

Każdy przedmiot, który spostrzegł koło siebie, czy to był przedmiot rzeczywisty lub też cień tylko, czy to ruchomy, czy nieruchomy, przybierał w jego oczach postać przerażającą; lecz to przerażenie, ta trwoga ani w porównanie iść niemoże z tém uczuciem zgrozy, którém go okropne widmo zabitéj, tuż za nim ustawicznie się wlokące, przejmowało i udręczało.

Pomimo tę ciemność nocną widział on wyraźnie cień jéj na drodze, poznawał najmniejszy zarys jéj postaci; zdawało się mu nawet spostrzegać ten chód uroczysty i poważny, jakim ciągle za nim kroczyła. Słyszał wyraźnie szelest jéj odzieży, zawadzającéj o liście krzaków, a każdy powiew wietrzyka donosił do jego uszu jéj cichy jęk ostatni.

Jeżeli stanął, to i widmo owe stanęło;.... jeżeli zaś biegł, to i ono za nim goniło,...lecz nie biegnąc wcale, ...byłoby mu to bowiem wielką ulgę na sercu sprawiło,.... ale włokąc się podobnie jak trup, obdarzony jedynie władzą mechaniczną ruchu, unoszony pewnym,

wolnym powiewem wiatru nigdy na mocy nie zyskującego, ani też nietracącego.

Czasami z rozpaczą się obracał, mając stanowcze przedsięwzięcie widmo to od siebie spłoszyć, gdyby go nawet wzrokiem swoim zabić miało; lecz włosy mu wtedy na głowie powstawały, a krew się mu lodem w żyłach ścinała, gdyż ono z nim się zarówno obróciło, trzymając się ciągle w tyle niego. Rano ono widział ciągle przed sobą,....a teraz,... wieczorem,... niezmiennie za nim się wlokło.

Niemogąc się go pozbyć, oparł się plecami o ścianę stromego rowu, lecz i to mu nic niepomogło; czuł bowiem, że ono się nad nim unosi, i w zarysach widocznych na zimnym, nocnym błękicie odbija.....Rzucił się na gościeniec,....legł plecami na drodze,....lecz ono mu stanęło u głowy, milczące, głuche, nieruchome, niby nagrobek kamienny z napisem krwawym.

Niechaj nikt niemyśli, iż zbójca sprawiedliwości i zemście niebios ujść może, a Opatrzność boska śpi lub o nas się nie troszczy. Sikes, morderca, doznawał w jednéj chwili stokrotnie wszelkie boleści i męczarnie gwałtownéj śmierci.

W polu dostrzegł szopę słomianą, która mu ochronę i spoczynek nocny obiecywała.

Przed drzwiami téj szopy stały trzy wysokie topole, które ciemność wewnątrz panującą jeszcze bardziéj powiększały, a wiatr szumiał ponuro, smutno, okropnie pośród ich liścia. Niepodobna mu było aż do świtu po polu się ustawicznie błąkać, sił mu już na to niestarczało,....usiadł sobie zatém tuż pod ścianą,.... aby się stać pastwą nowych męczarni.

Teraz bowiem stanęło przed jego oczyma widmo, groźniejsze, okropniejsze, wytrwalsze od tego, któremu umknął.

Dwoje ócz, szeroko wytrzeszczonych, wygasłych, bez życia, bez połysku, pojawiło się mu pośród ciemności, mających swoje własne światło, lecz nie dających żadnego.

Niebyło ich tylko dwoje, lecz te dwoje były wszędzie.

Jeżeli sobie oczy zakrył, to się mu natychmiast pojawiła jego izba, z wszystkiemi tak dobrze mu znajomemi przedmiotami, które w sobie zawierała;......a wszystko,....rzecz nawet najmniejsza, o któréj by z pewnością był zapomniał, gdyby mu ją z pamięci opisywać wypadało,..wszystko było na swojém zwyczajném miejscu. I ciało zamordowanéj dziewczyny było na *swojém* miejscu, a oczy jéj tak samo wyglądały, jak wtedy, kiedy z izby się wykradał.

Niemogąc dłużéj znieść tego widoku, zerwał się i pogonił w pola. Lecz widmo ciągle za nim goniło..... Wrócił tedy na powrót do szopy, i przytulił się bardziéj jeszcze do ściany. Lecz owe oczy znów przed nim stanęły, nim się jeszcze na ziemi położyć zdołał.

Na tém miejscu więc długo spoczywał, lubo zgroza, jakiéj jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył wskróś go przejmowała. Drżał na całém ciele, a zimny pot gęstemi kroplami na niego wystąpił. W tém nagle świeża fala wiatru gwar hałaśny i wrzask mnóstwa ludzi jakby o pomoc wołających, do niego doniósł.

W téj samotności głos najmniejszy człowieka, choćby mu teraz przyczynę ważną do niespokojności

i obawy miał zwiastować, dobrodziejstwem prawdziwém się mu być zdawał.

Na wspomnienie niebezpieczeństwa osobistego wszelka dzielność i odwaga mu powróciła, a zerwawszy się na nogi, puścił się natychmiast w otwarte pola.

Ciemny błękit nieba zdawał się być cały w ogniu.

Płomienie biły olbrzymim strumieniem w powietrze, unosząc z sobą słomę, iskry, żarzące się węgle, i cisnąc się falami oświeciły całą okolicę na kilka mil wkoło, pędząc całe chmury dymu w tym kierunku, w którym się właśnie znajdował.

Pożar coraz bardziéj się wzmagał, głosy nowe, łączące się z dawnemi, powiększały zgiełk, gwar, hałas, wrzask,....a głośne wolanie: ogień!....ogień! ...połączone z dźwiękiem dzwonu na gwałt bijącego, trzeszczenie belek, szelest upadku ciężkich przedmiotów, syczenie i chrzęst płomieni, nowy żywiół, nową zawadę znajdujących i z pewną radośną dzikością niejąko na nią się rzucających, jakby im nowéj siły, nowego życia przez to przybywało,....to wszystko obiło się o jego uszy.

Gwar i hałas się wzmagał coraz bardziéj, gdy w tę stronę spojrzał.

Widział wyraźnie mnóstwo ludu,....mężczyzn, kobiety, światło i wrzawę.

Nowe życie w niego wstąpiło. Puścił sie tedy wprost ku temu miejscu,... prosto przez rowy, krzaki, płoty, mury, bramy, niezważając na żadne zawady i przeszkody, które z szybkością i zręcznością przebywał, podobnie jak i pies jego, biegnący ciągle przed nim, wyjąc i szczekając.

Nakoniec dobiegł do miejsca pożaru.

Kilka domów się paliło. W koło uwijały się postacie na pół nagie, biegające to w tę, to w owę stronę. Jedni wyprowadzali przestraszone konie ze stajeń, drudzy zaś wypędzali bydło z obór i różnych zabudowań; ....inni zaś unosili z pośrodku ognia i deszczu gęstego padających iskier opalone drzewo, pale, belki.

Otwory, przed godziną jeszcze drzwi i okna stanowiące, zatkane były teraz ścianą chłonących i wściekających się płomieni; ściany pękały, padały się, i zapadały w to morze płonące; stopiony ołów i na biało rozpalone żelazo padało na ziemie.

Kobiety i dzieci płakały, jęczały, załamywały ręce, a mężczyzni zachęcali jeden drugiego wołaniem, pochwałą, i raczeniem się wzajemném. Hałas sikawek ogniowych w ustawicznym ruchu będących, syczenie wody na rozpalone żelazo i palące się belki padającéj, powiększało jeszcze powszechny zgiełk, wrzawę. I on także krzyczał, wrzeszczał, aż nareszcie ochrypł, a chcąc myślom swojem uciec, rzucił się w tłum największy, pomiędzy tych, którzy najtroskliwiéj ratowaniem zajęci byli.

Téj nocy to tu, to ówdzie się zwijał, ...wszędzie go można było znaleść, ... raz koło sikawki, ... to znów przedzierającego się śród dymu i płomieni, niezaniedbując jednak nigdy tam się udać, gdzie niebezpieczeństwo największe, pomoc najpotrzebniejsza była.

To się wspinał po drabinach na sam szczyt palącego się domu, przebiegał sienie, izby, w których podłoga przepalona pod nogami mu trzeszczała, nieważał wcale na walące się ściany, padające cegły i kamie-

nie ;....wszędzie gdzie ogień największe pustoszenia robił, on się tam jawił, ... lecz życie jego musiało być zaczarowane, gdyż najmniejszego znużenia nieczuł, żadnéj rany, żadnéj blizny, nawet najmniejszego zadraśnięcia nieotrzymał, aż nakoniec i poranek nadszedł, a dym i czarne okopcone zwaliska jedynie pozostały.

Gdy to szalone wzburzenie przeminęło, wspomnienie okropne, przerażające popełnionéj zbrodni z siłą podwójną w jego sercu się obudziło.

Widząc że wszyscy ludzie w pojedyncze gromadki się podzielili, spojrzał podejrzliwie naokoło, obawiając się, czy to nie on przedmiotem ich rozmowy.

Pies usłuchał natychmiast jego skinienia, a obaj się nieznacznie, pocichutku, z tego miejsca oddalili.

Idąc nadybali sikawkę, na któréj sobie kilku ludzi usiadło, pokrzepiając skromnym jadłem swe siły. Spostrzegłszy go zaprosili na śniadanie. On się do nich zbliżył i ukroił sobie kawałek chleba i mięsiwa, lecz gdy się do piwa zabierał, usłyszał jednego z nich, który z Londynu właśnie przybył, opowiadającego o jego zabójstwie.

— Mówią że się zbójca do Birmingham udał, — rzekł ów człowiek, — ale oni go wkrótce schwytają, gdyż mnóstwo posiepaków za nim wysłano, a do jutra wieczora cała okolica będzie o tém wiedziała, tak że ich rękom nieujdzie.

Sikes, słysząc to, zerwał się, odbiegł od nich, i pędził tak długo, dopokąd mu sił starczało i nogi go słuchały; potém w rowie odległym się położył i spał długo, ... lubo niespokojnie i przerwanie. Nakoniec wstał, i daléj błędną wędrówkę swoję rozpoczął, nie-

wiedząc w którą stronę się zwrócić, dokąd się udać,.... nękany bojaźnią przed drugą taką samotną i okropną nocą.

Nagle w rozpaczy swojéj powziął zamiar do Londynu powrócić.

— Będę mógł przynajmniéj z kimś pomówić, na każdy przypadek, — pomyślał sobie. — Wreszcie jest tam niejedna bezpieczna kryjówka. Oni się ani spodziewać niebędą, żebym ja tam miał być, i z pewnością mię tam szukać niebędą. Żebym się przynajmniéj przez tydzień mógł tak ukryć, to Fagina potém zmuszę, aby z flotą wyruszył, i przeprawię się do Francyi. Niech mię piorun trzaśnie, to sposób najlepszy; trzeba go doświadczyć.

Postanowił przeto bez zwłoki ten zamysł do skutku przywieść, wybrał sobie drogę najmniéj zaludnioną, i rozpoczął swoję wędrówkę do Londynu, zamierzając dzień cały aż do nocy w pobliżu stolicy w znanéj mu kryjówce przepędzić, potém drogami najzawilszemi i najskrytszemi pośród nocnéj ciemności wprost w to miejsce się udać, w którém sobie na czas niejaki mieszkanie obrać zamyślał.

Ależ pies!. jeżeli jaki rys, opis jego dano, niemogli w nim żadną miarą o psie przepomnieć, zwłaszcza iż świat cały znał tego psa, który niebędąc w Londynie, według wszelkiego podobieństwa panu swemu w ucieczce towarzyszyć musiał. Po tym psie ludzie by go jeszcze łatwiéj poznać mogli. Wypadało mu się zatém jakimś sposobem pozbyć tego psa, któryby uwagę na niego mógł zwrócić. Postanowił go zatém utopić, i

spoglądał wszędzie za studnią lub rzeką. Idąc podjął ciężki kamień z gościeńca i zawiązał go do chustki.

Podczas tych przygotowań pies spoglądał uważnie na oblicze swego pana, i....niewiedzieć, czyli to przez przeczucie zamiar jego odgadł, lub też spojrzenie zbójcy, które z pod oka na niego rzucił, nieco surowsze było jak zazwyczaj,....dość że teraz w większéj nieco odległości od niego biegł, i bardziéj się miał na baczności jak poprzód.

Gdy się nakonice pan jego koło jakiegoś głębokiego moczaru zatrzymał i za nim obejrzał, aby go do siebie przywołać, spostrzegł psa daleko od siebie.

— A przyjdziesz ty zaraz do mnie, czy niesłyszysz? — zawołał Sikes, świsnąwszy na niego.

Pies już ze zwyczaju głosu jego usłuchał, i do niego się powoli zbliżył; lecz gdy Sikes się ku niemu nachylił, aby mu chustkę do szyi przywiązać, zawarczał i odskoczył.

— Chodź tu zaraz! — zawołał zbójca, tupnąwszy wściekle nogą.

Pies zachwiał ogonem, lecz się z miejsca nie ruszył. Sikes wtedy poskoczył ku niemu, wołając ciągle.

Pies to ku niemu postąpił, to się znów cofnął, chwilkę zatrzymał, a w końcu, jak tylko mógł najśpieszniej w świat pogonił.

Sikes świstał a świstał, usiadł sobie przy drodze i czekał, myśląc, że pies przecież powróci;....lecz pies się więcéj niepojawił, a on sam jeden w dalszą drogę się puścić musiał.

ROZDZIAŁ XX.

Monks i Brownlow schodzą się nakoniec. Ich rozmowa, którą wiadomość ciekawa przerywa.

Już zmrok wieczorny zapadł, kiedy Brownlow z doróżki wysiadł, do swego mieszkania się zbliżył i lekko do drzwi zapukał.

Gdy się drzwi otworzyły, człowiek silny, barczysty wysiadł z niéj i stanął z jednéj strony drzwiczek od powozu, a drugi zesiadł tymczasem z kozła i stanął po drugiéj stronie. Na znak dany pana Brownlow wysadzili z powozu trzeciego mężczyznę, wzięli go pomiędzy siebie i wpadli z nim do domu.

Tym mężczyzną był Monks.

Nierzekłszy ani słowa przeprowadzili go na tenże sam sposób przez sień i schody do góry, a Brownlow, który szedł naprzód, zaprowadził ich do izby tylniéj.

Monks, który przez cały czas prowadzącym go ludziom się opierał, zatrzymał się przy tych drzwiach i daléj iść niechciał. Owi dwaj ludzie spojrzeli na pana Brownlow, oczekując od niego dalszych rozkazów.

— On wie dobrze, co go czeka, — rzekł wtedy Brownlow. — Jeżeli się bynajmniéj sprzeciwiać lub też z rąk się wam wydzierać będzie, to sobie z nim wiele trudu niezadawajcie; wyprowadźcie go na ulicę, przywołajcie policyję w pomoc, i każcie go w mojém imieniu do więzienia wsadzić, jako oszusta i zbrodniarza.

— Jak mię śmiesz tak nazywać, mój panie? — zapytał Monks.

— Jak mię śmiesz do tego kroku ostatecznego zmuszać, mój młody człowieku? — odparł Brownlow, spoglądając na niego surowo i poważnie. — Jeżeli chcesz być tak szalonym i ztąd się oddalić:....a zatém puszczajcie go. Tak! jesteś teraz wolnym mój panie; ....możesz sobie iść, a my pójdziemy za tobą. Ale ja cię zawczasu ostrzegam i przysięgam na wszystko, co mi jest najmilsze i najświętsze, iż, jeżeli nogą próg tego domu przekroczyć i na ulicę wyjść się ośmielisz, natychmiast cię schwytać i jako o oszustwo, złodziejstwo i rozbój oskarżonego, przed sąd stawić każę. Moje postanowiennie jest niezmienne i niczém niewzruszone. Jeżeli i ty niemniéj stałe masz przedsięwzięcie, więc krew twoja niechaj na twoję własnę głowę spadnie!

— Jakiém prawem schwytano mię na ulicy, i przywiedziono tutaj przez tych psów przeklętych?

Zapytał Monks, spoglądając z wściekłością to na jednego, to na drugiego z tych ludzi, pomiędzy któremi stał.

— Za mojém roskazem i prawem, — odpowiedział Brownlow. — Przewinienie tych osób zastąpię, jeżeli by potrzeba tego wypadła. Jeżeli się na utratę wolności twojéj użalasz, ... miałeś podrodze dosyć sposobności

pomyślnéj przemocą sobie ją odzyskać;...... zdaje się jednak, żeś za rzecz roztropniejszą uważał, spokojnie się zachowywać...... Jeszcze raz ci powtarzam, jeżeli myślisz że ci krzywdę wyrządzono, że się do praw odwołać możesz,.....więc to uczyń, mój młody człowieku. Ale i ja pomocy i opieki praw wezwę;....a jeżli rzecz całą tak daleko posuniesz, że się potém żadną miarą cofnąć nie będzie można, to mię wtedy o surowość nieobwiniaj, gdy władza cała w inne ręce przejdzie, i niemów, żem cię ja w tę przepaść wtrącił, w którą się sam dobrowolnie rzucasz.

Monks stracił wszelką odwagę, a pewna niespokojność przytém go jeszcze dręczyć zaczęła. Stałość jego się zachwiała.

— Zastanów się żywo i powiedz mi jak najprędzéj, co stanowczo czynić zamyślasz, — rzekł Brownlow z największą spokojnością i stałością. — Jeżeli sobie życzysz, abym skargę moję w ręce sądu złożył, a zatém i na wszelkie skutki ztąd wynikające cię naraził, to jest na karę, któréj wielkości nawet mi oznaczyć nie jest podobna, lubo ją serce moje z odrazą i zgrozą przewiduje, a więc droga ci wolna, ty wiesz sam, co ci czynić wypada. Jeżeli zaś do mojéj łagodności i dobroci się chcesz udać, i wyjednać sobie zamierzasz przebaczenie tych, któryches tak haniebnie skrzywdził, a więc wejdź do téj izby i siadaj na tém krześle oto bez oporu, nierzekłszy ani słowa. Czekało ono na ciebie przez całe dwa dni.

Monks bąknął coś pod nosem, lecz z miejsca się nie ruszył.

— Namyśl się żywo, — rzekł Brownlow. — Wyrzecz tylko słówko, a rzecz cała skończona.

Lecz Monks jeszcze się wahał.

— Niemam wcale żadnéj chęci, z tobą sobie nadaremnie psuć gębę, — rzekł Brownlow; — jestem tutaj rzecznikiem innych osób, broniącym praw ich najświętszych, i niemam żadnego....

— Czy niema,.... — zapytał Monks jąkając się, — czy niema jakiego innego środka?

— Nie, niema!....święcie niema!

Monks spojrzał na staruszka z nadzwyczajną trwogą; niemogąc jednak z jego twarzy nic innego prócz surowości i stałości w postanowieniu wyczytać, wszedł do izby i wzruszywszy ramionami, usiadł sobie na wskazaném krześle.

— Zamknijcie drzwi z sieni, — rzekł wtedy Brownlow do swoich dwóch pomocników, — i przychodźcie natychmiast, skoro zadzwonię.

Owi dwaj słudzy usłuchali natychmiast tego rozkazu, wyszli, i zostawili obu sam-na-sam.

— Jest to bardzo piękne obejście, którego od najlepszego przyjaciela mego ojca doznaję.

Ozwał się Monks, zdejmując kapelusz i płaszcz z siebie.

— Właśnie dla tego, że byłem twego ojca najlepszym i najstarszym przyjacielem, mój młody człowieku! — odpowiedział Brownlow. — Właśnie dla tego, że niegdyś wszelkie życzenia i nadzieje moich szczęśliwych lat młodości z nim się łączyły, i wraz z nim zaginęły, podobnie jak i z istotą lubą z jego krwi i ciała, która w kwiecie swéj młodości z Bogiem się połączyła, i

mnie tutaj na ziemi samego i samotnego pozostawiła,... właśnie dla tego, że on będąc chłopczyną małym wraz ze mną przy łożu śmiertelném swéj siostry konającéj owego dnia klęczał,....owego dnia, którego....lecz Bóg inaczéj rozrządził,...którego żoną moją zostać miała;... dla tego że moje zranione serce przez całe życie aż do czasu jego śmierci do niego wiernie przywiązane było, pomimo wszelkie błędy i przewinienia, których się dopuścił;....dla tego, iż dawne wspomnienia, obrazy dawnego szczęścia serce moje przepełniają, a nawet i twój widok obraz jego na pamięć mi przywodzi,....to wszystko jest powodem, że się tak łagodnie z tobą teraz obchodzę;.....tak jest Edwardzie Leeford,.....nawet i teraz,....lubo byś się wstydzić powinien, żeś niegodzien tego imienia.

— Jakiż to imie ma związek z tą całą sprawą? — Zapytał Monks, który przez kilka chwil w milczeniu, z pewném osłupieniem na to nadzwyczajne wzburzenie swego towarzysza spoglądał. — Cóż mi na imieniu zależy?

— Nic! — odparł Brownlow,.... — ja wiem dobrze, iż tobie na niém nic niezależy. Ale to imie było i *jéj* imieniem; a jednak i teraz jeszcze, pomimo tak wielką odległość czasu, serce mnie, staremu człowiekowi, natychmiast mocniéj bić zaczyna, i rumieniec na zwiędniałe lica moje wpędza, ogniem przygasłe oczy rozpala, jeżeli tylko to imie z ust obcego usłyszę. Bardzo mi to wielką przyjemność sprawia, żeś ono zmienił,... prawdziwie bardzo wielką!

— To wszystko bardzo ładnie, pięknie wygląda, — ozwał się Monks (zatrzymujemy bowiem w naszéj po-

wieści to nazwisko, pod którcmeśmy go po raz pierwszy czytelnikowi poznać dali,)... ..po długiéj chwili milczenia, podczas którego się zuchwale na krześle kołysał, a Brownlow spokojnie, z obliczem rękoma zakrytém siedział. — Czegóż jednach chcesz odemnie?

— Masz brata, — rzekł Brownlow, ocknąwszy się nagle ze swego boleśnego zadumania; — brata, którego imie samo w ucho ci szepnięte, gdym na ulicy szedł za tobą, taką potęgę nad tobą miało, żeś dobrowolnie, bez oporu, zdziwiony i przestraszony tutaj mi towarzyszył.

— Ja niemam żadnego brata, — odpowiedział Monks. — Wiesz o tém sam bardzo dobrze, mój panie, że byłem jedynakiem. Dla czegóż mi więc wspominasz o jakimś bracie? Wszak o tém wiesz lepiéj jeszcze odemnie!

— Chwilę tylko cierpliwości, a dowiesz się, co ja wiem jeszcze;....a wtedy inaczéj będziesz mówił, — odparł Brownlow. — Spodziewam się, że to całę twoję uwagę zajmie. Ja wiem o tém bardzo dobrze, iż ty jesteś jedynym i robacznym owocem tego nikczemnego związku małżeńskiego, do którego wyniosłość rodu, i najbaniebniejsza, najpodlejsza, najbrudniejsza duma nieszczęśliwego ojca twojego dzieckiem jeszcze prawie zmusiła.

— Niedbam wcale o te zelżywe wyrazy, jakich używasz, — zarzucił Monks z szyderczym uśmiechem. — Dla mnie to przekonanie jest dostateczne, iż o tém wiesz, mój panie.

— Ale ja wiem także i o téj nędzy, tych wiecznych cierpieniach i niesłychanych męczarniach, będących

skutkiem tego niestósownego i jak najgorzéj dobranego małżeństwa, — mówił daléj staruszek. — Ja wiem bardzo dobrze, śród jakich mąk niewysłowionych ci nieszczęśliwi małżonkowie ulegając pod ciężarem kajdan tego związku, przez to życie się wlekli, które im obojgu tak boleśnie zatrute zostało;....ja wiem o tém bardzo dobrze, jakie obrazy jawne, widoczne po pierwszéj obojętności wzajemnéj nastąpiły;....jak oziębłość ustąpiła wstrętowi, wstręt nienawiści, nienawiść największéj odrazie, tak że się w końcu oboje rozłączyć musieli, życie osobne wiedli, każde według swego upodobania, a męki, udręczenia, które im takie życie sprawiało, w towarzystwie pod pozorem największéj wesołości ukrywać musieli, dopokąd ich śmierć od tego ciężącego przymusu nieuwolniła...... Twoja matka zapomniała wprawdzie o wszystkiém w krótkim czasie,....ale to życie raniło i jadziło serce twego ojca przez długie lata.

— Rozłączyli się, o tém wie świat cały, — rzekł Monks; — cóż ztąd?

— Gdy się na czas niejaki z sobą rozwiedli, — odparł Brownlow, — a twoja matka na ląd stały się udała, aby tam śród wesela i rozpusty życie swoje prowadzić, i wkrótce swego męża, o dziesięć lat przynajmniéj od siebie młodszego, zupełnie zapomniała, który w domu młodość i życie swoje zatrute w smutku i udręczeniu rozpaczy przepędzał, on tymczasem nowych przyjaciół znalazł. *Ta* okoliczność będzie ci przynajmniéj wiadomą, nieprawdaż?

— Nie! — odpowiedział Monks, odwracając od niego swe oczy, tupnąwszy nogą o ziemię, zwyczajnie

jak człowiek, który sobie mocno postanowił wszystkiego się wyprzeć. — Nie!

— Twoje postępowanie i twoje czynności dowodzą mi, żeś o tém nigdy niezapomniał, lub też z goryczą o tém pamiętać nieprzestał, — odparł Brownlow. — Ja teraz mówię o wypadkach, które przed piętnastu laty jeszcze zaszły, kiedy ty byłeś małym chłopcem, niemającym więcéj jak lat jedenaście, a twój ojciec dopiero trzydzieści jeden,.... gdyż on wtedy dzieckiem prawdziwém jeszcze był, powtarzam, kiedy go ojciec do tego małżeństwa zmusił. Czy mam ci jeszcze rzeczy, wypadki przypominać, które cień niejaki na twego rodzica rzucić mogą, lub mi chcesz oszczędzić téj nieprzyjemności i prawdę mi wyjawić?

— Ja niemam nic do wyjawienia, — odparł Monks z widoczném pomięszaniem. — Jeżeli chcesz, to mi sam wszystko wyjawić musisz.

— Tym nowym przyjacielem jego, — mówił daléj Brownlow, — był były oficer od marynarki, który służbę porzucił, utraciwszy półrokiem pierwéj żonę, która mu dwoje dzieci pozostawiła;.... mieli oni wprawdzie więcéj dzieci jeszcze, ale dwoje tylko z całéj rodziny licznéj matkę przeżyło. Były to dwie dziewczęta; jedna istota ładna, dziewiętnaście lat blizko mająca, a druga jeszcze dzieckiem małém, dwa do trzech lat mającém....

— Cóż to mnie obchodzi? — zawołał Monks.

— Ci ludzie mieszkali w okolicy, — ciągnął Browlow, udając że tego zarzutu wcale nie słyszał, — którą ojciec twój bardzo często zwiedzał, a nakoniec i mieszkanie swoje stale w niéj sobie obrał. Znajomość,

zaufanie, przyjaźń, to wkrótce jedno po drugim u nich nastąpiło. Ojciec twój był to człowiek wysokich zalet i zdolności, jak rzadko,.... posiadał on serce i rysy swéj siostry. Czém bardziéj go ów officer poznawał, tém większém przywiązaniem i miłością dla niego się przejął.... Ileżbym dał był za to, aby się wszystko na téj przyjaźni było zakończyło! Lecz i jego córka się w nim pokochała.

Staruszek tutaj mowe uciął na chwilę. Monks zagryzł usta, i oczy w podłogę wlepił. Brownlow to widząc, — ciągnął daléj swoję powieść.

— Z końcem jednego roku ojciec twój się z nią zaręczył,.... zaręczył uroczyście; twój ojciec był przedmiotem pierwszéj, szczeréj, gorącéj, namiętnéj miłości téj dziewczyny.

— Powieść twoja, mój panie, na bardzo długą się zabiera, — rzekł Monks, rzucając się niecierpliwie na krześle.

— Jest to powieść prawdziwa, smutna, niesłychanych cierpień i dolegliwości, mój młody człowieku, — odparł Brownlow, — a podobne powieści bywają zwykle bardzo długie; gdyby to była powieść niezakłóconego szczęścia, byłaby z pewnością nieskończenie krótsza. Nakoniec zmarł jeden z tych bogatych krewnych twego ojca, dla którego tego nieszczęśliwego młodzieńca poświęcono, aby wpływ i potęgę jego powiększyć,.. jak to się bardzo często zdarza,.... nie jest to bowiem u nas nic nadzwyczajnego,...i zostawił mu na naprawienie téj nędzy, do któréj się wiele przyczynił, a nawet główną był sprężyną,.... lekarstwo ogólne i skuteczne na wszelki smutek i cierpienia,.... złoto! Wypadało

koniecznie, aby ojciec twój natychmiast do Rzymu się udał, gdzie ten bogaty krewny, szukający zdrowia we Włoszech, zmarł, zostawiajac wszystkie swoje sprawy w wielkim nieładzie. On do Rzymu wprawdzie dojechał, lecz zachorował śmiertelnie na drugi dzień po swojém przybyciu, a wiadomość o tém wysłano natychmiast do Paryża, do twojéj matki, która cię z sobą po świecie włóczyła; .... w dzień po waszém przybyciu do Rzymu mój nieszczęśliwy przyjaciel umarł, niezostawiwszy żadnego testamentu, ... *żadnego testamentu*, ... lub rozporządzenia, ... tak że cały majątek tobie i twéj matce przypadł.

Monks, słuchając ostatniego okresu mowy pana Brownlow, zaparł w sobie oddech i słuchał go z niewypowiedzianą ciekawością i natężeniem, w obliczu i postawie jego się odbijającém, lubo oczy w inną wcale stronę miał zwrócone.... Gdy pan Brownlow przestał, zmienił swą postawę z wyrazem człowieka, który niespodziewanéj ulgi doznał i przesunął chustką po rozpalonéj twarzy.

— Nim twój ojciec z kraju swego wyjechał, — mówił daléj Brownlow zwolna, utopiwszy wzrok swój w obliczu swego przeciwnika, — przejeżdżając przez Londyn po drodze i do mnie wstąpił......

— Nie słyszałem o tém!

Zarzucił Monks z wyrazem człowieka, który niedowierzanie chce udać, a jednak tylko zadziwienie niespodziewane i niemiłe zdradza.

— Wstąpił do mnie, i zostawił w mych ręku, pomiędzy wielu innemi rzeczami, obraz, ... obraz, który on sam odmalował, ... portret owéj dziewczyny bie-

dnéj, ... któren u nikogo innego zostawić niechciał, a jednak i dla swego pośpiechu z sobą wziąść niemógł.... Trwoga, niespokojność i wyrzuty sumienia w cień go prawie zmieniły; .... rozprawiał w swym dzikim szale i pomięszaniu o zniszczeniu i zbeszceszczeniu, którego on się stał powodem, ... powierzył mi w zaufaniu swój zamiar wysprzedania swych posiadłości i zamienienia onychże na pieniądze; ..... prócz tego zamyślał część tego majątku, który spadł na niego, tobie i matce twojéj oddać, resztę zaś ze sobę zabrać, i kraj swój na wieki opuścić.... Wiedziałem ja o tém bardzo dobrze, iż on nie sam jeden kraj ten porzucić zamyślał, aby się nigdy więcéj w nim niepokazać. Nawet przedemną, swoim najszczerszym, najdawniejszym przyjacielem, którego przywiązanie korzenie swoje w ziemi miało, pokrywającéj istotę nam obom bardzo drogą, ... nawet i przedemną z niczém więcéj w téj mierze się niezwierzył, nic bliższego o swoich zamiarach mi nie zaufał, przyobiecując, że mi o wszystkiém z Rzymu napisze, a potém raz jeszcze mnie odwiedzi, aby się ze mną na wieki pożegnać. Niestety! Był téż to raz ostatni, gdyż ani listu od niego nieodebrałem, ani téż poźniéj jego samego nigdy więcéj niezobaczyłem.

— Gdym się o jego śmierci dowiedział, wybrałem się, — ciągnął daléj Brownlow po małéj chwili milczenia, — wybrałem się na widownią jego..... użyję tutaj tego wyrazu, którego by i świat w tym wypadku użył, gdyż surowość świata dotknąć go więcéj niemoże, — jego miłości występnéj, z tém mocném postanowieniem owéj nieszczęśliwéj, uwiedzionéj dziewczynie przytułek, pomoc, i przywiązanie przyjacielskie u siebie ofia-

rować, gdyby obawa moja i podejrzenia się spełniły. Lecz cała rodzina właśnie przed tygodniem okolicę opuściła; popłaciwszy wszystkie długi swoje, i przyprowadziwszy wszystkie sprawy do porządku, opuściła tę okolicę nocą;.... dokąd się jednak udała, nikt nie widział, i nikt mi powiedzieć nie umiał.

Monks o wiele wolniéj odetchnął, i z wyrazem radości i zwycięztwa na około spojrzał.

— Gdy ręka obca twego brata, — mówił Brownlow daléj, przysunąwszy swoje krzesło bliżéj do niego; — twego brata,.... dziecinę wytlą,.... nędzną,.... zaniedbaną,.... w drogę moją potrąciła, nie przez przypadek, lecz przez zrządzenie wyższéj potęgi,.... a ja go od życia śród zbrodni i hańby wybawić postanowiłem...

— Co! — zawołał Monks struchlały.

— Tak jest, ja! — odparł Brownlow. — Już ci powiedziałem, że cię raz przecie powieść moja zajmie, zachwyci.... Powtarzam tedy raz jeszcze, że ja,... widzę bowiem jasno, że twój przebiegły sprzymierzeniec nazwisko moje ci utaił, lubo tego żadną miarą wiedzieć niemógł, że ono twém uszom nie jest obce.... Kiedym więc tego chłopczynę od nędzy wybawić postanowił,.... w skutek tego do siebie wziął, wpadło mi w oczy pewnego dnia, kiedy po swéj chorobie do siebie przychodząc, w pokoju méj gospodyni leżał, jego nadzwyczajne podobieństwo do owego obrazu, o którém ci już wspomniałem, i w zadziwienie nadzwyczajne mię wprawiło. Gdym go po raz pierwszy zobaczył, przypominały mi rysy jego i wyraz smętności w obliczu rozlanéj obraz jakiegoś dawnego przyjaciela, któregom sobie jednak żadną miarą jasno na pamięć przywieść niemógł.

Niepotrzebuję ci powiadać, że mi usunięty i wykradziony został, nim bieg jego życia usłyszałem.

— Dla czegóż nie? — zapytał Monks skwapliwie.

— Dla tego że o tém wiesz bardzo dobrze.

— Kto, ja?

— Nadaremnie się tego przedemną wypierasz, — odpowiedział Brownlow. — Wkrótce się przekonasz, że ja coś więcéj wiem jeszcze, nietylko to.

— Mój panie! .... ty .... ty mi nic dowieść niemożesz, — wybełkotał Monks. — Proszę to uczynić, jeżeli to jest w twojéj mocy.

— Zobaczymy, zobaczymy, — odparł staruszek, rzuciwszy na niego badawcze spojrzenie. — Straciłem chłopca, a wszelkie starania moje były nadaremne, aby pobyt jego wykryć. Ponieważ twoja matka już nieżyła, byłem tedy przekonany, iż nikt prócz ciebie, tę tajemnicę wyjaśnić mi niepotrafi; a gdy się dowiedziałem, że się pod ów czas na swoich posiadłościach w Indyjach zachodnich znajdujesz, dokądeś się po śmierci matki schronił, jak sam wiesz najlepiéj, aby uciec przed skutkami twego rozwiozłego i występnego życia, które tutaj wiodłeś, ... przedsięwziąłem więc tę daleką podróż do ciebie. Tam się dowiedziałem, że cię już od kilku miesięcy tam nie ma;.... domniemywano się, żeś napowrót do Londynu pojechał, nikt mi jednak pewności dać niemógł. Wracam tedy do Londynu. Sprawnicy twoi niewiedzieli, nieznali twego mieszkania. Powiedzieli mi, że podobnie jak wprzód tak i teraz niemniéj tajemniczo przychodzisz i odchodzisz, że cię czasami całe dnie, czasami zaś całe miesiące na oczy niewidzą, prowadząc według wszelkiego podobieństwa to samo życie hanie-

bne, jakieś zawsze prowadził, uczęszczając w towarzystwa tychże samych podłych, zbrooniczych ludzi, którzy towarzyszami twymi byli, kiedyś jeszcze był krnąbrnym i zuchwałym chłopcem. Nieprzestawałem ich nigdy pytać, pobudzałem ich zawsze do nowego za tobą śledztwa. Przebiegałem dniem i nocą ulice, lecz wszystkie usiłowania moje były daremne, aż do dnia dzisiejszego; gdyż przed dwoma godzinami udało się mi po raz pierwszy dopiero od tak dawnego czasu cię zobaczyć.

— Cóż teraz myślisz uczynić, mój panie, kiedyś mię nakoniec zobaczył? — zawołał Monks, zrywając się nagle śmiało z siedzenia. — Oszustwo, rabunek są to słowa silnie brzmiące,.... usprawiedliwione, jak ci się zdaje, przypadkowém podobieństwem małego włóczęgi z babraniną niedołężną malarską człowieka od dawna już zmarłego! Wszak o tém nawet nie wiesz mój panie, czyli ze związku tegoż z ową dziewczyną podłą, jaki potomek się urodził!.... nie wiesz o tém wcale. —

— Prawda że *nie wiedziałem*, — odparł Brownlow, również wstając, — lecz od dwóch tygodni o tém wszystkiém się dowiedziałem.... Ty masz brata; ty wiesz o tém dobrze i znasz go dokładnie. Ojciec twój pozostawił przy śmierci swojéj testament, który matka twoja zniszczyła, zostawiając po śmierci swojéj tę tajemnicę i zysk cały zbrodniczy tobie w puściźnie. W tym testamencie była wzmianka o dziecku, któreby się twojemu ojcu z owego związku zakazanego urodzić mogło; to dziecko się rzeczywiście urodziło, tyś ono spotkał przypadkiem po drodze, a jego podobieństwo nadzwyczajne do ojca wznieciło w tobie natychmiast

niemiłe podejrzenie.... Udałeś się natychmiast w miejsce jego urodzenia. Tam się znajdowały jeszcze dowody jego urodzenia i rodu, ... dowody od dawnego czasu mu skradzione i ukryte ... Te dowody zostały przez ciebie zniszczone, jakeś się sam przed twoim spólnikiem Żydem wyraził: *jedyne dowody rodu i urodzenia chłopca leżą na dnie téj rzeki, a owa stara czarownica która je matce jego zabrała, gnije teraz już w grobie.* Są to własne twoje słowa synu niegodziwy.... nikczemniku.... podły kłamco!.... który ze zbójcami, złodziejami, rabusiami związki zawierasz, i nocą w ciemnych izbach schadzki miewasz,.... któryś swemi podstępami, zdradą, śmierć gwałtowną na istotę sprowadził, milion rezy godniejszą i większą wartość mającą od ciebie,.... któryś od małości swojéj żółcią i goryczą był własnemu ojcu, i serce jego boleścią przepełniał,...... którego wnętrze namiętności najohydniejsze, zbrodnie i występki tak długo toczyły, dopokąd sobie nieutworzyły ujścia w okropnéj chorobie, która i twoje oblicze piętnem niezatartém nacechowała.... Edwardzie Leeford, czyż i teraz jeszcze zuchwale przeciwko mnie wystąpisz, i to wszystko mi zaprzeczyć się ośmielisz?

— Nie, ... nie, ... nie! — odpowiedział ten nędznik, przygnieciony tak okropną skargą.

— Każde słówko, — ciągnął daléj starzec, — któreście oba z tym haniebnym starym zbrodniarzem, twoim spólnikiem wyrzekli, jest mi znane. Cienie na ścianach podsłuchały wasze szepty, i doniosły je do mych uszu; widok tego tak niewinnie prześladowanego chłopczyny zbrodnię samą litością natchnął, i nadał jéj odwagę, i śmiałość, a nawet i wszelkie przymioty cnoty.

Zbrodnia została popełnioną, w któréj jeżeli nieczynny, to przynajmniéj moralny masz udział.

— Nie, nie! — odparł Monks, — ja ani słówka o téj zbrodni nie wiedziałem. Chciałem się właśnie dowiedzieć o prawdziwości tego wydarzenia, o którém wieści wszędzie krążą, kiedy mię ludzie twoi schwytali. Nie wiedziałem nic o przyczynie tego zabójstwa; sądziłem że ono było skutkiem zwykłéj kłótni.

— Przyczyną tego zabójstwa było częściowe wykrycie twoich tajemnic, — odpowiedział Brownlow. — Czy chcesz mi teraz wszystko wyjawić?

— Wyjawię! wyjawię!

— Czy powtórzysz twoje wyznania w obec świadków i podpisem swoim je stwierdzisz?

— Przyrzekam i to uczynić.

— Zostańże zatém w tém pokoju spokojnie, dopokąd podobny akt urzędowy spisanym nie zostanie; czy mi przyrzekasz, że mi w to miejsce towarzyszyć będziesz, które w celu podpisania tego aktu za najstósowniejsze uznam.

— Jeżeli tego koniecznie odemnie wymagać będziesz, więc i to uczynię, — odpowiedział Monks.

— Musisz jeszcze coś więcéj uczynić, — rzekł Brownlow. — Musisz całą stratę wynagrodzić owemu niewinnemu i poczciwemu chłopcu; gdyż on nim jest, pomimo to życie nędzne, haniebne, do którego go zmuszono. Spodziewam się, iżeś jeszcze zatrzymał w pamięci rozporządzenie ojca względem niego w zniszczonym przez ciebie testamencie zawarte. Starajże się go dopełnić tak dalece, o ile to się twego brata dotycze, a potém sobie będziesz mógł pójść, gdzie ci się będzie

podobało. Mam nadzieję, że się w tém życiu oba więcéj niezobaczemy.

Kiedy Monks w przykrych myślach pogrążony, krokiem szerokim po pokoju się przechodził, i nad tém dumał, czyliby nie można jakim sposobem tego wszystkiego uniknąć, ... miotany bojaźnią i trwogą z jednéj strony, a nienawiścią najsroższą z drugiéj, ... drzwi się nagle otworzyły, a pan Losberne wpadł przez nie do pokoju w nadzwyczajném wzburzeniu.

— Ten człowiek zostanie schwytany, — zawołał. — Téj nocy jeszcze schwytany zostanie!

— Kto, zbójca? — zapytał Brownlow.

— Tak jest, tak jest! — odpowiedział lekarz. — Widziano jego psa błąkającego się koło jąkiegoś starego zapadłego domu; nie ma zatém żadnéj wątpliwości, że i jego pan albo już jest, albo też wktótce będzie w téj kryjówce; zapewne czeka na zmrok wieczorowy. Wysłano ajentów tajnych na wszystkie strony; mówiłem nawet z tym urzędnikiem, którego na schwytanie go wysłano, a ten mię najświęciéj zapewnił, że im teraz żadną miarą umknąć nie może. Rząd obiecał sto funtów nagrody za jego schwytanie.

— Ja jeszcze pięćdziesiąt dołożę, — zawołał Brownlow, — i zapowiem to mojemi własnemi usty, jeżeli się pomiędzy lud będę mógł dostać. Gdzie jest Maylie?

— Skoro tylko Henryk twego przyjaciela oto wraz z tobą w powozie zobaczył, ... udał się jak najśpieszniéj do domu, — odpowiedział lekarz, — kazał sobie natychmiast konia okulbaczyć i pogonił cwałem w to miejsce, w którém się zbójcę schwytać spodziewają, aby swoją obecnością ludzi zachęcić.

— Cóż się z Żydem stało? — zapytał Brownlow.

— W tedy, kiedym się o niego wywiadywał, nie był jeszcze schwytanym; spodziewano się jednak, że to wkrótce nastąpi, a może już jest téj chwili.

— Cóż, czyś się już namyślał? — zapytał Brownlow po cichu Monksa.

— Tak jest, — odpowiedział Monks; — czy...... czy.... mię niewydasz?

— Nie, ... niewydam. Zostań tutaj spokojnie dopokąd niepowrócę. Jest to jedyny środek do uratowania ciebie.

I natychmiast wraz z lekarzem izbę opuścił, a drzwi za nimi zamknięto.

— Cóżeś wskórał? — zapytał go lekarz szepcząc.

— Wszystko, com chciał, a nawet i więcéj jeszcze. Zebrawszy wszystke wiadomości, którem od owéj nieszczęśliwéj dziewczyny otrzymał, i połączywszy je z tém, com już poprzód o téj całéj sprawie wiedział, i temi doniesieniami, które nasz przyjaciel na miejscu samém osięgnąć zdołał, takem go do kąta przyparł, że mi w żadną stronę umknąć, ani téż z rąk się wyśliznąć nie mógł; rozwinąłem przytém przed jego oczyma cały obraz podłości i nikczemności haniebnéj, tak jasnéj jak słońce. Trzeba będzie w miejsce wiadome napisać i jako godzinę schadzki siódmą wieczorem oznaczyć. Będziemy wprawdzie o parę godzin pierwéj tam być musieli, wypadnie nam bowiem cokolwiek odpocząć, a szczególnie naszéj młodéj dziewczynie, która *może* daleko więcéj stałości i mocy nad sobą potrzebować będzie, jak my obaj téj chwili przewidzieć możemy. Krew mi jednak w żyłach kipi z żądzy pomszczenia owéj

nieszczęśliwéj dziewczyny, tak haniebnie zamordowanéj. W którąże stronę wszyscy się udali?

— Udaj się panie, wprost do urzędu policyjnego, a na czas jeszcze przybędziesz, — odpowiedział Losberne. — Ja tymczasem tutaj pozostanę.

Obaj panowie rozłączyli się śpiesznie ze sobą, oba w nieokreślonéj gorączce i wzburzeniu.

ROZDZIAŁ XXI.

Pogoń i ucieczka.

W małéj odległości od owego miejsca nad brzegami Tamizy, na którém kościół w Rotherhithe stoi, ... budowle na brzegach są najbrudniejsze, statki na rzece najczarniejsze z pyłu węglowego i dymu ciasno pobudowanych, nizkich, lichych chat, istnieje po dziś dzień jeszcze bardzo wielka ilość owych najbrudniejszych, najszczególniejszych, najdziwniejszych zakładów, w które Londyn tak hojnie obfituje, a które większéj części mieszkańców nawet z imienia nie są wcale znane.

Aby się do tego miejsca dobić, trzeba się przedzierać przez cały błędnik brudnych, ciasnych, ciemnych, nieczystych uliczek, zamieszkanych przez motłoch najniższy, najuboższy, najnędzniejszy i najniebezpieczniejszy, poświęcony przekupowi wszelkiego rodzaju, jak się właśnie trafi.

W kramach i sklepikach można widzieć żywności najlichsze, najgorsze i najplugawsze; ubiory stare, wytarte, łachmany prawdziwe wiszą w sklepach tandyciarzy, powiewają na oknach i drzwiach ich jam i pieczar. Tłumy zbite robotników bez roboty, rębaczy bez zarobku, drążników bez ciężarów, węglarzy bez węgli, kobiet obszarpanych, bezczelnych, dzieci nędznych, łachmanami pokrytych, słowem ludzi do właściwego wyrzutu ludności nadbrzeżnéj Tamizy należących, utrudzają nieskończenie idącemu drogę; widok rzeczy najobrzydliwszych, zapach cuchnący z pobocznych uliczek i przechodnich sieni w prawo i lewo się rozchodzący, razi nieprzyjemnie oko i nos, a turczenie, dźwięczenie ciężkich wozów, rozwożących skrzynie i paki olbrzymie towarów ze składów nadbrzeżnych do miasta, w każdym kąciku prawie słyszeć się dające, powiększa ten gwar i wrzawę nieustannie tutaj panującą, i zagłusza człowieka.

Jeżeli się nakoniec przez ten tłum i gwar przebić uda, i dojdzie do najodleglejszych, najbezludniejszych uliczek i zakątków z tych wszystkich, przez które się dotąd przechodziło, otaczają nas po obu stronach ulicy domy liche spustoszałe, zapadające się i na ulice pochylone ściany, mury popękane, popadane, co chwila upadkiem grożące, kominy, na pół już poburzone, okna powybijane, pozalepiane, deskami lub téż prętami żelaznemi, z rdzy, brudu na pół już zjedzonemi pozabijane, i wszelkie oznaki ubóstwa, zniszczenia i zaniedbania, jakie tylko wyobraźnia najbujniejsza przedstawić sobie może.

W takiém to sąsiedztwie, z tamtéj strony Dockhead

w Borough of Southwark leży tak zwana wyspa Jakuba, otoczona w koło błotnistym kanałem, sześć do ośmiu stóp głębokim, a pietnaście do dwudziestu szerokim, i podczas powodzi brudną wodą się napełniającym, który się niegdyś zwał młyńską groblą, a teraz pod nazwiskiem Folly Ditch (błotnisko) jest znany. Stanowi on niejako małą Tamizy zatokę, a w razie potrzeby może być każdego czasu wodą napełnionym, jeżeli się szluze młyńskie, Leak-Mills zwane, od których nawet poprzód nazwisko swoje nosił, opuści.

Jeżeli w takim czasie ktoś obcy na jednym z owych drewnianych mostków, do młynu i ulicy młyńskiéj przez ten kanał wiodących stanie, i na dół spojrzy, widok szczególny, nadzwyczajny oku jego zdumiałemu się przedstawi. Zobaczy bowiem nędznych mieszkańców tych nędzniejszych jeszcze domów po obu stronach kanału, którzy, wychyliwszy się przez okna, drzwi tylne, i otwory wszelkiego rodzaju, konwie, dzbanki, garnki, naczynie domowe wszelkiego rodzaju na dół spuszczają, aby tę brudną wodę w nie uchwycić; a jeźli oko jego na owe domy same się zwróci, w tedy widowisko, które przedstawiają, zadziwieniem niewypowiedzianém go ogarnie.

Drewniane ganki, spruchniałe, popsute, łączące tyły kilkunastu naraz domów, opatrzone dziurami przez które na to jezioro błota na dole spoglądać można; okna połamane, potłuczone, pozalepiane, deskami pozabijane z żerdziami i drążkami wystającemi na suszenie bielizny, któréj nigdy na nich nie było; izby tak wązkie, nizkie, ciasne, zimne, że powietrze w nich tak zepsute, a zaducha tak wielka panuje, iż wyziewy zewnętrzne nawet

przewyższa;.. drewniane ściany, pochylające się już nad to błotnisko stojące, i grożące w niego upadkiem każdéj prawie chwili; .... ściany brudne, popadane fundamenta się zawalające, wszelkie najohydniejsze, odrażające znamiona ubóstwa, ... wszelkie oznaki spustoszałości, zgnilizny, nieczystości, plugawego brudu; .... to wszystko stanowi jeden obraz odrażający, zdobiący brzegi kanału Folly-Ditch.

Składy znajdujące się na téj wysepce Jakuba są wszystkie bez dachu i próżne; ściany pruchnieją, gniją, rozpadają się, ... okna nie mają żadnych okien; .... drzwi powypadały i na ulicy leżą, kominy są wprawdzie pobielone, ale najmniejszy dymek z nich się nieunosi. —

Przed trzydziestu do czterdziestu laty, budowle te nie były w tym stanie zaniedbania i spustoszałości, a to miejsce było siedliskiem wielkiego ruchu przekupowego; lecz teraz jest ono wyspą opuszczoną, pustą, nędzną.

Domy nie mają ni czynszowników, ni właścicieli; .. ci co mają na tyle odwagi do nich wejść, w nich mieszkać, żyć i umierać, ci je gwałtem odbijają, i siedlisko swoje w nich obierają; jeżeli ktoś schronienia i przytułku na wyspie Jakuba szukać przychodzi, zmuszają go do tego z pewnością bardzo ważne przyczyny, albo konieczność niezbędna ukrywania swego pobytu, albo téż wysoki stopień niedostatku i nędzy.

W izbie na wyższém piętrze leżącéj jednego z tych domów, ... domu stojącego samotnie, który z wielu względów nadzwyczaj spustoszały wyglądał, lecz drzwi i okna mocno obwarowane posiadał, a tylnią swoją stroną na sposób wzwyż opisany do owego bło-

tnistego kanału przypierał, — siedziało w głębokiém i ponurém milczeniu trzech ludzi, którzy co chwila jeden na drugiego spoglądali, a potém z wyrazem nadzwyczajnéj trwogi, niespokojności i obawy oczy od siebie odwracali.

Jednym z tych trzech był zuchowaty Tobiasz Crackit, drugim pan Tomasz Chitling, a trzecim również zbrodniarz w podeszłym już wieku, pięćdziesiąt lat blizko mający, któremu nos w jakiejś utarczce dawniéj zapewnie spłaszczono, a którego oblicze blizna szeroka, obydna zdobiła, będąca według wszelkiego podobieństwa skutkiem walki śród podobnych okoliczności.

Był to zbrodniarz, który przed wielu laty na deportacyą skazany, w tych dniach właśnie tajemnie powrócił: ten człowiek zwał się Kags.

— Byłbym sobie jak najszczerzéj życzył, — ozwał się Crackit do swego dawnego towarzysza Chitling, — żebyś sobie inne gniazdo był wyszukał, kiedy wam tamte dwa starsze za nadto podkurzono, a nie przychodził tutaj do nas, mój młody paniczu!

— Czegożeś tego nie uczynił, wołowa głowo? — zawołał Kags.

— Ja myślałem, że wam moim widokiem wielką przyjemność sprawię, — odpowiedział z nadzwyczajną smętnością Chitling.

— Bo to trzeba ci wiedzieć mój młody paniczu,— ciągnął daléj Tobijasz, — że jeżeli który człowiek takie życie samotne wiedzie jak ja naprzykład, i z tego powodu tak był szczęśliwym pozyskać kącik, w którym sobie swobodnie i spokojnie mieszkać może, nie znany całemu światu, tak że go nikt nie śledzi, nikt do niego

potajemnie niezagląda, jest to rzeczą bardzo nieprzyjemną dla niego zostać zaszczyconym odwiedzinami młodego panicza w twojém położeniu, jakkolwiek on zresztą osobą jak najprzyjemniejszą i najzacniejszę być może, z którą w karty czasami zagrać przyzwoitości się niesprzeciwia.

— Szczególnie, jeżeli ów samotnie żyjący młody człowiek ma przyjaciela, wraz z nim mieszkającego, który z odległych krain daleko pierwéj powrócił, jak się go spodziewano, i za nadto jest skromnym, aby się tém życzeniem mógł pieścić, żeby go za powrotem swoim sędziom przedstawiono, — dodał Kags.

Po téj przemowie nastąpiła chwila milczenia, a Tobiasz Crackit, który wszelką nadzieję utracił zmienienia raz powziętego postanowienia pana Chitling, i oraz wszelką ochotę do użycia swych zwyczajnych przesad i przenośni w mowie, rzekł do niego....

— Kiedyż Fagina uwięziono?

— Właśnie podczas obiadu, ... o drugiéj godzinie po południu, — odpowiedział Tomasz. — Karolek i ja uciekliśmy przez komin w praczkarni, a Bolter wpadł do beczki na wodę głową naprzód, ale że nogi ma tak nadzwyczajnie długie, iż mu z beczki wystawały, spostrzeżono go tedy, i równie z innemi do więzienia zaprowadzono.

— Cóż się z Betsy stało?

— Biedna Betsy! Poszła zobaczyć zabitą Nancy i powiedzieć, kto ona jest, — odpowiedział Chitling ze smutkiem coraz bardziéj wzrastającym, — lecz na widok trupa pomięszania zmysłów dostała, zaczęła krzyczeć, wrzeszczeć, płakać, głową bić o mur, tak że ją

w końcu w kamizolę ubrać i do szpitalu zaprowadzić musieli, ... gdzie teraz zostaje.

— A gdzież się Bates podział? — zapytał Kags.

— Ze zmrokiem wieczoru i on tutaj przybędzie, lecz do tego czasu błąka się po świecie, gdzie może, — odpowiedział Chitling. — Nie ma żadnego miejsca tak bezpiecznego, gdzieby się mógł udać, gdyż ci pod trzema kalekami wszyscy już w więzieniu siedzą, a w domu całym pełno posiepaków; .... idąc tamtędy, widziałem to na moje własne oczy.

— Obława nielada, — zauważył Tobiasz i zagryzł wargi. — Oni nie jednego jeszcze złowią.

— Teraz właśnie nadchodzi czas sądów, — rzekł Kags, — wezmą się zatém natychmiast do téj całéj sprawy; a jeżeli Bolter świadectwo przeciwko Faginowi złoży, co z pewnością uczyni, gdyż on już o tém parę słów bąknął; ... a jego świadectwo będzie bardzo ważne, gdyż go Fagin do różnych poleceń używał; .... to Fagin za pięć dni najdaléj w powietrzu dyndać będzie, przysięgam na Boga!

— Trzeba wam było tylko słyszeć wrzask i zgiełk rozjuszonego ludu, — ozwał się Chitling; — policyjanci musieli się bronić jak djabli, inaczéj by go byli rozszarpali. Już go nawet raz schwycili, ale posiepacy utworzyli koło koło niego i tak go pomiędzy sobą, bijąc się przez całą drogę z ludem, aż do urzędu zaprowadzili. Trzeba wam było widzieć, jak on w koło na wszystkich spoglądał, zbłocony, zakrwawiony, jak on się do nich tulił, jakby to jego najszczersi przyjaciele byli. Jeszcze go widzę przed oczyma, nie mogącego się ze wstydu

na nogach utrzymać dla cisnącego się ustawicznie tłumu, który go i pośród policyjantów dosięgnąć i dotknąć umiał; widzę jeszcze przed oczyma pospólstwo, spinające się jedno na drugie, zgrzytające zębami, i łaknące jego życia, niby czereda drapieżnych źwierząt; widzę jeszcze krew skrzepłą na jego włosach i brodzie, i słyszę ten wrzask okropny, te przeklęcia, z jakim się kobiety w środek, pomiędzy żołnierzy, za nim w uliczkach ciasnych rzucały, i przysięgały, iż mu serce z piersi wydrą.

Ten świadek naoczny, zgrozą owego widowiska przerażającego przejęty, zatkał sobie uszy rękoma, zamknął oczy, i zaczął biegać po całéj izbie, gdyby szalony.

Kiedy się to działo, a obaj słuchacze Tomasza w milczeniu, z oczyma w ziemię wlepionemi, drżący, ze zgrozą i przestrachem siedzieli, dał się słyszeć nagle szmer cichy na schodach, a pies Billa wpadł niespodziewanie pomiędzy nich.

Na ten widok wszyscy trzéj struchleli, i poskoczyli razem najprzód ku oknu, potém po schodach nadół i drzwiami na ulicę. Pies musiał jakim sposobem przez dziurę w murze się wkraść; pana jego jednak nigdzie widać niebyło.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał Tobijasz, gdy powrócili, niepostrzegłszy nigdzie Billa.

— Przecież on niemyśli przyjść tutaj do nas!...... Nie....spodziewam się tego.

— Gdyby miał był chęć przyjść tutaj do nas, byłby wraz z psem przybył, — rzekł Kags, zatrzymawszy się koło psa na ziemi leżącego i mocno dyszącego, aby się

mu dobrze przypatrzeć. — Niema tu gdzie wody dla niego? zdaje się iż sam jeden z daleka przybyć musiał.

— Radbym wiedział, zkąd on tylko mógł przybyć! — zawołał Tobijasz. — Musiał on już wszystkie kryjówki nasze w mieście zwiedzić, a znajdując wszędzie pełno obcych, przybiegł w końcu i tutaj, gdzie nieraz z *nim* przez długi czas ukrywać się musiał. Lecz z kąd najprzód przybył, to wielkie pytanie; z kąd on mógł przybyć, sam jeden, bez niego.

— On....(gdyż nikt zbójcy po jego nazwisku nienazywał;) on go z pewnością z sobą wziąść niechciał! Cóż myślisz na to? — ozwał się Chitling.

Tobijasz pokręcił głową.

— Mógłby także psa wysłać, aby wyszpiegował, gdzie najbezpieczniéj, i potém go przyprowadził. Ale nie! Mnie się zdaje, że on kraj musiał opuścić, — rzekł Kags, — przez morze się już przeprawił, i nam tu psa na pamiątkę zostawił. Musieli się z pewnością z sobą rozstać, inaczéj by tu tak spokojnie niesiedział.

To przypuszczenie zdawało się wszystkim najpodobniejsze do prawdy, i przez wszystkich ogólnie przyjęte zostało, a pies sobie wlazł tymczasem pod krzesło, i ułożył spokojnie do spania, niezważając na żadnego z nich.

Gdy się w końcu zupełnie zciemniło, pozamykano okienice, zaświecono świecę, i postawiono ją na stole.

Wypadki okropne ostatnich dwóch dni napełniły serca wszystkich trzech przestrachem i zgrozą, którą niebezpieczeństwo i niepewność własnego ich położenia jeszcze bardziéj powiększało. Wszyscy trzéj się

coraz to bliżéj z krzesłami to siebie przysunęli i za każdym szmerem przerażeni z nich zrywali.

Żaden z nich ani słówka niewyrzekł, a jeźli który się kiedy odezwał, to po cichu, szepcąc; wreszcie tak cicho i spokojnie z przestrachu siedzieli, jakby duch zabitéj po domu się błąkał.

Przez długi czas w tém położeniu zostawali, kiedy się nagle głośne pukanie do bramy słyszeć dało.

— Zapewnie Karolek Bates, — zawołał Kags, oglądając się szybko koło siebie, aby bojaźń odpędzić, która go pochwyciła.

Pukanie do drzwi się powtórzyło. Nie, to nie mógł być Karolek. On nigdy tak mocno do drzwi niestukał.

Crackit zbliżył się do okna, otworzył i wychylił na dwór głowę. Gdy od okna odskoczył, niepotrzebował towarzyszom swoim ani słówka wspominać, kto się dobywa;....jego twarz wybladła, wylękniona, dostatecznym była zwiastunem. I pies się także ze swego miejsca zerwał i wyjąc ku drzwiom pobiegł.

— Musimy go koniecznie wpuścić, — rzekł biorąc za świecę.

— Czy niema na to jakiego sposobu? — zapytał drugi głosem cichym.

— Nie,....niema,....my go koniecznie wpuścić musimy.

— A więc niezostawiaj że nas w ciemności!

Zawołał Kags, zdejmując drugą świecę z kominka, i zapalając ją ręką tak drżącą, że po dwakroć jeszcze zapukano, nim on ją zapalić zdołał.

Crackit zeszedł po schodach na dół, aby drzwi otworzyć i powrócił w kilka chwil do izby w towarzy-

stwie człowieka, mającego dolnią część twarzy w chustce ukrytą, a drugą chustką głowę pod kapeluszem zawiązaną.

Pomału jednę i drugą odwiązał, i pokazał.....twarz bladą jak chusta, lica zapadłe, oczy głęboko w dole,... brodę z trzechdniowym zarostem,....spojrzenie błędne, ...oddech ciężki, stłumiony.... Był to tylko cien prawdziwy dawnego Billa Sikes.

Wszedłszy do izby, chwycił za krzesło stojące na samym środku; wzdrygnął się jednak gdy na niém chciał usiąść, rzucił okiem przez ramię po za siebie, przysunął ono do ściany tak blizko,....tak blizko,....jak tylko mógł najbliżéj,....oparł o nią mocno, i dopiero usiadł.

Żaden dotąd ani słówka do niego nie przemówił.

W milczeniu okiem po wszystkich potoczył.

Jeżeli zaś przypadkiem oko którego z nich wejrzenie jego wtedy napotkało, zaraz się od niego z przestrachem odwróciło.

A gdy nakoniec głos jego grobowy milczenie panujące przerwał, wszyscy trzéj się wzdrygnęli.

Podobnego głosu jeszcze nigdy niesłyszeli.

— Zkąd się ten pies tutaj wziął? — zapytał.

— Przyszedł sam, przed trzema godzinami może... — odpowiedziano mu.

— Dzienniki dzisiejsze mówią, że Fagina schwytano.... Czy to jest prawda lub kłamstwo?

— Prawda!

I znowu milczenie przez chwilę panowało.

— Niech was wszystkich djabli wezną! — zawo-

łał Sikes, przesunąwszy ręką po czole. — Czy mi żaden z was niema nic do powiedzenia?

Ruch jakiś niespokojny pomiędzy nimi nastąpił, wszyscy jednak milczeli.

— Ty co tutaj rolę gospodarza domu odgrywasz, — ozwał się Sikes do Tobijasza Crackit, — cóż myślisz ze mną zrobić?....czy mnie wydać, lub też tak długo przechować, dopokąd ta burza nieprzeminie?

— Możesz tutaj pozostać, jeżeli sądzisz, że jesteś w tym domu bezpiecznym.

Odpowiedział zagadnięty po chwili namysłu i wahania.

Sikes zwrócił powoli swe oczy na ścianę po za sobą, i zapytał:

— Czy ona....czy ciało....już pochowane?

Trójca wstrzęsła głową.

— A dla czegóż nie? — zapytał Bill, rzuciwszy powtórnie to samo spojrzenie poza siebie. — Dla czegóż trzymają *podobne* bezeceństwa tak długo, i natychmiast *tego* niepochowają?..... A to co!.....któż to puka?

Crackit dał skinieniem ręki do poznania, że się niczego obawiać niepotrzeba, wyszedł natychmiast i powrócił niebawem z Karolkiem Bates.

Sikes siedział wprost naprzeciwko drzwi, tak że wchodzący chłopczyna natychmiast z jego spojrzeniem spotkać się musiał.

— Tobijaszu! — zawołał Karolek, cofając się w tył, gdy Sikes oczy swoje na niego zwrócił. — Tobijaszu, dla czegóżes mi tego na dole przy drzwiach niepowiedział?

Tak coś okropnego było we wzdrygnięciu się wszystkich trzech osób na te słowa, że ów człowiek groźny nawet tego chłopca chciał ze sobą pogodzić. Wtym celu kiwnął na niego głową, i wyciągnął rękę, aby mu dłoń podać.

— Zaprowadźcie mie do jakiéj innéj izby, — zawołał chłopiec odsuwając się jeszcze daléj od niego.

— Cóż to Karolku, — rzekł Sikes, zbliżając się do niego, — czy mię,....czy mię nieznasz?

— Nieprzybliżaj się do mnie, powiadam ci! — odparł chłopczyna, odskakując od niego, i spoglądając ze zgrozą w oku na twarz zbójcy. — Ty poczwaro piekielna!

Bill zatrzymał się w pół drogi, poczém obaj oczy w sobie wzajem utkwili; lecz Sikes opuścił pomału swe oczy na ziemię.

— Biorę was wszystkich trzech za świadków, — zawołał chłopczyna, grożąc mu ściśnioną pięścia swoją, i zapalając się coraz bardziéj w ciągu swéj mowy. — Biorę was wszystkich trzech za świadków,....że się go wcale nieboję,.... a jeżeli go tutaj szukać będą, to go natychmiast wydam;.... tak jest, ja to uczynię! Mówię wam to natychmiast z góry. Niechaj mię zabije, jeżeli się mu podoba, albo jeżli się na to odważy, ale ja jestem tutaj i natychmiast go wydam, jeżeli się w téj stronie po niego pokażą, i wydałbym go nawet, gdyby go żywcem spalić lub w smole usmarzyć miano...Zbójca! gwałtu! ratujcie! zbójca! Jeżeli wszyscy trzej niejesteście nikczemnemi tchórzami, to mi go schwytać pomóżcie! Zbójca! gwałtu! ratujcie! zbójca! Precz z nim!

Śród tego wrzasku głośnego, któremu ruch gwałtowny rąk i nóg towarzyszył, rzucił się ten chłopiec sam jeden, z gołemi rękami na tego silnego olbrzyma, i to z taką wściekłością, i z taką szybkością, że go przez swój napad niespodziewany na ziemię powalił.

Zdziwienie i przerażenie ogarnęło owych trzech świadków struchlałych.

Żaden jednak się nieruszył, aby któremu z nich przyjść w pomoc, a tak oni obaj, chłopiec i mężczyzna, tarzali się razem po ziemi; lecz chłopczyna, niezważając wcale na te ciężkie, potężne ciosy, które gradem na niego padały, nieprzestawał ani na chwilę na całe gardło wrzeszczeć, wołając o pomoc, i wbijając coraz silniéj, coraz głębiéj swe ręce w odzież i pierś zbójcy.

Walka ta była jednk za nadto nierówna, aby długo była trwać mogła.

Już się go Billowi pognębić i nogą przystąpić udało, kiedy Crackit nagle do niego przyskoczył, z przerażeniem w oku w tył go odtrącił i na okna pokazał.

Na dworze połyskiwały światła; szmer i hałas ludzi głośno z sobą rozprawiających, odgłos donośny stąpania ludu szybko biegnącego,.... a poznać było można po wrzawie, iż całym tłumem biegli, .. dał się coraz to bliżéj słyszeć;... już byli na drewnianym moście i wchodzili w ulicę.

Jakiś człowiek na koniu musiał być w tym tłumie, gdyż słychać było brzęk podków i tętęt konia po nierównym bruku ulicy;....światła coraz bardziéj się mnożyły, a stąpania, zgiełk i wrzawa coraz bardziéj się zbliżała.

Nakoniec zapukano głośno do drzwi od sieni, a

wrzawa głucha, chrypliwa głosów wściekłością pałających takiego mnóstwa ludu słyszeć się dała, żeby nawet najodważniejszy z ludzi był musiał zblednąć i zadrżeć.

— Ratujcie! gwałtu! pomocy! — wołał ciągle chłopiec głosem donośnym i przenikliwym. — On jest tutaj! on jest tutaj! Wyważcie drzwi! Wyważcie drzwi!

— W imie króla i prawa! — wołano z zewnątrz, a owa wrzawa głucha rosła i coraz to głośniejszą się stawała.

— Wybijcie drzwi! — wrzeszczał chłopczyna. — Mówię wam, że on ich sam dobrowolnie nie otworzy. Wybijcie drzwi, a potém prosto do téj izby, gdzie jest światło! Wybijcie drzwi!

Uderzenia ciężkie tysiącem drągów zadudniało w drzwi i okienice dolne, gdy Karolek mówić przestał, a głośne hurra! z tłumu się odezwało, ... dające słuchającym złoczyńcom po raz pierwszy dopiero dokładne wyobrażenie o wielkości krwi zbójcy łaknącéj czerni pospólstwa.

— Otwórzcie mi jaką dziurę, w któréjbym mógł zamknąć tego przeklętego wrzeszczącego chłopaka, — wołał Sikes w niewypowiedzianéj złości, biegając po izbie na wszystkie strony i wlokąc wszędzie chłopczynę za sobą, niby worek próżny. — Otwórzcie mi te drzwi! Żywo! śpieszcie się!

Drzwi mu otworzono;..... on rzucił chłopca do ciemnej izby, i zamknął drzwi na klucz.

— Czy drzwi od sieni są dobrze obwarowane?

— Zamknięte na dwie zasuwy i łańcuch.

Odpowiedział Crackit, który podobnie jak i jego dwaj towarzysze, przytomność utracił i wylękniony, przerażony, niewiedział co robić, czego się chwycić.

— A drzewo czy wytrzyma?

— Całe drzwi żelaznemi prętami wzmocnione.

— A okienice?

— I okienice także!

— Piekło na was!

Zawołał wtedy, pogroziwszy z wściekłością pięścią zgromadzonemu ludowi.

— Róbcie teraz, co się wam podoba, wy mnie jednak niedostaniecie.

Ucho ludzkie niesłyszało jeszcze nigdy takiego wrzasku groźnego, przerażającego, jaki teraz ten lud nagromadzony w zapalczywości swojéj zaciekłéj wydał. Jedni zaczęli na bliżéj domu stojących wołać, żeby najlepiéj dom cały podpalono; drudzy zaś na urzędników policyjnych, aby zbójcę zastrzelono. Żaden zaś z tego ludu rozjuszonego tak wielkiéj zapalczywości nieokazywał, jak jeździec, który z konia zeskoczył, przez tłum się z taką lekkością przecisnął, jakby przez wodę brnął i płynął, a dobiwszy się do owego domu, głosem wszystkie inne przygłuszającym zawołał:

— Dwadzieścia gwinej temu człowiekowi, który drabinę przyniesie!

Najbliżsi powtórzyli tę objetnicę, a tysiące odgłosów ją odbiło.

Jedni o drabiny wołać zaczęli; drudzy młotów się domagali; inni zaś biegali to w tę to w ową stronę z pochodniami, szukając niby za temi rzeczami, i powracali potém na dawne miejsce i wrzask ów powtarzali;

inni znów wysilali się miotając okropne przekleństwa i bezskuteczne groźby;.... wielu z nich cisnęło tłum cały naprzód ku domowi z zapalczywością wściekłą szaleństwa i przeszkadzało przez to, że nic skutecznego niemożna było przedsięwziąść;.... inni znów śmielsi i odważniejsi od wszystkich starali się po ścianie do góry wdrapać, lub też dom obejść i ze strony od kanału przez otwory i szczeliny różne w domu do niego się dostać; lecz tłum cały się chwiał w ciemności to w tę to w owę stronę, podobien do łanu żyta, którym wiatr silny, burzliwy, porusza, odzywając się bardzo często wściekłém, przeraźliwém wyciem.

— Kiedym przyszedł był upływ morza, — zawołał zbójca, odskoczywszy od okna i spojrzawszy z przerażeniem na wybladłe oblicza swych towarzyszy; — upływ morza był właśnie, kiedym przychodził. Czy niemacie sznura,....długiego sznura?.... Oni są wszyscy na przodzie. Ja się spuszczę z tyłu do Folly Ditch i umknę kanałem...Dajcie mi sznura, czy słyszycie, albo trzy zabójstwa jeszcze popełnię, a w końcu i siebie samego na tamten świat wyślę.

Tobijasz Crackit, struchlały, skamieniały, wskazał mu miejsce, na którém podobne zasoby leżały, a zbójca rzucił się natychmiast na nie, wybrał sobie śpiesznie najdłuższy, najmocniejszy, i pogonił schodami na szczyt domu.

Wszystkie okna w domu całym były na kilka godzin przedtém zabite, mocno zatarasowane, wyjąwszy jedno okienko małe w téj komorce, do którego Sikes Karolka zamknął; lecz to było tak małe i wązkie, żeby nawet i jego ciało niebyło się przez niego przecisnąć mogło.

Ale on niéprzestawał ani na chwilę i przez ten otwór mały na lud zgromadzony krzyczeć, ażeby i tylnego czoła domu pilnie strzeżono; a kiedy zbójca z izby wypadł, aby się na szczyt domu udać, i potém na dół spuścić, krzyk głośny zapowiedział natychmiast ten wypadek ludziom na przodzie stojącym, którzy się w okamgnieniu w tamtą stronę rzucili, i strumieniem nieprzerwanym jeden cisnąc drugiego, ku kanałowi śpieszyli.

Sikes, wypadając z izby, podparł drzwi od niéj drążkiem drewnianym, który z sobą w tym celu zabrał, tak mocno, żeby je żadną miarą z wewnątrz niebyło otworzyć można, 'a to dla tego, aby jego trzem towarzyszom przypadkiem na myśl nie wpadło go zdradzić i drzwi od sieni otworzyć, a potém się wpiął po schodach do góry na dach i spojrzał na dół.

W kanale niebyło już wody, tylko pełno mułu i błota.

Tłum cały milczał przez te kilka chwil, tłumiąc w sobie wzruszenie i niepewny pomyślnego skutku; lecz w chwili, kiedy go spostrzegł na dachu i poznał, iż mu umknąć już niemoże, wydał taki okropny okrzyk radości, wesela i przekleństwa, że te wszystkie dotychczasowe wrzaski szeptem jedynie cichym w porównaniu z nim być się zdawały.

Ten wrzask coraz bardziéj się powiększał; ci co byli w zanadto wielkiéj odległości, aby mogli byli słyszeć o co rzecz chodzi, powtórzyli ten wrzask, który się w tysiącznych odgłosach coraz daléj rozlegał; zdawało się, że całe miasto swoję ludność tutaj wysłało, aby go strzedz i pilnować.

Z ulicy coraz więcéj ludu przypływało i na przodzie stojących cisnęło, a cały tłum stanowił jedną, zbitą gromadę, składającą się z samych gniewem i zapalczywością pałających twarzy, które tu i ówdzie jarząca się pochodnia oświecała.

Pospólstwo zapełniło także wszystkie domy na przeciwnym brzegu kanału;....pootwierano wszystkie okna, okienka i najmniejsze otwory, a z każdego wyglądała głowa po nad głową nakupionego narodu, a gromady całe wpięły się na dachy, i patrzyły na to widowisko.

Każdy mostek,....a było ich trzy w téj stronie,.... uginał się pod ciężarem nagromadzonego na nim pospólstwa, a strumień przpływających ciągle się mnożył, a każdy szukał gdzie jakiéj szparki małéj, przegrody, otworu, aby oko przytknąć i choćby na chwilę owego złoczyńcę na dachu dostrzedz.

— Teraz go już mają! — zawołał człowiek, stojący najbliżéj mostu. — Hurra!

Cały tłum powtórzył jednogłośnie radośne Hurra!

— Przyrzekam temu pięćdziesiąt funtów nagrody, — zawołał staruszek również na moście stojący, — kto mi go żywcem schwyta. Ja pozostanę tutaj na miejscu, dopokąd mi o tém donieść i nagrody odebrać nie przyjdzie.

Wrzask powtórny dał się słyszeć téj chwili.

Wieść się pomiędzy tłumem rozeszła, iż drzwi nakoniec wyważono, a ten co pierwszy o drabinę wołał, najpierwszy w padł do izby.

Na tę wiadomość z ust do ust przechodzącą, ciżba się zmniejszyła, potok cały przypływającego ciągle ludu nagle się odwrócił, a ludzie przez okna z domów wy-

glądający, widząc że tłum na moście się rozsypuje i ku ulicy biegnie, porzucili swe stanowiska, wybiegli na ulicę i połączyli się z tłumem, cisnącym się w największém zamieszaniu w to miejsce na powrót, które przed chwilą dopiero opuścił, każdy cisnąc się, potrącając, roztrącając drugich, a wszyscy dobijając się jak najbliżéj przy drzwiach stanąć i widzieć, jak urzędnicy policyjny zbrodniarza z domu wyprowadzą.

Zgiełk, wrzask, krzyk przeraźliwy tych, których w téj ciżbie zaduszano, albo też w zamięszaniu tak wielkiém na ziemię powalono i nogami na śmierć prawie deptano, był okropny; wszystkie uliczki były ludem nabite, zatkane, zatarasowane; a kiedy jedni się cisnęli, aby dawne swoje miejsca w pobliżu domu na ulicy zająć, a drudzy nadaremnie wszystkich sił swoich dobywali, aby się z téj duszącéj ciżby wydobyć, uwaga powszechna odwróciła się tymczasem od zbójcy, lubo ogólne pragnięnie schwytania go jeszcze bardziéj się wzmogło, jeżeliby to było podobném.

Zbójca, który już z rozpaczy na dachu usiadł, niewiedząc co począć na widok téj srogości zapalczywéj rozjuszonego tłumu i niepodobieństwa ucieczki, spostrzegłszy tę zmianę nabrał otuchy, zerwał się szybko na nogi, i postanowił wszystkich sił dobyć, aby ostatniego sposobu zbawienia swego życia doświadczyć, spuszczając się na dół w kanał, i pomimo grożące niebezpieczeństwo uwięźgnięcia w mule i błocie, z ciemności nocnéj i ogólnego zamięszania korzystać, aby zamysł swój do skutku przyprowadzić.

Nadzieja dodała mu odwagi i siły, a wrzawa po za domem coraz bardziéj się wzmagająca, i przekonywu-

jąca go, że drzwi już w istocie wyważono i prześladowcy jego już po schodach do góry gonią, niepozwoliła mu długiego namysłu i zmusiła go do przedsięwzięcia ostatniego kroku zbawienia.

Szybko tedy ku kominowi poskoczył, jeden koniec sznuru jak najmocniéj do niego przymocował, na drugim zaś kluczkę za pomocą rąk i zębów zrobił, co wszystko w okamgnieniu się stało. Na tym sznurze mógł się spuścić na dół tak daleko, że tylko kilka stóp miał jeszcze do ziemi;.....przygotował sobie zatém nóż, i wziął go w zęby, aby się natychmiast w porę odciąć.

Téjże saméj chwili, kiedy zbójca ową kluczkę przez głowę najprzód przesunął, aby się nią potém pod pachami opasać, a staruszek wzwyż wspomniony, — który się mocno poręczy od mostu uchwycił, aby się tém silniéj naciskowi tłoczącego się ludu oprzeć i stanowisko raz zajęte zatrzymać,.....ludzi koło niego stojących ostrzegać zaczął, iż zbójca się z dachu spuścić zamyśla,...téjże saméj chwili Sikes obejrzał się po za siebie, wzniósł ręce ponad głowę, i wrzasnął ze zgrozy i przerażenia.

— Znowu te oczy! — zawołał głosem chrypliwym, gasnącym!

Gdyby piorunem rażony zachwiał się na dachu, stracił równowagę, potoczył się w dół i spadł na dół; owa kluczka znajdowała się wtedy właśnie na szyi, a ciężar jego ciała wyprężył sznur tak, że ta kluczka w oka mgnieniu koło jego szyi się zdziergnęła.

Spadł z wysokości trzydzieści pięć stóp wynoszącéj.... Jedno nagłe drgnięcie sznuru,.... jedno drgnięcie

kurczowe jego członków,.....i już wisiał,.....z nożem otwartym w ręce ściśnionéj, strętwiałéj.

Stary komin zachwiał się na to wstrząśniecie, lecz walecznie ono wytrzymał.

Zbójca zaduszony kołysał się w powietrzu po przed ścianą, a chłopczyna, któremu widok zakrywał, odtrącił go na bok, i wołał z całéj siły na zgromadzonych ludzi, aby go na miłość Boga z téj pieczary uwolnili.

Pies, który dotąd spokojnie na dachu leżał, zaczął teraz z okropnym wyciem po nim na wszystkie strony biegać; nakoniec się przysadził i skoczył na barki powieszonego. Lecz skoczywszy stracił podporę i spadł na dół, przewrócił kozła w powietrzu i padłszy na ziemię, łbem o kamień wystający uderzył, i na miejscu się zabił.

ROZDZIAŁ XXII.

Wykrycie nie jednéj tajemnicy.

W dwa dni po wypadkach, w poprzednim rozdziale przytoczonych, Oliwer usiadł koło trzeciéj godziny po południu w powozie podróżnym, który się do jego miasta rodzinnego z nim potoczył.

Pani Maylie, Rózia, pani Bedwin i poczciwy lekarz mu w téj wycieczce towarzyszyli, a pan Brownlow jechał za nimi w pocztowym powozie, w towarzystwie drugiéj osoby, któréj nazwiska jeszcze niewspomniano.

Przez całą drogę żadne ani słówka nierzekło, albowiem sercem Oliwera trwoga i niespokojność nadzwyczajna miotała, i pozbawiała go wszelkiéj władzy zebrania swych myśli, a wskutek tego i mówienia; zdawało się iż ten stan umysłu i na towarzyszów jego wielki wpływ wywrzeć musiał, gdyż i oni zadumani, w rozmyślaniu zatopieni, milczeli.

Brownlow obznajomił wprawdzie tak jego jak i panią Maylie i Rózię z temi wyznaniami, które mu się od Monksa przemocą prawie wydobyć udało, a lubo wszy-

stkim wiadome było, że ta podróż teraźniejsza zdążała jedynie do uzupełnienia tego dzieła, które tak dobrze i pomyślnie rozpoczęto, cała ta sprawa taką jednak tajemniczością i wątpliwością osłoniona była, że ich ciekawość i niepewność największa jeszcze udręczała.

Tenże sam tkliwy przyjaciel przeciął za pomocą poczciwego pana Losbern drogę wszelkim wiadomościom, któreby ich z wypadkami ostatniemi i groźnemi obznajomić były mogły.

— Prawda, — rzekł, — że oni się o wszystkiém czy to prędzéj, czy późniéj dowiedzieć muszą, wolemy jednak oczekiwać na to pomyślniejszego czasu, tak żeby im ta wiadomość za nadto przykrą i bolesną się niestała.

Tak więc cicho, w najgłębszém milczeniu jechali, każde zajęte myślami swojemi o tym przedmiocie, który ich tutaj razem sprowadził, a żadne niewyjawiając tych myśli, które się nad wszystkiemi unosiły.

Jeżeli zaś Oliwer śród tych okoliczności milczał, jadąc do swego rodzinnego miejsca gościeńcem, którego nigdy niewidział, ileż natomiast wspomnień dawniejszych czasów przez jego pamięć przebiegnąć, ile uczuć burzliwych w jego piersi obudzić się musiało, gdy się nakoniec na drogę zwrócili, którą niegdyś jako biedny, żebrzący chłopczyna, piechotą przebył, niemając nigdzie ani jednego przyjaciela, któryby mu chciał był pomoc udzielić, lub też kącika, w którymby głowę swoję mógł był złożyć.

— Chciéj panna oto popatrzeć, tam!....tam!....— zawołał biedny chłopczyna, chwytając żywo Rózię za rękę, i wskazując przez okienko od powozu; — oto

jest przełaz, przez którym przeskoczyć musiał, a tam oto owe płoty, za którymi się kryjąc uciekałem, z obawy, aby za mną niegonili i mię przypadkiem nieschwytali; a tam oto jest ścieżka prowadząca przez pola do owego zakładu, w którym mię dziećkiem małém będąc, chowano. Ach Diku! Diku! ty mój przyjacielu drogi! gdybym cię też choć raz jeszcze przynajmniéj mógł widzieć.

— Wkrótce go zobaczysz! — odpowiedziała Rózia, ściskając lekko jego ręce złożone. — Powiesz mu jak szczęśliwy teraz jesteś, jak teraz jesteś bogatym, i żeś pomimo całe twoje szczęście żadną inną nadzieją tyle się niecieszył, jak tą, że będziesz mógł po niego przyjechać, i tego szczęścia twojego uczestnikiem go zrobić. —

— Ach, to prawda! to prawda! — odrzekł Oliwer, — a my go potém z sobą ztąd weźniemy, każemy go ładnie ubrać i oporządzić, a potém go wyślemy w jaką okolicę, gdzieby mógł przyjść do zdrowia, wesoło i czerstwo wyglądać!.... nieprawda? co, nieprawda?

Rózia skinęła głową na znak potwierdzenia, gdyż chłopiec z łzami takiego szczęścia błogiego się uśmiechał, że ona ani słowa wyrzec niezdołała.

— Panna będziesz i dla niego dobrą i łaskawą, — rzekł Oliwer, — gdyż panna jesteś z każdym tak uprzejma i dobra. Ja wiem, że panna się nieraz nad tém rozpłacze, jeżeli to usłyszy, co on powiadać będzie, ale to nic nieszkodzi, płacz przeminie, a panna się znowu uśmiechać będzie,... a ja wiem o tém bardzo dobrze;.. miły Boże, jakżeż on się zmienić musiał. Pamiętam ja

dobrze, jak to i ze mną było. Kiedym uciekał w świat on rzekł do mnie: niech cię pan Bóg błogosławi! — zawołał chłopczyna z wybuchem czułego wzruszenia; — a ja teraz na odwet do niego powiem: niech *ciebie* teraz pan Bóg błogosławi, i pokażę mu, jak go mocno za to kocham.

Gdy się nakoniec już i do miasta zbliżyli, i w jego ciasne uliczki zapuścili, niepodobna było tak łatwo zachwycenie radośne chłopczyny w karbach przyzwoitych utrzymać.

Otóż był dom pana Sowerberry, przedsiębiorcy pogrzebów, taki sam jak był zawsze, tylko się mu już teraz trochę mniejszy i nie tak okazały wydawał, jak sobie go niegdyś przypominał, ... i wszelkie tak dobrze mu znane sklepy i kramy, z któremi się zawsze jakaś pamiątka dla niego łączyła,.... i wózek Gamfielda, ten sam wózek, którym od tak dawna już jeździł, stojący przed drzwiami znanéj mu gospody, ... i dom roboczy, owe więzienie smutne z dawniejszych czasów jego młodości, ze swemi brudnemi, ponuremi oknami od ulicy kratą żelazną ochronionemi, ... i ten sam chudy, wygłodniały odźwierny, stojący przy bramie, na którego widok Oliwer mimowolnie się wzdrygnął, a potém roześmiał, że jest tak szalonym, potém rozpłakał i znów się roześmiał, ... mnóstwo twarzy we drzwiach i oknach, których tak dobrze znał i pamiętał,.... wszystko prawie w tymże samym stanie zastał, jakby to miasto wczoraj dopiero był opuścił, a całe jego życie przez te kilka ostatnich miesięcy snem tylko przyjemném było.

Lecz ono było szczerą, prawdziwą, radośną rzeczywistością.

Podróżni zatrzymali się przed najpierwszym domem gościnnym tego miasteczka, na który Oliwer nieraz po przód niby na jaką budowlę cudowną, lub na pałac najwspanialszy spoglądał, który jednak teraz w jego oczach tak na wspaniałości jak i wielkości wiele utracił; ...... a tutaj Grimwieg wyszedł na przeciwko nich, i przyjął ich u bramy, całując młodę dziewczynę i starą panią także przy wysadzaniu z powozu, i jakby on był dziadkiem wszystkich, tak był ciągle uprzejmym, miłym, wesołym, i ani razu niewspomniał o połknięciu swéj głowy,.... nie, ani razu,.... nawet i w tedy nie, kiedy się z jednym z pocztylionów względem najbliższéj drogi do Londynu sprzeczał, utrzymując śmiało, że on o tém lepiéj wie od niego, lubo w te strony po pierwszy raz dopiero przybył, i to jeszcze śpiąc przez całą drogę.

Pokoje dla przybyszów i obiad już stał gotowy, i wszystko jakby za pomocą ruszczki czarodziejskiéj w okamgnieniu urządzone zostało.

Pomimo to wszystko jednak, skoro tylko pierwsze pół godziny minęło, to samo milczenie, ten sam przymus i cisza ponura panowanie swoje rozpoczęła, jak i podczas całéj ich podróży.

Pan Brownlow nie przyszedł do nich na obiad, lecz sobie jedzenie do pokoju przynieść kazał.

Losberne zaś i Grimwieg biegali ustawicznie w największej niespokojności, a jeżeli się czasem na czas bardzo krótki z sobą zeszli, rozmawiali z sobą po cichu na osobności.

Raz wywołano nawet panią Maylie do innego pokoju, a gdy po godzinie może do nich powróciła, oczy miała czerwone, zapłakane.

To wszystko sprawiło pewną niespokojność Rózi i Oliwerowi, których do żadnéj z tych tajemnic nowych nieprzypuszczono.

Oboje siedzieli zdumieni, zdziwieni, w milczeniu, a jeżli się kiedy przemówić ośmielili, to rozmawiali z sobą cichym szeptem, jakby się dźwięku nawet swego własnego głosu obawiali.

Nareszcie, kiedy już dziewiąta godzina wieczór uderzyła, a oni już w końcu wyobrażać sobie zaczęli, że już tego wieczora z nikim się więcéj widzieć nie będą, weszli nagle Grimwieg i Losbern do pokoju, a za nimi Brownlow w towarzystwie człowieka, którego się Oliwer przeląkł, zobaczywszy go w tych miejscach, gdyż mu powiedziano, że to miał być jego brat, a to był ten sam człowiek, którego już raz widział onego czasu, kiedy z listem pani Maylie do miasteczka się udał, a drugą razą owego dnia, kiedy go wraz z Faginem do jego małéj izdebki zaglądającego spostrzegł.

Monks nie mogący i teraz nawet swych uczuć pohamować, rzucił spojrzenie nienawiścią pałające na chłopczynę zdziwionego, i usiadł sobie koło drzwi.

Pan Brownlow przeciwnie, trzymający jakieś papiery w ręku, przystąpił do stołu, przy którym Rózia z Oliwerem siedziała, i zajął koło nich miejsce.

— Jest to wprawdzie rzecz bardzo przykra, — ozwał się, — ale te oświadczenia, które w Londynie w obecności wielu świadków spisane i przez nich podpisane zostały, muszą tutaj jeszcze raz koniecznie być powtórzone. Chciałem ci oszczędzić tego upokorzenia, ale my musimy to wszystko z twych własnych ust

usłyszeć, nim się rozłączymy, a ty wiesz bardzo dobrza dla czego?

— Proszę więc zacząć, — odparła Monks, odwróciwszy swoje oblicze. — Tylko żywo! Jużem dosyć z mojéj strony uczynił. Niezatrzymujcie mię tutaj dłużéj!

— Ten chłopiec, — rzekł tedy Brownlow, przyciągając Oliwera do siebie, i sparłszy rękę na jego głowie; — ten chłopiec jest twoim bratem przyrodnim i synem nieprawego łoża twogo ojca, a mego drogiego przyjaciela Edwina Leeford, i biednéj, nieszczęśliwéj dziewczyny Agniszki Fleming, która porodziwszy go, umarła.

— Tak jest, — odpowiedział Monks, spoglądając ciągle z niewypowiedzianą nienawiścią na drżącego chłopczynę, któremu serce tak mocno biło, że każde uderzenie mógł słyszeć; — tak jest, to 'jest ten bękart!

— Wyrażenie, którego używasz, — zarzucił Brownlow surowo, — jest wyrzutem dla tych, którzy s ę już od dawna sądowi tego świata usunęli. Ono nie rzuca plamy na żadną istotę żyjącą, chyba na ciebie samego, co go używasz. Ale dość o tém! Ten chłopiec urodził się w tém mieście?

— W domu roboczym tego miasta, — odpowiedziano śpiesznie. — Całe wydarzenie zostało w tych oto papierach spisane.

To mówiąc wskazał z niecierpliwością na pismo, które Brownlow w ręku trzymał.

— Trzeba, ażeby to wszyscy słyszeli.

Odparł Brownlow, obglądając się na wszystkich z ciekawością temu się przysłuchujących.

— Niechże więc słuchają! — zawołał Monks. — Gdy jego ojciec w Rzymie śmiertelnie zasłabł, jak wam dobrze wiadomo, przybyła do niego moja matka z Paryża, z którą już od dawna żył rozłączony, i wzięła mię wraz z sobą,.... lecz w tym celu jedynie, aby majątek po nim odebrać, gdyż ani on do niéj, ani też ona do niego wielkiego przywiązania niemiała. On nas już niepoznał, gdyż od kilku godzin przytomność stracił, i w tym stanie aż do drugiego dnia niezmiennie leżał, i umarł. Pomiędzy wielu innymi papierami znaleziono w jego szkatule dwa, spisane w dniu pierwszym jego słabości, z podpisem do pana Brownlow, i karteczką do was kilka słów zawierającą. Na okładce opieczętowanéj stał napis, aby tych papierów pierwéj nieodsełano, dopiero w dzień po jego śmierci. Jedno z tych pism był list do owéj dziewczyny Agnieszki, a drugi testament.

— Cóż w tym liście stało? — zapytał Brownlow.

— W liście?..... Był to listek papieru zapisany samemi narzekaniami na siebie; zawierający wyznanie pełne żalu i skruchy i błagania Boga o pomoc dla niéj. Zawierał on całą powieść jego związku z tą dziewczyną,.... który miał zostać tajemnicą największą, aż do czasu,.... w którymby mu wydarzenie pomyślne jawnie z nim wystąpić pozwoliło,.... to jest, gdyby się z nią mógł ożenić. Związek ich trwał tymczasem ciągle, lecz w końcu za daleko się dopuścili, rozstali z sobą, kiedy już tego co się stało, żadną miarą nie było można wynagrodzić, i w tył się cofnąć. Kiedy ten list był pisany, ona mogła być w piątym miesiącu swéj ciąży. Donosił

jéj także, co uczynić zamyślał, jakie kroki przedsięwziął, aby jéj hańbę przed światem ukryć, gdyby był żył, i błagał ją na przypadek, gdyby umrzeć musiał, aby pamiątki jego nieprzeklinała, lub sądziła, żeby jéj występek na niéj i jéj dziecku miał być pomszczony;.. albowiem cała wina na niego spadała. Przypominał jéj ów dzień, w którym jéj dał mały upominek, medalionik złoty, i pierścień z jéj imieniem na nim wewnątrz wyrżniętym i miejscem próżném na nazwisko, które się jéj pewnego dnia nadać spodziewał;.... prosił ją, aby ten klejnot wiernie przy sobie przechowała i ciągle na sercu nosiła, jak to dotąd zawsze czyniła;.... a potém zaczął się ciągle powtarzać i bałamucić, jak człowiek zmysłów pozbawiony, co też z pewnością i tak było.

— Jakżeż z testamentem? — wtrącił Brownlow, widząc łzy z oczu Oliwera płynące.

— Jużem ci raz powiedział, co w sobie zawierał.

— Testament był także w tym samym duchu napisany, co i list jego. Mówił on w nim o nędzy, nieszczęściu, którem jego żona na niego sprowadziła, o krnąbrności, złości, przewrotności, o występkach i przedwczesnéj rozpuście twojéj, jego syna jedynego, któremu z dzieciństwa już nienawiść ku ojcu wpajano,.....i zostawił tobie i twéj matce rocznego dochodu ośmset funtów. Cały zaś majątek swój rozdzielił na dwie równe części,... jedną z tych przeznaczył dla Agnieszki Fleming, a drugą dla jéj dziecka, gdyby się żywe narodziło, i do pewnego wieku dójść mogło. Gdyby to była dziewczyna, miała ten majątek bez wszelkich warunków oddziedziczyć; lecz jeżeli chłopiec, jedynie pod tym warunkiem, ażeby podczas swéj małoletniości nigdy

swego nazwiska jakim czynem nikczemnym, haniebnym, zbrodnią lub występkiem niesplamił. On ten warunek dla tego jedynie położył, według jego wyznania, aby przez to największą ufność do matki Oliwera okazać, i oraz swoje, przez zbliżającą się śmierć jego, potwierdzone przekonanie,....że to dziecko wspaniałość i szlachetność jéj serca oddziedziczy. Gdyby go zaś nadzieja zawieść miała, część ta majątku spaść miała na ciebie, gdyż tylko wtedy, gdyby oboje dzieci równe sobie były, tyś miał mieć pierwsze prawo do tego majątku, jako chłopiec, w którego sercu najmniejsza iskierka miłości dla ojca nietliła, lecz owszem oziębłość największa, a nawet i odraza do niego cię od małości przejmowała.

— Moja matka, — zabrał Monks słowo nieco głośniéj, — uczyniła to, coby każda inna matka w jéj miejscu była uczyniła, ...ona spaliła ten testament. List niedoszedł nigdy do swego przeznaczenia, przechowała go jednak wraz z innymi dowodami na przypadek, gdyby Fleming swéj plamy wyprzeć się była chciała. Ojciec dziewczyny dowiedział się o wszystkiém z temi zmianami i dodatkami jeszcze cięższemi, na jakie się tylko jéj nienawiść zawzięta zdobyć mogła,....za co ją teraz jeszcze kocham. Hańbą i wstydem boleśnie tknięty uciekł ze swemi dziećmi z téj okolicy, w któréj dotąd mieszkał, i ukrył się w najodleglejszym zakątku Walizu, zmieniwszy nawet nazwisko, aby się żaden z jego przyjaciół o miejscu jego pobytu niemógł wywiedzieć; lecz niedługo potém znaleziono go rano w łóżku zmarłego. Córka jego uciekła była z domu na kilka tygodni przedtém. On sam zbiegał za nią piechotą całą okolicę w koło, lecz jéj niemógł znaleść i powrócił do siebie

z tém przekonaniem, iż sobie śmierć zadała, aby swoją i jego hańbę przed światem ukryć. Serce mu z boleści w nocy pękło.

Chwila mała głębokiego milczenia nastąpiła, którą Brownlow przerwał, ciągnąc daléj powieść.

— W kilka lat po tych wypadkach, — rzekł, — przyszła do mnie matka tego młodego człowieka, Edwarda Leeford. On ją opuścił mając lat ośmnaście,...... skradł jéj pieniądze, klejnoty, i uciekł; zaczął potém grać, trwonić, papiery fałszować, a włócząc się po świecie i do Londynu przybył, żyjąc przez dwa lata w związkach z najgorszym wyrzutem ludzkości, ze złodziejami i rabusiami. Matka jego wpadła w chorobę okropną i nieuleczoną, i życzyła sobie go jeszcze raz przed śmiercią widzieć. Zaczęto za nim wszędzie śledzić; robiono najtroskliwsze poszukiwania po całym kraju, które przez długi czas były nadaremne, lecz w końcu jednak pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały. On się z nią puścił napowrót do Francyi....

— Gdzie i ona umarła, — przerwał Monks i ciągnął daléj, — po długiéj, przykréj, boleśnéj słabości, a na swojém łóżku śmiertelném powierzyła mi te swoje tajemnice wraz ze swoją niezatartą, zawziętą i zapalczywą nienawiścią do tych wszystkich osób, które w tém jakikolwiek udział miały, lubo tego napomnienia i téj spuścizny wcale mi zostawiać niepotrzebowała, gdyż nienawiść już oddawna we mnie żyła. Ona temu żadną miarą wierzyć niechciała, że sobie owa dziewczyna życie odebrała, i dziecko swoje wraz z sobą zagubiła; owszem ciągle była tego przekonania, że się chłopczyna urodzić musiał i przy życiu zostaje. Przysiągłem jéj wtedy, że usta-

wiecznie za nim śledzić będę, nigdy go z oka niespuszczę, nigdy mu spokoju niedam, lecz go prześladować będę z śmiertelną, zapalczywą, nieubłaganą nienawiścią i zawziętością,...że mu całą potęgę tego uczucia, serce moje udręczającego dam uczuć,....i wszelkich sił moich dołożę, aby go na wyszydzenie górnolotnych słówek owego obrażającego testamentu aż na szubienicę sprowadzić, ...jeżeliby mi kiedykolwiek wpadł w drogę;.... co się też i stało.... Słusznie mówiła!.... Nakoniec wpadł mi w drogę;....rozpocząłem mój zamiar bardzo dobrze, i byłbym także tak dobrze skończył, jakem rozpoczął, gdyby nie plotki i paplanina zgubna nikczemnéj dziewczyny;....o byłbym celu mego dopiął z pewnością.

Kiedy ten złoczyńca ręce z wściekłości załamał, i widząc swą bezwładność przekleństwa na siebie miotać zaczął, Brownlow sie tymczasem do przerażonych i ze zgrozy skamieniałych przyjaciół swoich obrócił, i zaczął im wyjaśniać, iż Żyd, będący bardzo dawnym znajomym i poufnikiem Monksa, znaczną nagrodę sobie miał przyobiecaną, za doprowadzenie Oliwera do tego, żeby się stał złodziejem. Umówili się tak, że mu pewną część téj summy miał powrócić na przypadek, gdyby Oliwer z jego rąk się wymknął, a sprzeczka w téj mierze sprowadziła ich obu do owego domu letniego na wsi, który w tym celu odwiedzili, aby się naocznie przekonać, iż on jeszcze żyje

— Cóż się z pierścionkiem i medalijonikiem stało? Zapytał Brownlow, zwróciwszy sie do Monksa.

— Te wykupiłem od kobiety i mężczyzny, o których ci już raz wspominałem, którzy je staréj dozorczyni roboczego domu skradli, a ta je skradła trupowi

jego matki, — odpowiedział Monks, z oczyma w ziemię wlepionemi. — Co się z tém stało, dobrze ci wiadomo.

Brownlow skinął ze znaczeniem na swego przyjaciela Grimwig, a ten znikł natychmiast z nadzwyczajnym pośpiechem z pokoju i powrócił wkrótce, prowadząc za sobą niechętnie idącego Bumble i jego niebardzo mile spoglądającą małżonkę.

— Czy mnie oczy moje nie łudzą! — zawołał Bumble z uniesieniem radośném, bardzo źle udaném, — a wszakże to nasz mały Oliwer? ach O-li-werze, gdybyś ty wiedział, jak ja o ciebie stroskany byłem?....

— Ot, milcz lepiéj, głupcze! — mruknęła pani Bumble.

— Żono, czyż mogę uczuciom mojem się oprzeć! — odparł gospodarz domu roboczego. — Czyż się niemam teraz radować, jeżeli ja,....com go przecież wychował po gminowemu,....jeżeli go teraz widzę siedzącego pośród pań i panów tak zacnych i szlachetnych! Ją zawsze tego chłopca kochałem, jakby to był mój.... mój .... mój własny ... dziadek! — dokończył Bumble, uważając to za najlepsze i najstósowniejsze porównanie. — Ach Oliwer! panie Oliwer, czy sobie przypominasz naszego Jegomości w białéj kamizelce?..... Ach! umarł, przeniósł się do wieczności przeszłego tygodnia w trumnie dębowéj, pięknéj, ze szklącemi uchami, Oliwerze!

— Bądź tak dobrym, mój poczciwcze, — wtrącił Grimwig szydersko, — pohamować trochę swe uczucia!

— Uczynię co będę mógł, mój panie, uczynię co

będę mógł! — odpowiedział Bumble. — Jakże się pan masz? Spodziewam się iż zdrowo i dobrze?

To powitanie ściągało się do pana Brownlow, który téj chwili do téj zacnéj pary przystąpił, bystro ją wziął na oko, i wskazując na Monksa zapytał:

— Czy nieznacie téj oto osoby?

— Nie! — odpowiedziała pani Bumble śmiało.

— To może *ty* go znasz, mój panie? — ozwał się Brownlow, pytając jéj męża.

— Jeszczem go nigdy w mojém życiu niewidział, — odpowiedział Bumble.

— Ani mu też nigdy nic niewydał, niesprzedał?

— Nie! — odparła pani Bumble.

— Czyście nigdy niewidzieli, niemieli jakiego złotego medalijonika i pierścionka? — pytał Brownlow daléj.

— Nie, nie! — odpowiedziała pani Bumble niecierpliwie. — Czy nas tutaj po to przyprowadzono, aby się nas o takie głupstwa dopytywać?

Brownlow skinął powtórnie na swego przyjaciela, ...a Grimwieg jeszcze raz wybiegł z nadzwyczajną zwinnością i gorliwością. Lecz tą razą już niepowrócił z mężczyzną poważnym i jego żoną, ale wprowadził dwie stare, pochylone kobiety, które idąc się chwiały i kulały.

— Zamknęliście drzwi od owéj izdebki, w któréj stara Sally w nocy umierała, — ozwała się z nich jedna, podnosząc swą rękę zwiędłą i chudą; — aleś głosu niemogła przygłuszyć, ani też szpar pozatykać.

— Oj nie! nie! — potwierdziła druga, spoglądając naokoło i ruszając swą bezzębną szczęką. — Oj nie! nie! nie!

— Słyszałyśmy dobrze wszystko podc drzwiami, co ona wam mówiła o swojéj kradzieży, i widziałyśmy także, żeście jakiś papierek z ręki jéj wyjęli, i tę kartkę potém do banku zastawowego zanieśli, — rzekła pierwsza.

— To prawda, — potwierdziła druga; — była to kartka na medalijonik złoty i pierścionek. Myśmy to wyśledziły, i dowiedziały się także, że wam to wydał. O myśmy się wszędzie o tém wywiadywały; tak, tak, wszędzie!

— A my jeszcze coś więcéj nawet wiemy, — zabrała słowo pierwsza, — gdyż nam stara Sally dawniéj jeszcze o tém mówiła, iż jéj owa młoda kobieta powiedziała, że ona to dobrze przeczuwa, iż tego nieprzeżyje, i że właśnie o tym czasie, kiedy dziecko porodziła, w drogę daleką się wybrała, aby na grobie ojca tego dziecięcia umrzeć.

— Czy sobie może życzycie właściciela banku zastawowego widzieć? — zapytał Grimwieg, gotów do sprowadzenia go natychmiast.

— Nie, niepotrzeba, — odpowiedziała niewiasta; — jeżeli *on*, — i wskazała przytém na Monksa, — jeżeli on takim był tchórzem, że się z wszystkiém wygadał, jak się o tém przekonuje, a wyście z wszystkich naszych starych czarownic, te dwie wytropili, których wam potrzeba było, więc ja niemam co więcéj taić. Tak jest, ja *sprzedałam* mu te stare bawidełka, a one teraz tam leżą, z kąd ich nigdy niedobędziecie. Cóż daléj?

— Nic, wcale nic, — odpowiedział Brownlow, — wyjąwszy, iż się o to postaramy, ażeby żadne z was na takiém stanowisku niezostawało, na którémby zły

użytek ze swojéj władzy i zaufania zrobić mogło. A teraz możecie sobie odejść.

— Spodziewam się, — rzekł pan Bumble, spoglądając zmięszany naokoło, gdy spostrzegł, iż się Grimwieg z obiema staremi kobietami oddalił. — Spodziewam się, że ta mała, nieszczęśliwa okoliczność mię przecież mego lichego, gminowego urzędu niepozbawi?

— Owszem, owszem, mój panie, — odparł Brownlow; — i cieszyć byś się powinien, jeżeli to wszystko tak lekko ci ujdzie i na tém jedynie się skończy.

— Ja niczemu niewinien,....to *ona* wszystko robiła,.... — błagał Bumble, obejrzawszy się poprzód ostróżnie, aby się przekonać, że jego połowica już pokój opuściła.

— To nie jest żadną wymówką, — odpowiedział Brownlow; — Byłeś przytomnym, kiedy owe dwie pamiątki niszczono, a ty w oczach prawa jesteś większym od niéj winowajcą, ponieważ prawo przypuszcza, iż żona pod twoim zarządem i stósownie do twéj woli działa.

— Jeżeli to prawo przypuszcza, — rzekł Bumble, chwytając kapelusz i mnąc go z oburzeniem w rękach; — jeżeli to prawo w istocie przypuszcza, więc prawo jest wtedy osłem, głupcem. Jeżeli prawo takie oczy posiada,....więc prawo jest ślepe, prawdziwym bezżennym człowiekiem, a ja mu życzę,...... aby się mu oczy przez własne doświadczenie otworzyły;..tak jest, przez własne doświadczenie,.... to jest najgorsze, co mu życzyć mogę.

Wyrzekłszy to z wielką uroczystością, i wielkim przyciskiem na owe dwa słowa, Bumble zasadził kape-

lusz na głowę i wsadziwszy ręce do kieszeni, wypadł z rozpaczą śmieszną za swoją godną połowicą.

— Droga panno! — rzekł wtedy Browlow do Rózil, — proszę mi podać swoję rękę. Dla czegóż ona tak drży; niemasz się przyczyny obawiać tych kilku słów jeszcze, które nam tutaj jeszcze do powiedzenia pozostają.

— Jeżeli one do mnie,......lubo niewiem, czy się rzecz w istocie tak ma,......ale, jeżeli się one do mnie ściągają, — rzekła Rózia, — to cię o to proszę, mój panie, abyś je na inny czas odłożyć raczył. Niemam teraz na tyle sił, aby je słyszeć.

— Nie, moja droga panno! — odparł staruszek, biorąc ją pod rękę, — ty posiadasz daleko więcéj mocy nad sobą, jak się spodziewasz, jestem tego pewien. Czy znasz tę pannę?

— Znam, — odpowiedział Monks.

— Ja pana nigdy niewidziałam, — ozwała się Rózia głosem słabym, drżącym.

— Ale ja cię nieraz już widziałem, — odparł Monks.

— Ojciec nieszczęśliwéj Agnieszki miał *dwie* córek, — rzekł Brownlow. — Cóż się stało z drugą,.... dzieckiem jeszcze będącą?

— Kiedy ojciec tego dziecka, — odpowiedział Monks, — w obcym miejscu umarł, pod obcym nazwiskiem, niepozostawiwszy po sobie ani jednego listu, ani jednéj książki, najmniejszego nawet świstka papieru, z którego by prawdziwe jego nazwisko było można wyczytać i przyjaciół na trop jego sprowadzić,.... ubo-

dzy wieśniacy wzięli to dziecko do siebie i wychowali ono za swoje.

— Tylko daléj! tylko daléj! — rzekł Brownlow, i skinął na pani Maylie, aby się zbliżyła.

— Tyś niemógł znaleść tego ustronia, w którym się ci ludzie ukryli, — ciągnął Monks daléj, — lecz to co się przyjaźni nieudało, to nienawiść do skutku przyprowadziła. Moja matka wytropiła ich po roku najściślejszego śledztwa, i znalazła to dziecko.

— Czy ono wzięła do siebie, co?

— Nie. Ludzie ci, co ono u siebie żywili, byli bardzo ubodzy, i zaczęli coraz bardziéj jeszcze upadać, tak że się im nakoniec,....a szczególnie samemu gospodarzowi,.... ten uczynek miłosierny przykrzyć zaczął. Dla tego i moja matka ono u nich zostawiła, dawszy im kilka groszy pieniędzy z tém przyrzeczeniem, że im w pewnym, oznaczonym czasie więcéj jeszcze przysełać będzie, czego jednak nigdy dotrzymać niemyślała. Ubóstwo i markotność tych ludzi była méj matce rękojmią dostateczną, żo to dziecko niebędzie szczęśliwe; ale to niewystarczało jeszcze dla mojéj matki; ..... opowiedziała im dla tego bieg życia jego siostry z dodatkami i zmianami, jakie jéj uczynić wypadało; mówiła im, ażeby dziewczynę bardzo dobrze strzegli, gdyż ona z bardzo złéj krwi pochodzi, i powiedziała im, że ona jest nieprawego łoża, i czy prędzéj, czy później na bezdroża wpadnie. Okoliczności temu wszystkiemu sprzyjać się zdawały. Ci ludzie całéj bajce méj matki jak najświęciéj uwierzyli, a to dziecko prowadziło takie życie nędzne, nieszczęśliwe, żeśmy nawet sami z tego zadowoleni byli, dopokąd pewna pani, wdowa, mieszka-

jąca w Chertsey, przypadkiem dziewczęcia tego niespostrzegła, nad nią się nieulitowała i z sobą jéj niezabrała. Piekło się przeciwko nam wtedy sprzysiądz musiało, gdyż pomimo wszelkie nasze usiłowania dziecko u niéj pozostało i było szczęśliwe. Straciłem tę dziewczynę z oczu przed półtora rokiem blisko, i niewidziałem jéj długo, aż dopiero przed trzema miesiącami po raz pierwszy.

— Czy ją teraz widzisz?

— Widzę! .... wspartą na twoim ramieniu!

— Ty jednak nieprzestaniesz być moją siostrzenicą! — zawołała pani Maylie, chwytając w swojém objęciu mdlejącą Rózię, — nieprzestaniesz nigdy być mojém dzieckiem ukochaném.... Niechciałabym cię teraz utracić za żadne skarby w świecie, moja luba towarzyszko, ... moja luba, słodka dziewczyno!

— Ty jesteś, pani, jedyną przyjaciołką moją, którą kiedykolwiek w życiu zaznałam, — zawołała Rózia z rzewnym płaczem, — jedyną, najlepszą, najprzychylniejszą przyjaciołką. Moje serce pęka...... Niepodobna aby to wszystko znieść mogło.

— Tyś już więcéj daleko zniosła i wycierpiała, i okazałaś się zawsze, pośród największych cierpień, jako dziewczyna najlepsza, najprzyjemniejsza, rozlewając błogość i szczęście na wszystkich, którzy cię znali, — rzekła pani Maylie, ściskając ją czule i serdecznie. — Uspokój się, uspokój moje życie, i przypomnij sobie tę istotę, która z niecierpliwością czeka, aby cię uściskać; .... biedny chłopczyna, ... rzuć tylko okiem na niego, moja droga.

— Tylko nie ciotką! — zawołał Oliwer, wieszając

się jéj na szyi. — Ja cię nigdy ciotką nazywać niebędę; .... ale siostrą,.... moją drogą, lubą, kochaną siostrzyczką. Już mi zaraz z początku coś w sercu mówiło, abym cię tak serdecznie kochał, ... o Róziu! ..... droga, luba, najdroższa Róziu!

Oby te łzy, które téj chwili płynęły, i te słowa urywane, ucinane, niedokończone, które te dwie sieroty, w serdeczném, długiém uściśnięciu się trzymając, wyrzekli, były błogosławione, święte.

W téj jednej chwili pozyskali i utracili zarazem ojca, matkę i siostrę.

Radość i smutek były zmięszane w jednéj czarze, ale te łzy nie były to łzy gorzkie, gdyż i boleść sama tak była ułagodzona, a wspomnienia tak miłe i tkliwe z nią się wraz połączyły, że się w wesele daleko wznioślejsze zamieniła i wszelką przykrość utraciła.

Długo, bardzo długo sami zostawali.

Lekkie pukanie do drzwi zapowiedziało im nakoniec, że ktoś wejść pragnie.

Oliwer ku nim poskoczył, otworzył je, wymknął się z pokoju, a Henryk Maylie stanął przed nią.

— Ja o tém wszystkiém wiedziałem, — rzekł, usiadłszy koło téj miłéj i powabnéj dziewczyny; — droga Róziu! ja o tém wiedziałem!

— Nie jestem ja tutaj przypadkiem, — dodał potém po chwili dłuższéj milczenia; — ani też dzisiaj wieczór dopiero o wszystkiém się dowiedziałem; wiedziałem ja o tém już od dnia wczorajszego; .... tak jest od wczoraj już. Czyliż mi teraz pozwolisz, abym ci przyrzeczenie pewne przypomniał?

— Powiedz mi czy *wiesz* o wszystkiém? — zapytała Rózia.

— Tak jest, wiem o wszystkiém.... Dałaś mi pozwolenie przypomnieć ci twoje słowo kiedykolwiek w przeciągu tego roku, i oraz przedmiot ostatniéj rozmowy naszéj.

— To prawda!

— Nie wymuszać na tobie zmiany stanowczego postanowienia twojego, — ciągnął daléj młodzieniec, — lecz prośbę moję raz jeszcze powtórzyć, abyś ją wysłuchać raczyła. Pozwoliłaś mi złożyć sobie u nóg majątek lub stanowisko w świecie, jakiekolwiek ono będzie, i pozostawić ci do rozstrzygnięcia dobrowolnego, czyli ono zechcesz przyjąć lub nie; a gdybyś i wtedy jeszcze przy swojém raz powziętém postanowieniu pozostać miała, przyrzekłem ci, dałem moje słowo, iż nic takiego nieprzedsięwezmę, coby cię do zmiany onegoż zmuszać mogło.

— Te same powody, które w ówczasz na postanowienie moje niezmienne wypłynęły, istnieją jeszcze i teraz, — odrzekła Rózia stanowczo. — Jeżelibym kiedy najmniejsze powątpiewanie o tém miała, com téj osobie winna, któréj dobroć i miłosierdzie od niedostatku, nędzy i cierpień mię wybawiło, czyliżbym to kiedykolwiek żywiéj jak teraz uczuć mogła? Wypada mi stoczyć walkę boleśną z mojém sercem, lecz jestem z tego dumną, że ją zwycięzko stoczyć mogę, — dodała; — jest to walka bardzo boleśna, dotkliwa, ale serce moje ją zniesie.

— Wyjaśnienia tego wieczora.... — ozwał się Henryk.

— Wyjaśnienia tego wieczora, — odpowiedziała Rózia skwapliwie, przerywając mu mowę, — niezmieniają wcale moich stosunków względem ciebie, a zatém i mego postanowienia zmienić nie mogą.

— Róziu! twoje serce kamienieje na moje uczucia! — zawołał boleśnie jéj kochanek.

— Ach Henryku! Henryku! — rzekła dziewczyna zalewając się rzewnemi łzami; — życzyłabym sobie aby to prawda była; oszczędziłabym sobie przez to bardzo wiele boleści.

— Dla czegóż ją sobie sama zadajesz? — odparł Henryk, biorąc ją za rękę. — Pomnij droga Róziu na to, coś tego wieczora słyszała!

— Cóżem ja słyszała takiego! cóżem słyszała! — zawołała dziewczyna. — słyszałam o tém, że hańba ojcu memu zadana, tak boleśnie go dotknęła, iż się od świata usunął i w samotności ukrył; .... ale teraz już dosyć téj rozmowy, Henryku! ..... dosyć już téj rozmowy. —

— Jeszcze nie, ... jeszcze nie! — odpowiedział młodzieniec, zatrzymawszy ją, gdy się zerwała i oddalić chciała. — Moje wszystkie nadzieje, moje życzenia, moje widoki, moje uczucia, ... każda myśl mego życia podległa zmianie, ... prócz mojéj miłości do ciebie. Nie mogę ci wprawdzie złożyć teraz u nóg dostojeństwa, stanowiska świetnego pośród owego świata wielkiego, tego świata obłudy, podstępu i zdrady, w którym wszystko człowieka wstydem, hańbą okryć może, tylko to nie, co jest w istocie nikczemném, haniebném: składam ci jednak u nóg życie skromne, ciche, domo-

we, przy własném ognisku; .... oto wszystko co ci ofiarować mogę.

— Cóż to wszystko ma znaczyć? — wyjąkała dziewczyna zdumiona.

— To znaczy, że kiedy cię ostatnią razą opuściłem, uczyniłem to z têm najszczerszém i najmocniejszém postanowieniem zniesienia wszelkich zawad, któreby nas z sobą rozłączyć mogły; .... z têm mocném postanowieniem, przeniesienia się w twój świat, kiedy ten, do którego ja należę, nie może być twoim; .... z têm mocném postanowieniem, wyparcia się wszelkich zaszczytów rodu, jeżeliby ten z dumą i pogardą na ciebie miał spoglądać.... A celu tego dopiąłem. Ci, którzy się z tego powodu odemnie oddalili, oddalili się także i od ciebie, i dowiedli mi przez to, że twoje słowa były prawdziwe. Owi dostojni i wielowładni opiekunowi moi, ... owi krewni możni, godnościami i zaszczytami obsypani, ... którzy się dotąd do mnie uśmiechali, spoglądają teraz na mnie ozięble. Lecz w najpiękniejszéj i najbogatszej okolicy naszego kraju, są piękne łąki, zachwycające pola i łany, a koło jednego wiejskiego kościółka, ... kościółka mojego, najdroższa Róziu, ... stoi domeczek wiejski, ładny, na który mnie dumniejszym uczynić możesz, jak te wszystkie widoki i nadzieje, których się wyrzekłem, choćby nawet stokrotnie poważniejszemi były jak teraz. Oto jest moja *godność*, moje stanowisko, które ci u nóg składam.

* *
*

— Jest to rzecz bardzo nudna z wieczerzą na kochanków oczekiwać.

Ozwał się Grimwieg, ocknąwszy się ze snu, zdejmując z głowy swoję chustkę od nosa.

Mówiąc prawdę, wieczerza czas nieznośnie długi na siebie czekać dawała, a żadne, ani pani Maylie, ani Rózia, ani Henryk, którzy się wszyscy razem pojawili, nic na usprawiedliwienie swoje powiedzieć nieumiało.

— Dzisiejszego wieczora jużem szczerze o tém rozmyślał zjeść moją własną głowę, — rzekł Grimwieg; — sądziłem bowiem, że już nic więcéj jeść niedostanę. Jażeli mi państwo pozwolicie, to się pierwszy ośmielę pannę młodę pocałowaniem powitać.

Grimwieg nieomieszkał zagrożenia swojego natychmiast do skutku przywieść, i dziewicę żywym rumieńcem płonącą, w czoło ucałować; .... a ten przykład tak był ponętny i zaraźliwy, że Brownlow i lekarz natychmiast w jego ślady poszli.

Wielu ludzi twierdzi, że to Henryk w ciemnym pokoiku pobocznim pierwotnie ten początek zrobił, lecz świadectwa najzacniejsze uważają to za czyste oszczerstwo, ponieważ on był młodym, a do tego i księdzem.

— Oliwer, moje dziecko! — zawołała pani Maylie, — gdzieżeś to był, że taki smutny i zmartwiony wyglądasz? Wszakże to łzy z oczów twoich padają. Cóż ci to się takiego stało?

Ten świat jest to świat złudy; .... jakżeż często widziemy, że nasze najmilsze, ... najszlachetniejsze i godność nasze najzaszczytniéj cechujące nadzieje, zawiedzione zostaną.

Biedny Dick już nie żył!

ROZDZIAŁ XXIII.

Ostatnia noc życia Żyda.

Izba sądowa była od góry do dołu głowami ludzkiemi nabita.

Oczy ciekawe, spoglądały chciwie z każdego kącika téj izby. Od dołu do góry, na najcieśniejszym i najciemniejszym nawet zakątku galeryi, oczy wszystkich w jedno miejsce zwrócone były,....w jednym człowieku tkwiły, a tym człowiekiem był — Żyd!

Z przodu i z tyłu, pod nim i nad nim, w prawo i wlewo,.... z wszystkich stron zdawał się go otaczać w koło błękit niebios, zasiany gwiazdami ócz świecących.

Oto stał w całym blasku głównéj osoby widowiska, jedną ręką oparty o poręcz drewnianą przed nim, drugą zaś trzymając koło ucha, z głową i ciałem do połowy naprzód pochylonem, aby tém lepiéj każde słówko z ust jeneralnego prokuratora wychodzące usłyszeć, który całą skargę przeciwko niemu, przed Sądem przysięgłych wykładał.

Czasami rzucił spojrzenie bystre na sędziów, aby wyśledzić w nich skutek najmniejszego słóweczka, na korzyść jego wyrzeczonego; a jeżeli wypadki z okropną jasnością przeciwko niemu świadczyły, spoglądał na swego obrońcę błagając go z niemą trwogą, aby coś na jego obronę przytoczył.

Prócz tych jedynych oznaków swéj trwogi i zgrozy, nieruszył ani ręką, ani nogą.

Zaledwie że się ruszył, kiedy oskarżenie się rozpoczęło,....lecz teraz, kiedy już mówić przestał, pozostał w téjże saméj postawie z największém natężeniem nadsłuchującego, mając oczy ciągle w niego wlepione, lubo ten już oddawna mówić przestał.

Szmer cichy, który pomiędzy zgromadzonym ludem się odezwał, wrócił mu przytomność, a rzuciwszy okiem naokoło, spostrzegł, że przysięgli się po cichu z sobą naradzać poczęli.

Gdy oczy jego na galeryje padły, widział, jak ludzie jedni po nad drugich się spinali, i głowy wystawiali, aby twarz jego zobaczyć; jedni z nich przykładali lunety do ócz, a drudzy szeptali ze swymi sąsiadami, którzy z odrazą i zgrozą na niego spoglądali.

Było także i kilku takich, lubo bardzo mało, którzy na niego wcale niezważali, i z podziwieniem jedynie nad sędziami się zastanawiali, jak się tak długo jeszcze namyślać mogą;....lecz w twarzy żadnego,....nawet i w obliczu żadnéj kobiety, których niemała ilość w téj izbie była,....niebyło widać najmniejszego śladu litości nad nim; we wszystkich oczach zdawało się to jedyne tlić życzenie, ażeby go jak najśpieszniéj na śmierć skazano.

Gdy to wszystko za jednym rzutem oka objął, a trwoga krew jego w sercu lodem ścięła, grobowa cisza na nowo w sali powstała, a obróciwszy się spostrzegł, iż przysięgli ku sędziemu się zwrócili.... Cicho!

Oni tylko prosili o pozwolenie ustąpienia do pobocznego pokoju na wspólną obradę.

Okiem śledczém badał każdego, gdy mimo niego przechodzili, aby z oczów, oblicza ich wyczytać, jaki sąd wydać zamyślają,....na którą stronę większość się przechyli, lecz nadaremnie. Dozorca więzień trącił go w ramie. Poniewolnie udał się za nim w głąb loży oskarżonych i usiadł sobie na krześle. Dozorca musiał ono wskazać, inaczéj by go był niezobaczył.

Raz jeszcze okiem na galeryje potoczył.

Wielu ludzi pokrzepiało się jedzeniem, a wielu przeciwnie chłodziło się powiewając chustkami, ciżba bowiem była bardzo wielka, a zatém i gorąco.

Pomiędzy nimi znajdował się także młody człowiek, który jego twarz w swéj tece rysował.

Fagin nad tém rozmyślał, czyli też podobnym go zrobił, i przypatrywał się mu spokojnie, gdy sobie ołówek zarzynał, jakby to każdy inny człowiek, niemający nic innego do czynienia, lub myślenia, był uczynił.

Kiedy wzrok jego z kolei i na sędziego padł, myśl jego zaczęła się zatrudniać jego ubiorem, krojem, suknem, ceną onegoż, i jak też długo on ten ubiór już nosi.

Na jednéj ławce naprzeciwko niego siedział jakiś jegomość otyły, który przed półgodziną może był wyszedł i teraz na dawne swoje miejsce powrócił. Fagin zaczął się nad tém zastanawiać, czyli ten staruszek niebył teraz może na objedzie, co on też jadł na objad,

gdzie on to mógł być na obejdzie, i podobnemi myślami ciągle się zatrudniał, dopokąd się mu jaki inny przedmiot nienawinął, oczu jego niezajął, i myśli w inny, lecz podobny kierunek nie zwrócił.

Pomimo to jego umysł niebył ani na chwilę wolnym od pewnego udręczającego, przygniatającego uczucia, że pod jego nogami grób się otwiera; ...owszem, to uczucie unosiło mu się ciągle, ustawicznie, przed oczyma, i przerażało jego serce, lecz w postaci niejasnéj, zamglonéj, tak że myśli jego uchwycić i sobą jedynie zatrudnić nie zdołało.

Nawet wtedy, kiedy go to zimny dreszcz przechodził i nim wstrząsał, to płomienie na niego biły i mózg mu suszyły na samą myśl nagłéj, gwałtownéj śmierci, nawet i wtedy nieprzestawał liczyć żelaznych prętów koło niego, dziwić się nad tém, jeżeli któremu główka brakowała, kiedy to ją i jakim sposobem odłamać mogli, i rozmyślać, czyli też oni pręta nowego wsadzić nie każą, lub też wszystko w tym stanie pozostawią.

Potém myśli jego znowu na okropność śmierci na szubienicy i wieszania się zwróciły, i tak długo nimi się zatrudniały, dopokąd jeden z dozorców sali sądowéj zimną wodą skrapiać niezaczął; .... to nadało znowu inny kierunek i nowy przedmiot jego myślom.

Nakoniec dał się słyszeć głos nakazujący milczenie, a wszyscy zaparli oddech i oczy ku drzwiom z natężoném oczekiwaniem zwrócili.

Przysięgli wracali ze swojéj izby obradniéj i przechodzili wszyscy po jednemu mimo niego.

Fagin, badający chciwie ich oblicza, nic z nich wy-

badać niemógł;...ich rysy były tak zimne, nieruchome, jak z kamienia.

Milczenie najgłębsze zaległo izbę sądową,.....najmniejszego szmeru, .najlżejszego oddechu... niesłychać.

Winny!

Cały dom się zatrząsł od tego grzmotu tysiąca głosów krzyczących, które się nagle, razem, ozwały;.... jeszcze raz,....i jeszcze raz!....a na ten wrzask odpowiedział z ulicy odgłos grzmiący radośnego okrzyku zgromadzonego ludu. Ten lud unosił się z niewypowiedzianéj radości, że ten zbrodniarz karze nieujdzie i w poniedziałek następny powieszony zostanie.

Nareszcie się w izbie uciszyło, a sędzia się go zapytał, czyli niema na swoję obronę co powiedzieć, aby ten wyrok śmierci od siebie oddalić.

On przybrał na powrót swoję postawę nadsłuchującego człowieka, i spoglądał z natężeniem na tego co się go pytał, podczas jego mowy; lecz ten po dwakroć to pytanie swoje powtórzyć musiał, nim on zrozumiał o co rzecz chodzi;....a potém jedynie wyjąkał,... że on jest człowiekiem starym,.... starym,.... starym,....a głos jego przeszedł w szept cichy i w końcu zupełnie zagasł.

Sędzia włożył na głowę czarną czapeczkę, a więzień stał jeszcze ciągle w téjże saméj postawie i nadsłuchiwał.

Jakaś kobieta pomiędzy widzami, na galeryi, uniesiona uroczystością téj chwili stanowczéj, wydała okrzyk przerażenia; a on śpiesznie na nią oczy zwrócił, w gniewie niby, że tę uroczystość przerwać śmiano i z większą jeszcze uwagę naprzód się pochylił.

Odezwa była uroczysta, dobitna, i wielkie wrażenie sprawiła,....wyrok sam okropny,....lecz on stał ciągle, niby postać z marmuru wyciosana, bez najmniejszego ruchu. Z obliczem wybladłém, wylękłem, ze zgrozy i przerażenia zmienioniém,.....powiekami obwisłemi,..... oczyma w ziemię wlepionemi, stał nieruchomy, naprzód wygięty, dopokąd dozorca więzień do niego się nie zbliżył, za rękę go nieuchwycił, i z izby niewyprowadził.

Przez chwilę spoglądał na niego zgłupiały, lecz usłuchał i poszedł za nim.

Dozorca sprowadził go na dół do obszernéj izby w któréj wiele innych więźniów czekało, dopokąd koléj na nich nieprzyszła, i ze znajomemi swymi rozmawiało, zgromadzonymi koło kraty, na podwórze otwarte prowadzącéj.

Lecz pomiędzy tymi niebyło nikogo, coby z *nim* miał coś do pomówienia, a gdy przechodził, więźniowie się od niego usuwali, aby niezasłaniać widoku na niego ludziom zgromadzonym, którzy się na kracie wieszali, przezwy najzelżywsze i przekleństwa najokropniejsze na niego miotali, wrzeszczeli, syczeli i świstali.

On im pięścią ściśnioną zagroził, i byłby najbliżéj stojącym w oczy plunął, ale przewodnicy jego zawlokli go przemocą do ciemnéj sieni, oświeconéj tylko kilkoma słabo się palącemi lampami, i zaprowadzili do przeznaczonego dla niego więzienia.

Tutaj go najprzód ściśle przetrząśnięto, czyli niema przy sobie jakiego narzędzia lub środka do uprzedzenia sprawiedliwości zadaniem sobie dobrowolnéj śmierci; po dokończeniu tego obrzędu, zawiedziono go do celi więźniów, i zostawiono go tam samego.

Usiadł sobie na ławce kamiennéj wprost na przeciwko drzwi stojącéj, która za siedzenie i łoże razem służyła, a wlepiwszy swe oczy krwią zabiegłe w ziemię, starał się pozbierać swe myśli.

Po chwili zaczął sobie przypominać kilka urwanych ułamków z ostatniéj mowy sędziego, lubo mu się owego czasu zdawało, że ani słówka z niéj mu słyszeć niepodobna.

Po mału coraz więcéj wyjątków z niéj się mu razem w pamięci łączyło, i na właściwém miejscu stawało, tak że w krótkim przeciągu czasu cała prawie w myśli mu stanęła, w tymże samym porządku, jak ją sędzia wygłosił.

Ma być za szyję powieszony,....dopokąd nie skona, ...oto był jéj koniec.... Za szyję powieszony, dopokąd nie skona.

A gdy się nakoniec zupełnie zciemniło, zaczął sobie tych wszystkich na pamięć przywodzić, którzy to samo na szubienicy życie swoje zakończyli,...a których on znał bardzo dobrze,....wielu nawet z jego winy, lub przez jego podstęp i zdradę. Obrazy tych osób w takiéj ilości jeden po drugim przed okiem jego duszy się przesuwały, że mu je zliczyć nie było podobna.

Nie jednego z nich na własne swoje oczy powieszonego widział,.... i drwił, i szydził sobie z niego, iż z modlitwą na ustach umierał. Z jakimże to szelestem przeraźliwym zasuwa z pod ich nóg się wysuwała; jakżeż nagle z ludzi silnych, pełnych zdrowia i życia wiszące kłody gliny się stawały! Niejeden z nich może w téjże saméj celi więzienia mieszkał,...na téjże saméj

ławeczce siedział..Już było ciemno,..bardzo ciemno!.. niewiedzieć dla czego nikt światła nieprzynosi?....

Ta cela już od wielu lat zbudowana być musiała; ....tłumy całe na śmierć skazanych ludzi, musiały tutaj ostatnie chwile swego życia przeżyć,....zdawało się mu że w obszernym grobowcu, napełnionym trupami siedzi,....wszystkie z kapturem,....stryczkiem na szyi,..... rękami, nogami powiązanemi,....obliczem, które nawet pod tą ohydną, przerażającą osłoną poznawał; ...na boga! światła! światła!

A gdy się nakoniec jego ręce od długiego i ustawicznego bicia w drzwi i ściany zmęczyły, pojawiło się dwóch ludzi;....jeden z nich niósł świecę w ręku, którą do żelaznego lichtarza w ścianę wmurowanego wsadził, a drugi przyniósł ze sobą materac, na którym tę noc miał przepędzić, gdyż odtąd więzień niemiał samotnie pozostać.

A potém nadeszła noc,..ciemna, ponura, milcząca noc.

Inni ludzie, którzy w nocy czuwali, radowali się z tego mocno, jeżeli godziny bijące słyszeli, gdyż każda godzina im życie i przyszłość zwiastowała.

Żyda zaś każde uderzenie zegaru w rozpacz coraz to większą wprowadzało.

Każde uderzenie dolatywało do jego uszu połączone z dźwiękiem ponurém, głuchém,.... śmierć mu zwiastującém.

Jakąże pociechę gwar i hałas snującego się po ulicach ludu, brzask nadchodzącego dnia sercu jego przynieść mógł? Był to również odgłos dzwonu pogrzebowego, tylko w innéj postaci, łączącéj najgrawanie z surowém, groźném napomnieniem.

Dzień minął....dzień!....to niebył wcale dzień! zaledwie zeszedł, już zginął,....a noc powtórnie nadeszła; ....noc tak długa, a jednak tak krótka!....długa, przez swoje okropne milczenie,.... a krótka, przez swoje tak szybko jedna za drugą goniące godziny!

Jednéj godziny ten nędznik od siebie odchodził i najstraszliwsze bluźnierstwa miotał; drugiéj zaś wył z rozpaczy i włosy sobie rwał z głowy.

Staruszkowie czcigodni, starsi jego wiary przyszli do niego, aby się z nim pomodlić,.... ale on ich wszystkich z przekleństwem na ustach z więzienia powypędzał. Oni usiłowania swoje powtórzyli, lecz groźbom jego ustąpić musieli.

Już sobota wieczór!....już tylko noc jedna jeszcze do życia mu pozostaje....a gdy mu to na myśl przyszło, dzień nowy już zaświtał: Niedziela!

Wieczorem dopiero tego dnia ostatniego, okropnego, uczucie pognębiające, porażające, o tym stanie jego niebezpiecznym żadnéj nadziei mu niezostawiającym serce jego przejęło i rozpaczą napełniło; ... ta okoliczność nieprzyszła mu dla tego na myśl, aby kiedykolwiek najmniejszą nadzieją łaski się był pieścił, nie,,.... lecz z téj przyczyny,że nigdy jeszcze na tyle sił niemiał, aby o podobieństwie zakończenia życia tak wcześnie jasno był mógł pomyśleć.

On bardzo mało rozmawiał z tymi dwoma ludźmi, którzy na przemian przy nim czuwali, a oni też nie wiele na niego zważali, i nie wiele pracy sobie dodawali, aby uwagę jego wzbudzić.

Dotąd siedział czuwając, lecz czuwając marzył.

Ale teraz co chwila się zrywał, i biegał po więzie-

niu w takim napadzie gwałtownym, zaciekłym trwogi, gniewu i złości, że i ci stróże nawet,.... do podobnych wybuchów rozpaczy przyzwyczajeni,...... ze zgrozą i przerażeniem od niego odskoczyli.

Nakonice sumienie tak okropnie go udręczać zaczęło, a on się pośród tych groźnych mąk takim stał strasznym, że żaden z tych dozorców jego widoku sam jeden znieść niemógł,... z którego to powodu obaj razem przy nim czuwać postanowili.

Usadowił się nareszcie na swojém kamiennem łożu, skulony we dwoje i przebiegał przeszłość swoję w pamięci.

Owego dnia kiedy go schwytano i do więzienia prowadzono, tłum rozjuszony zranił go był w głowę, którą dla téj przyczyny chustką płócienną miał obwiązaną. Czerwony włos jego wisiał szorstki, najeżony, i zakrywał mu twarz wybladłą jak chusta; brodę miał rozczochraną, w guzy pozlipianą, w nieładzie;...z oczu jego tlił ogień przerażający,.... a członki jego brudne drżały z gorączki, wnętrze jego pożerającéj.

Ósma,....dziewiąta,....dziesiąta!....

Jeżeli to niebył podstęp, aby go nastraszyć, a te godziny rzeczywiście tak szybko jedna po drugéj następowały, gdzież on będzie wtedy, kiedy po raz drugi tę porę dnia głosić będą?....

Jedenasta!

Jeszcze jedno uderzenie zegaru, a godzina ostatnia przeminie!

O ósméj godzinie był, jak sobie sam wyznać musiał, jedynym, co szedł w swoim własnym, żałobnym pogrzebowym poczecie; a o jedenastéj ...

Mury okropne więzienia Newgate, które tyle nędzy i mąk okropnych, niewypowiedzianych, nietylko przed oczyma ludzi, ale bardzo często i bardzo długo, nawet przed myślą ludzką kryły, niezawierały w sobie nigdy jeszcze tak groźnego widowiska jak to.

Ci, co się koło więzienia przechodząc dziwili, co też ten człowiek teraz robi, który nazajutrz ma być powieszonym, byliby z pewnością przez całą noc oka niebyli zmróżyli, gdyby go téj chwili byli widzieć mogli.

Od rana do wieczora, a nawet aż do saméj północy ludzie po kilku naraz, co chwila do bramy się zbliżali, i usilnie z trwogą dowiadywali, czyli przypadkiem śmierci jego nieodwleczono, albo niezawieszono.

Lecz gdy im odpowiedziano, że nie, udzielali natychmiast tę pocieszającą wiadomość innym ciekawem ludziom, którzy w pojedynczych mniejszych lub większych gronach pod bramą na ulicy czekali, zaczęli sobie nawzajem pokazywać te drzwi, któremi wyjść będzię musiał,....miejsce, na którém szubienicę wystawią, i oddalali się w końcu niechętnie, ociągając się i oglądając ciągle, aby sobie to widowisko jeszcze raz przed oczy stawić.

Pomału jednak jeden za drugim się rozeszli, a gdy północ uderzyła, nikogo już na ciemnych, samotnych ulicach przed więzieniem niebyło.

Już oczyszczono miejsce przed więzieniem, i wystawiono kilka mocnych poręczy, na czarno pomalowanych, aby silny opór téj ciżbie nagromadzonego ludu stawić mogły, któréj się nazajutrz przy spełnieniu wyroku spodziewano, kiedy Brownlow wraz z Oliwerem

u drzwiczek małych od więzienia się pojawił, i pozwolenie zostania wpuszczonym do winowajcy, przez szeryfa samego podpisane, pokazał.

Wpuszczono ich tedy natychmiast do izby więźnia.

— Czy i ten mały panicz ma także iść z nami? — zapytał dozorca, którego obowiązkiem było po więzieniu ich oprowadzić; — nie jest to widok dla dzieci, drogi panie!

— To prawda że nie mój przyjacielu! — odpowiedział Brownlow, — ale ważna sprawa mię do tego nieszczęśliwego prowadzi, a ta jest ściśle z tém chłopcem połączona; a że ten chłopczyna go już na szczeblu najwyższym pomyślności i powodzenia na téj drodze zbrodni i występku widział, zdaje się mi, iż to niebędzie od rzeczy, jeżeli go teraz powtórnie zobaczy, ... chociażby ten widok z przykrością i boleścią dla niego miał być połączony.

Oni te kilka słów na stronie do siebie wyrzekli, tak że ich Oliwer słyszeć niemógł.

Dozorca dotknął się swego kapelusza i spojrzał na chłopca z wielkiém zadziwieniém, otworzył potém drugą bramę, wprost naprzeciw téj się znajdującą, przez którą weszli, i poprowadził ich ciemnemi, krętemi sieniami do więzienia Żyda.

— Oto jest to miejsce, przez które przechodzić będzie, gdy go na śmierć poprowadzą, — rzekł dozorca, zatrzymawszy się na chwilę w ponuréj sieni, w któréj kilku rzemieślników w najgłębszém milczeniu jakiemiś przygotowaniami zajętych było. — Jeżeli tutaj na tém podwyższeniu staniecie, możecie zobaczyć

drzwi, przez które na miejsce stracenia wyprowadzony zostanie.

Zawiódł ich potém do kuchni murowanéj, w któréj w naczyniach miedzianych żywności dla więźniów przyrządzano, i wskazał na drzwi w niéj się znajdujące.

W tych drzwiach znajdowało się małe okienko, przez które gwar ludzkich głosów, połączony z hałasem bicia młotami i zbijania różnych belek ze sobą, uszu ich dochodził.

Ci ludzie stawiali na podwórzu szubienicę.

Oddaliwszy się ztąd, szli przez wiele innych drzwi i bram, które im inni dozorcy z wewnątrz otwierali, i wyszli nakoniec na otwarte podwórze, weszli po wschodach wązkich do góry, i nareszcie w sień, w któréj szereg cały drzwi dobrze obwarowanych po lewéj ręce się znajdował.

Poleciwszy im, aby się na miejscu zatrzymali, dozorca zapukał pękiem swych kluczy do jednych. Owi dwaj dozorcy, Żyda dotąd pilnujący, wyszli natychmiast do sieni, rozmówili się na szepty z nowo przybyłym i radzi, że choć na chwilę od owego groźnego widoku uwolnieni zostaną, rzekli do przybyłych, aby się za dozorcą do więzienia udać raczyli.

Oni też to uczynili.

Zbrodniarz na śmierć skazany, siedział na swojém łożu kamienném, chwiejąc się ciągle na wszystkie strony z obliczém, podobniejszém raczéj do źwierzęcia drapieżnego, którego w lasach złowiono, jak do człowieka.

Umysł jego musiał widocznie przeszłością być zajęty, gdyż mruczeć ustawicznie pod nosem nieprzestawał; zdawało się nawet, że mu się obecność ich raczéj

częścią jego przywidzeń, jak rzeczywistością być wydaje. —

— Dobry chłopiec, zręczny chłopiec,.... Karolek,.... dobrze się spisał, — mruczał, — i Oliwer także, ha! ha! ha!.... i Oliwer także,.... wygląda jak jaki wielki panicz,..... zaprowadź go do łóżka!

Dozorca chwycił Oliwera za drugą, wolną rękę, i szepnąwszy mu do ucha, aby się niczego nie obawiał, spoglądał na niego w milczeniu.

— Zaprowadźcie go do łóżka! — wołał Żyd. — Czy słyszycie? zaprowadźcie go do łóżka. On to jest.. jest.... przyczyną tego wszystkiego.... Warto było tych pieniędzy, aby go do tego wychować.... To gardło Boltera, Billu! gardło Boltera! niech cię ta dziewczyna wcale nieobchodzi!.... Podejrznij gardło Bolterowi, tak głęboko jak tylko możesz.... Oderznijcie mu głowę!

— Fagin! — zawołał na niego dozorca.

— Tak jest, ja nim jestem! — odpowiedział Żyd, wpadając natychmiast w postawę pilnie nadsłuchującego, jaką przybrał w tedy, kiedy go przed sądy stawiono. — Ja jestem starcem, moi panowie;.... wielkim, bardzo wielkim starcem.

— Oto jest ktoś, — mówił dalej dozorca, chwyciwszy go ręką za piersi, aby go do przytomności przyprowadzić, — oto jest ktoś, co chce z wami pomówić, o coś się was zapytać, jak się mi zdaje. Faginie! Faginie! opamiętaj się, przecież jesteś mężczyzną!

— Niedługo już nim będę! — odpowiedział Żyd, spoglądając na niego z obliczem, w którém nic ludzkiego nie było, tak go zgroza i wściekłość zmieniła. —

Zabijcie ich wszystkich! Jakie prawo mają do mnie? jakiem prawem życie mi chcą odebrać?

To mówiąc, oczy jego padły przypadkiem na Oliwera i pana Brownlow. Skoro ich spostrzegł, ukrył się w najdalszym kąciku swéj ławy, i zapytał ich, co ich w te miejsca sprowadziło.

— Żywo, żywo, — rzekł wtedy dozorca do nich, trzymając go na miejscu, — powiedźcież mu teraz, czego od niego żądacie,.... tylko żywo, dopokąd jeszcze czas, gdyż czém daléj, tém bardziéj się z nim pogarsza.

— Masz jeszcze u siebie papiery, — ozwał się Brownlow zbliżając do niego, — które pewien człowiek, imieniem Monks, dla większego bezpieczeństwa w twoje ręce złożył.

— To kłamstwo!.... kłamstwo wierutne, — odpowiedział Żyd. — Ja nie mam żadynch, żadnych, żadnych. —

— Zaklinam cię na imie Boga, — rzekł Brownlow uroczyście, — nieukrywaj się z tém stojąc już jedną nogą w grobie, ale powiedz mi, gdzie są te papiery. Wszak wiesz o tém dobrze, że Sikes umarł, Monks wszystko wyznał, że nie ma teraz żadnéj nadziei, abyś coś na tém mógł zyskać. Powiedz, gdzie są te papiery?

— Oliwer, — zawołał Żyd, kiwając na chłopczynę, aby się do niego zbliżył. — Chodź, chodź do mnie ja ci coś do ucha powiem.

— Ja się go nieboję, — rzekł Oliwer po cichu, puszczając ręką pana Brownlow.

— Te papiery, — rzekł Żyd, przyciągając go do siebie, — są we woreczku płóciennym, w kryjówce po

nad kominem w izbie na przodzie. Jabym z tobą chciał pomówić mój drogi, chciałbym z tobą pomówić.

— Dobrze, dobrze, — odparł Oliwer. — Pozwólcie, żebym z wami modlitwę zmówił. Pomódlcie się wraz ze mną. Uczyńcie to, ... błagam was! ach uklęknijcie wraz ze mną, a będziem z sobą rozmawiać, aż do jutra rana.

— Nie tu, nie tu! na dworze! — odpowiedział Żyd, popychając chłopca przed sobą ku drzwiom, i spoglądając okiem błędném po nad jego głowę. — Powiedz im, żem ja usnął, ... oni tobie uwierzą. Jeżeli to uczynisz, co ci mówię, to mię ztąd będziesz mógł uwolnić. Teraz! teraz!

— O Boże! przebacz temu nieszczęśliwemu człowiekowi! — zawołał chłopczyna rozpłakawszy się rzewnie.

— Tak, ... tak, ..., to dobrze; .... to jest środek najlepszy! — mruczał Żyd. — To nam najlepiéj pomoże. Najprzód te drzwi! Niezważaj wcale na to, chociaż będę drżał i chwiał na nogach, gdy sienią iść będziemy; ty biegaj co sił.... Teraz! .... teraz .... teraz!

— Czy pan już nie masz co więcéj z nim do pomówienia? — zapytał dozorca.

— Nie, nie mam nic, — odpowiedział Brownlow. — Gdybym się mógł spodziewać, że go do poznania swego położenia przyprowadzić możemy.... .

— Toby się na nic niezdało, mój panie, — odpowiedział ów człowiek, wstrząsając głową. — Lepiéj pono będzie, gdy go opuścicie.

Drzwi od więzienia się otworzyły, a tamci dwaj dozorujący ludzie weszli.

— Żywo, żywo! teraz czas, — wołał Żyd. — Cicho, cicho, tylko nie tak powoli! Śpiesznićj! śpiesznićj!
Lecz dozorca chwycił go za barki, i uwolniwszy Oliwera od jego uściśnięcia, przytrzymał go na miejscu. On się zaczął rzucać, wyrywać, pasować z siłą rozpaczy, i wrzasnął kilka razy tak przeraźliwie, że głos jego przez te na kilka łokci grube mury się przedarł, i w uszach brzmiał, dopokąd się na świeże powietrze nie dostali.

Długo jeszcze czasu minęło, nim więzienie opuścić byli w stanie, gdyż Oliwer omal nie zemdlał na ten widok okropny, i tak na siłach osłabł, że więcéj jak godzinę odpoczywać musieli, nim się na nogach mógł utrzymać.

Już świtać zaczynało, kiedy więzienie opuszczali. Koło więzienia już się wielka ilość ludu zgromadziła; okna były zapełnione ludźmi palącemi fajki i grającemi w karty dla zabicia czasu; tłumy całe się cisnęły, potrącały, krzyczały, kłóciły i żartowały.

Naokoło obraz życia, wesołości,...w samym środku tylko była gromada bardzo smutnych i złowieszczych przedmiotów,... czarne rusztowanie, szubienica, stryczek i inne okropne narzędzia śmierci.

ROZDZIAŁ XXIV.

Zakończenie.

Przygody tych osób, króre w téj powieści główne role odgrywały, już się prawie zakończyły, a to co jeszcze o nich powiedzieć pozostaje, to wszystko w kilku prostych słowach powiedzieć można.

Nim jeszcze trzy miesiące minęło, Rózia Fleming i Henryk Maylie zostali zaślubieni w témże samem wiejskim kościółku, który był świadkiem pierwszych jego prac kapłańskich, i widownią czynności jego i nadal pozostać miał; tego samego dnia weszli w posiadanie swego ładnego i nowego domku.

Pani Maylie przeprowadziła się także do swego syna i córki na mieszkanie, aby na schyłku swego życia, największéj przyjemności użyć, i ostatnie lata w największém szczęściu przepędzić, jakie tylko tego wieku udziałem stać się może,....będąc ustawicznie świadkiem miłości i niebiańskiéj błogości tych dwojga istót, którym przywiązanie najtkliwsze i troskliwość najstaranniejsza

przez całe dobrze użyte życie niezmiennie, nieustannie poświęcona była.

Pokazało się w końcu, po troskliwém i staranném badaniu, że po równém rozdzieleniu ostatków majątku w rękach Monksa zostającego,....który tak w jego rękach, jak i pod opieką matki nigdy się nie wzmagał, ale owszem roztrwoniony upadał,....na dwie części, dla niego i Oliwera, każdemu z nich niewięcéj jak po trzytysiące funtów się dostało.

Według zastrzeżenia i rozporządzenia w testamencie ojca zawartego, powinno było wszystko do Oliwera należeć; lecz Brownlow, niechcąc starszego syna ogołocić, i wszelką sposobność przez to mu odebrać do poprawienia swego życia, wyrzeczenia się swych występków i obrania sobie uczciwego sposobu do życia, umyślił ten podział, na który młody jego wychowanek z najszczerzém sercem zezwolił.

Monks, nosząc ciągle to przybrane nazwisko, usunął się ze swoją częścią w najdalszy, najodleglejszy kącik Nowego świata, gdzie wkrótce wszystko zmarnotrawił, wpadł na powrót w dawne swoje życie występne, popełnił kilka zbrodni, za które na czas niejaki deportowanym został, a gdy i to nic niepomogło, i on powtórnie o fałsz i oszustwo oskarżony i osądzony został, uległ nakoniec swojéj dawnéj chorobie w więzieniu.

I reszta głównych pomocników Fagina pomarła w tak wielkiéj odległości od swego rodzinnego kraju.

Brownlow przyjął Oliwera za swego syna, zakupił sobie własność w sąsiedztwie blizkim od probostwa w którym jego drodzy przyjaciele mieszkali, bo tylko o ćwierć mili odległém, do któréj się wraz ze swoją da-

wną gospodynią i Oliwerem przeprowadził, dopełnił przez to jedynego życzenia tego chłopca z sercem wdzięczném i szczerze kochającém, i uzupełnił kółko przyjaciół, w którym takie szczęście niewysłowione panowało, jakiego tylko w tym świecie zmiennym i przypadkowości podlegającym użyć można.

W niejaki czas po zaślubinach naszych młodych kochanków, zacny lekarz powrócił do Chertsey, gdzieby się po utracie swych drogich, starych przyjaciół, w odludka i ponurego człowieka był mógł zmienić, gdyby tylko był wiedział, jak się wziąść do tego.

Przez kilka tygodni siedział na miejscu spokojnie i tylko czasami na to się użalał, że mu powietrze niesłuży, lecz gdy się w końcu przekonał, że tutaj dla niego w istocie żadnéj przyjemności niema, i to miejsce nie jest już tak ponętne, jak poprzód było, oddał swoich chorych i całe wzięcie swemu pomocnikowi, najął sobie mieszkanie kawalerskie tuż koło téj wioski, w któréj młody jego przyjaciel był księdzem, i przeniósł się tam na zawsze.

Tutaj zaczął ogrodniczyć, sadzić, szczepić, ryby łowić, ciesielką się bawić, i różnemi innemi podobnemi zatrudnieniami, a wszystko z tą samą popędliwością, która mu była właściwą; pomimo to nabrał w końcu we wszystkiém, czém się trudnił, pewnéj powagi i sławy w całém sąsiedztwie.

Nim się z Chertsey wyprowadził zawarł był związek bardzo ścisłéj przyjaźni z panem Grimwig, który pomimo swoję dziwaczność jak najszczerzéj do niego się przywiązał.

Wskutek tego pan Grimwieg go bardzo często od-

wiedza i nie jeden dzień w roku z nim przepędza, a gdy do niego przybędzie, sadzi, ogrodniczy, łowi ryby, i oddaje się wszystkim wspólnym zatrudnieniom lekarza przy nastręczającéj się sposobności z wielkim zapałem, lecz każdą rzecz do któréj się weźnie, odbywa na sposób szczególny i dotąd nieznany, zawsze jednak powiada, ze zwykłém swojém zaklęciem, że to jest sposób najprawdziwszy i najlepszy.

W niedziele nigdy nieomieszka kazania młodego księdza prosto w oczy surowo mu skrytykować, wyznając panu Losberne późniéj w największém zaufaniu, że to kazanie było według jego zdanie bardzo ładnie i dobrze wypracowane, ale on sądzi, że mu tego prosto w oczy mówić niewypada.

Brownlow ma zawsze wielką z nim zabawę, używając wszelkiéj sposobności, aby sobie z jego przepowiedni względem Oliwera zażartować i przypominać mu ów wieczór, kiedy to oni obaj długo w noc siedzieli nieruchomie, czekając z zegarkiem na stole pomiędzy sobą na powrót Oliwera;...lecz Grimwieg zawsze utrzymuje, iż słuszność na jego stronie i w dowód tego powiada, że Oliwer *rzeczywiście nie powrócił*, a zrobiwszy tę uwagę zawsze się śmieje, co jego wesołość jeszcze powiększa.

Noa Claypole, otrzymawszy zupełne ułaskawienie od rządu za swoję zbrodnię z tego powodu, iż jako świadek przeciwko Żydowi wystąpił, i uważając nadto, że jego rzemiosło nie jest wcale tak bezpieczne, jakby się zdawało, a on sobie tego szczerze życzył, wypuszczony z więzienia przez czas niejaki w bardzo wielkiéj był wątpliwości, jaki sposób do życia sobie obrać,

ażeby sobie coś zarobić, a jednak zbytnią pracą niebyć obciążonym.

Po długim namyśle i rozważaniu przyjął na siebie urząd tajemnego oskarżyciela, w którym to zawodzie dość ładne pieniądze sobie zarabia.

Postępowanie jego w tym celu jest następne. Każdéj Niedzieli wychodzi z Karoliną porządnie ubraną na miasto, a ta mdleje koło drzwi litościwych szynkarzy, a jéj towarzysz dobywa wtedy pieniędzy i każe sobie za trzy feniki dawać wódki dla otrzeźwienia jéj prędszego, co gospodarz z dobrym sercem chętnie czyni; nazajutrz go podaje do urzędu, i chowa do kieszeni połowę kary, którą tenże zapłacić musi.

Czasami jednak widowisko się zmienia i Noa sam mdleje, skutek jednak jest zawsze ten sam.

Pan i pani Bumble, wyzuci ze swych urzędów gminowych w domu roboczym, wpadli stopniowo w nadzwyczajny niedostatek i nędzę, i przyszli w końcu jako żebracy do tego samego domu roboczego, w którym niegdyś tak nielitościwie panowali. Słyszano mówiącego pana Bumble, że w tym upadku i poniżeniu niema nawet na tyle odwagi i chęci aby przełożonym za to podziękować, że go z żoną rozłączyli.

Co do panów Giles i Brittles, ci zawsze w swoich dawnych urzędach i godnościach pozostali; cała zmiana jest ta, że pierwszy już ołysiał, a ostatni chłopczyna już dobrze posiwiał. Oni wprawdzie na probostwie sypiają, lecz z taką gorliwością równą wszystkim do tego kółka przyjacielskiego należącym osobom usługują, i Oliwerowi, i panu Brownlow, i panu Losberne, że do-

tychczas jeszcze ludzie ze wsi żadną miarą odkryć niemogli, do którego gospodarstwa oni wyłącznie należą.

Karolek Bates, wzruszony zbrodnią Billa, zaczął się w końcu mocno nad tém zastanawiać i rozmyślać, czyli życie uczciwe nie jest nareszcie najlepsze z wszystkiego.

Doszedłszy do tego ostatecznego wypadku, że się rzecz w istocie tak ma, ... porzucił widownię dawniejszych czynności swoich, i postanowił przeszłość zmianą swego dotychczasowego życia odkupić.

Przez niejaki czas wzdrygał się mocno i cierpiał wiele, gdy mu pilnie pracować przyszło, posiadając jednak dzielność ducha niezwykłą, wytrwałość silną w raz powziętym zamiarze, w końcu tego dopiął, co sobie życzył. Poszedł w służbę ciężką do zagrodnika na wsi, a potém do woźnicy od ciężarów, a teraz jest najweselszém i najrozkoszniejszym przekupcą wołów z całego Northamptonshire.

A teraz, przyszedłszy do końca mego dzieła, ręka, która to wszystko opisała, drżeć mi zaczyna; chętniebym jeszcze dłużéj wątek téj powieści był wysnuł.

Byłbym bardzo chętnie dłużéj jeszcze z kilkoma tak drogiemi dla mnie osobami się zabawił, z któremi tak długo obcowałem; byłbym podzielał ich roskosze i szczęście, dobywając sił, aby je godnie odmalować.

Byłbym chętnie Rózię Maylie odmalował w całym uroczym wdzięku i kwiecie młodéj mężatki, rzucającą na swą ścieżkę życia wyłączną takie przyjemne i błogie światełko, że na wszystkich padało, którzy wraz z nią tą samą dróżyną się poruszali, i w serce ich się wciskało, napełniając je błogością;.... byłbym ją odma-

lował jako życie i rozkosz tego kółka przyjaciół, wieczorami zimowemi koło kominka, a w lecie w ogrodowéj altanie, wesoło się zgromadzającego;... byłbym się za nią błąkał podczas jéj przechadzek rano, przy blasku promieni wschodzącego słońca, i przysłuchiwał się jéj miłemu głosowi wieczorem, przy świetle księżyca; byłbym ją śledził, kiedy w celu dobroczynnym po wiosce chodziła, i wtedy, kiedy z uśmiechem błogim na ustach wszelkiemi domowemi obowiązkami i zatrudnieniami się zajmowała;....byłbym jéj i jéj zmarłéj siostry miłego chłopczyny wzajemną miłość i przywiązanie niewysłowione odmalował, i to szczęście, którego oboje używali z sercem, rzewnemi wspomnieniami na tak drogich krewnych i tak wcześnie utraconych, napełnioném;.... byłbym sobie chętnie raz jeszcze te miluchne małe twarzyczki przed oczy stawił, które koło jéj nóg igrały,,...i lubemu ich szczebiotaniu rad przysłuchiwał; ......byłbym sobie chętnie raz jeszcze dźwięk miły jéj wesołego śmiechu, i łezkę współuczucia w jéj pięknem niebieskiém oku drżącą, na pamięć przywołał....To, i tysiączne jeszcze spojrzenia, jéj uśmiech powabny, ... jéj dowcip i bystrość umysłu,...... to wszystkobym sobie jeszcze raz chętnie przed oczy przywiódł i przypomniał.

Jak pan Brownlow od dnia do dnia umysł swego przybranego syna coraz to większemi wiadomościami zbogacał, i coraz bardziéj go pokochał, czém bardziéj wrodzone zdolności chłopczyny się rozwijały, przyjmując skwapliwie wszelkie nasienie dobrego, w jego sercu złożone;..jak on w nim coraz więcéj rysów swych dawnych przyjaciół znajdował, co bardzo wiele wspo-

mnień smutnych, rzewnych, a jednak miłych i lubych w nim obudzało,....jak się te dwie sieroty, nieszczęściem, dolegliwościami i przeciwnościami doświadczone, o naukach z tąd pozyskanych na korzyść drugich zawsze pamiętały, wzajemnie kochały, i ustawiczne dzięki Temu składały, który ich ochraniał i zawsze nad nimi czuwał,....są to wszystko rzeczy, których opisywać niemyślemy, gdyż powiedziałem już raz, iż oni prawdziwie szczęśliwemi byli, a szczęście prawdziwe bez wzajemnéj miłości, bez litości w sercu i współczucia dla bliźnich, bez wdzięczności najszczerszéj dla téj *Istoty*, któréj prawem wewnętrzném jest przebaczenie, miłosierdzie, a głównym przymiotem dobrotliwość, dla wszelkiego stworzenia na tym świecie, nigdy osięgnięta być niemoże.

Koło ołtarza tego starego kosciółka wiejskiego, jest wmurowana biała tabliczka marmurowa, na któréj to jedno słowo: *Agnieszka* jest wyryte!

Pod tym grobowcem niema trumny, i wiele lat może przeminie, nim drugie imie drugie miejsce na nim zajmie.

Lecz jeżli duchy zmarłych kiedy na świat powracają, aby zwiedzić te miejsca, na których miłość dla nich pamiątkę po sobie zostawiła,....miłość po za grobem....tych, którzy je za życia znali, to się mi zdaje, że cień téj biednéj dziewczyny nieraz ten pomnik uroczysty zwiedza,....lubo się w kościele znajduje, a ona była słabą i z drogi prawéj zbłądziła.

KONIEC.

Nakładem i czcionkami Breitkopfa i Hærtla.

KATALOG

KSIĄŻEK POLSKICH

WYSZŁYCH NAKŁADEM I DRUKIEM

Breitkopfa i Härtela w Lipsku.

Biblioteka Kieszonkowa Klassyków Polskich, wydawana przez *J. N. Bobrowicza*, w 37. Tom. in-16. na pięknym welinowym papiérze, ozdobiona pięknie litografowanemi portretami Autorów i bijografiami tychże.

Biblioteka ta podzielona jest na trzy oddziały, z tych:

Oddział I. Tom 1—10. obejmuje kompletne dzieła wierszem i prozą *Ignacego Krasickiego*. Powtórne wydanie. 1840. Cena . . . Tal. 6.

Oddział II. Tom 11—25. obejmuje:
Adama Naruszewicza Poezye Tomów 3.
Jana Kochanowskiego dzieła, Tomów 3.
Fran. Karpińskiego dzieła, Tomów 5.
Seb. Klonowicza Poezye, Tomów 2.
Stanis. Trembeckiego Poezye, Tomów 2.
Cena Oddziału II. Tal. 6.

Oddział III. Tom. 26—37. obejmuje:
Józefa Szymanowskiego Pisma, Tom. 1.
Szym. Zimorowicza Sielanki, Tom. 1.
Szym. Szymonowicza Sielanki i *Jana Gawińskiego* Sielanki i Dworzanki } Tom 1.
Kaje. Węgierskiego Poezye, Tom 1.
Elżbiety Drużbackiej Poezye, Tomów 2.
Fr. D. Kniaźnina Poezye, Tomów 6.
Cena Oddziału III. Tal. 6.

Biblioteka najnowszych i najlepszych romansów zagranicznych. 16. 1844.

Piérwsze tomy zawierać będą:

Tom 1—5. **Konsuelo**, z francuz. P. *Jerzego Sand*, 5. tom., cena Tal. 3. gr. nov. 10.

Tom 6. **Joanna**, tegoż samego autora, 1. tom, cena Tal. 1.

Tom 7 — 16. **Żyd wieczny**, z francuz. P. *Eugeniusza Sue*, 10 tom. cena Tal. 5.

Tom 17 — 18. **Oliwer Twist**, z angiels. P. *Boza*. 2 tom., cena Tal. 1. gr. nov. 10.

Erdmann, Dor J. Edw., Zarys Logiki i Metafizyki. Przełożony na język polski przez *L. O.* 8. maj. 1844. gr. nov. 20.

Fredro, J. M. Hrab., Tragedye, wierszem. Dydona, Harald i Wanda. 8. maj. 1837. Tal. 1. gr. nov. 15.

Herbarz Polski, *Kaspra Niesieckiego*, powiększony dodatkami z późniejszych Autorów, rękopismów, dowodów urzędowych, i wydany przez *Jana Nep. Bobrowicza* w 10 tomach z więcej jak 500. herbami nowo na drzewie rżniętemi i w texcie drukowanemi, in 8° royal. 1839.

Wydanie na pięknym welinowym papiérze Tal. 33. gr. nov. 10.

Wydanie wytworne na jak najpiękniejszym piśmiennym papiérze, z świetną oprawą i wyzłacanemi brzegami Tal. 66. gr. nov. 20.

Toż wytworne wydanie z jak najpiękniej kolorowanemi herbami Tal. 100. —

Hofmanowa, Klem. z Tańskich, Karolina. Powieść w trzech tomach. Powtórne wydanie 16. 1841. Tal. 2. gr. nov. 15.

—— Krystyna. Powieść w dwóch tomach 16. 1841. Tal. 2.

Hofmanowa, Klem. z Tańskich, Książka do modlitwy dla dzieci. Nowe przez Autorkę poprawne i powiększone wydanie. Z obrazkiem. 16. 1839.

Oprawna w płótno Angielskie gr. nov. 25.
dº dº z futerałem i złotemi brzegami Tal. 1. gr. nov. 5.
dº w Safian z futerałem i złotemi brzegami. Tal. 2.

—— Opis przejazdu przez Niemcy w listach Wacława do siostry swojéj Jadwigi 16. 1844. gr. nov. 20.

Judith, z francuzkiego pana du Bartas, przełożona wierszem przez *Rafała Leszczyńskiego*. 8. 1841. gr. nov. 15.

Lafontaine, **100** bajek ze **100** obrazkami przez *J. J. Grandville*, zebrane z różnych tłómaczeń przez *J. N. Bobrowicza*. Powtórne wydanie z originalnemi Paryzkiemi drzeworytami. 8. maj. 1840. Tal. 3. gr. nov. 10.

Napoleon Bonaparte: Kronika Malownicza, czyli, Obrazy bitew i czynów wojennych Bohatera; 100 rycin na stali, podług malowideł w Muzeum Wersalskiem i innych pomników, z dodatkiem historycznych objaśnień podług różnych Autorów przez *Jana Nep. Bobrowicza*. Powtórne wydanie z dodatkiem Opisu pogrzebu Cesarza w Paryżu. 8. 1842. Tal. 3. gr. nov. 22½

Naruszewicz, Adam, Historya Narodu Polskiego. Nowe wydanie w 10. Tomach z portretem Autora na stali rytym i pięcią kartami geograficznemi. 8. 1836. 37. Tal. 12.

Niemcewicz, J. U., Dzieła poetyczne wierszem i prozą, tomów 12, z portretem Autora na stali rytym. 16. 1838—40. Tal. 8.

—— Jan z Tęczyna, powieść historyczna. Nowe w 2 tomach wydanie z ryciną 16. 1838. Tal. 1. gr. nov. 20.

Niemcewicz, J. U., Zbiór pamiętników o dawnéj Polszcze. Nowe wydanie. 5 Tomów z popiersiem Autora na stali rytym. 8. 1839. 40. Tal. 7. gr. nov. 15.

Noakowski, Fr., Grammatyka Rossyjska dla Polaków chcących się uczyć po rossyjsku bez pomocy nauczyciela, 8. 1837. Tal. 1.

Nocy tysiąc i jedna, powieści Arabskie z tłómaczenia Ant. Gallanda przekład polski; podług nowego wydania paryzkiego z r. 1840. przez *** z rycinami na stali. tom 1—12. Tal. 6.

Opis Pogrzebu Cesarza Napoleona w Paryżu dnia 15. grud. 1840. Z 9 rycin. na stali. gr. nov. 22½

Ostatnia Podróż do Francyi przez Ł. z Ks. G. R. 1841. Tal. 1. gr. nov. 10.

Sterne, W., Joryka Podróż uczuciowa przez Francyją i Włochy. Z angielskiego przełożył B. W. Z 12 drzeworytami Tony Johannota. in 8 royal. 1845. Tal. 1. gr. nov. 10.

Życia sławnych Polaków, nowe 5° Tomowe wydanie. 8. 1837. Obejmuje życia:

J. K. Chodkiewicza przez *A. Naruszewicz*, T. 2.

J. Zamojskiego przez *F. Bohomolca*, i Stef. Czarnieckiego prz. *M. Krajewskiego*. T. 1.

J. Tarnowskiego prz. *S. Orzechowskiego* Lwa Sapiehy przez *Ks. Kognowickiego* T. 1.

Jerzego Ossolińskiego przez *F. Bohomolca*, T. 1.

z portretami, Chodkiewicza, Zamojskiego, Tarnowskiego i Ossolińskiego na stali rytemi. Tal. 7. gr. nov. 15

odprawa
99
odpra...,00

prowadzila 102